

DUNCAN MACGREGOR

**CONAN
I WŁADCZYNI NIEBIOS**

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN AND THE GODDESS OF HEAVEN
PRZEKŁAD: HENRYKA HANNA OLCZAK



CZEŚĆ PIERWSZA

SKARB RYCERZA

I. BRACIA

Biały piętrowy dom Serwusa Narota stał na samym krańcu Lidii - niewielkiego miasteczka na południowym wschodzie Argosu. Cała Lidia leży na wzgórzach, między którymi płyną bystre strumienie, a woda w nich jest cudowna, błękitna, tak przejrzysta i smaczna, że co dzień przychodzą po nią z cebrzykami i innymi naczyniami ludzie z sąsiedniego Shemu. Mieszkańcy miasta nic nie mają przeciw temu: podziemne źródła szczerze karmią strumienie, a Shemici z wdzięczności tanio sprzedają na ich bazarach tkaniny i zboże.

Co się zaś tyczy domu szlachetnego rycerza noszącego imię Serwus Narot, to powiadają, że jest tam nie mniej niż sto pokojów, a od głównych korytarzy odchodzą setki pomniejszych, tak że bez trudu można w nich zabłądzić.

Jeszcze mówią, że drogie dywany z Turanu zaścielają podłogi, wszystkie lampy zrobione są z czystego złota i ozdobione drogocennymi kamieniami, a wokół domu rozpościera się przepyszny sad i spacerują po nim pawie z ogonami tak pięknymi, że w całym świecie nie masz podobnych. Jednym słowem wiele różności gadają dobrzy ludzie z Lidii o swoim ziomku i jego bogactwie, ale któż by im tam wierzył. Wszyscy wiedzą, że Lidia to stolica plotek, niechby i całkiem niewinnych.

Zbliżając się do zachodniej bramy miasta filozof Benino Brass śmiał się dobrodusznie, gdy przekazywał te bajdy swojemu młodszemu bratu Peppo, nie zapominając wszakże opatrywać je odpowiednim morałem. Chłopak słuchał uważnie, lecz jego pociągłej bladej twarzy ani razu nie rozjaśnił nawet cień uśmiechu, ponieważ przy swoim bracie był kimś w rodzaju ucznia i ten stan dawno już mu się znudził. W każdym razie unikał patrzenia Beninowi prosto w oczy, wołał oglądać jedwabistą grzywę swojej krótkonogiej bułanki, która od samej Messancii - ich rodzinnego miasta - kulą, bo potknęła się w wąwozie. Jednak nie chciał zamieniać jej po drodze na innego konia, bo też bułanka była jego starą przyjaciółką, którą jeszcze jako dziecko otrzymał w prezencie od ojca i od tej pory nigdy się z nią nie rozstawał.

Połówka słońca zachodzącego za horyzont błyszczała mgliście i pięknie, prawie purpurowo, zwiastując na dzień jutrzejszy wiatr, a może i deszcz.

W tym świetle wszystko wydawało się czarowne: i drzewa, i krzewy, i trawa, której zielen nabrała teraz różowego połysku, i szare mury miasta, w których srebrzystych mikowych ziarnkach iskrzyły się tysiące malutkich szkarłatnych słońc, i błękitne niebo z biało-fioletowymi płatami obłoków, i sama linia horyzontu, która stała się tymczasem purpurowa jak pas nadwornego skarbnika.

Poprzez kraty bramy Peppo zobaczył wąskie i krzywe, lecz starannie wyłożone żółtym płaskim kamieniem uliczki Lidii, przysadziste domy, zbudowane jakby według jednego wzoru - wszystkie kwadratowe, parterowe, z półokrągłymi dachami, a także nielicznych przechodniów z jednakowym wyrazem zmęczenia na smagłych twarzach.

Wszystko to było także zalane różowym martwym światłem, ale nie napełniało tęsknotą wrażliwej duszy Peppa - tak często bywa przed zachodem słońca, a on nieraz obserwował podobny obrazek z okien własnego domu w Messancii.

Filozof z niedbałą hojnością rzucił strażnikowi w nadstawioną dłoń kilka monet, a ów usłużnie otworzył przed braćmi na oścież bramę miejską.

- Ach, jak ja lubię maleńką Lidię! - tak krzyknął Benino, kierując swego konia, nawiasem mówiąc również bułanego, ale nieco młodszego, w prawo od bramy. - Spójrz, Peppo, popatrz, mój chłopcze, jaka geometria. Wydaje się, że nawet twój nauczyciel Klimero nie wykreśliłby tak równo. Dom jakby w całości mistrz jakiś wykuł z ogromnego głazu, a obok kropka w kropkę taki sam i tam jeszcze jeden, i jeszcze ...

Na zachwyty brata Peppo uśmiechnął się niewyraźnie, a głowy i tak nie podniósł.

- No, teraz zobaczysz prawdziwą sztukę. Szczerze mówiąc, plotkarze nie tak bardzo kłamią, opisując piękno domu Serwusa. Marmur niezwyklej białości w słoneczny dzień wprost oślepia. Witraże w oknach na parterze tworzą prawdziwe obrazy powiązane tematycznie; kolorowe szkła do nich przywożono między innymi z naszej Messancii. LAMPY nie są z czystego złota, to jasne, a jedynie z brązu, a i pawiem, istotą nikczemną chwalić się nie wypada... Za to dach!.. Ojej... Calutki szklany! Jak cudownie jest patrzeć na niebo czy to nocą, czy w dzień ...

Benino zamilkł nagle, zaciąwszy się na ostatnim słowie, i Peppo zaraz nadstawił ucha. Zrozumiał, że brata nawiedziła jakaś interesująca myśl, którą należało natychmiast zapisać, w przeciwnym razie Benino zapomni ją i pograży się w smutku, a nie istnieje nic gorszego niż smutek filozofa... on, Peppo, wiedział o tym z całą pewnością.

- No właśnie - zamruczał z westchnieniem, wyciągając pomięty papirus z przytroczonej do siodła torby, a z kieszeni kamizeli pióro i kałamarz, by podać to wszystko filozofowi.

Starszy brat z powagą skinął głową, ściągnął wodze, rozparł się wygodnie na końskim siodle i zaczął pisać, co i rusz parszając z zadowolenia, - widocznie myśl rzeczywiście była interesująca. Zwieńczył ten trud ogromnym kleksem, osuszył papirus rękawem aksamitnej kurtki i oddał wszystkie przybory piśmiennicze Peppo.

- Bywałem w tym domu trzykrotnie - ruszając stępa ciągnął Benino - i za każdym razem dziwiłem się niezmiernie, z czego, nawiasem mówiąc, Serwus cieszył się jak dziecko.

Skręcili w aleję kasztanową i spłoszyli swoim pojawieniem się stadko tłustych, leniwych gołębi, między którymi przechadzały się wielkie wrony, czarne z liliowym połyskiem.

Purpurowy brzeżek słońca jeszcze był widoczny poprzez liście, lecz mrok szybko wypełzał ze wszystkich stron na ziemię, malując ją na czarno i szaro - odwieczne kolory nocy; z nocą przysła i cisza, która pochłoneła dźwięki, i księżyc, co błysnął raz i znowu skrył się za dużą, ciężką chmurą; gwiazdy usiały niebo, dopiero szykując się, by zaświecić z całej mocy, wyraziście i niedorzecznie...

Z alei bracia wyjechali na długą, prostą ulicę, potem przecięli okrągły plac i w końcu zobaczyli w dali białe ściany domu Serwusa Narota, ukryte w cieniu nocy.

Z pewnością przy świetle dnia dom musiał wyglądać wspaniale, ale teraz Peppo tylko skrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu: nic szczególnego nie znajdował w tej ogromnej budowlu, wielkością równej głównej świątyni boga Mitry w Messancii.

- I cóż z tego, mój chłopcze - z niezadowoleniem warknął Benino, bez trudu odgadując tajemne myśli brata. - Nocą i piękność można wziąć za brzydulę ... Chodźże, pospieszmy się, obiecałem Serwusowi przybyć przed zmierzchem. Gdyby twoja bułanka się nie potknęła, to byśmy zdążyli. - Z wyrzutem popatrzył na nieszczęsną klacz Peppa. - Mówiłem ci, weź wronę. Choć nie tak piękny, za to młody i żwawy, a to w dalekiej drodze znacznie ważniejsze...

Błady księżyc zasnuty strzępami chmur zawisł nad domem Serwusa Narota. W tym mętym, martwym świetle wszystko wokół: sam dom i sad, i ogrodzenie z cienkich, cu-

dacznie przeplecionych między sobą żelaznych prętów, i droga prowadząca do wysokich wąskich wrót, wydawało się dziełem złego Nergala.

Dlaczego tak nagle coś zaczęło dręczyć duszę, dlaczego zmroziło krew? Dlaczego mroczne przeczucie zawładnęło myślami obu braci? Peppo z ukosa spojrzął na ładną, delikatną twarz Benina i wyczytał na niej odbicie własnych uczuć. Tak, czterdziestoletni filozof odczuwał to samo co jego młodszy brat, który nie dalej jak minionego dnia obchodził swoje siedemnaste urodziny.

- Nonsens... - mruknął Benino wzdygając się. - Na Mitrę przysięgam, czysty nonsens...

W tej chwili ciężkie skrzydło wrót skrzywnęło i odsunęło się powoli, ukazując oczom braci piękny nawet w półmroku sad. Peppo, wyróżniający się bogatą wyobraźnią, westchnął z ulgą, gdy zobaczył wychodzącego z podwórza na drogę małego, całkiem zwyczajnego starszka z siwą długą brodą i krótkimi krzywymi nóżkami. Wcale nie był podobny do demona, którego pojawienia się raczej oczekiwaliby młodzieniec o tej nocnej, niepokojącej porze. Mrużąc malutkie oczka, starszek zrobił kilka drobnych kroczków w kierunku przybyłych, lecz zatrzymał się i zaczął coś gmerać przy latarni, która uparcie nie chciała zapłonąć.

- Lambert? - z powątpiewaniem wymówił filozof.

- Pan Brass? - zapytał tamten głosem cienkim i przenikliwym.

- Ten sam! - Benino poweselał i też, na ile mógł zauważyć Peppo, westchnął z ulgą. - Po-patrz, chłopcze, to Lambert, najlepszy sługa w Argosie. Tak w każdym razie twierdzi mój przyjaciel Serwus Narot...

To wyraźnie pochlebilo Lambertowi, odrzucił więc nieszczęsną latarnię i żywo podrepotał ku braciom, aby pomóc im zsiąść z koni.

- Mój pan dawno już was oczekuje - gruchał, biorąc juki z rąk młodzieńca. - Ciągłe chodzi koło okna, chodzi, wygląda... A czego tu wyglądać? Noc, to i drogi nie widać zza drzew. Idź spać, mówię, sam po nich wyjdę i nakarmię po królewsku. A on nic, tylko szwenda się po sali, pali pachnącą trawę i piwo pije... Chyba z półtora dzbana już wyciągnął.

Peppo ledwo powstrzymywał się, żeby nie parsknąć śmiechem. Prawdopodobnie ten Lambert był dla swojego pana kimś w rodzaju ojca lub wujaszka, inaczej nie warczałby tak na niego. U nich w domu słudzy nie pozwalali sobie nawet ust otwierać bez potrzeby, a wszystko przez Benina. Srogi jak sam sędzia!

Filozof pochwyił drwiące spojrzenie brata i zachmurzył się. Zresztą czoło zaraz mu się wygładziło: od drzwi domu z radosnym okrzykiem pospieszał ku nim ogromny mężczyzna. Wyglądał, jakby miał zamiar zadusić w niedźwiedzim uścisku starego przyjaciela Benina. Długi do pięt nocny kitel płątał mu się między nogami; tylko patrzeć, jak się przewróci, a przy tym wzroście i tuszy nie obejdzie się bez poważnej kontuzji.

I tak się stało: olbrzym potknął się na równym i z całym impetem runął jak długi na wyspaną drobnymi otoczkami dróżkę. Jęknął głucho, ale zaraz się zerwał i z nie mniejszą szybkością znów rzucił się w stronę Benina.

Młodzieniec chrząknął; wyobrażał sobie Serwusa Narota całkiem inaczej. Bogacz, sławny nie tylko w maleńkiej Lidii, ale i w całym Argosie; rycerz, który pokonał w turnieju samego Jeźdźca Nocy, posiadacz doskonale dobranej kolekcji drogocennych kamieni, ulubieniec kobiet - oto kim był Serwus Narot.

Według wyobrażeń Peppę, który często zatapiał się w romantycznych marzeniach o sławie i bogactwie wojownika, podobny bohater powinien być jeśli nie starszy, to przynajmniej wyglądać solidniej i poważniej; dobrze by było, gdyby miał czarne, zrosnięte brwi, przenikliwe, harde spojrzenie i długi miecz u pasa. W tym panu przyjmującym gości w koszuli nocnej niczego podobnego młodzieniec nie dostrzegł.

Odwrócił się do Lamberta. Stary sługa z zimną krwią obserwował upadek swojego pana i, jakkolwiek to dziwne, ani myślał pospieszyć mu z pomocą.

Benino oderwał się w końcu od potężnej piersi rycerza i starannie wytarł usta wierzchem dłoni.

- Do domu! Prędzej, do domu! - głębokim basem zabuczał Serwus Narot, kiedy już sam także dokładnie wytarł usta.

Przyjaciele żwawym galopem skierowali się na ganek.

- Dawno już trzeba było - mruknął Lambert, zarzucając sobie na plecy worki podróżne braci. - Co to za obyczaje całować się na zimnie, i na dodatek nocą. Gdybyś był mniejszy, tobym ci pokazał...

Tutaj Peppo wreszcie nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Nieco później, przy wspaniale zastawionym stole młodzieniec wnikliwie przypatrywał się gospodarzowi. Trzeba powiedzieć, że oględziny zadowolily go w końcu.

Olbrzym Serwus cały składał się z mięśni i był okazem siły i zdrowia - o tym ostatnim świadczył dziewczęcy rumieniec na gładkich, równych policzkach. Oczy - szare, zielono nakrapiane, promienne - uśmiechały się cały czas. Miał białe nastroszone brwi i takie same rzęsy. Peppo po raz pierwszy widział, żeby rzęsy u człowieka rosły w różne strony. Bujna jasna czupryna z rudym odcieniem przypominała czapkę pastucha; równo przystrzyżona grzywka całkowicie zasłaniała dość niskie czoło. Nos był dość duży, usta zbyt czerwone, za to wargi - pełne i ładnie obrysowane, jakie wypada mieć mężowi arystokratycznego rodu. Wcale nie przypominał rdzennych Argosan, którzy w większości są niewysocy, smagli i czarnowłosi...

- Wypij jeszcze, wierny mój druhu Beninie! - donośnie zaproponował rycerz, szczerą ręką dolewając wina do pucharu filozofa - Wypij i oddamy się wspomnieniom o dniach naszej heroicznej młodości!

Peppo mocno wątpił, czy młodość jego brata można nazwać heroiczną, lecz bał się wyrazem niedowierzania wywołać u przyjaciół potok opowieści o przeszłości. Zapanował więc nad twarzą.

Ta powściągliwość została wkrótce nagrodzona: skoro Benino nie zauważył na twarzy młodzieńca najmniejszego zainteresowania, z westchnieniem zrezygnował ze wspomnień i kazał mu iść spać.

- Niech posiedzi z nami! - Serwus odrzucił tę propozycję za Peppą. - Ja w jego wieku tylko marzyłem o tym, żeby wypić ze starszymi przy wspólnym stole. Prawdę mówię, Lambertcie?

- Już jak ty co powiesz... - parsknął sługa i cisnął na stół talerze z nowymi daniami.

Bracia roześmieli się zgodnym chórem, a szlachetny rycerz poczerwieniał z gniewu.

- Precz - wrzasnął podrywając się. - Zabiję! Okaleczę! Sprzedam na galery!

- Akurat! - z godnością odpowiedział starzec i wyszedł z sali. Prawdopodobnie takie sceny rozgrywały się w tym domu często, ponieważ Serwus nawet nie drgnął, by dogonić zuchwałego sługę i wcielić w życie swoje groźby. Zamiast tego, ciężko dysząc, chwycił butelkę i opróżnił ją ogromnymi haustami. Lekarstwo podziałało już po kilku chwilach: purpurowy kolor gniewu zszedł z policzków rycerza, ustępując miejsca naturalnym rumieńcom, a w oczach zatańczyły chytre ogniki.

- Więc cóż, braciszku moi, może byśmy tak pospacerowali po nocnej Lidii? Sławne to miasteczko, wierzcie mi, sławne.

- Znów do karczmy? - Benino zmarszczył nos.

- A gdzie indziej dziewczki ci znajdę? - oburzył się Serwus i znowu przywarł pełnymi czerwonymi wargami do pucharu z winem. Zdaje się, że był to dla niego zwyczajny sposób spędzania czasu.

Filozof zmieszał się wyraźnie i z ukosa popatrzył na młodszego brata. A ten siedział niewzruszony, mroczny jak zwykle i tylko rzęsy lekko mu drżały, co oznaczało powstrzymany śmiech.

- Uff... - rycerz wychleptał wino do ostatniej kropli i pytająco zerknął na starego przyjaciela. - No więc, Benino?

- Naprawdę nie mogę... - zawahał się filozof. - Dwa dni w drodze, Serwusie... Nie sądzę źle, ale bardzo chce mi się spać.

Peppo oczywiście rozumiał, że gdyby nie jego obecność, brat wkrótce przyjąłby zaproszenie rycerza i żadne zmęczenie nie zatrzymałoby go w domu. Przypomniawszy sobie, że ze wszystkich swoich poprzednich wizyt w Lidii Benino wracał dziwnie wymięty i przygnębiony. Mocno czuć go było piwem, cebulą i wstrętnymi, tanimi i słodkimi pachnidłami. Potem kilka dni wypoczywał leżąc na mansardzie i cały dom był napełniony jego cichym pokrzykiwaniem tak smutnym, że serce Peppę mimowolnie ścisnęła żal. Przez cały ten czas sługa bez wytchnienia nosił na górę grzane wino, leczniczy wywar ziół i kromeczki czarnego czerstwego chleba. Domownicy, nawet ojciec, chodzili na paluszkach; przyjaciele filozofa przychodzili dowiedzieć się o jego zdrowie i za każdym razem słyszeli szeptem dawaną odpowiedź: „Jest nadzieja...”

A kiedy, dręczony wyrzutami sumienia bardziej niż cielesnymi mękami, błądzący i wychudzony Benino w końcu schodził do nich, słabym głosem pytał Peppę o jego postępy w nauce. Wtedy wszyscy na wyścigi starali się uradować go informacjami, że chłopiec jest niezwykle mądry i utalentowany, a najważniejsze - pracowity jak jego starszy brat. Wargi Benina zaczynały drżeć jak gdyby ze wzruszenia i do oczu napływały łzy: pieszczotliwie gładził rękę Peppę, następnie wstawał i niepewnym krokiem wracał na górę na swoją mansardę. Szczerze mówiąc, nic nie wywoływało w Peppie większego obrzydzenia niż ten spektakl.

Po krótkim namyśle filozof mimo wszystko zdecydował się odrzucić uprzejme zaproszenie przyjaciela.

- Nie, Serwusie, nie - odrzekł z głębokim westchnieniem. - Może innym razem.

Olbrzym nadał się i zamilkł. Uraza była tak wielka, że białe, gęste włoski na jego grubych przedramionach zjeżyły się, a żywy ogień w szarych oczach przygasł.

- Słuchaj no - nagle ożywił się Benino. - Mówiłeś, że oczekujesz gości, tak? Kim oni są? Kiedy przybędą?

- Rano - ponuro mruknął Serwus. - A kim są... zobaczysz sam.

- No cóż, cieszę się. - Filozof przywołał na bladą twarz wesoły uśmiech, chociaż Peppo gotów był przysiąc, że żadnej radości brat nie odczuwa. Przecież nie cierpiał, gdy ktoś mu narzucał nowe znajomości, a na dodatek w cudzym domu, skąd nie można odejść, nie obrażając gospodarza. - Jestem bardzo, bardzo rad, - powtórzył Benino, uczciwie starając się przekonać o tym samego siebie. - Szaleję z radości...

- Eee, przesadzasz, - rzekł szlachetny rycerz rozluźniony. - W tych mieszańcach nie ma niczego takiego, co by mogło cię tak ucieszyć.

- To czemuś ich zaprosił? - zdziwił się filozof.

- Coś mnie interesuje - padła dość mglista odpowiedź. - I ich coś interesuje. No więc będziemy interesować się razem.

Chociaż Benino nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie, nie starał się uściślić przedmiotu bacznego zainteresowania gości i gospodarza. Ziewnął szeroko i kiwnął na młodszego brata.

- To wszystko, Serwusie. Wybacz, ale jesteśmy zmęczeni. Idziemy spać.

- Ależ proszę bardzo - nieoczekiwanie zgodził się olbrzym, otwierając nową flaszkę.

Benino wziął Peppę za rękę i poprowadził na piętro, gdzie już dawno były dla nich przygotowane najlepsze pokoje w domu Serwusa Narota.

II. NIEPROSZENI GOŚCIE

Nocą Peppowi śniły się demony. Było ich niewiele, raptem trzy, ale każdy chciał zawlec go do swojego legowiska i tam rozszarpać. Czarnymi, pełnymi grozy labiryntami młodzieniec uciekał od nich, za każdym razem w drodze powrotnej ryzykując, że wpadnie w szpony ogromnego, bezkształtnego, cuchnącego potwora. Przerażenie zawładnęło nim bez reszty; nie mógł oddychać, krzyk wiązał w gardle, nogi słabły i uginały się, a łzy strumieniem lały się z oczu, spływały do nosa, do ust, za kołnierz. W końcu jednemu monstrum udało się schwycić go za nogę. Peppo krzyknął krótko i...

Przebudził się właśnie w tej chwili i długo leżał bez ruchu. Nie miał siły przypomnieć sobie, gdzie jest i czy w ogóle żyje. Promień słońca wbrew wczorajszym przewidywaniom błąkał się po białej ścianie i teraz wydawał się wiązką żółtego, martwego światła z oka demona, a krzyki pawi w sadzie - jego niecierpliwym rżeniem, które towarzyszyło poszukiwaniom wymykającej się ofiary.

Lecz świadomość stopniowo powracała i po kilku chwilach młodzieniec już mógł zrozumieć, że wszystko, co mu się przydarzyło, to sen, nic więcej. A jednak wciąż był ponury i markotny.

- Śpisz, chłopcze?

Do pokoju na palcach wszedł Benino - rozczochrany i obrzmiały od snu, z nosem skrzywionym na bok w rezultacie głupiego przyzwyczajenia, by spać twarzą w dół.

Peppo uśmiechnął się. Właśnie tak brat budził go każdego ranka w domu: ostrożnie otwierał drzwi, przeciskał się do środka i głośnym szeptem pytał, czy śpi. Pytanie to powtarzał w różnych tonacjach dotąd, dopóki chłopiec się nie odezwał. A i potem Benino nie zostawiał go w spokoju, lecz siadał na brzegu szerokiego, przywiezionego z dalekiego Turanu tapczanu i zaczynał udawać wiatr, to jest dmuchał mu w twarz ze wszystkich sił, aż do różowych mroczków w oczach. Trzeba było wstawać, w duszy przeklinając tego natręta i obiecując sobie uciec kiedyś z domu, odpłynąć z piratami hen, daleko na morze, w niebieskie przestrzenie, a tam spać choćby do południa.

Lecz teraz młodzieniec uśmiechnął się. Mimo wszystko rodzony brat jest znacznie przyjemniejszy niż demony, niechby nieprawdziwe... Zwiesił nogi z tapczanu, słodko ziewnął, wsunął głowę w promień słońca, dopiero teraz czując i oceniając jego prawdziwe, żywe ciepło, i przeciągnął się. Cóż, właśnie zaczął się jego pierwszy dzień w cudzym domu - trzeba wstawać... Jak mówi Benino, i ludzi zobaczyć, i siebie pokazać...

- Przybyli pierwsi goście - tajemniczo zaszemrał filozof prosto w ucho Peppu. - Chodźmy, zobaczyć, co to za gagatki.

Gości (lub gagatków, jak ich ochrzcił Benino) na razie okazało się dwóch. Zdaje się, że ani jeden, ani drugi nie cieszyli się szczególną sympatią szlachetnego rycerza, bo nawet nie poprosił ich, by usiedli, i nie myślał ich poczęstować. Co więcej, sam najspokojniej siedział przy tym w ulubionym fotelu i spijał kolejny puchar czerwonego musującego wina.

Peppo zszedł po schodach z czystego białego marmuru o wysokich, zasłanych chodnikiem stopniach. Ogarnął bystrym spojrzeniem masywną figurę Serwusa Narota, zwracając szczególną uwagę na jego twarz. Wniosek nasuwał się sam: ich miły gospodarz jednak odwiędził nocą karcznię, gdzie najprawdopodobniej zostawił sporą część swojej fortuny.

Jego pucołowate policzki były już nie rumiane, lecz czerwone, a na dodatek połyskiwały różnymi odcieniami - od purpury do fioletu; duży nos lśnił, pod oczami, które zmętniały i łzawiły, wisały zielonkawe worki. Niemniej spoglądał na swoich gości wyjątkowo pyszałkowato, co, jak zauważył Peppo, nie robiło na nich wrażenia.

Stali przed Serwusem Narotem ze splecionymi na piersi rękami i wybałuszali oczy. Milczenie wyraźnie się przeciągało, a to dlatego, że Lambert, przytulony do fotela swojego pa-

trona, zdążył pograżyć się w słodkiej drzemce, jak uduszony kurczak zwiesiwszy głowę na bok.

Na widok braci szlachetny rycerz ożywił się.

- Och, Beninie, przyjacielu! - rzekł przeciągając słowa i bezskutecznie spróbował wstać.

- Jak spałeś? Wygodne miałeś łóżko? Odpocząłeś po podróży?

Filozof nie trudił się odpowiedzią. Słusznie przypuszczał, że Serwus pyta z wrodzonej uprzejmości, w rzeczywistości zaś nie obchodzi go, jak spał jego miły druh i czy nie spadł ze swojego wygodnego łóżka. Dlatego też tylko uśmiechnął się, popchnął brata do stołu, sam usiadł i powiedział:

- Widzę, że pierwsi goście już zaszczylili twój dom swoim przybyciem.

- A jakże, zaszczylili ... - parsknął rycerz i niedbale machnął ręką w stronę przybyłych.

- W ogóle nie wiem, co za jedni. Gaj Demetrios, powiadają, ich posłał, mój dawny znajomek. Ale ja nie wierzę. Gaj sam powinien był przyjechać.

- Akurat, pan Gaj sam by przyjechał! - zakpił Lambert już z otwartymi oczami, gniewnie oglądając nieproszonych gości.

- Zamilcz, starcze! - W Beninie obudził się nagle hardy gospodarz ogromnego i dziwaczego, lecz pełnego przepychu domu w Messancii, który jednym swoim pojawieniem budził wśród sług nabożny strach. - Poczynania pana Gaja to nie twój kłopot. Podawaj do stołu, a żywo.

- Tak, panie - wymamrotał Lambert i skierował się ku drzwiom.

- Beniiino, przyjacielu... - Serwus rozłożył ręce i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zachwyciło go, jak łatwo filozof pokazał słudze jego miejsce. - Co bym bez ciebie zrobił?

Czoło Benina przecięła głęboka zmarszczka.

- Zdaje mi się, Serwusie, że nawet nie znalazłeś wolnej chwili, aby wysłuchać swoich szanownych gości - rzekł surowo, kiwając głową. - Mam rację?

Szlachetny rycerz zmieszał się, lecz nie na długo. Wzruszył potężnymi ramionami, po czym demonstracyjnie ziewnął i odwrócił czerwieniejącą twarz do ściany.

- Masz rację - zamiast gospodarza odpowiedział gość, płowowłosy, o bladej twarzy, tryskający zdrowiem człowiek, nieco młodszy od Serwusa i Benina, prawdziwy biały niedźwiedź, o jakich Peppo wiele słyszał od nauczyciela Klimero. - Ledwo powiedziałem, że Gaj Demetrios nie może przyjechać z powodu ciężkiej choroby, twój przyjaciel parsknął i stanowczo odmówił wszelkiej rozmowy.

- Na co choruje szanowny Gaj? - ze współczuciem zapytał filozof (młodszy brat był pewien, że szanownego Gaja Benino nigdy nie widział na oczy).

- Widzisz, dobry człowieku... - osiłek nagle zmieszał się i spuścił oczy. Peppa ucieszył widok zakłopotanego niedźwiedzia. - Mój wuj to wielki podróżnik, znany w Nemedii i w okręgu. W zeszłym roku wrócił do naszego rodzinnego miasta, do Chanumaru, już na zawsze i od tamtej pory cierpiał na bóle głowy, a teraz ... teraz ... Jest złożony dziwną, bardzo dziwną niemocą i... nie wiem, czy można mówić w przyzwoitym towarzystwie o ... o nim...

- Mów, mów - Benino uważał, że należy zachęcić gościa. - Słuchamy cię z całą uwagą i szacunkiem dla twoich słów, bądź pewien.

- To ty jesteś siostrzeńcem Gaja? - ponuro zapytał rycerz. - No, cóż, to oczywiście zmienia postać rzeczy ... Jak cię zwą?

- Lumo, Lumo Demetrios.

- A mnie Serwus Narot. A to mój stary przyjaciel Benino Brass, filozof z Mesancii. To jego brat, po prostu chłopak ... - szlachetny rycerz wypełnił na koniec obowiązki gospodarza.

- No, mów dalej, co to za dziwna niemoc.

Lumo westchnął, dając do zrozumienia, że wbrew swojej woli przystępuje do opisu wcześniej wspomnianej choroby. Zaczął niegłośno:

- Gaj Demetrios jest już stary, tysiące dróg przeszedł, ogarnięty zaciętą chęcią poznania. Ze swoim słynnym kosturem szedł po górach, lasach, polach ...

- Nie trzyma moczu - mruknął drugi, na którego przedtem nikt nie zwrócił uwagi.

Nawiasem mówiąc, on znacznie bardziej niż biały niedźwiedź był godny baczniejszego zainteresowania, w każdym razie z wyglądu. - Zwyczajnie nie trzyma moczu. Jak dziurawa beczka, ze wszystkich dziur cieknie.

Gdy Lumo usłyszał takie określenie słabości wuja, delikatnie zapowiedzianej jako „dziwna”, oburzony klasnął w duże dłonie.

- O, Gwido! Opamiętaj się! Jak możesz tak mówić o wuju!

Serwus zarżał jak koń, nawet nie udając, że boleje nad przewrotnością losu, który przez dwa lata z krzepkiego, wesołego męża uczynił bezsilnego starca. Natomiast bracia z ciekawością wlepiali oczy w Gwida. On też, jak Lumo, miał okrągłą głowę i płowe włosy, lecz był mały, mizerny i wyraźnie sprytny, o czym świadczyła chytra lisia mordka z okrągłymi, ciemnozielonymi oczkami, krótkim zadartym nosem i całym mnóstwem piegów na czole i policzkach. Nie miał pewnie więcej niż trzydzieści lat, co bardzo ucieszyło Peppę: pozostali wydawali mu się zgrzybiałymi starcami, którzy stoją na progu królestwa śmierci - Szarych Równin.

- Nie mówię nic złego. - Gwido nie zgodził się z oburzeniem białego niedźwiedzia. - Mówię prawdę, a prawda to ...

- Wiem, wiem! - zamachał rękami Lumo. - Prawda jest jedynym majątkiem człowieka honoru. Tę definicję już od dziesięciu lat znam na pamięć. Do licha, Gwido, ile razy można ci powtarzać, że prawda nie zawsze jest potrzebna!

Wzburzony, zadarł do góry podbródek, przez co jego malutkie oczka całkowicie zniknęły wśród policzków i odwrócił się od małego człowieczka.

- No to mogłeś sam objaśnić istotę słabości wuja - nie przejął się Gwido. - Zrobiłem to za ciebie i już.

- A to znów kto? - niezadowolony Serwus Narot przerwał dialog, zwracając się do Luma, którego już był gotów nazwać swoim gościem.

- To Gwido Demetrios - ponuro wyjaśnił biały niedźwiedź. - Przybrany syn zanego Gaja.

- Och! - Ożywił się rycerz. - To ty jesteś ten wychwalany Gwido? Parę lat temu Gaj prawie zanudził mnie opowieściami o tobie. Opisywał twój niezwykły umysł i przenikliwość.. Na razie nie widzę ani jednego, ani drugiego.

- Jeszcze zobaczysz - kwaśno obiecał Lumo. - W domu, w Chanumarze, sprzykrzył się wszystkim, nawet służbie. Ciągłe próbuje odkrywać jakieś tajemnice ... A jeśli coś znajdzie, wywleka to na widok publiczny. Do licha!

Końcowe „do licha” zabrzmiało dość ponuro; stało się oczywiste, że właśnie jego sekret Gwido wyciągnął na światło dzienne.

- Amator przygód ... - w zamyśleniu mruknął Serwus Narot. - No, cóż ...

- Zechciejcie zasiąść do posiłku, drodzy goście! - uroczyście obwieścił Lambert, który w czasie rozmowy zdążył nakryć do stołu i jeszcze przystroić go okazałym bukietem jaskrawych kwiatów.

Peppo z uśmiechem obserwował starego sługę; gdy już podsłuchał treść całej rozmowy, nabrał do gości szczerego szacunku i teraz przymilnie spoglądał to na ogromnego białego niedźwiedzia, to na sprytnego lisa Gwida, tak jak gdyby nigdy nie miał żadnych podejrzeń w stosunku do nich.

A posiłek przygotował istic królewski: mięso przyrządzone z miodem, winem, ryżem, morwami, pieczone ryby różnych gatunków i piwo z własnego browaru - ciemne, gęste i tak aromatyczne, że aż kręciło w nosie.

Przybysze z pewnością porządnie zgłodnieli. Nie każąc się prosić, żwawo zasiedli do stołu i zaczęli napępniać żołądki ze zdumiewającą jak na przyzwoitych gości szybkością.

Lumo, podobnie jak sam Serwus Narot, mlaskał i dławił się nie przeżutymi kęsami; Gwido jadł ładniej i żuł dokładniej, ale też się dławił. Peppo pomyślał, że taki drobny i kruchy człowieczek musi mieć wąski przełyk, przez który mało co przechodzi, dlatego pokasłuje i opluwa wszystkich obecnych kawałeczkami mięsa i chleba.

Szlachetny rycerz pozwolił gościom zaspokoić pierwszy głód, po czym rozpoczął rozmowę na światowe tematy. Popijał cudowne wino, które przywiózł z Koryntii na jego zamówienie miejscowy kupiec, i zasięgał informacji o przyczynach tak okropnej niemocy czcigodnego Gaja Demetriososa, o rodzaju zajęć Luma i Gwida, jeśli takowe istniały, o karczmach „słynnego, lecz cuchnącego miasteczka Chanumar”, o dziewczkach i cenach za ich usługi - w ogóle o wszystkim, co wydawało mu się ważne.

I tak Peppo dowiedział się, że Gaj Demetrios naprawdę był wielkim podróżnikiem, zbieraczem ballad i bajek różnych krajów, uczonym i filozofem (gdy wymieniono ostatnią profesję, Benino skrzywił się niedwuznacznie). Dziś liczył sobie dziewięćdziesiąt lat i, zgodnie z twierdzeniem obu jego młodych opiekunów, był dziarski, pełen życia i odrobinę swarliwy. Straszna choroba, która go zaatakowała, nie zepsuła dobrego z natury charakteru, za co i Lumo, i Gwido, i pozostali mieszkańcy domu w centrum Chanumaru ze wszystkich sił dziękowali każdego dnia dobremu Mitrze. Jedno ich martwiło: Gaj ubóstwiał przed porannym posiłkiem i po wieczery czytać głośno swoje notatki, których w ciągu wielu lat wędrówek nagromadziło się mnóstwo. Przy tym żądał, aby wszyscy nie tylko słuchali go w skupieniu i z zainteresowaniem, lecz potem odpowiadali na jego pytania dotyczące przeczytanego tekstu.

Jeśli chodzi o rodzaj zajęć, to biały niedźwiedź Lumo z braku jakichkolwiek innych talentów zarządzał całym gospodarstwem wuja, i to z dobrym skutkiem, o czym z radością opowiedział mały Gwido. O sobie zaś niczego konkretnego powiedzieć nie umiał oprócz tego, że mieszka w domu przybranego ojca niczym darmożjad, lecz jest mu pociechą dzięki pełnemu szacunku traktowaniu i własnej uczciwości (którą to cechę, jak domyślił się Peppo, bardziej od innych cenił w ludziach Gaj Demetrios).

Na pytanie o karczmy i dziewczki obydwaj goście wzruszyli ramionami, demonstrując swój brak rozeznania w tego rodzaju problemach. Jednak nie uszło uwagi młodego Peppaa (którego dociekliwy umysł i bystry wzrok zauważał dokładnie wszystko) pewne zmieszanie Luma, który na chwilę oblał się różowym rumieńcem, szczególnie widocznym przy świńskiej szczecinie pokrywającej jego policzki i podbródek. Nawiasem mówiąc, najwyraźniej nie był skłonny surowo oceniać swojego zachowania, dlatego potrząsnął białą jak pierwszy śnieg grzywką i dalej chętnie opowiadał nowym znajomym o swoim wuju, sobie, Gwidzie.

- Więc nie ruszacie się z Chanumaru? - leniwie zainteresował się Serwus Narot, pochłaniając resztki jadła.

- Jak to nie? - potrząsnął głową niedźwiedź. - Przecież Gwido często jeździ: a to do Aquilonii, a to do Koryntii czy do Ophiru.

- W jakim celu? - zapytał szlachetny rycerz i z niedowierzaniem zerknął na nie budzącego w nim zaufania małego Gwida.

- Przecież mówiłem, on lubi odkrywać rozmaite tajemnice, a im bardziej skomplikowane, tym bardziej mu się podobają. Wzywają go, jeśli zdarzy się coś ...

Lumo nie zdążył dokończyć zdania, bo Gwido, marszcząc lisią mordkę, pogroził mu przed nosem chudym palcem.

- Lepiej mów o sobie, mój skromny przybrany bracie - powiedział, marszcząc spłowiałe brwi. - Kto jak nie ty rok temu odniósł sławne zwycięstwo w turnieju rycerskim niedaleko Belverusu?

- Ho, ho! - szare oczy Serwusa Narota rozblęły; ten temat był mu bliski. - Toś ty jest, chłopcze, rycerz?

- Niestety - zdławił lekkie westchnienie biały niedźwiedź. - Wujek kupił mi prawo ucześnictwa w turnieju, w masce, a ja, dzięki Mitrze i innym bogom, pokonałem belveruskiego

rycerza o przydomku Żelazna Pięść.

- Pochwalam! - zagrział Serwus Narot i wysoko uniósł puchar z winem. - To mi się podoba i chcę wypić za twoje zwycięstwo, synku.

I chociaż „synek” miał zaledwie pięć lat mniej od rycerza, z zadowoleniem podniósł swój puchar, z czego Peppo wywnioskował, że nie jest znów taki skromny, jak opowiadał Gwido.

Dopiero potem, w czasie spaceru po pięknym sadzie, młodzieniec zrozumiał, że przybrany syn Gaja Demetriosa w ten sposób zmienił temat rozmowy i trzeba powiedzieć, że było to zrobione bardzo zręcznie.

- Pozwól dowiedzieć się, miły gospodarzu wspaniałego domu, czym zostało spowodowane twoje zaproszenie dla naszego wuja? - zapytał biały niedźwiedź, wycierając mokry podbródek (bo oblał się cały, opijając własne zwycięstwo). - Wuj zdziwił się bardzo. Mówił, że w tym roku nie wybierał się w odwiedziny, że spotykacie się raz na pięć lat, a od czasu ostatniego spotkania minęły raptem dwa.

- Stary głupiec - wymamrotał szlachetny rycerz, ignorując zasepione twarze gości. - Gdybym czekał jeszcze trzy lata, mógłby umrzeć...

- Ale tak czy siak nie przyjechał - zauważył Benino z właściwym sobie filozoficznym stosunkiem do życia.

- Tak, ale nie wiedziałem...

- Mógłbyś się sam do niego wyprawić.

- Jeszcze czego!

Krótką sprzeczka rycerza i jego starego przyjaciela zepsuła nastrój gościom. Domyślili się, że Serwus Narot nie był szczególnie dobrze usposobiony do ich kochanego wuja i ojca, a zatem nie zamierzał przyjmować w swoim domu ich obu.

- Wyjedziemy jutro - dumnie ogłosił Lumo i wysunął bladą dolną wargę. - Wuj wysłał nas, żebyśmy dowiedzieli się, czego ci potrzeba, a skoro niczego, to nie mamy powodu tu siedzieć.

- Jeszcze czego! - powtórzył rycerz, ale w innej tonacji. - Zostaniecie tu i będziecie moimi gośćmi. Podobacie mi się... obaj.

Przypieczętował komplement potężnym haustem wina i wstał, lekko się chwiejąc.

- A teraz do sadu! Zamierzam pokazać wam brzoskwinie wyhodowane tymi oto rękami!

Potrząsnął im przed nosem imponującymi pięściami, o mało nie zahaczając małego Gwida.

- A potem... Potem przyjadą pozostali, którzy jakoś się spóźniają, i wtedy czeka was coś zadziwiającego... Nie ciebie, Benino, druhu mój, ty to znasz. I nie ciebie, Peppo, chłopcze, ty jesteś zbyt młody. Ale...

- No, no, Serwusie - dobrodusznie zaśmiał się filozof. - Zaraz zdradzisz wszystkie swoje tajemnice. Myślę, że nie powinieneś więcej pić. Lambert! Przynieś panu wody i połóż go spać

- A mój sad? - wybełkotał gospodarz.

- Sam pokażę gościom twój sad. Na razie żegnaj.

Benino wyprowadził wszystkich do sadu, ogromnego, cienistego, pachnącego, i tam spacerowali do samej wieczery, wesoło gawędząc o różnych - według Peppu - błahostkach.

III. ZAPROSZENI GOŚCIE

Peppo potrafił rozkoszować się pięknem, lecz nie przez cały dzień. Kiedy filozof zaprowadził wszystkich do sadu, młodzieniec z początku z przyjemnością gapił się na żółto-czerwone morze kwiatów wyciągających do błękitnego nieba delikatne aksamitne główki, na głupie, lecz niewiarygodnie piękne pawie, które dumnie kroczyły po drózkach i odrażająco krzyczały, na grona rzadkich owoców, długie grządki jagód i nieznanymi ziół. Kiedy zaś słońce - ogniste oko dobrego Mitry - zniżyło się nad horyzontem, Peppo poczuł zmęczenie i nieprzyjemną pustkę w żołądku i już żadne piękno go nie poruszało.

Pociągnął za rękaw Benina, który z pasją opowiadał gościom o kolekcji bezcennych kamieni Serwusa Narota.

- Poczekaj, chłopcze - z rozdrażnieniem opędał się brat. - Widzisz, jak podoba się naszym nowym przyjaciołom moja opowieść? Nie przeszkadzaj i idź pobawić się w altance.

Niestety, filozof zapomniał, że Peppo dawno już wyrósł ze szczęśliwego dzieciństwa. Nie zabaw, ale myślenia, działania, dążenia do celu - oto czego pragnął młody człowiek. Co prawda, teraz najbardziej pragnął chleba, mięsa i wody, ale i to życzenie zupełnie nie szło w parze z propozycją zabawy.

Gwido zauważył zdenerwowanie na twarzy młodzieńca, który nie śmiał sprzeciwić się starszemu bratu, więc wesoło i szybko doprowadził do ogólnej zgody.

- Jak myślisz, szanowny Benino, wyspał się już nasz miły gospodarz? Może poszlibyśmy do domu i tam dokończyli słuchać twojego bardzo zajmującego opowiadania?

Do domu Benino nie miał ochoty iść, lecz określenie jego nudnawej opowieści jako „bardzo zajmującej” skłoniło go do zgody.

- Nie sądzę, by Serwus był gotów kontynuować ucztę - z powątpiewaniem pokręcił głową - No, ale chodźmy. Możemy przecież obejść się bez niego: Lambert z przyjemnością nakryje do stołu.

Peppo nie podzielał pewności filozofa, że Lambert zrobi to z przyjemnością - bo też i co to za przyjemność? Uczucia starego sługi obchodziły go zresztą tak mało jak ten pęczek rzadkiego vendhyjskiego ziela, na który zwrócił ich uwagę Benino, gdy przechodzili obok.

- Nazywa się djatchus - wyjaśnił. - Pomaga na utratę pamięci, słuchu, wzroku, czucia i... Jeśli cokolwiek utraciliście, zjedzcie jego korzeń i wtedy z pewnością to odzyskacie. A to sarsaparilla. Wywar z tego ziela, przygotowany w specjalny sposób, pomaga ... eee ... przy chorobach pewnego rodzaju.

Benino pożałował, że w ogóle zaczął o tym mówić, bowiem sam się leczył tym wywarem po przepiciu, do czego, naturalnie, nie chciał się przyznawać.

- Jakiego znów rodzaju? - ocknął się biały niedźwiedź, który od urodzenia był pozbawiony taktu, a może go utracił i w tym przypadku powinien zjeść korzeń djatchusa.

- Zamilcz, Lumo - poradził mu przenikliwy mały Gwido, któremu nie umknął wyraz zmieszania widoczny na subtelnej twarzy filozofa.

- Ale ja jestem ciekaw!

- Później ci wyjaśnię, w jakim celu pije się ten wywar - stając na palcach, szepnął mu do ucha Gwido. - A teraz zamknij się.

Biały niedźwiedź, obrażony, wzruszył ramionami, lecz nie ponawiał pytania.

W ten sposób, umilając przyjemną rozmową drogą do domu, goście rycerza weszli w drzwi akurat wtedy, gdy Serwus Narot, jęcząc i chwiejąc się, schodził do sali jadalnej w całym konkretnym celu. Nawet dla młodego Peppę jego zamiary nie były zagadką. Nie zwracając uwagi na gości, szlachetny rycerz chwycił dzban i zaczął chciwie pić piwo, równocześnie oblewając sobie tym cudownym, chłodnym napojem szyję i pierś. Życie powracało do dużego ciała, umęczonego straszonym pragnieniem. Na bladych policzkach znów zakwitły lekkie

rumieńce, z szarych oczu znikła mgiełka, wielkie zaś dłonie nie trzęsły się już tak okropnie.

Demetriosowie, już oswojeni, bez zaproszenia zajęli miejsca za olbrzymim dębowym stołem - na razie pustym. Stary sługa, który czatował na ich powrót, właśnie wbiegał do jadalni z ogromnym półmiskiem, zawierającym buchający parą, pokryty brązową skórą aromatyczny barani udziec.

Peppo przełknął ślinę i usiadł po prawej ręce małego Gwida, z nagannym uczuciem zadowolenia stwierdzając, że ten czubkiem głowy sięga mu zaledwie do ramienia. W ślad za nim jednocześnie usiedli na stołkach Benino i Serwus i wnet pięć rąk jak na komendę sięgnęło do półmiska z baraniną.

Przez jakiś czas w sali słychać było tylko podniecające burczenie, sapanie i mlaskanie.

Jeden Peppo, którego brat wychował elegancko, bezgłośnie i z wprawą zajadał soczyste, wyśmienicie przypieczone mięso, brudząc sobie przy tym jedynie koniuszki palców, co jest uważane za szczyt estetycznej doskonałości. Według słów filozofa, była ona właściwa jedynie osobom szlachetnej krwi.

Natomiast samemu Beninowi kęsy z trudem przechodziły przez gardło, miał nadzieję, że ktoś poprosi go o dalszy ciąg zajmującego opowiadania o kolekcji kamieni szlachetnych rycerza, ale nikt nawet nie wspomniał o tym.

Jako pierwszy nasycił się Lomo Demetrios. Głośno czknął, razem ze stołkiem odsunął się od stołu i przystąpił do dhubania w zębach czubkiem kindżału, którego rękojeść, obsypana drobnymi diamentowymi okruszynami, pokryta była jakąś przezroczystą masą. Peppo od razu zwrócił uwagę na ten kindżał, bo lubił broń i znał się na niej.

- Posłuchaj, miły gospodarzu - schrypniętym głosem zwrócił się obżarty biały niedźwiedz do Serwusa Narota. - Czy prawdę powiadają, że zwyciężyłeś w turnieju samego Jeźdźca Nocy?

- Mmm... - przytaknął szlachetny rycerz.

Nie mógł na razie odpowiedzieć bardziej wyczerpująco, bo usta miał pełne mięsa.

- Jak to się stało? Nie zechciałbyś opowiedzieć?

Serwus chciał, ale nie mógł - w tej chwili akurat próbował przepchnąć sobie palcem gardło. Zamiast niego obowiązek narratora wziął na siebie Benino, który uznał, że skoro nie pozwolono mu rozprawiać o drogocennych kamieniach rycerza, opowie choćby o rycerskim turnieju, chociaż nie lubił bójek i wojen.

- Hej! - wykrzyknął z fałszywym entuzjazmem. - Opowiem wam o tym wspaniałym widowisku, przyjaciele. Miałem szczęście być przy nim obecny. Łzy napływały mi do oczu, gdy patrzyłem na mego druha ubranego w ciężką i brzydką zbroję, z której sterczał tylko nos i kosmyk białych włosów. Aż chciałem krzyknąć: „Serwi! Miły Serwi! Zrzuć ten pancerz i pójdziemy do karczmy”.

Tutaj filozof przerwał, bo zorientował się, że w obecności młodszego brata niepotrzebnie użył słowa „karczma”. Z zażenowaniem łypnął okiem na Peppę, który z niezmaconym spokojem przeżuwał baraninę i udawał, że niczego nie słyszał, ale to potknięcie wytrąciło Benina z transu. Smutno westchnął, przeklinając swój długi język i wypił porządny łyk piwa.

- Czemu zamilkłeś, miły Benino? - zainteresował się mały Gwido. - Czyżbyś nie mógł sobie przypomnieć przyczyn i przebiegu tego widowiska?

- Nie zapomniałem - mruknął filozof. - Jeździec Nocy wjechał w szranki, nastawił kopię i chciał ugodzić Serwusa, lecz Serwus sam go pchnął. To wszystko.

Szlachetny rycerz aż zakrztusił się z oburzenia. A czuł się już tak wspaniale: zdołał przełknąć zdradziecki kęs i zamierzał zalać go kolejnym dzbanem piwa, jednocześnie słuchając o swoim bohaterskim czynie.

Teraz czuł się znieważony i oszukany. Opisać sławne zwycięstwo nad Jeźdźcą Nocy w dwóch zdaniach? Do licha! Gdyby siedział tu przed nim nie przyjaciel Benino Brass, a jakiś kupczyk, Serwus bez wahania nadziałby go na miecz jak kuropatwę. Jęknął, z trudem

powstrzymując oburzenie, ale zadowolili się tym, że przeszył filozofa spojrzeniem - surowym i pełnym wyrzutu.

Na chwałę Benina trzeba zauważyć, że jednak trochę się speszył.

- Czy wiecie, kto to taki Jeździec Nocy? - zatrajkotał, starając się nie patrzeć na Serwusa Narota ani na młodszego brata. - Ho, ho, ho...

- No i czemu znów zamilkłeś, Benino? - ryknął wstrząśnięty rycerz., którego mocno uraziło to przeciągłe i bezsensowne „ho, ho, ho”. - Lepiej sam opowiem! Jeździec Nocy to zwierzę w ludzkiej postaci. Widziałem jedynie jego rękę - od paznokci do łokcia - i przyznam się wam, że zdumiała mnie jej wielkość. Była też strasznie owłosiona, a oprócz tego dziwny wydał mi się jej kolor: szary, z dużymi ciemnymi znamionami, szczególnie na nadgarstku. Wyjechał mi naprzeciw na ogromnym bojowym koniu - takich koni wcześniej nie widywałem - i, gotów jestem przysiąc, śmiał się. Nie, oczywiście nie mogłem widzieć jego twarzy, ale słyszeć mogłem. I słyszałem... Takie dziwne dźwięki, jakby kaszlał i kichał jednocześnie. Dopiero później domyśliłem się, że to był śmiech... Nie będę kłamał: zwyciężyłem go z woli bogów, a nie swoimi umiejętnościami. Najeżdżaliśmy na siebie pięć razy i zawsze ledwie unikałem jego strasznych uderzeń. Co tu dużo mówić! Miecz w jego ręku ważył nie mniej niż ja sam. Zanim natarliśmy po raz szósty, pożegnałem się z życiem. „Co tam, myślałem, może na Szarych Równinach nie jest tak źle... Mało to dobrych ludzi tam odeszło? Znajdzie się i dla mnie jakieś niezłe miejsce...” Miałem coraz mniej sił, oddech rwał się i pot zalewał oczy, ręce drżały, jakbym był pijany, lecz Mitra, nasz dobry i wielkoduszny bóg, sprawił, że koniowi Jeźdźca Nocy nagle powinęła się noga. Wtedy wbiłem swój miecz w otwór, w którym błyszczały przepelnione złością żółte oczy.

Serwus Narot umilkł i znów sięgnął po piwo.

- Opowiedziałeś nad podziw składnie - rzekł Benino w zamyśleniu, nie zauważając pewnego braku taktu w tym zdaniu. - Tak to było, moi przyjaciele... Lecz gdzie twoi pozostali goście, Serwusie? - ocknął się nagle. - Mówiłeś, że będzie ich niemało. Gdzież oni są?

- Tutaj! - dobiegł się od progu wesół głos.

Lambert gdacząc biegł wokół nowych gości, całkiem już nie zwracając uwagi na dawniejszych. Nakrywając do stołu, co chwila zaczepiał ramieniem siedzącego z brzegu białego niedźwiedzia, a raz nawet nadepnął na nogę Gwidowi. Peppo parsknął śmiechem, bo nogi małego nie sięgały do podłogi i Lambert musiał dobrze się starać, żeby uchwycić moment, kiedy ten będzie wstawać. Gwido żałośnie jęknął, nie zmienił jednak wyrazu twarzy, podniósł się i z miłą bezpośredniością poszedł za gospodarzem na spotkanie gości.

Było ich czworo. Pierwszy - ten, który uradował wszystkich swoim nieoczekiwanym pojawieniem się - był to krępy, czarnooki mąż z szeroką kędzierzawą brodą. Z wyglądu typowy Shemita, donośnie chichotał, walił Serwusa po umięśnionych plecach i próbował objąć jego potężny tors krótkimi rączkami. Z okrzyków wydawanych w odpowiedzi Peppo dowiedział się, że Shemita ma na imię Marshall i że jest „największym łobuzem na świecie”, bo zamiast przybyć wczesnym rankiem, spóźnił się i sprawił, że Serwus cierpiał z powodu jego niewyjaśnionej nieobecności. Idąc za przykładem gospodarza, Gwido zamierzał objąć Shemitę, lecz ten zdążył odwrócić się i usiąść za stołem.

Drugi gość stał trochę z boku i cierpliwie czekał, kiedy gospodarz zwróci na niego swoje łaskawe oczy. Był stary, ale jeszcze krzepki. Bogowie pokarali go brakiem urody - w smukłej twarzy wyróżniał się nos, haczykowany, wydatny, z czerwonym znamieniem na samym czubku. Głowę z nienaturalnie wydłużoną czaszką i wgnieceniami na skroniach miał ten człowiek okręconą czymś w rodzaju jedwabnego szala - o ile Peppo pamiętał, takie nakrycie głowy nazywało się turbanem. Starzec podszedł do rycerza po Shemicie, całkowicie ignorując gościnnie uśmiechniętego Gwida, statecznie się przywitał, usiadł za stołem i natychmiast zanurzył pokrzywione palce w talerzu Benina. Wyciągnął niedojedzoną kość i zaczął ją ogryzać

z głodem w oczach. Nazywali go Zair Szach.

Trzeci gość, który pojawił się w progu już po tym, jak Marshall i Zair Szach weszli do jadalni, wyglądał na tyle zdumiewająco, że wszyscy mężczyźni - z wyjątkiem Serwusa Narota - poderwali się z miejsc i zamarli z otwartymi gębami. Po pierwsze - był kobietą. Po drugie - kobietą całkiem ładną: zgrabna wysoka sylwetka, wdzięczne wygięcie długiej szyi, kształtne piersi, wspaniałe jasne włosy z czerwoną kokardą na czubku głowy. Jej obraz momentalnie wrył się w pamięć Peppa - zdaje się, że już na całe życie. Wcześniej nie zdarzało mu się oglądać takich ślicznotek, tym bardziej z bliska. Stała o pięć kroków od niego, mrużąc leciutko piękne błękitne oczy, obramowane gęstymi, czarnymi rzęsami.

Oszołomiony Peppo musiał wezwać na pomoc całą swoją wolę, aby haniebnie nie klapnąć z powrotem na stół. Podobnie działo się z pozostałymi gośćmi. Zair Szach, nie bacząc na swój zaawansowany wiek, ciężko dyszał i skubał kościstymi palcami chudą, owłosioną szyję, a biały niedźwiedź Lumo żałośnie kiwał wielkim łbem. Dziewczyna cichym, delikatnym i dźwięcznym głosem przedstawiła się wszystkim jako Lawinia, przeszła do szczytu stołu, usiadła i odwróciła się do ściany.

Dopiero wtedy goście opadli na miejsca i przenieśli oczy na czwartego. Peppo, który po kontemplacji niebiańskiej urody Lawinii nie zwracał już na nikogo uwagi, obojętnie popatrzył na niezwykle grubego (jak Serwus Narot i biały niedźwiedź razem wzięci, a można by jeszcze dołożyć i Shemite), dychawicznego, czerwonego na twarzy człowieka, który nie uniknąwszy przyjacielskich objęć Gwida, parszkając przeszedł ku szczytowi stołu, usiadł koło dziewczyny i wytarł pot rękawem jedwabnej pstrokatej koszuli.

- Oto Terenco. - Szlachetny rycerz machnął ręką w stronę grubasa. - Jest Aquilończykiem, rodem ze słynnej stolicy Tarancii. Lawinia to jego małżonka.

Twarze gości mimowolnie się skrzywiły, a każdy zastanawiał się w duchu: „Co robi taka ślicznotka obok takiego brzydala?” Terenco najprawdopodobniej odznaczał się znaczną przenikliwością, bo nagle ochryple zachichotał, wystawił dwa tłuste palce i skierował je na Serwusa Narota.

- Zaraz, zaraz - skinął rycerz w odpowiedzi na gest gościa. - Terenco prosi, żebym wam wszystko wyjaśnił: on teraz nie mówi, więc nie odzywajcie się do niego, bo tak czy siak niczego nie usłyszycie. Normalnie jest strasznym gadułą, dlatego urządza sobie raz do roku miesiąc milczenia. Przez ten czas nikt nie słyszy od niego ani jednego słowa, za to potem...

Terenco stęknął ponuro i odwrócił się do żony. Ona wyciągnęła rękę do półmiska z baraniną, zręcznie oderwała kawałek mięsa imponujących rozmiarów i wrzuciła go w pulchne dłonie męża, specjalnie złożone w łódeczkę.

Dopóki grubas się posilał, goście w milczeniu spoglądali po sobie. Peppo nie dostrzegał w ich spojrzeniach ani sympatii, ani zainteresowania, zupełnie jakby zamknięci z czyjejś woli w lochu z konieczności tolerowali własne towarzystwo. Chyba jedynie na Benina spoglądano przychylnie. Ale on zawsze wydawał się wcieleniem cnót - jego czysta i subtelna twarz nie pozwalała podejrzewać żadnych ukrytych wad.

- No i co? - westchnął szlachetny rycerz. - Prawie wszyscy w komplecie.

- Prawie? - Filozof uśmiechnął się.

- Został jeszcze Leonardas, Ophirczyk. Przyjedzie nocą.

- Może byś wyjaśnił, Serwusie, po co nas tu zebrałeś? - skrzeczącym głosem zapytał Zair Szach, ssąc wciąż tę samą kość, którą zabrał z talerza Benina.

- A jakże! - wesoło rzekł rycerz. - Zaraz wyjaśnię. Chodzi o to, że chcę pokazać wam coś, co obecnie należy do mnie. Jesteście znanymi w swoich miastach miłośnikami piękna. To właśnie wam grabieżcy znoszą skradzione skarby, bo wiedzą, że zapłacicie im godną cenę. Jeśli więc ja z jakiegokolwiek przyczyny utracę swoją... swoją rzecz, was już nie nabierze na to żaden zuchwalec...

Zair Szach skrzywił się, wskutek czego jego chuda twarz stała się podobna do wysuszo-

nego jabłka.

- Masz na myśli to, że jeśli w moje ręce wpadnie wyżej wspomniana rzecz, to powinienem ją odebrać i zatrzymać złodzieja?

- Właśnie - lekko zgodził się Serwus. - A co, chciałbyś zostawić ją sobie?

- Takie są zasady - nadał się starzec.

- Ja też mam swoje zasady - szlachetny rycerz złożył ręce na piersiach i uśmiechnął się.

- Jeśli gość zachowuje się jak świnia, wyrzucają go stąd moi słudzy.

- Żartowałem - podniósł kościstą rękę Zair Szach. - Oczywiście zatrzymam złodzieja i odbiorę mu twój skarb, możesz być pewien.

- Cóż, w takim razie chodźmy! Myślę, że nikt nie odmówi obejrzenia moich kamyczków?

Serwus Narot wstał i objął zebranych uważnym spojrzeniem, jakby chcąc sprawdzić, do czego są zdolni i czy w ogóle są do czegoś zdolni. Następnie wziął ze stołu dzban z piwem i przyssał się do niego grubymi wargami, jak zwykle oblewając się od brody do pięt.

Osiem par oczu śledziło ten proces uważnie w oczekiwaniu wycieczki do znakomitego skarbcza; osiem serc szamotało się w piersiach niczym ptaki w klatce. Nikt i nigdy jeszcze nie widział pełnej kolekcji drogocennych kamieni Serwusa Narota, a tymczasem już wkrótce nadzwyczajnym zrzędzeniem losu miłośnikom i autorytetom w dziedzinie klejnotów będzie dane na własne oczy zobaczyć najwspanialszy w świecie skarbiec. Tak przynajmniej twierdzili ci, którzy znali choćby krótki spis wspaniałej kolekcji rycerza.

- Nawiasem mówiąc - Serwus z hukiem odstawił na stół pusty dzban - teraz nie mam ochoty schodzić do piwnicy. A i na Leonardasa należy poczekać. Żegnajcie!

Określił się i szybkim, zamaszystym krokiem wyszedł z sali, zostawiając gości w zdumieniu i zakłopotaniu. Peppo zauważył, że tylko jeden Benino westchnął z ulgą.

IV. W SKARBCU RYCERZA

Nocą do pokoju Benina zapukał Serwus Narot.

- Chcą mnie zabić - wyszeptał do ucha sennemu filozofowi. - Wiem to dokładnie.

Benino usiadł na łóżku i ze zdziwieniem wpatrzył się w pobladałą twarz przyjaciela, w pociemniałe oczy z rozszerzonymi źrenicami. Wyglądało na to, że Serwus nie żartował i nie kłamał.

- Chcą mnie zabić - powtórzył. Lewy policzek, z którego znikł rumieniec, zadrgał i rycerz z irytacją przycisnął go dłonią.

- Czemu tak sądzisz?

- Opowiem ci... Wiesz, że Lambert ma krewnego? To Fenido, syn służącej, mojej matki... Razem się wychowaliśmy i on był mi... Nie, nie przyjacielem oczywiście, ale... Kochałem go jak brata i wierzyłem mu.

- Zaczekaj, Serwusie. Przedtem nie mówiłeś mi o nim.

- No, tak... Byłem na niego zły. Pokłóciliśmy się i on uciekł z domu lat temu piętnaście... - Dalej rycerz opowiadał już bez dygresji, co świadczyło o wyjątkowym zdenerwowaniu. - Przez te piętnaście lat nie miałem od niego żadnej wiadomości. Nie wiedziałem, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to wszystko obchodziło. Występny sługa - tak wtedy o nim myślałem. W moim sercu nie było dla niego miejsca. Lecz pewnego razu... czekaj, niech sobie przypomnę... tak, trzy miesiące temu, równo trzy miesiące temu... wędrowiec jakiś przejazdem zatrzymał się w moim domu, wezwał Lamberta i kazał

przywołać gospodarza: tylko jemu przekaże poufną wiadomość od Fenida, z nikim innym nie będzie rozmawiać. Głupi Lambert najpierw postanowił odesłać go precz - krewnego niezbyt lubił i nigdy się nim nie interesował. W tej chwili ja wyszedłem przed dom. Gdy zobaczyłem, że mój staruszek wygania nędzarza, oburzyłem się. Wiesz, że mam taką zasadę: żebraków nie wpuszczać, ale i nie przeganiać, dać jałmużnę i zamknąć im bramę przed nosem. Zbliżyłem się. Obserwowany chudy brodacz, gdy tylko mnie zauważył z daleka, wybuchnął rozpaczliwym wrzaskiem, z czego zrozumiałem tylko kilka słów: „Fenido”, „Serwus Narot” oraz „szybko”. Przyznaję, że poczułem, jakby za chwilę miała się wyjaśnić jakaś tajemnica. Szybkim krokiem podszedłem do bramy, by dowiedzieć się od wędrowca, dlaczego właśnie ja byłem mu potrzebny i co też on może wiedzieć o zaginionym piętnaście lat temu Fenidzie.

„Fenido umarł!” — takimi słowami odpowiedział na moje ostatnie pytanie. Na chwilę zamarło mi serce, lecz zaraz zabiło spokojnie i bez lęku - mówiłem ci, że wyrzuciłem tego chłopaka z myśli i pamięci. „No to co? - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Czy to moja sprawa? „ Wędrowiec zdziwił się, lecz ciągnął dalej: „Fenido umarł, lecz przedtem prosił, żeby cię ostrzec. Jeden z twoich przyjaciół chce cię zabić...”

„Brednie! - przerwałem mu z niezadowolaniem. - On tylko chce się na mnie odegrać. Idź precz, włóczęgo!” Chciałem odejść, ale on mimo wszystko dokończył: „...jeden z twoich przyjaciół chce cię zabić, żeby zawładnąć Lalem Bogini Losów.” Przy ostatnich słowach brodacza moje serce przestało na chwilę bić. Teraz opowiem ci o tym kamieniu.

- Poczekaj no, Serwusie - chmurnie powiedział Benino. - Czy ten zdumiewający skarb, który chciałeś zaprezentować gościom, to właśnie Lal Bogini Losów?

Tak. Słyszałeś o nim?

Oczywiście. To kamień wielkości oka bizona. Nazywają go czasami Okiem Władczyni Niebios, gdyż tak brzmi przydomek Bogini. Jego piękna żadne słowo nie opisze.

- Widziałeś go? - ponuro zapytał szlachetny rycerz, a oczy skierowane na starego przyjaciela wyrażały podejrziwość.

- Nie! Skąd! Mam jednak nadzieję zobaczyć. Przecież pokażesz go wszystkim?

- Pokażę... Co jeszcze wiesz o Lalu Bogini Losów?

- Na Mitrę przysięgam, więcej nic. Czyżby... czyżby... No nie, to z pewnością próżne domysły.

- Co za próżne domysły?

- Powiadają, jakoby kamień ten był cenny nie tylko ze względu na swoją urodę, lecz i magiczną moc. Jaka, niestety nie wiem.

- Powiem ci, Benino. On rzeczywiście ma magiczną moc. W mroku nocy skrzy się tysiącami promieni i iskier. Gdy wszędzie jasny księżyc, trzeba stanąć tak, żebyś od stóp do głowy był oświetlony blaskiem kamienia. I wtedy... O, wtedy każde twoje życzenie, które może zmienić życie lub przerwać je - jak wolisz - spełni się! Wprawdzie tylko jeden raz, ale mądrymu człowiekowi i tego dosyć. Rozumiesz, Benino, dlatego nie korzystam z pomocy kamienia, by zdemaskować mojego wroga... Mam dopiero czterdzieści lat, mogę przeżyć drugie tyle i oczywiście nie wiem, co mnie jeszcze czeka. Mało to razy się zdarzało, że ludzie z dnia na dzień tracili cały majątek? Albo niespodziewana choroba łamała im członki, pozbawiała rozumu... Albo... Niepojęty los! Czy mogę być pewien tego, że moje życie będzie dalej płynąć tak łagodnie i spokojnie jak obecnie? Nie. Oto dlaczego oszczędzam właściwości klejnotu na ostateczny przypadek. Zabójca? Ha! Znajdę go sam! A ty mi pomożesz.

- Czemu nie zapytałeś wędrowca, który z twoich przyjaciół jest tak podstępny?

- Ależ zapytałem! Odpowiedział, że Fenido nie zdążył tego wyjawić przed śmiercią. Ponoć wędrował z daleka, by ostrzec mnie przed groźącym niebezpieczeństwem i oto na dwa dni drogi przed Lidią napotkał szajkę rozbójników, którzy śmiertelnie go ranili. Ten wędrowiec znalazł go prawie bez życia, próbował leczyć rany, ale nieskutecznie. Fenido umarł mu na rękach, a na chwilę przed śmiercią powiedział to, co ci właśnie przekazałem. Pomożesz

mi?

- Dobrze, Serwusie, tylko jak?

Szlachetny rycerz zamilkł speszony. To podnosił oczy na starego przyjaciela, to znów opuszczał i oglądał nakrycie byle jak leżące na łóżku. W końcu zdecydował się.

- Będę z tobą szczery, Benino. Nie dowierzam nikomu i tobie też. Tylko twój brat, dlatego że jest taki młody, nie budzi we mnie podejrzeń. Zmuszony jestem jednak komuś zaufać, więc wybrałem ciebie. Mój plan jest taki: wezwałem wszystkich moich najbliższych przyjaciół, których łączy ze mną namiętność do cennych kamieni, aby sprowokować ich do zabójstwa... Nie patrz tak na mnie! Nie zwariowałem. Pomyśl tylko! Czy naprawdę warto zatruwać sobie życie oczekiwaniem na śmierć? Wciąż, co dzień, co chwila czułbym za swoimi plecami wroga. Kto wie, kiedy morderca zdecydowałby się na zbrodnię? Za rok? Dwa? Pięć lat? I przez cały ten czas miałbym czekać...? Stałbym się starcem z trzęsącymi się z wiecznego strachu rękami i łzawiącymi oczami. Nie chcę tego! Rzucam wyzwanie niegodziwcowi, który patrzy mi prosto w oczy, chociaż dobrze wie, że dzięki niemu zamkną się one na wieczność, zanim bogowie odpuszczą mi grzechy!

- No więc jak mogę ci pomóc?

- Na pewno pamiętasz naszą rozmowę o zdolności widzenia i zapamiętywania. Mówiłeś, że tym właśnie wyróżnia się twój młodszy brat.

- Tak, przed Peppem nic się nie ukryje. Wszystko widzi i rozumie.

- Proszę cię, rozglądaj się sam i pytaj Peppę, niech ci mówi o wszystkim, co wyda mu się dziwne lub nie całkiem naturalne. Czy to w którymś zachowaniu, czy w wyglądzie, czy w słowach... Tylko nic mu nie wyjaśniaj - chłopak nie powinien wiedzieć, że gdzieś obok krąży morderca.

- Serwusie, czy ktoś wydaje ci się szczególnie podejrzany?

- Wszyscy - bez namysłu odpowiedział rycerz. - Niestety, mój druha, zdecydowanie wszyscy. I ci dwaj krzepcy młodzieńcy, którzy przybyli z Nemedii zamiast Gaja Demetrios; i gruby Terenco, który w Tarancii ma pełno spraw, a rzuca wszystko i jedzie tu na pierwsze wezwanie; i Shemita Marshall - po prostu dlatego, że jest Shemitą; i Zair Szach, stary grzyb... Powiadają, że ostatnio wcale nie opuszcza swojego domu, więc dlaczego przywłókł się tutaj? Wszystkich podejrzewam, a to przykre.

Serwus Narot westchnął tak ciężko, że dla filozofa stało się jasne: on naprawdę wszystkich podejrzewa i to męczy go niezmiernie. Czyli jego wesołość, beztraska i dobroduszość były tylko maską? Z pewnością niełatwo zachowywać zwyczajny wygląd, kiedy serce zamiera w oczekiwaniu zdrady i śmierci! Nie na darmo teraz, gdy pozwolił sobie na okazanie słabości sam na sam z przyjacielem, rycerz stał się tak blady i poważny; nie na darmo jego ciemne oczy błyszczą jak w obłędzie, policzki się zapadły, drgają kąciki ust, a wypięgnięte palce nerwowo się poruszają...

Benino ze współczuciem położył rękę na pochylonych pod brzemieniem trosk plecach starego przyjaciela.

- Bądź twardy. Pamiętaj: i ja, i mój brat jesteśmy z tobą.

- Przysięgnij, Benino! - zapalczywie wykrzyknął Serwus, patrząc filozofowi prosto w oczy. - Niech wiem, że jeśli nawet zdrajcy uda się wysłać mnie na wieczny spacer po Szarych Równinach, to nie uniknie kary. Ty wymierzysz sprawiedliwość, mój najbliższy i wierny druha.

Wzruszony Benino otarł łzę z policzka i uśmiechnął się.

- Nie ominie go zapłata, Serwusie. Ja go załatwię, o tak! - Filozof sięgnął szczupłymi, wypięgniętymi dłońmi po masywny brązowy świecznik, naprężył się, niebieskie żyły nabrzmiały, twarde mięśnie zaznaczyły się pod skórą i po chwili zgięty świecznik na podobieństwo krzywego tureckiego jataganu.

- Właśnie tak - powtórzył Benino, odrzucając nieużyteczny już świecznik na bok. -

Właśnie tak.

Poranny posiłek składał się z pieczonych przepiórek i gruszek w gęstym syropie. Lekkie czerwone wino szybko przepływało ze srebrnych dzbanów do bezdennych gardeł gości. Na Leonardasa - chudego i wysokiego jasnookiego Ophirczyka o głupawym wyglądzie, który przybył nocą, nikt nie zwracał uwagi.

Benino, po nocnych wyznaniach Serwusa wzburzony i zaniepokojony, zszedł do sali jadalnej ostatni. Kiedy odnalazł oczami brata, a potem całego i zdrowego rycerza (jeśli nie liczyć pewnej bladości i obwisłych policzków), uspokoił się i usiadł za stołem. Teraz i jemu wszyscy goście wydawali się dość podejrzani. Serwus miał rację: w jakim celu przygnał tu brykę zaprzężoną w cztery konie tłusty Aquilończyk Terenco, zajęty człowiek interesów, i jeszcze małżonkę zabrał ze sobą? A Zair Szach, spróchniały pień? Wymięta maska obłudnej pobożności, a w błyszczących oczkach można zobaczyć, co się chce: chciwość i złość, i poządliwość (na kogo ona skierowana - czy nie na małżonkę grubasa?). I Marshall, ponieważ jest Shemitą, nie budzi zaufania... Ten chudy Ophirczyk.. jak mu tam... zawsze zapomina jego imię... A, Leonardas... A o tych dwóch - Lumie i Gwidzie - krewniakach zacnego Gaja Demetriososa, niech go Nergal porwie, szkoda gadać. Bardziej podejrzanych osobników Benino dotąd nie spotkał.

Ale to wszystko mogło być jedynie imaginacją wskutek nieprzespanej nocy. W głębi duszy filozof doskonale rozumiał, że ci czcigodni ludzie są tacy sami jak on, że morderca jest wśród nich tylko jeden, a czy jest rzeczywiście - nie wiadomo. Może przechodzień postanowił po prostu zażartować z pyszałkowatego bogacza. Dociekliwy umysł Benina zaintrygowała ta zagadka, lecz jak ją rozwiązać, na razie nie wiedział.

Nagle zauważył, że goście jedzą śniadanie w całkowitym milczeniu. Już zamierzał rozpocząć rozmowę na światowe tematy, ale się okazało, że półmiski są prawie puste i dzbany też, tak że musiał się pośpieszyć. Naprędce przeżuł gruszkę i podniósł się wraz z innymi na zapraszający gest gospodarza.

Nie mówiąc słowa Serwus, Narot poprowadził wszystkich na dół, do piwnicy, gdzie, jak wiadomo, mieściła się jego niepowtarzalna kolekcja. Gęsiego zeszli po wąskich schodach, oświetlonych przez zaledwie parę lamp, następnie minęli długi hol wyłożony płytami marmurowymi, skręcili w ciemny, wilgotnawy korytarzyk i zatrzymali się przed drzwiami, przed którymi stał już rycerz.

Ten guzdrał się z kluczami, wtykał wszystkie po kolei w głęboką dziurkę, aż w końcu otworzył drzwi - ciężkie, obite żelaznymi grubymi sztabami. Zanim wpuścił tam gości, Serwus Narot zapalił wszystkie lampy, których, odwrotnie niż w korytarzu, było nie mniej niż dwa tuziny. Kiedy światło zabłysło, oświetlając nieduże pomieszczenie, rycerz pociągnął za rękaw stojącego najbliżej niego Peppsa. Za chłopcem weszli pozostali.

Takiego przepychu młodzieniec nie widział u siebie w domu. Benino trzymał swoją kolekcję w zwykłym pokoju i mimo wrodzonej pedanterii nie przejmował się tym, jak rozmieszczone są jego skarby. Rubiny leżały we wspólnych skrzyneczkach z brylantami i gagatami, turkusy sąsiadowały z perłami, a chryzoberyle z cyrkonią i karbunkułem.

Serwus Narot okazał się człowiekiem nad wyraz porządnym. Całą jego kolekcję, starannie posegregowaną, podzielono na skrzyneczki. Ich wnętrza wyłożono aksamitem, którego kolor odpowiadał barwie kamienia, podkreślał jego blask i czystość. I tak rubiny spoczywały na różowym aksamicie, brylanty - na srebrzystoszarym, perły - na czarnym, a akwamaryny - na błękitnym. Peppo jak zaczarowany patrzył na grę kamieni, szeptem wymieniał ich nazwy, z trudem powstrzymując się, żeby nie wyciągnąć ręki i nie wziąć klejnotu, by bliżej mu się przyjrzeć. Oto Aleksandryty - czerwone w świetle jak języki ognia; oto opale, matowo błyskające srebrzystymi żyłkami; oto zielonożółte jak kocie oko chryzolity, turmaliny, cyrkonie, szafiry, szmaragdy, amazonity... Oczy mało nie wyszły mu z orbit na widok takich wspania-

łości. Peppo słyszał za plecami zdumione westchnienia gości, którzy też mieli swoje kolekcje, lecz z pewnością skromniejsze niż ta.

- Bezoaryn - ochryplym z emocji głosem mamrotał Leonardas.

- Cudo.. Istne cudo...

- Lecznicy kamień - rzekł rycerz, wskazując palcem bezoaryn. - I ten też... aspilat. A ten to dychronit. A oto ... - Wsunął rękę do szuflady i wyjął ją wraz z pudełkiem, gdzie w głębokim futerale tkwił ogromny granat. - Oto wielki granat. Nazywają go Czerwonym Ojcem. Znaleziono go w miejscu starożytnego Acheronu, w złotej szkatułce. Był zawinięty w kawałek tkaniny, na której zachował się jego opis. Ponoć od tego granatu pochodzą wszystkie czerwone kamienie, dlatego też nosi taką, a nie inną nazwę.

- Powiedz, miły gospodarzu - zaskrzybiał blade jak śmierć Lumo - w jaki sposób przypadł ci w udziale ten przepiękny kamień księżycowy?.

- Przywiozłem go z Vendhii - wyjaśnił Serwus Narot zadowolony. - Dałem za niego pięć setek złotych i uważam, że tanio kupiłem.

- A ten jak się nazywa? - zapytał Gwido, wskazując różowy kamień z żyłkami tworzącymi rysunek i z oczkiem pośrodku.

- Onyks! - pogardliwie prychnął Lumo. - Nie widzisz? Czego wuj cię uczył!

Mały Gwido tylko wzruszył wąskimi ramionami. Zdaje się, że on jeden pozostał obojętny na tyle piękna; oglądał kamienie jedynie z grzeczności i trochę z ciekawości.

- Och! - jęknęła Lawinia za plecami Peppę. - To przecież prawdziwa różowa perła ...

- I co? - Na Serwusa Narota jej czary nie działały. - Nigdy przedtem nie widziałaś różowej perły?

- Nie taka to rzadkość - wspomógł gospodarza Zair Szach. - Spójrz lepiej na to, ślicznotko! - Wskazał dużą czarną perłę, podłużną jak fasola. - Takiej to ja nie mam.

- A ja mam - mimowolnie powiedział Marshall, zerkając na czaszę z krwawnika ozdobioną u dołu oksydowanym srebrem. - Mniejsza od tej, ale jest.

- Skąd ją masz? - zazdrośnie zainteresował się rycerz. - Zdawało mi się, że wszystko u ciebie widziałem...

- W zeszłym miesiącu kupiłem - odpowiedział Shemita z uśmiechem. - I też niedrogo, za półtorej setki złotych i rasowego żrebaka.

- Za niedużą czarną perłę półtorej setki złotych... wysoka cena. - Zair Szach z udawaną żalnością przeniósł wzrok z melocytu zanurzonego w aksamitnej poduszce na Marshalla. - Tu wielkość jest ważna, a nie rodzaj.

- Lawinio, odłóż akwamaryn na miejsce - burknął niezadowolony Serwus Narot. - Wiesz, że nie lubię, gdy ktoś dotyka moich kamieni...

Ślicznotka z rozdrażnieniem wsunęła niebieskawozielony kamień do futerału i odwróciła się do męża, który na skutek ślubów milczenia nie mógł mówić, a tylko chrypiał i jęczał z zachwytem.

- No, a teraz... - Szlachetny rycerz uroczyście popatrzył na swoich gości, na krótko zatrzymując wzrok na każdym z nich. - Teraz pokażę wam kamień, dla którego was zaprosiłem...

Pełne napięcia milczenie stanowiło odpowiedź.

- Patrzcie, czego jestem posiadaczem!

Tym razem rozległ się cichy jęk.

Serwus Narot zdjął z mocnej szyi złoty łańcuszek i uniósł go do góry, by wszyscy mogli zobaczyć, że wisi na nim złoty kluczyk, taki malutki, że ginie w grubych palcach rycerza. Potem gospodarz wyszedł z pomieszczenia, zostawiając gości samych, żeby mogli się domyślać, w jakim kierunku się udał.

W napięciu, patrząc z ukosa jeden na drugiego, stali półkolem w oczekiwaniu Serwusa i nikt nie decydował się odezwać. Albo uznali, że byłoby to bluźnierstwem, albo zbyt intensy-

wnie myśleli, żeby gadać. Biały niedźwiedź Lumo chmurzył się i odwracał wzrok od wszystkich; Gwido bujał się z palców na pięty i ledwo mógł się powstrzymać od gwizdnięcia; starzec Zair Szach krzywił i bez tego pomarszczoną gębę; Marshall do czegoś się uśmiechał; Benino chmurzył się, obejmując ramiona brata; nowo przybyły Ophirczyk smarkał w jedwabną chustkę; małżonkowie wymieniali mroczne spojrzenia.

Peppo także myślał o swoich sprawach. Na przykład dlaczego Serwus Narot tak pragnie pokazać swój skarb koniecznie wszystkim naraz? Dlaczego w tym celu postanowił zebrać ich natychmiast? Nie prościej było pokazać najpierw Beninowi i jego bratu, a potem już jak leci, w wolnym czasie - Aquilończykowi, starcowi i Shemicie... Dziwne... bardzo dziwne.

Nie zdążył sobie odpowiedzieć na te pytania, a nawet ich zadać. W drzwiach pojawił się szlachetny rycerz, niosąc pod pachą spory złoty kuferek pięknej roboty, z khitajskimi rysunkami na wieczku. Nie tracąc ani chwili, zręcznie postawił go na wysokim stole z czerwonej topoli i złotym kluczykiem otworzył masywne wieczko...

Tak, tego wieczoru gości byli przytłoczeni tym, co zobaczyli. Następnego ranka wszystko uległo zmianie, niestety nie na lepsze, więc i o dobrym nastroju nie mogło być mowy. Po prostu koło południa okazało się, że Serwusa Narota jednak ktoś zamordował.

V. MORDERSTWO

Gospodarz nie pojawił się na śniadaniu i Lambert, sprawnie usługujący gościom, bezustannie mamrotał pod nosem rozmaite wyzwiska pod adresem leni, którzy potrafią wylegiwać się w łóżku noc i dzień. Nawiasem mówiąc, do leni zaliczał się także biały niedźwiedź Lumo, również nieobecny.

Peppo, ze względu na młody wiek nieszczególnie przygnębiony wczorajszą kontemplacją nieziemskiej urody kamienia Bogini Losów, parskał śmiechem, słysząc wynurzenia starego sługi. Wprawdzie całą noc śniły mu się chryzoprazy, rubiny i brylanty, lecz rano wszystko uległo zapomnieniu i chłopiec powrócił do zwykłej równowagi.

Pozostali widocznie nie mogli pochwalić się tym samym. Z dawnym apetytem pochłaniali bażanty dopiero co zdjęte z rożna, zachowując milczenie - ponure i ciężkie. Bezcenny skarb Serwusa Narota oszołomił ich zupełnie. Pewnie wszyscy oni, myślał młodzieniec, teraz zawistnie łamią głowy, jak by tu zdobyć coś równie wspaniałego. Tylko Gwido i ten Ophirczyk, Leonardas, zachowują spokojny, nie zmacony żadną myślą wyraz twarzy...

- Dość tego! - wykrzyknął nagle nerwowo Benino, rzucając nadgryzioną brzoskwinię.

- Lambercie, idź do gospodarza, poproś go do stołu!

- Tak jest, panie. - Zadowolony z polecenia, bo sam nie ośmieliłby się niepokoić rycerza, stary sługa jak strzała pomknął ku schodom.

Peppo zachmurzył się: nigdy wcześniej Benino nie pozwalał sobie na taką samowolę w cudzym domu. Dziwne... Spoza opuszczonych rżęs uważnie przyjrzał się twarzy brata i jeszcze raz powtórzył sobie: „Dziwne... błyszczące oczy z rozszerzonymi źrenicami, biała twarz, jaka bywa tylko po burzliwie spędzonej nocy, i szczupłe palce w ciągłym ruchu”...

- Trzeba i Luma obudzić - westchnął Gwido. - Pójdę, zapukam...

Lecz ledwie zrobił krok, gdy nagle z góry rozległ się dziki, niemal nieludzki krzyk, łączący w sobie przerażenie i rozpacz. Od tego wrzasku wszystkim włosy stanęły dęba. Głupkowaty Leonardas o mało nie zleciał ze stołka, małżonkowie jednocześnie podskoczyli, a Gwido zerwał się z miejsca i pomknął na górę z taką szybkością, o jaką trudno by posądzać

tęgo człowieczka o króciutkich nóżkach.

Filozof, nie tracąc ani sekundy, wypadł zza stołu i pognął w ślad za młodszym Demetriosem, po drodze głośno przeklinając Nergala i siebie samego. Inni goście też nie czekali. Poderwali się z miejsc i pospieszyli na piętro, truchlejąc od krzyku, który wciąż było słychać.

Chyba jeden Benino wiedział z góry, co się wydarzyło. Przeskakując stopnie, już cierpiał na myśl, że nie potrafił pomóc, nie umiał zapobiec temu, czego lękał się jego przyjaciel Serwus Narot - morderstwu. Szukał usprawiedliwienia - mówił sobie, że wszystko zdarzyło się zbyt szybko, nieoczekiwanie szybko, lecz z obrzydzeniem do samego siebie odrzucił to rozgrzeszenie własnej niefrasobliwości. Miliony myśli przeleciały mu przez głowę przez ten krótki czas, kiedy zdążał do pokoju rycerza, i miliony uczuć, wśród których najwięcej było wyrzutów, wstydu i rozpaczy odczuwanych przez jego serce. Zgrzytając zębami w bezsilnej wściekłości, podbiegł do szeroko otwartych drzwi, wtargnął do środka, przewracając Gwida, i dopiero się zatrzymał.

Widok, jaki ukazał się oczom filozofa i reszty gości, był straszny.

Karzełkowaty Lambert klęczał koło zbyt wysokiego łoża gospodarza i dziko wrzeszczał, wrywając sobie ze skroni resztki siwych włosów. Chyba nie mógł przestać i dlatego Gwido, który podniósł się już po upadku i odzyskał równowagę, podszedł do niego i silnie potrząsnął za ramiona - dopiero wtedy staruszek zamilkł.

W półmroku pokoju - zasłony były jeszcze zaciągnięte - nie od razu rzucało się w oczy najstraszniejsze. Zresztą może to oni bezwiednie opóźniali moment zrozumienia... Ogromne ciało Serwusa Narota leżało bez ruchu na białym jedwabnym prześcieradle, połową jego przykryte od kolan do ramion. To, że rycerz był martwy, nie budziło najmniejszych wątpliwości: z jego pleców sterczał kindżał wbity po samą rękojeść, jaskrawoczerwona plama krwi rozpląnęła się po prześcieradle. Krew zlepiła jasne włosy, pociekła aż do lekkich skórzanych sandałów. Cały jego kark, jak zauważył wstrząśnięty Benino z daleka, został zgruchotany czymś ciężkim. Sądząc po położeniu ciała - a rycerz leżał z rozrzuconymi ramionami, twarzą w dół - spał, kiedy podstępny morderca wznosił nad nim śmiertcionośny kindżał. Benino pomyślał, że Serwus jednak nie rozpoznał swojego wroga i to wydało się filozofowi najbardziej przykre.

Mimo wszystko zdecydował się podejść bliżej. Bez wątpienia dusza szlachetnego rycerza przeniosła się na Szare Równiny - upewnił się o tym, gdy zobaczył, z jaką siłą został zadany cios. Nawet włos by się nie zmieścił między plecami a rękojeścią. Benino zadrżał i odwrócił wzrok: frędzle nakrycia, też zalane krwią, duża ręka Serwusa, sinobiała z modnym, dmuchanym złotym pierścieniem na palcu lewej ręki duży, choć niedrogi diament u wezłowa (na pewno patrzył na niego przed snem) i... no właśnie. Filozof cofnął się. Złoty łańcuszek, na którym rycerz nosił kluczyk od kufierka z Lalem Bogini Losów, był rozerwany.

Benino gwałtownym ruchem zdjął go z szyi przyjaciela i z przerażeniem upewnił się o swoich podejrzeniach. Kluczyka na łańcuszku nie było, a to znaczy, że kamienia w kufierku też... Nie zwracając więcej uwagi na jęki i pochlipywania gości za swoimi plecami, dość denerwujące, filozof rzucił się na kolana i zaczął nerwowo szperać pod łożem. Był wprawdzie przekonany, że jego poszukiwania są próżne - wczoraj wszyscy widzieli, że klucz od kufierka Serwus nosił na tym łańcuszku - ale nikła nadzieja zmuszała serce, by żywiej biło w oczekiwaniu szczęśliwego trafu.

- Myślisz, że Lal Bogini Losów jest jeszcze na swoim miejscu? - krzywo i niewesoło się uśmiechając, spytał Gwido filozofa.

- Myślę, że nie - odpowiedział Benino, wstając i otrzepując się.

- W taki razie pozwól mi obejrzeć miejsce przestępstwa... Przyjaciele! - Gwido grzecznie zwrócił się do gości. - Proszę wszystkich na dół. Tutaj już w żaden sposób nie możecie pomóc.

Nie czekając, aż jego prośba zostanie spełniona, skierował się do łoża rycerza.

- Nie! - dziko zapiszczał Lambert. Rzucił się na ciało swojego pana i zakrył je sobą, jak ptak zasłania pisklęta. - Nie! Nie dam! Nie dotykajcie go!

Łzy trysnęły z oczu staruszka. Odwrócił się plecami do wszystkich, skłonił głowę nad martwym ciałem, objął je rękami i cicho, gorzko zapłakał.

Serce Benina ścisnęło się bólem. Nigdy go nie zmyliło odwieczne zrzęczenie starego sługi. Doskonale wiedział, że Serwus Narot jest jedynym ukochaniem jego życia. Niańczył go od urodzenia, nosił na rękach, wychowywał, delikatniejszy i troskliwszy niż rodzony ojciec. I oto teraz jego życie runęło w gruzy. Jak można przeżyć takie nieszczęście?

Benino z westchnieniem zerknął na stojącego z tyłu Peppę. Dla niego ten chłopiec też był niczym syn. Kiedy się urodził, filozofowi stuknęły dwadzieścia trzy lata. Pamięta pierwszy uśmiech brata, pierwszy krok, pierwsze słowo. Nie mając własnych dzieci, Benino dobrowolnie przejął obowiązki ojca i do tej pory Peppo też go tak traktował. Zresztą ich rodzony ojciec nigdy nie interesował się wychowywaniem dzieci, chociaż cieszył się kwitującym zdrowiem.

- Już dość, Lambercie, dość... - powiedział miękko filozof dotykając ramienia starego sługi. - Cóż, teraz... nic już nie zrobisz...

- Nic nie zrobisz! - jak echo podchwycił Gwido. - Nie dotknę go, Lambercie, obiecuję... tylko popatrzę.

Gwido zamknął drzwi za gośćmi, zwinnie przykucnął przy łożu, pokręcił głową i obejrzał podłogę, dywan i niski stolik. Stało na nim naczynie z brązu z ziołami (rycerz pasjonował się suszeniem ziół, które następnie podpalał i przez małą rurkę wdychał gryzący dym), butla wina i srebrny puchar. Zadarty, krótki nos małego Gwida poruszał się zagadkowo, jakby próbował poczuć to, czego nie zobaczy oko. Jasne i lekkie jak puch włosy najeżyły się, jakby w rezultacie wyteżonej pracy mózgu pod nimi. Lisia twarz z jakiś powodów stała się całkiem biała, nawet piegi zniknęły, a zielone oczy myszkowały wszędzie z takim dziwnym wyrazem, że Benino uważał za swój obowiązek grzecznie zapytać:

- Posłuchaj, mój miły, czy to aby nie ty zabiłeś mojego przyjaciela Serwusa?

- Nie, nie ja. - Mały Gwido odrzucił wątpliwy zaszczyt odegrania roli mordercy, ani na chwilę nie przerywając lustracji.

- A kto?

Filozof sam rozumiał, że pytanie jest głupie i na razie przedwczesne, ale nie mógł się powstrzymać od zadania go - tak boleśnie przekonujący wygląd miał ten drobny płowowłosy chłopak.

- Nie wiem, miły Beninie, nie wiem ... Wreszcie Gwido wstał i otrzepał ręce.

- Chciałbym porozmawiać z gośćmi - rzekł ponuro. - Mam nadzieję, że mi pomożesz?

Benino zmarszczył nos. Wszyscy chcą, żeby pomagał. Najpierw Serwus, teraz mały Gwido... Zresztą Serwusowi i tak nie zdążył pomóc.

- Co powinienem zrobić? - mruknął, nie ukrywając niezadowolenia.

- Nic szczególnego. Jeśli jakiś gość nie zechce ze mną rozmawiać, ty go do tego namówisz.

- Cóż...

Lambert został sam ze stygnącym ciałem Serwusa Narota, a filozof i Gwido zeszli na dół.

Ciężka cisza zawisła nad nimi jak chmura gradowa. Ponure twarze, spuszczone w dół oczy, denerwujące szuranie nóg pod stołem. Każdy (oczywiście oprócz mordercy) podejrzewał o zbrodnię siedzącego obok lub naprzeciwno, wszystko jedno. Każdy myślał, że i jego własny los mógł się tak potoczyć: czy można wiedzieć, ile zła ukrywa się za przyjemnym wyglądem i dobrymi manierami? Czy można nawet dopuścić myśl, że do ich wspaniałej, hermetycznej kompanii wkradł się potwór z plemienia złego Nergala, dla którego cudze życie

nie jest warte nawet miedziaka? Ale na pewno jest warte kamienia Bogini Losów, tego nieocenionego skarbu, przedmiotu pożądania nie tylko znawców, lecz i każdego normalnego człowieka. Jednak zabić dla zdobycia go? Na dodatek nie kogoś obcego, a przyjaciela, któremu nieraz patrzyło się w oczy, z którym nieraz się śmiało i w którego domu było się gościem? Mniej więcej takie myśli zajmowały teraz głowy wszystkich ludzi, którzy dzięki przypadkowi zostali zamieszani w tę straszną sprawę.

Gwido, który na ostatnim stopniu wyprzedził filozofa, szybkim krokiem podszedł do stołu i usiadł między Peppem a Leonardasem. Benino zajął miejsce naprzeciwko niego, między grubasem Terencem a Marshalllem.

- Wybaczcie mi, proszę, przyjaciele - bez ogródek zaczął młodszy z Demetriosów. - Chcę zadać wam kilka pytań. Jeśli przedkładacie uprzejmość ponad skrytość i czujność, odpowiecie mi szybko i szczerze, co będzie oznaczać tylko jedno: sumienie wasze jest nie splamione.

Tak kwiecistej przemowy w wykonaniu małego Gwida nikt nie oczekiwał. Goście machinalnie kiwnęli głowami i przenieśli wzrok na filozofa, licząc na aprobatę wypowiedzi małego człowieczka.

- Niech Gwido Demetrios pyta, a my będziemy odpowiadać, - przytaknął Benino.

- A kto udzielił mu takich pełnomocnictw? - zapytał nagle piskliwie Zair Szach. - Kto? Czy aby nie sam czcigodny Serwus Narot?

- Wstyd - zwrócił mu uwagę Marshall. - Wstydź się, staruszk. Tak niegrzecznie wspominasz zmarłego, i to jeszcze gospodarza tego sławnego domu! Niech chłopak pyta, wytrzymamy.

Chłopak, który niedawno skończył dwadzieścia osiem lat, z wdzięcznością popatrzył na Shemite.

- Chętnie mu odpowiem - powiedział uśmiechając się. - Jesteś filozofem? - niespodziewanie zwrócił się do Benina.

- Tak - odpowiedział ów zdziwiony.

- A ty, Marshallu, kupcem?

- Kupcem, to prawda.

- Ty zaś, Zair Szachu, astrologiem?

- Jestem astrologiem. I co z tego?

- A ty, Terenco?

- On jest ze znakomitego aquilońskiego rodu - odpowiedziała Lawinia za małżonka, wciąż jeszcze milczącego. - Jego dziad był koniuszym samego króla.

- Zrozumiałem. Tak oto...

- A ja jestem poetą - wtrącił zapomniany Leonardas.

- Bardzo dobrze. A ja jestem śledczym, co prawda nie na służbie, nie profesjonalnie, ale zajmuję się takimi sprawami. Ośmielę się powiedzieć, że moje zdolności zostały kilka razy zauważone i że pewnego razu wezwano mnie do pałacu szlachcica w Belverusie, gdzie zginęło złote... Zresztą nieważne. Sądzę, że teraz już mogę pytać?

- Możesz, możesz - uroczyście machnął kościstą ręką Leonardas. - Słucham.

W ten sposób Ophirczyk niejako wyznaczył samego siebie jako pierwszego, Gwido zaczął więc od niego.

- Powiedz, mój miły, co robiłeś zeszłego wieczoru po kolacji?

- Poszedłem spać jak wszyscy.

- Od razu się położyłeś?

- Jasne.

- Niczego nie słyszałeś nocą?

- Najcichszego dźwięku.

- Dobrze, teraz ty. - Skierował wzrok na Zair, Szacha, nie zwracając uwagi na nadąsane-

go Leonardasa, który zamierzał dalej rozmawiać o sobie. - Do ciebie mam takie samo pytanie: co robiłeś po wieczornym posiłku?

- Też poszedłem spać - parsknął staruszek. - I niczego nie słyszałem. Dzięki Erlikowi i jego prorokowi Tarimowi, a także jasnemu Ormazdowi i znacznie mniej jasnemu, żeby nie powiedzieć ciemnemu Chanumanowi, śpię mocno i nic mi się nie śni. Kiedyś był taki przypadek, chyba z pięć lat temu, że nagle się obudziłem...

- Zrozumiałem - pospiesznie przerwał Gwido gadatliwemu Zair Szachowi i zwrócił się do Marshalla. - A ty? Co ty robiłeś wczorajszego wieczoru?

- Niestety, w żaden sposób nie mogę ci pomóc. Też poszedłem spać i zupełnie niczego nie słyszałem.

- I ja - dodał Peppo, nie mogąc doczekać się na swoją kolej.

- I my - cicho przemówiła piękna Lawinia i prześliznęła się obojętnym wzrokiem po lisiej mordce śledczego.

Właściwie trzeba by się jej przyjrzeć uważniej, zdecydował Gwido. Nie taka zwyczajna to dziewczyna, jak by się wydawało. W tej delikatności, w figurze pełnej wdzięku i subtelnych rysach twarzy wyczuwa się jakąś siłę. Na razie nie mógł jej zrozumieć, ale miał na to nadzieję - w przyszłości.

- Przejdziemy do drugiego pytania. Powiedz mi...

- Ja! - palnął Leonardas, gdy zobaczył, że śledczy zamierza zwrócić się do Marshalla jako do najspokojniejszego i najrozsądniejszego.

- Dobrze, ty - zgodził się Gwido. - Powiedz, kiedy rozmawiałeś po raz ostatni z naszym miły gospodarzem?

- Podczas kolacji. Nie byłeś przy tym obecny, lecz wiesz z pewnością, co on opowiadał o Bogini Losów. Posprzeczałem się z nim o miejsce znalezienia tego Lala...

- Jakiego lala?

- No, ukradzionego kamienia. On nazywał się Lal... to jest ten rubin.

- Kamień Bogini Losów to jest ten Lal, o którym mówisz?

- Na Mitrę! - rozszłościł się Ophirczyk. - Oczywiście! Przecież nie szmaragd!

- A po kolacji?

- Potem go nie widziałem.

- A głos jego słyszałeś?

- Nie, nie słyszałem.

- A ty, Marshallu?

- I ja. - Shemita wzruszył ramionami. - W ogóle rozmawiałem z nim tylko w skarbcu, a przy wieczornym posiłku nie zamieniłem ani słowa. Nie bardzo interesowały mnie bajki o Bogini Losów, ja sam wiem o niej wszystko, dlatego w milczeniu skończyłem jeść kuperek łabędzia i poszedłem spać.

- Zair Szach?

- O czym miałbym z nim mówić?

- No, nie wiem. To co, rozmawiałeś czy nie?

- Nie! - zasyczał dziadyga i wyszczerzył zęby.

- A ty, Terenco?

Grubas pokręcił głową, chociaż było jasne, że rozmawiać z nikim nie mógł: dopiero dzisiaj kończą się jego śluby milczenia.

- Czemu nie pytasz Benina Brassy? - Lawinia uśmiechnęła się, łagodząc ostrość pytania.

- Benino jest moim pomocnikiem, a wypytam go przy okazji.

- Dlaczego? - Filozof, obrażony, odwrócił się od dziewczyny, na którą przedtem gapił się jak na rzadkiej urody vendhyjski agat. - Mogę i teraz odpowiedzieć. Tak, rozmawiałem z Serwusem po kolacji. Zapytał, czy zechciałbym kupić od niego granat. Pamiętacie który? Ten nazywany Czerwonym Ojcem. Powiedziałem, że na razie nie, bo zapłaciłem zbyt wygórowa-

na cenę drugiemu nauczycielowi mojego Peppa za dodatkowe zajęcia z astrologii. Wtedy Serwus zaśmiał się i zarzucił mi skąpstwo; powiedział, że nie obniży, ale i nie podniesie ceny granatu. Mówił, że kamień wart jest tyle, ile wszyscy nauczyciele w Argosie razem wzięci. Przyznałem się, że zupełnie nie mam pieniędzy i poprosiłem, żeby poszukał innego kupca. To wszystko.

- I co, poszedł do siebie?

- Chyba tak. Nie widziałem.

- Peppo, chłopcze - Gwido łagodnie zwrócił się do młodzieńca. - A ty nie zamieniłeś po posiłku ani słowa z rycerzem?

- Nie. I nie słyszałem jego głosu.

- Więc Serwus Narot porozmawiał z Beninem o Czerwonym Ojcu i poszedł do siebie... Więcej nikt go nie widział i nikt z nim nie rozmawiał. Taki był przebieg minionego wieczoru.

- A Lambert? - nieśmiało zauważył Peppo.

- Tak, oczywiście, zapytam i jego, ale nie teraz. Niech smutek i tęsknota po zmarłym ucichną w sercu staruszka... - Zielone oczy śledczego napełniły się współczuciem. Nie zdążył dobrze poznać szlachetnego rycerza, lecz sługi rzeczywiście było mu żal.

- Słuchaj, Gwido! - zmącił jego nastrój Marshall czystym, silnym głosem - dlaczego nie pytasz nas o kindżał, którym został zakłuty nieszczęsny Serwus? Ja na przykład oprócz kamieni kolekcjonuję broń i śmiem twierdzić, że nieźle się w tym orientuję. W domu rycerza nie ma nie tylko miecza czy jatagana, lecz nawet igiełki, której bym nie znał, a takiego kindżału jeszcze nie widziałem.

- Prawda! - podchwycił Benino. - Serwus nie miał takiego kindżału, to znaczy, że morderca użył własnego!

- Jestem o tym przekonany - zgodził się Leonardas pyszałkowato.

- Jasne, że użył własnego - przytaknął Marshall.

- Więc czyj to był kindżał? - mruknął Zair Szach.

- Lumo Demetriososa... — cicho powiedział Peppo i opuścił głowę.

VI. ŚLEDZTWO

Wszyscy zamarli. W tej ciszy mucha wpadła przez okno i usiadła na stole, żeby oczyścić łapki. Terenco klepnął ją tłustą dłonią i ten nieprzyjemny dźwięk posłużył jako sygnał do wznowienie rozmowy.

- Coś ty powiedział, mój drogi? - cicho zapytał Benino, patrząc bratu prosto w oczy.

- Powiedziałem, że ten kindżał należy do Lumo Demetriososa, - z rozpaczą w głosie powtórzył chłopak. - Wiem to dokładnie.

- A skąd? - Zair Szach był sceptyczny, jak zawsze.

- Widziałem. Dłubał nim w zębach...

- W czyich zębach? - zagalopował się dziadyga, lecz natychmiast opamiętał się, parsknął i odwrócił twarz.

Peppo nie raczył mu odpowiedzieć. Żałośnie popatrzył na Benina, westchnął i opuścił głowę. W oczach brata nie zobaczył zrozumienia i to go zdenerwowało. Przecież on sam ciągle mówił: „Bądź uczciwy. Bądź uczciwy we wszystkim i z każdym”. Teraz Peppo postąpił według jego rady, skąd więc to surowe spojrzenie?

- Mój drogi, Lumo Demetrios mógł dłubać w zębach czymkolwiek kindżałem.

- Ależ Benino! - wykrzyknął Peppo, omal nie płacząc. - Przecież wiesz, że się nie mylę. Rękojeść jego kindżału było obsypana diamentowymi okruszkami i pokryta jakąś przezroczy-
stą materią, dokładnie tak jak kindżał w plecach ... w plecach Serwusa...

- Chłopak ma rację - ponuro stwierdził Gwido i zmarszczył płowe brwi. - To rzeczywi-
ście jest kindżał Luma, ja go też rozpoznałem.

- To czemu męczysz nas? - z zdziwieniem powiedział Leonardas. - Dlaczego zadajesz te
głupie pytania, skoro sam wiesz, że Serwusa zabił twój brat? A gdzie on jest właściwie?

- Oj, Leonardasie - zaoponował filozof. - Jak możesz mówić z taką pewnością? Nie są-
dę, żeby Lumo był zdolny zabić z zimną krwią, a kindżał to jeszcze nie dowód.

- Dowód... - tak samo ponuro zamruczał Gwido. - Sam dowód to za mało, Lumo je-
szcze musi się przyznać...

- A jeśli nie zechce się przyznać? - Zair Szach z wyższością zerknął na pozostałych go-
ści. - Dlaczego miałby się przyznawać? I w ogóle gdzie on się podziewa? Gdzie jest ten twój
Lumo? Do licha, jakie to głupie! Proszę cię, mój mały przyjacielu, zrezygnuj z pytań i pozwól
nam rozejść się do pokojów. Wszyscy potrzebujemy odpoczynku.

Mały przyjaciel Zair Szacha pokornie kiwnął głową, lecz jego zielone oczy błysnęły
złością. Peppo zrozumiał, że Gwido pragnął kontynuować śledztwo, ale nie śmiał, bo głów-
nym podejrzanym okazał się jego krewny.

- Dobrze, ale gdzie jest Lumo? - Wydawało się, że Marshall jest niespokojny. - Nie
złość się, Gwido, ale jego zniknięcie jest najlepszym potwierdzeniem uczestnictwa w zbrodni.
Mówił ci, że chce wyjechać?

Młodszy z Demetriosów przecząco pokręcił głową

- Więc sam widzisz... - nerwowo mruknął Shemita.

Znów nastąpiła przerwa. Peppo miał ochotę zapaść się pod ziemię, ponieważ czuł się
winny temu, co zaszło. On też nie wierzył, że dobroduszny biały niedźwiedź mógł być zdolny
do zabójstwa rycerza z powodu jakiegoś kamienia, choćby nie wiem jak drogiego i pięknego.
Ale prawda jest prawdą i nie mógł jej przemilczeć.

- Mam plan - powiedział nagle Benino, obejmując wzrokiem wszystkich obecnych. -
Myślę, że niegłupi.

- Tak? - Leonardas z zaciekawieniem wyciągnął długą szyję.

- Po pierwsze: do wyjaśnienia przyczyn śmierci Serwusa nikt nie powinien opuszczać
tego domu. To znaczy, można, oczywiście, spacerować i tak dalej, ale nie wolno wyjechać z
Lidii. Nie ma wśród nas nieszczęsnego Luma, a przypuścmy, że morderca może uciec. Jestem
daleki od tego, żeby podejrzewać wszystkich. W ogóle nikogo nie podejrzewam, ale wszyscy
musimy mieć równe szansę. Zgoda?

Sądząc po wydłużonych twarzach zebranych, nie byli zachwyceni, jednak nie odważyli
się wyrazić dezaprobaty.

- Po drugie: ja i Gwido będziemy szukać Luma, a równocześnie Lala Bogini Losów,
mając nadzieję na szczęśliwy przypadek. Zostawiamy sobie prawo, aby w dowolnym czasie
zwrócić się do każdego z was z pytaniami. Proszę, nie utrudniajcie nam. Ostatecznie, jeśli
jesteście niewinni, powinniście się cieszyć, że próbujemy oczyścić was z podejrzeń.

Goście smętnie przytaknęli. Benino był jak zwykle przekonujący.

- I po trzecie: czemu morderca miałby się nie przyznać, choćby zaraz? Wtedy razem po-
myślimy, co robić. A ukradziony kamień, rzecz jasna, trzeba będzie zwrócić, przecież Serwus
ma spadkobiercę...

- Kogo? - chórem krzyknęli Zair Szach i Leonardas.

- Mnie - skromnie odpowiedział Benino.

Peppo popatrzył na brata z szeroko otwartymi ustami. Prawdopodobnie nawet w dzie-
ciństwie nie okazywał zdumienia tak jawnie. Że też on, jego rodzony i ulubiony brat, o
niczym nie wiedział! Benino spadkobiercą Serwusa Narota! Bogacza, który mógł kupić całą

Lidie i kawałek sąsiedniego Shemu na dokładkę!

- To zmienia postać rzeczy, czcigodny filozofie - sucho powiedział Marshall. - Niechaj więc pierwszym podejrzanym będzie Lumo Demetrios, bo uciekł. Drugim jesteś ty.

- Czemu miałbym kraść Lala Bogini Losów? - oburzył się Benino. - On i tak będzie należał do mnie.

- Kto cię tam wie - jadowicie uśmiechnął się Zair Szach. - Może weźmiesz spadek i za parę miesięcy gdzieś w sadzie pod brzoskwiowym drzewem odnajdziesz swój skarb.

- Czemu pod brzoskwiowym drzewem? - filozof był zmieszany i dlatego mniej bystry niż zawsze.

- Pomyśleć tylko, taki majątek! - dołączył do gadania Ophirczyk. - Dla takiego tuzin najlepszych przyjaciół można ukatrupić.

- Bzdura! - Benino w końcu oprzytomniał. - Nie zabiłbym Serwusa za żadne skarby świata! Nikogo bym nie zabił. To nie leży w mojej naturze.

- A co leży w twojej naturze, jeśli można spytać? - nie dawał za wygraną Zair Szach. - Po prostu ukraść skarb?

- Dość tego!

Ostry głos Gwida przerwał sprzeczkę.

- Wystarczy - powtórzył już ciszej. - Nie warto oskarżać się nawzajem, można zająć zbyt daleko i wtedy cała historia skończy się źle.

- Albo jeszcze gorzej - mruknął Zair Szach.

- Posłuchaj, miły Gwido - znowu odezwał się Shemita. - Jak myślisz, kto go zabił?

- Nie wiem - detektyw powoli pokręcił głową. - Jestem tylko pewien... a raczej prawie pewien, że nie Lumo. I nie Benino.

- To kto? Może ja?

Marshall śmiał się, lecz patrzył na Gwida pytająco.

- Może i ty - lekko odpowiedział człowiek z lisią twarzą. - Na razie nie wiem, ale obiecuję się dowiedzieć, dajcie mi tylko czas.

- A dużo tego czasu potrzebujesz?

- Dwa, trzy dni. - Zobaczymy...

Kiedy Shemita w zamyśleniu powiedział „zobaczymy”, Zair Szach wstał, wygładził fałdy swojego dziwnego stroju, pogardliwie popatrzył na wszystkich i wyszedł z sali. Gdy tylko ucichły szurające kroki astrologa, Ophirczyk wytrzeszczył jasne jak jesienne niebo oczy i tragicznym szeptem zakomunikował:

- To on dziabnął biedaka Serwusa!

Wszyscy się zdrygnęli.

- Jak na to wpadłeś? - parsknął Marshall.

- Nie chciałem przy nim mówić, ale słyszałem jego ohydny głos tej nocy.

- Słyszałeś? Gdzie?

- Na korytarzu, a w którym miejscu... Sami wiecie, jakie tu są labirynty. Dokładnie powiedzieć nie mogę.

- A co mówił?

- Nie zrozumiałem, piszcząc coś...

- Może śpiewał? - zasugerowała piękna Lawinia, z lekkim uśmiechem patrząc na dumnego jak paw Leonardasa.

- A po co by śpiewał nocą? - zdziwił się Ophirczyk. - Nie, nie śpiewał.

- Więc co? - zdenerwował się Benino

- Przecież mówię, że piszcząc! Może się modlił? Zabił rycerza i się modlił.

- A dlaczego miałby się modlić na korytarzu? - Marshall stracił cierpliwość. - Do tego jest specjalne pomieszczenie! Jakiś ty tępy, Leonardasie, wybacz, ale...

- Nie jestem tępy - z godnością odpowiedział Ophirczyk i porozumiewawczo mrugnął

do Lawinii. - Nergal wie tego starego krętacza, modlił się czy śpiewał... Nie prowadzę śledztwa i to nie mój kłopot. Chce mi się spać. Żegnajcie.

Wstał i poszedł w kierunku schodów. Jego długie, bocianie nogi trzema krokami pokonały stopnie jednego biegu schodów, a potem zręcznie przeskoczyły na drugi.

- Zdaje mi się, że nasz przyjaciel nie jest takim idiotą, na jakiego wygląda - enigmatycznie zauważył Marshall.

- Myślisz, że udaje? - zatrwożył się Benino.

- I to jest możliwe. Zobacz, jak zręcznie podsunął nam staruszka.

- Czemu miałby podsuwać? - nie zgodził się Gwido. - Nikt go na razie nie podejrzewał.

- Dlaczego poszedł spać? - Marshall nie chciał rezygnować z tak dogodnego obiektu oskarżenia o zabójstwo. - Dzień jeszcze, a on idzie spać!

- I co z tego? Nie, miły Marshallu, na razie nie mamy żadnego uzasadnienia dla podejrzeń... niestety. Myślę... Terenco, czy mogę wiedzieć, co cię tak zainteresowało za oknem?

- Słońce - zamiast Terenca wyjaśniła dziewczyna, kryjąc uśmiech. - Jeśli znizy się jeszcze o pół palca, mój mąż będzie mógł zacząć mówić.

- Rozpoczął milczenie dokładnie miesiąc temu o tej porze? - domyślił się Benino.

- Właśnie.

Wszyscy wyczekująco wlepili oczy w Terenca. Grubas, ciężko dysząc, patrzył na ognistą kulę, która jaśniała na czystym błękitnym niebie tak wspaniale, jakby pod nią na świecie nie istniały żadne niepokoje i kłopoty. Pozostali także w milczeniu obserwowali słońce. Benino miał nadzieję, że gdy tylko znizy się ono o wymagane pół palca, Terenco otworzy usta i od razu wyjawí wszystkim tajemnicę zabójstwa Serwusa. Gwido nie był aż tak optymistycznie nastrojony, ale i on liczył na to, że usłyszy od grubego Aquilończyka coś ważnego, co pomoże w śledztwie. Peppo... Peppo o niczym takim nie myślał. Po prostu wspominał olbrzymiego rycerza, który zwyciężył samego Jeźdźca Nocy, a który zginął tak głupio i dziwnie - z ręki przyjaciela. A Lawinia po prostu zerkała na swojego tłuściocha z miłością.

Takiego spojrzenia raczej nie można zagrać, przeleciało przez głowę śledczemu; lecz jak to się stało, że taka piękność zakochała się w odrażającym, dychawicznym, spoconym, tłustym wieprzu? Gwido z obrzydzeniem spojrzał na Terenca i w tej właśnie chwili grubas odchrząknął i z triumfalnym uśmiechem zwrócił się do gości:

- Ha! Teraz znów jestem wolny! Mogę mówić! - zaczął ochryłym od długiego milczenia głosem. - Lawinio! Ciesz się razem ze mną!

- Poczekaj, mój miły - Gwido podniósł rękę. - Jeśli nie masz nic przeciw temu, odłóż na krótko swą radość. Chcemy, żebyś odpowiedział na pewne pytania...

- Sam wiem - bez żenady przerwał mu Terenco. - Byłem niemy, ale nie głuchy. Serwusa po wieczornym posiłku nie widziałem, ale za to słyszałem ... - wieloznacznie popatrzył na obecnych i upewnił się o ich niekłamanym zainteresowaniu. - Spróchniały pień rozmawiał z nim przed północą.

- Spróchniały... Czyli Zair Szach? - domyślił się Gwido.

- Jasne, że tak! O czym szeptali, nie mogę powiedzieć, bo nie wiem. Słów nie zrozumiałem, ale kłócili się, właśnie, kłócili. Stary grzyb astrolog syczał jak rozwścieczona kobra, a Servus odpowiadał krótko i gniewnie, jakby odrzucał propozycję.

- To znaczy, że Leonardas naprawdę słyszał jego głos... - w zadumie mruknął Benino.

- Oczywiście, że słyszał. Tylko, zakuta pała, pokręcił wszystko. Stary nie śpiewał i nie modlił się, lecz żądał czegoś od rycerza.

- A czego?

- Skąd mam wiedzieć? Przecież mówiłem, że słów nie zrozumiałem.

- Uważam, Gwido, że powinniśmy ponownie porozmawiać z Zair Szachem - mruknął filozof, któremu nie chciało się trudzić, by obraz morderstwa Serwusa przedstawić w konkretnych szczegółach, tym bardziej, że wyobraźnia pracowała mu doskonale.

- Ja powinienem - uściślił śledczy. - Muszę rozmówić się z nim jeszcze raz. A ty, drogi Benino, zajmij się poszukiwaniami... Luma i zaginionego magicznego rubinu.

- Dobrze - łatwo zgodził się Benino. - Terenco, czy masz nam jeszcze coś do zakomunikowania?

- Nie mam. Teraz pójdę do siebie, żeby głośno porozmawiać z dwojgiem ludzi, których kocham nad życie - ze sobą i z Lawinią.

Terenco z trudem wydostał się zza stołu, chwycił za rękę Lawinię i oddalili się na górę.

Teraz w sali jadalnej zostało czterech gości: Marshall, bracia Brassowie i mały śledczy.

- Jak myślisz, Benino - cicho zapytał Gwido - dlaczego Serwus powiedział wszystkim, gdzie jest ukryty kuferek z Lalem Bogini Losów?

- Nie wiem - wzruszył ramionami filozof. - Może podejrzewał, że ktoś chce ukraść kamień i postanowił tam urządzić zasadzkę - no wiesz, żeby złapać złodzieja?

- To prawdopodobne.

- To pewne - uściślił Shemita. - A po co jeszcze?

- Szkoda, że nie było mnie na tamtej kolacji - westchnął Gwido. - A tak chciałem usłyszeć historię o Bogini Losów...

- Mogę ci opowiedzieć - uśmiechnął się Marshall. - Niewielki to trud.

- O, to by było znakomicie!

- Więc słuchaj uważnie. Jeszcze przed Wielką Katastrofą na miejscu obecnej Brythunii były tylko stożki wulkaniczne, wąwozy, kamienie, gdzieniegdzie bagna, lecz ani trawa, ani krzewy, ani tym bardziej drzewa tam nie rosły. Tak głoszą legendy, a ja ci jedną przekażę. Żyło tam kilka plemion - dzikich ludzi, którzy polowali na zwierzęta i nimi się żywili. Więcej o nich nie ma co mówić... Aż pewnego razu na niebie pojawił się znak: straszna błyskawica waliła w ziemię nie mniej niż pół setki razy, a ostatni raz uderzyła w chatę starej czarownicy. Oczywiście chata w okamgnieniu spaliła się do cna. Na drugi dzień z garści mokrego popiołu wyrosło drzewo tak piękne, że wszystkie plemiona zebrały się wokół niego i tak siedziały bez mała miesiąc, z rzadka tylko odchodząc, żeby zdobyć pożywienie. Pod koniec tego miesiąca na drzewie wyrosły dwa owoce, podobne do pomarańcz, okazałe, aromatyczne, jaskrawe tym bardziej, że w tych okolicach w ogóle żywych barw nie było - panowała tam wszechobecna szarość. Jeden owoc był żółty, a drugi czerwony. Pod wieczór otworzyły się i wyszły z nich dwie dziewczyny. Ta, która wyszła z żółtego, była jasnowłosa i niebieskooka, delikatna, zgrabna i śliczna jak kwiatek. Druga, która wyszła z czerwonego, też była piękna, ale włosy i oczy miała czarne, figurę gibką jak pantera, głowę dumnie osadzoną i sprężysty chód. I wtedy znów mignęła błyskawica. Przeszyła na wylot obie dziewczyny, zmuszając nieszczęsnych dzikusów do ucieczki w popłochu. Kiedy wszystko ucichło i ludzie ośmielili się spojrzeć, zobaczyli, że z dwóch piękności została jedna... Która, Gwido?

- Czarnowłosa?

- Nie!

- Blondynka?

- Nie.

- To która? — mały śledczy zdziwił się bezgranicznie.

- Obie! - triumfalnie wykrzyknął Marshall. - Połączyły się w jedną - niebieskooką i czarnowłosą ślicznotkę o subtelnym spojrzeniu, śmiałych i energicznych ruchach. I to była Wieczna Dziewica - Bogini Losów. W jej ręku czerwonym ogniem połyskiwał wspaniały duży Lal, który oświeślał migocącym blaskiem tępe twarze dzikusów. Dziewczyna ogarnęła wzrokiem okolicę i wtedy z ziemi wyszły kielki, z których wyrosły drzewa, krzewy, trawa...

- A potem? - Gwido zażądał dalszego ciągu, widząc, że Marshall uśmiecha się do swoich myśli.

- Potem? Odeszła w niewiadomym kierunku...

- To wszystko? - Gwido nie krył rozczarowania.

- No nie - zaśmiał się Shemita. - Potem była widziana w Asgardzie, w Aquilonii i w Ophirze, w Khitaju i w Vendhii. Jednak wtedy nie miała już ognistego Lala. Nikt nie wie, w jaki sposób go utraciła, a teraz jest własnością Serwusa Narota.

- Już nie... - ponuro zauważył Benino.

- Już nie... - zgodził się Marshall. - To tyle o Bogini Losów. Powiadają, że ona obchodzi cały świat, tu i ówdzie zatrzymując się, aby przać nić ludzkich losów. Uprzedzie cały kłęb, powiedzmy w Aquilonii, rzuci na ziemię, kłęb się rozsypie, ale los Aquilończyków - każdego z nich - już będzie przesądzony na pół setki lat naprzód. Następnie pójdzie do Zingary i tam robi to samo... I co, spodobała ci się legenda?

- Tak sobie - Gwido uśmiechnął się. - Ten Lal naprawdę ma właściwości magiczne?

- Uwierz mi. - Marshall popatrzył gniewnie prosto w okrągłe zielone oczy młodszego z Demetriosów. - Nie na próżno Serwus zapłacił za niego życiem. Między nami mówiąc, sam Lal kosztuje nie więcej niż ta czarna perła czy granat Czerwony Ojciec. Znacznie droższa jest jego cudotwórcza siła! Niech tam sobie spełnia tylko jedno życzenie, ale za to jakie! Możesz całkowicie zmienić swój los - choćby z nędzarza stać się królem! Żaden mag nie potrafi zrobić czegoś podobnego.

- A jeśli jestem zadowolony ze swego życia?

Marshall oniemiał ze zdziwienia.

- Zadowolony? Jak to?

- Po prostu. Zadowolony i to wszystko. - Gwido zaśmiał się. - Lubię swoje miasto i rodzinę. Podoba mi się mój wygląd i moje zdrowie... Nie, dla siebie niczego bym nie chciał. Najwyżej wyleczyć i odmłodzić ojca albo odnaleźć Luma.

- Eee, chłopcze, nie uda się. Lal Bogini Losów zmienia tylko twój los! Jeśli zamyślisz zażądać złota - nie da ci ani miedziaka; jeśli zechcesz poprosić o zdrowie dla ojca - nie wyleczy nawet z kaszlu. Jeśli powiesz: „Chcę żyć dwieście lat” - będziesz żyć dokładnie tyle.

- Nie chcę - pokręcił smutno głową mały śledczy. - W zupełności wystarczy sześćdziesiąt...

- Eee, to mało. Ja niedługo będę miał sześćdziesiąt, a jeszcze jestem w pełni sił i oczekiwań. Czy ty wiesz, jak chce się żyć, gdy siwieją włosy i zmarszczki żłobią skórę? Czy wiesz, ile ma się w głowie myśli o przyszłości i o przeszłości, ile...

- Dlaczego więc Serwus Narot nie poprosił o długie życie dla siebie?

- Skąd miał wiedzieć, że go ktoś zabije?

- Wiedział - rzekł filozof. - Dobrze wiedział.

VII. BRZEMIEŃ PODEJRZEŃ

Gwido uśmiechnął się niedowierzająco.

- Jak to wiedział? Co cię naprowadziło na taką myśl?

- Nic. Nawet do głowy by mi coś podobnego nie przyszło. Serwus sam mi powiedział.

- Kiedy?

- Nocą przed morderstwem. Przyszedł do mojego pokoju zaniepokojony, pobladły...

Benino opowiedział o wszystkim, co usłyszał od rycerza.

- No, nooo! - przeciągnął Marshall, nie próbując ukryć zdumienia. - To znaczy, starszek Serwus podejrzewał nas wszystkich? O, ja głupi! I co mnie napadło, żeby przyjechać tutaj? Przecież nie chciałem, przysięgam na sterczącą pierś Ishtar, pani naszej. Nie chciałem,

naprawdę!

- To po coś przyjechał? - grubiańsko zapytał filozof.

- List dostałem. „Nie ociągaj się - pisał do mnie Serwus. - Jestem gotów zaproponować ci taką rzecz, jakiej w życiu nie widziałeś!” Co to za rzecz? - pomyślałem, rzuciłem wszystko i pojechałem.

- I co to było?

- Do licha! Waza z jednolitego różowego agatu! Na co mi ona? Sam mam z tuzin podobnych.

- Nic nie rozumiem... - Gwido, stropiony, popatrzył na gości. - Lumo mówił, że czcigodny Serwus napisał do wuja, że sprzeda mu coś niebywałego. Wuj ucieszył się i posłał nas tutaj. A kiedy przyjechaliśmy, rycerz pokazał nam kolet wyszywany szafirami i drobnymi brylantami i niczego więcej nie zaproponował...

- Cieekaaawe... - filozof rozciągnął głoski, w głębi duszy niezadowolony z takiego zachowania najlepszego przyjaciela. - To znaczy, że ściągnął tutaj was wszystkich, uciekając się do oszustwa? Nie zdziwię się, jeśli Zair Szachowi zamiast „niesamowitego skarbu” próbował podsunąć złote jabłko lub inną podobną drobnostkę.

- To wszystko jeszcze raz potwierdza twoją opowieść, Benino - powiedział Gwido z uśmiechem. - On rzeczywiście postanowił zebrać razem wszystkich, na których padło jego podejrzenie, nic w tym dziwnego. I tak się zresztą nie ustrzegł. Jak mawiają, uprzedzony o niebezpieczeństwie jest jakby uratowany... A on dostał cios w plecy nocą, kiedy każdy strzeże się podwójnie! No, nic... chodźmy odpocząć, przyjaciele. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, to był ciężki dzień... Już dawno zapadł zmierzch.

Peppo, gdy tylko wstał, poczuł, że rzeczywiście jest zmęczony. Wziął brata pod rękę, zawisł na nim i tak dobrnął do swojego pokoju. A tam Benino położył go do łóżka i przykrył. Po kilku chwilach młodzieniec już spał.

Przebudzenie nie należało do przyjemnych. Dziki krzyk, podobny do tego, jaki wydał Lambert, gdy znalazł swojego pana martwego, rozległ się przed samym porannym posiłkiem.

Peppo skoczył na równe nogi, truchlejąc na myśl, że to jego brat mógłby okazać się kolejną ofiarą mordercy. Wybiegł na korytarz, gdzie znalazł Leonardasa, który gdacząc jak przestraszona kwoka, miotał się i klaskał w dłonie.

- Co się stało? - krzyknął Peppo, przycinając mu drogę.

- Nie wiem! - histerycznie pisał w odpowiedzi Ophirczyk. - Ktoś krzyczał. Już dłużej nie mogę! Wyjadę! Wyjadę!

Chłopak splunął i podążył na dół w nadziei na spotkanie kogoś zdrowo myślącego. Znalazł tylko Marshalla. Z nieobecny wyrazem twarzy popijał wino ze srebrnego puchara i, zdaje się, niczego nie słyszał. On jeden nie udał się na spoczynek, lecz przesiedział w sali jadalnej od świtu do świtu, najpierw z wszystkimi gośćmi, a potem sam.

- Słyszałeś? - krzyknął do niego Peppo, drżąc z przerażenia.

- Co? - melancholijnie zapytał Shemita. Chłopak nie odpowiedział, odwrócił się i popędził znów na górę. Na schodach zderzył się z Beninem, który mknął jak strzała. Gdy zobaczył Peppę, w jego oczach zapłonęła radość. Chwycił brata oburącz i tak mocno przycisnął do siebie, że o mało go nie udusił.

- Mój chłopcze! - krzyknął falsetem. - Gdzieś ty był? Odwiedziłem twój pokój i dziesięć innych! Szukałem cię!

- I ja cię szukałem! - wymruczał Peppo stłumionym głosem w kłapy jego kurtki. - Tam ktoś krzyczał, przestraszyłem się i pobiegłem...

- Ach, jaki wzruszający obrazek! - szyderczo zaskrzeczał za plecami filozofa Zair Szach. - Wprost przykro patrzeć.

- To nie patrz! - Nie pierwszy raz w tym domu Benino pozwalał sobie na grubiaństwo.

Pewnie już czuł się tu panem. - Idź na dół, zaraz znajdę Gwida...

- A po co? - parsknął niezadowolony starzec.

- Zobaczymy, po co - mglście odpowiedział filozof, ciągnąc za sobą brata.

Spotkali Gwida w jednym z bocznych korytarzy. Był tak blady jak wtedy, gdy znalazł ciało Serwusa Narota.

- Słyszałeś krzyki? - zapytał go filozof.

- Gdzieś w prawym skrzydle domu.

- Słyszałem i... widziałem - ponuro odpowiedział mały śledczy. - Terenco zabity.

- Co?! - razem wykrzyknęli bracia Brassowie, cofając się mimowolnie.

- To Lawinia krzyczała... Usnęli oboje, a obudziła się tylko ona. Terenco leżał obok, lecz był jak najbardziej martwy: gardło miał poderżnięte od ucha do ucha.

- A... broń? - Filozofowi zaschło w gardle i teraz skrzypiał jak nie naoliwiony wóz.

- Kindżał... mój...

Gwido też mówił z trudem i Peppo doskonale rozumiał jego uczucia. Najpierw rycerz zakłuty kindżałem Lumo Demetriosia, a teraz Terenco zarżnięty kindżałem Gwida Demetriosia. To wszystko było bardzo dziwne.

- Wszystko to jest bardzo dziwne... - powiedział na głos. Benino uważnie zajął w błądą twarz małego śledczego, nagle dostrzegając jej nieprzyjemne cechy: chytre oczy umykające w bok, spojrzenie jak u człowieka z nieczystymi zamiarami, zbyt zadarty nos, piegi... No, czy mężczyzna honoru może mieć piegi?

Filozof rozumiał, że jest niesprawiedliwy, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Tak, to wszystko jest bardzo dziwne - powtórzył z naciskiem, chowając brata za swoimi plecami.

- Pomyśl, Benino. - Gwido błagalnie patrzył filozofowi w oczy. Jego spojrzenie nigdzie już nie uciekało, było teraz proste i szczere. - Pomyśl, po co miałbym zostawiać kindżał w pokoju, gdzie dopiero co zabiłem człowieka? Zabrałbym go i schował albo wyrzucił...

- Jesteś przebiegły - odwracając się powiedział Benino. - Kto cię tam wie...

- On nie jest winny, Benino - wstawił się Peppo. - Morderca specjalnie podrzucił jego kindżał do pokoju Terenca.

- Milcz! - surowo pohamował go brat. - Idź do siebie, zamknij się na zasuwę i nikogo nie wpuszczaj. Przyjdę później.

Młodzieniec z wyrzutem popatrzył na Benina, lecz nie przeciwstawił się - byłoby to bezcelowe, bo bardziej uparty od obstającego przy swoim filozofa mógł być tylko rozdrażniony osioł.

Peppo zniknął za drzwiami swojego pokoju, dokąd odprowadzili go Benino z Gwidem, którzy następnie poszli uspokajać Lawinię, bo uznali (według słów młodszego Demetriosia), że nie uspokoi jej głupkowaty Leonardas. Tak też było. Obok zwłok grubasa, unurzana w jego krwi, siedziała dziewczyna, a Ophirczyk usadowił się prawie na jej kolanach. Zdaje się, że to ona próbowała go pocieszać, a głupek łkał na cały głos i pokwikał, że nigdy więcej nie wyjedzie z ojczystego Ophiru, żeby nie wiadomo czym go wabili. Przysięgał, że tanio sprzeda całą swoją kolekcję, a jeszcze lepiej oddają pierwszemu napotkanemu nędzarzowi, żeby tylko nie musieć bać się przez całe życie, które niewątpliwie jest cenniejsze od wszystkich kamieni szlachetnych i złotych błyskotek.

- Bądź dzielny, Leonardasie - powtarzała Lawinia, sama ledwie żywa. - Weź się w garść, proszę.

Benino bez zbędnych ceregieli chwycił chudego Ophirczyka za kołnierz i wyrzucił za drzwi, z zadowoleniem zauważając ulgę na pięknej twarzy dziewczyny. Na korytarzu przycisnął go do ściany i wycodził przez zęby:

- Ty mieszańcu, zapamiętaj: zachowuj się przyzwoicie, bo jak nie, to ci kark skręcę, zającze serce. Do pokoju!

- Czyjego? - stęknął Leonardas.
- Swojego, głupcze!

Benino kopniakiem odesłał Ophirczyka w odpowiednim kierunku i wrócił do Lawinii, która leżała w poprzek szerokiego małżeńskiego łóża i nie dawała żadnych oznak życia. Nad nią pochylony stał Gwido i gorliwie wymachiwał cienkimi rączkami. Filozof znowu zrobił się czujny: zaledwie kilka chwil temu widział ją całą i przytomną, a teraz... Czy aby ten podejrzany typ nie wykorzystał chwili, by poderżnąć i jej gardło?

- Pomóż! - powiedział Gwido, kiedy zobaczył wchodzącego Benina. - Gdy tylko wyszłście, straciła przytomność.

Filozof zawstydzził się swoich myśli. Podszedł do niskiego, jak w pokoju Serwusa Narota, stolika, wziął butlę z winem, wylał kroplę czerwonego, aromatycznego płynu na dłoń i zaczął nacierać skronie kobiety. Po pewnym czasie Lawinia przysła do siebie.

Gwido, niby kochający brat, przykucnął przed nią, zajął jej w twarz i powiedział:

- Tak mi ciebie żal... Jak mogło zdarzyć się coś tak okropnego? Czy słyszałaś cokolwiek?

- Nic a nic - dziewczyna pokręciła głową. - Spałam. Śnił mi się złoty smok...

- Złoty smok? - Gwido aż powstał. - Co to znaczy?

- Nic nie znaczy - jęknął Benino, czując ukłucie zazdrości. - Jest taki gobelin w skarbcu Serwusa. Złoty smok na tle błękitnego nieba, a pod nim, na ziemi, płonie pożar.

- Aha - odrzekł rozczarowany śledczy. - Może we śnie coś cię zaniepokoiło?

- Nic, tylko nagle... - wyciągnęła białą, wypielegnowaną dłoń, - zrobiło mi się zimno w rękę. Śniło mi się, że pędzę wierzchem na złotym smoku. Odwróciłam się na drugi bok i wsunęłam dłoń pod Terenca. On zawsze był taki gorący...

Wargi Lawinii zadrżały, czubek nosa poczerwieniał, a piękne błękitne oczy napełniły się łzami. Filozof patrzył na nią z żalem, myślał jednak o czymś innym: poczuła chłód na ręku z powodu przeciągu - prawdopodobnie właśnie wtedy do pokoju wszedł morderca.

- Dość, dość, moja śliczna. - Gwido westchnął tak ciężko, jak gdyby Terenco był dla niego najdroższą osobą na świecie. - Takie zmartwienie! Niepowetowana strata!

Po Serwusie tak nie rozpaczaleś, że złością pomyślał Benino i odwrócił się. Znowu opadły go podejrzenia. Dziwny mu się wydał udział Gwida we wszystkich ostatnich wypadkach.

- Chodźmy - Gwido wziął dziewczynę za rękę. - Odprowadzę cię do Lamberta, on ma zdaje się spokoziół. Dobra rzecz!

Filozof jakoś sobie nie przypominał, żeby Lambert mówił coś o spokoziolu. A kiedyż to Demetrios zdążył z nim porozmawiać?

- Benino! Idź na razie do mojego pokoju, poczekaj tam na mnie - dodał Gwido.

- A to czemu? - ponuro mruknął filozof.

- Tak trzeba - tajemniczo i krótko odpowiedział Gwido i pociągnął za sobą Lawinię.

Benino siedział w pokoju Gwida, w którym ściany były obite gładką zieloną tkaniną, łączoną różową taśmą. Cóż, ten nieszczęśnik Serwus nigdy nie wyróżniał się subtelnym smakiem. Rozumiał wyłącznie piękno drogocennych kamieni.

Benino wspominał, jak spotkał go po przyjeździe - w nocnej koszuli, bosonogiego, rozczochranego - i uśmiechnął się. A wkrótce potem ujrzał ciało pozbawione życia, rozciągnięte na luksusowym łóżu, z nożem w potężnych plecach. Oczy Benina zwilgotniały.

Dlaczego Serwus nie zdołał się ustrzec? Gwido ma rację: wiedząc o niebezpieczeństwie, powinien był zachować ostrożność w każdej chwili; on jednak pozwolił wbić sobie kinał w plecy i całkowicie zrezygnował z oporu.

Benino nagle poczuł złość. Przeklęty morderca zbyt łatwo się wymigał. Ciężka ręka rycerza nawet go nie dotknęła. Jak dobrze byłoby wiedzieć, kim jest ten tajemniczy zbrodniarz, spojrzeć w jego bezczelne oczy - oczy zdrajcy - i rozkwasić mu jego obmierzły nos...

Filozof aż się wzdrygnął, tak wyraziście przedstawił sobie sylwetkę bez twarzy; ręce się napreżyły, dłonie zwinęły w pięści. Jego subtelny, wytworny wygląd niejednego wprowadził w błąd. Bodaj tylko Serwus i jego bliscy wiedzieli, ile siły kryje się w tym gibkim ciele...

- Już jestem - rześko oznajmił Gwido, zjawiając się w drzwiach. - Widziałeś?

- Co miałem wiedzieć?

- A to. Ktoś podsunął pod drzwi rano.

Mały detektyw wyciągnął rękę i podniósł ze stolika strzep papirusu, na którym ładnymi literami po aquilońsku napisano: „Serwusa zabił Shemita. Obejrzyj jego but”.

- Jaki but? - nie zrozumiał Benino.

- Zwyczajny.

- Jak obejrzymy, jeśli ma go na nodze?

- Nie, nie na nodze. Kiedy przyjechał, to go zdjął. To jest, zdjął oba buty, a w jednym...

W jednym było o, to...

Gwido uchylił poję kurtki (filozof zauważył pod spodem mnóstwo kieszeni), poszperał i wyłowił... czarną perłę! Tę, która jeszcze wczoraj najspokojniej spoczywała w swoim futerale, a ten - w skarbcu Serwusa Narota.

- Ach, niegodziwiec... - zamruczał Benino. - Ściągnął czarną perłę! Co za kanalia!

- To jeszcze nie wszystko - zakomunikował Gwido tak radośnie, jakby oprócz perły w bucie Shemity leżał sam morderca rycerza i Aquilończyka.

Znów włożył ręką pod kurtkę i wyciągnął... Tym razem Benino poczuł się jak porażony.

Na dłoni małego śledczego leżał kindżał - jego własny, który zawsze zabierał w podróż, tak na wszelki wypadek.

- O, Mitro... - zajęczał filozof. - Mieszaniec zamierza zarznąć kogoś moim kindżałem...

- Właśnie! - zwycięsko wykrzyknął Gwido. - I musimy mu przeszkodzić, póki nie jest za późno.

- Słuchaj no, Gwido - ostrożnie rzekł Benino. - Jesteś pewien, że to on?

- Marshall? Nie, przeciwnie. Jestem przekonany, że to nie on. Marshall jedynie ukradł perłę. Zabójcą jest ktoś inny.

- Kto?

- Ten, kto napisał ten oto liścik.

- Wybacz, ale wydaje mi się, że jego autorem jest Lumo...

- Nie. - Wyblakłe brwi małego Gwida złączyły się u nasady nosa. - To nie Lumo. Wiesz, wstyd mi się przyznać, ale mój biedny krewny w ogóle nie umiał pisać. Czytał trochę, ale tylko po nemedysku. A to jest napisane alfabetem aquilońskim, i to wyrobionym charakterem ... Nie, to nie Lumo.

- W takim razie gdzie on jest?

Gwido milczał, co bardzo zdziwiło filozofa. Zwykle mały człowieczek był rozmowny i uprzejmy, a teraz odwrócił się i nie zamierzał odpowiadać.

- Cóż, jak będziesz chciał, to powiesz. - Benino z łatwością rozstrzygnął problem. - A teraz musimy zejść na dół. Marshall tam na nas czeka i Zair Szach również. Ale, ale! Co myślisz o Zair Szachu? Według mnie, lepszemu mordercy nie znajdziemy.

- Trzeba się zastanowić - powiedział Gwido, odwracając się do filozofa. Docenił jego takt. - Naprzód!

Benino schodził po schodach za małym detektywem i myślał, że chyba podoba się mu dowodzenie. Tutaj dopiero poczuł się na swoim miejscu. Przecież gdyby nic się nie stało, gdyby nie dwa morderstwa jedno po drugim, kto by zwrócił uwagę na adoptowanego syna Gaja Demetriosą? Teraz był on główną postacią: do niego zwracano się o pomoc i radę, na je-

go pytania odpowiadano (niepotrzebnie bał się, że goście nie potraktują go poważnie i będzie potrzebna pomoc filozofa - starego znajomego wszystkich przyjaciół Serwusa Narota), jego opinię ceniono. W przeciwnym razie nie jemu, a Beninowi przysłano by ten strzęp papirusu.

Nagle Benina coś tknęło. Skąd ma wiedzieć, że papirus rzeczywiście podrzuciono? Czy nie sam sprytny Gwido naskrobał ten list? Podejrzenia z nową siłą wybuchły w duszy filozofa. Wspomniał czarną perłę i swój kindżał. Dziwny komplet! Dlaczego więc w butcie nie było kamienia Bogini Losów? Ano dlatego, że Gwido jest jedyną osobą w tym domu, która kompletnie nie zna się na drogocennych kamieniach. Lal nie jest mu potrzebny - bliższa jego sercu jest czarna perła... I tu Benino całkiem się pogubił.

Jeśli nawet małemu tak się spodobała czarna perła, to dlaczego włożył ją do buta Marshalla i jeszcze napisał o tym list do siebie? Czy nie prościej było włożyć ją do własnego buta? I po co pokazywał ją Beninowi?

Nie, Gwido w żaden sposób nie pasuje do schematu zbrodni. Trzeba szukać innego mordercy. Filozofowi ogólnie spodobał się pomysł z Zair Szachem. Ten stary astrolog jest tak odrażający, że świetnie nadaje się do lochu, a potem pod topór. A na dodatek już swoje przeżył.

Na tej myśli Benino przerwał, bo weszli do sali jadalnej. Był tu już Leonardas zapłakany i drżący, Marshall z kamiennym spokojem i lekkim uśmiechem na smagłej twarzy; zdenerwowany Peppo, Lawinia blada i jeszcze piękniejsza niż przedtem oraz Zair Szach, jak zwykle zły i jeszcze paskudniejszy.

Lambert postawił na stole półmisek z marynowaną rybą i natychmiast odszedł. Nie czuł się na siłach przebywać w towarzystwie, w którym nigdy już nie pojawi się jego pan.

Siadając, Benino nie omieszkiał pokręcić głową z wyrzutem, wskutek czego Peppo poczerwieniał i spuścił oczy: nie posłuchał brata i nie siedział w swoim pokoju czekając na niego. Filozof zresztą świetnie rozumiał chłopaka - było mu straszno samemu, więc zszedł na dół, do ludzi.

- Rad jestem widzieć was w pełnym zdrowiu, przyjaciele. - Głos Gwida znów był poważny i smutny. - Nie ma już z nami nie tylko Serwusa, ale i Terenca. Płacz, Lawinio, płacz. Połowa zmartwienia odchodzi ze łzami, a druga połowa zostaje w duszy na zawsze.

Interesująca myśl. - Filozof pod stołem trącił kolaniem nogą brata - Peppo jest sprytny i ma doskonałą pamięć. Zrozumie, o co chodzi Beninowi, zapamięta i potem przekaże w odpowiednim czasie.

- Teraz powinniśmy zjednoczyć wysiłki - ciągnął Gwido - żeby znaleźć mordercę. Proszę, przyjaciele, zaufajcie mi. Chcę... o, tak trudno to powiedzieć. Udziel mi poparcia, Benino, stary druha.

- Udzielam. - Filozof skinął głową, nadzwyczaj zadowolony, że nazwano go druham.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny - ceremonialnie skłonił się Gwido. - Tak więc, mając poparcie mojego druha Benina - spryciarz natychmiast zauważył, że filozofowi spodobał się ten zwrot, więc nie omieszkiał go powtórzyć - proszę, byście mi zaufali i pozwolili obejrzeć wasze pokoje.

- Co? - Benino zakrzuszył się kawałeczkiem łososa. - Jeszcze czego! Nie wpuszczę!

- Przecież udzieliłeś mi poparcia - zjadliwie zachichotał Zair Szach.

- Skąd miałem wiedzieć, czego chce? - mruknął w odpowiedzi filozof. - Nie złość się, Gwido, ale to istna głupota oglądać cudze pokoje. Czy sądzisz, że morderca chowa się w naszych workach podróżnych?

- Albo w butach? - z uśmiechem zapytał Marshall. Benino z przerażeniem popatrzył na niego i przeniósł bezbronne spojrzenie na Gwida.

- Nie - powiedział mały detektyw. - Morderca nie jest mi potrzebny. I wasze buty też nie. Będę szukał czegoś innego.

- Czego?

- Lala Bogini Losów.

VIII. BENINO ZŁOŚCI SIĘ

Benino zaśmiał się pogardliwie.

- A gdzie masz zamiar go znaleźć? Czy aby nie w moim pokoju?

- Tego wiedzieć nie mogę, przyjacielu. Możliwe, że ktoś go podrzucił tobie, a najpewniej w ogóle nigdzie nie znajduję.

- To ostatnie wydaje mi się sensowne - westchnął filozof. - Jeśli Lal Bogini Losów znikła, to znikła raz na zawsze.

- Masz rację - potwierdził Marshall. — Legendy głoszą, że jako pierwszy miał go król palandyjski... było takie państwo na południowym wschodzie, Palandia się nazywało... Tak więc w chwili, gdy pobożny król mówił Lalowi swoje życzenie, w plecy wbito mu zatrutą strzałę. Biedaczysko umarł na miejscu. Paź Aloaniusz wyrwał skarb z jego stygnących rąk, skoczył na konia i tyle go widzieli. Potem pazia na drodze pojмали zbójcy i powiesili, a Lala, oczywiście, zabrali. Nie mieli jednak pojęcia o magicznej mocy kamienia, więc wymienili go na statek, całkowicie wyposażony i wyładowany złotem. Kupiec, który bez namysłu oddał statek za Lala, doskonale wiedział o jego właściwościach i dlatego nie zwlekając przemienił swój los. Może słyszałeś, Gwido, o pokutniku bożym Hieronimie? To on był tym kupcem. Marzył o wycofaniu się już dawno, ale wrodzona chciwość nie pozwalała. Wyobraź sobie takie zderzenie dwóch sił w duszy jednego człowieka: dobroć i pobożność przeciwko obłąkańczej chciwości. Kamień Bogini Losów pomógł lepszemu pokonać gorsze i w rezultacie nasz kupiec odszedł w góry, gdzie żył do późnej starości, szanowany i kochany przez wszystkich. Umierając mówił, że nigdy nie był tak szczęśliwy, jak przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Sam rozumiesz, że przy takim trybie życia były kupiec nieszczególnie dbał o swój skarb. Jeszcze podczas podróży w góry jakiś człowiek w oberży ukradł mu magiczny rubin...

- Nudzisz! - zaskrzeczał złośliwy staruch Zair Szach. - Wszyscy znają tę historię, Marshallu. Nie odciągaj uwagi Gwida od ważnych spraw.

- Nie, nie - uśmiechnął się Gwido. - Ciekawi mnie ta opowieść. Doprawdy, ojciec nigdy nie rozpieszczał mnie bajkami.

- To nie bajka - obraził się Marshall. - To prawda. No, przecież widziałeś Lala.

- Skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście ma takie zadziwiające właściwości?

- Ma! - krzyknął Shemita, tracąc cierpliwość. - Mówię ci, że ma!

- Tak, Gwido, Marshall ma rację - wstawił się Benino. - Lal Bogini Losów rzeczywiście dokonuje cudów. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy wrócić do naszej sprawy.

- Pozwolicie mi więc obejrzeć wasze pokoje?

- Oglądaj sobie, oglądaj - machnął ręką filozof. - Możesz zacząć od mojego.

Oględziny pokoiów oczywiście niczego nie dały. Gwido znalazł mnóstwo interesujących rzeczy - na przykład w worku podróżnym Leonardasa spoczywał Czerwony Ojciec - granat gwałtem wyciągnięty z futerału przez złodzieja, a u wezglowia łoża Zaira Szacha natrafił na woreczek z turmalinami - ale Lala Bogini Losów nigdzie nie było.

Benino zdenerwował się nie na żarty: nigdy by nie przypuszczał, że większość gości jego przyjaciela ma lepkie ręce. Jak to tak? Marshall ukradł czarną perłę, Zair Szach - całą garść turmalinów, a Leonardas - samego Czerwonego Ojca! Teraz nie zdziwiłby się, gdyby u Lawinii ujawniono ametyst lub różową perłę, też wcześniej należące do Serwusa Narota.

Gwido i Benino siedzieli w pokoju Zaira Szacha, rozwścieczonego do białości tym, że

zabrano mu turmaliny, i półgłosem debatowali, w jakim jeszcze miejscu w domu można było ukryć Lala. Wymieniali prawie wszystkie zakątki, a Lambert na ich prośbę chodził sprawdzać, ale niczego nie znalazł.

- Powiedz mi, Zair Szachu - Gwido zwrócił się grzecznie do syczącego z bezsilnej złości astrologa - o czym rozmawiałeś z naszym miłym gospodarzem w noc jego śmierci?

- Ja? - staruszek zrobił okrągłe oczy.

- Ty.

- Eee... - Po stracie turmalinów Zair Szach już niczego się nie lękał. - Tak, rozmawiałem z nim. I co z tego? Niegodziwy, oszukał mnie! W liście napisał, że chce po przystępnej cenie sprzedać mi diadem Ormazda - tak on się nazywa, bardzo droga rzecz. Rzuciłem wszystko i przyjechałem, a tu okazuje się, że się rozmyślił! Widzicie, rozmyślił się! Co za bezczelność! Całe życie marzyłem o diademie Ormazda, a on... on... ukradł moje marzenia!

- Zrozumiałem - pokiwał głową Gwido - zrozumiałem, mój drogi. I o tym rozmawiałeś z nim w nocy?

- A o czymże innym? - warknął wciąż jeszcze rozdrażniony wspomnieniami staruch.

- Bardzo dobrze.

- Co w tym dobrego? - Zair Szach złożył ręce na piersi i odwrócił się do ściany.

- Zatem Benino - Gwido zapomniał o staruszkach i znów zwrócił się do filozofa - zobaczmy, kto miał powód zabić Serwusa Narota. Po pierwsze... nie złość się, przyjacielu... ty, jego spadkobierca. Spróbuj być obiektywny: sam Serwus bez wątpienia zwałiby winę na ciebie. Po drugie - nasz miły Zair Szach.

- Cooo? - dotknięty do żywego astrolog zwrócił ku nim swoją paskudną fizjonomię.

- Serwus Narot oszukał cię i rzeczywiście postąpił brzydko. Prawdę rzekłszy, ja nie zabiłbym nikogo z tak nędznego powodu, lecz każdy postępuje po swojemu. Po trzecie - ten, któremu był potrzebny Lal Bogini Losów. Leonardas? Marshall? Nie wiem...

- Jasne - nadał się Benino. - Na pewno ja zabiłem Serwusa i grubasa.

- Nie obwiniam cię. Po prostu szukam, szukam na wszystkie możliwe sposoby.- Czyżbyś zapomniał, że właśnie z powodu kamienia zamierzano go zabić? Przecież opowiadałem ci historię o Fenidzie, krewnym Lamberta.

- Tak, oczywiście, ale w takich wypadkach jak nasz zawsze trzeba mieć kilka zapasowych wyjaśnień. Co tobie, Peppo?

Benino odwrócił się z niezadowoleniem. Na progu stał jego brat, mocno zdenerwowany i stropiony.

- Po co przyszedłeś? - ostro zapytał Benino.

- Zostaw go - podniósł rękę Gwido. - Chciałeś coś powiedzieć, chłopcze?

- Tak... - Peppo markotnie popatrzył na brata. - Lawinia zniknęła.

- Skąd wiesz? - Gwido wydawał się zdumiony. - Kto ci powiedział?

- Lambert. Prosiła go, żeby przyniósł do jej pokoju... do innego, nie tam, gdzie Terenco... trochę różowego wina. Lambert poszedł, a kiedy wrócił, Lawinii już nie było. Obszukał cały dom, potem ja mu pomogłem... Ona zniknęła.

- A w sadzie sprawdzaliście?

- Tak, oczywiście. Lambert najpierw tam szukał.

- Wspaniale! - wykrzyknął Gwido, wstając. - Chodź, Benino, weźmiemy udział w poszukiwaniach naszej ślicznotki.

Poszukiwania do niczego nie doprowadziły. Ani w domu, ani w sadzie Lawinii nie było.

Lambert, który znał tutaj każdy zakamarek, zajrzał wszędzie, lecz nie znalazł nawet śladu dziewczyny.

- Jak to możliwe? - powtarzał płaczącym głosem. - Co się tu dzieje? Żyliśmy sobie z moim panem, nikomu nie wadząc, a teraz morderstwa, kradzieże, porwania! Pewnie jasny Mitra gniewa się na nas...

- Porwanie? Nie, dobry staruszk - niewesoło uśmiechnął się Gwido. - Nasza piękność po prostu uciekła.

- Uciekła? - zdziwił się Peppo. - Dlaczego?

- Niedługo wszystkiego się dowiesz, chłopcze...

Benino był zły jak nigdy. Kiedy wrócił z sadu, nakrzyczał na biednego Peppę i kopniakiem odesłał go do pokoju. Następnie dostało się Gwidowi.

- Nie mieszaj mojego brata do tych brudnych spraw! - Filozof jak zwierzę w klatce miaotał się po sali jadalnej i ryczał. - Zajmij się lepiej tym odrażającym staruchem! - Tu pokazał na Zair Szacha, spokojnie siedzącego przy stole w oczekiwaniu na piwo i wyraźnie zaskoczono epitetem, jakim określił go tak zwykle spokojny filozof. - Zapytaj go, zapytaj, na jakiego Nergala ukradł turmaliny? Gdzie Lal Bogini Losów?

- Skąd mam wiedzieć? - Odrażający staruch parsknął, obrażony. - Ty, Benino, jesteś źle wychowany, jeśli oskarżasz mnie, znanego na całym świecie astrologa, o złodziejstwo.

- Turmaliny pewnie ci Erlik podrzucił albo jego prorok Tarim? A może gwiazdy zesłały z nieba? - szyderczo odparował Benino. - Do licha! Patrzę na was wszystkich wbrew sobie, złodziejskie plemię!

W jego wrzaskach czuło się urażone uczucia właściciela - w myślach już zawładnął spadkiem, więc teraz cały majątek Serwusa Narota uważał za swój. Przed Marshalllem nie potrafił widać ukryć swojego uczucia, bo kiedy filozof wściekał się i narzekał, ten wesoło chichotał w kułak i popijał wino. Przed nim stało już sześć pustych butelek i siódma napoczęta.

- A ty czego rechoczesz? - złażał go Benino. - Lepiej milcz. Ukradłeś czarną perłę? Ukradłeś?

- Uspokój się, przyjacielu - przemówił Gwido opiekuńczym tonem. - Wszystko będzie dobrze...

- Co będzie dobrze? Co w tym widzisz dobrego? - wybuchnął filozof. - Wszystkich zabił, a ty...

W końcu jego wściekłość wygasła. Jak worek mąki opadł na stołek i wytarł pot z czoła, a potem cicho zapytał Gwida:

- Dlaczego powiedziałeś „wspaniale”?

- Ja? Kiedy? - zdziwił się detektyw, wcale nie urażony inwektywami Benina.

- Kiedy dowiedziałeś się, że Lawinia zniknęła.

- Aha... - Gwido zastonił dłonią uśmiech samozadowolenia. - Cóż, to dlatego, że teraz już wszystko rozumiem.

- Rozumiesz? Co mianowicie?

- Wszystko. No, może nie do końca... - Lisia mordka młodszego z Demetriosów zasepiła się. - Wciąż nie wiem, gdzie jest Lal Bogini Losów.

- A Nergal z tym Lalem! - niechący wypalił Benino. - Opowiedz o mordercy. Kto to jest, wiesz już?

- Myślę, że tak — skromnie odpowiedział Gwido.

Filozof zamilkł. Nie wiedział, czy wierzyć temu przebiegłemu człowiekowi. Benina zmęczyła ta straszna historia: miał dość myślenia o niej, uczestniczenia w niej, mówienia wyłączenie o niej. Oświadczenie małego detektywa nie wywarło na nim oczekiwanego wrażenia. Wydawało mu się, że kiedy padnie imię mordercy, popatrzy na tego człowieka i... mimo wszystko nie uwierzy, że to on zrobił.

- Więc kim jest morderca?

- Cierpliwości, Benino. Powiem na pewno, tylko muszę przekonać się o tym ostatecznie.

Po tych słowach Gwido wyszedł z sali jadalnej prosto do sadu i wkrótce skrył się wśród pięknych owocowych drzew i krzewów obsypanych czerwonymi jagodami.

Wrócił ponury niczym chmura gradowa.

Benino przez ten czas posłał Lamberta po brata, żeby przyszedł na wieczorny posiłek, a służący z własnej inicjatywy wstąpił po Leonardasa. I tak zebrali się wszyscy pozostali przy życiu.

W twarzy Gwida teraz zdecydowanie nie było nic lisiego. Rysy zaostrzyły się, a w głębi błękitnych oczu przeblyskiwało jakieś dziwne uczucie, jakby ból. Odsunął taboret o trzy kroki od stołu, by w ten sposób oddzielić się od pozostałych, usiadł, skrzyżował ręce na piersiach i objął wszystkich bacznym spojrzeniem.

- Przejdźmy do naszej sprawy.

Beninowi wydawało się, że nawet głos Gwido miał zmieniony, lekko ochrypli.

- Czy możesz już nam powiedzieć imię mordercy?

- W moim śledztwie poszedłem drogą samego Serwusa Narota, to znaczy zacząłem podejrzewać wszystkich, ale nie naraz, lecz po kolei. Najpierw przez chwilę myślałem, że szlachetnego rycerza rzeczywiście zgładził Lumo Demetrios, lecz potem doszedłem do wniosku, że to nie on. Znam Luma od dzieciństwa i mogę was upewnić, że jest on dobrodusznym człowiekiem, chociaż takim dużym. Do Luma wrócimy nieco później. Drugim obiektem podejrzeń byłeś ty, Benino. Niech cię to nie dziwi, ale już wcześniej wiedziałem, że Serwus Narot ciebie nazaczył spadkobiercą. Chodzi o to, że testament podpisywał mój przybrany ojciec, znany wam wszystkim Gaj Demetrios, któremu bardzo się nie podobała decyzja rycerza, żeby cały majątek po jego śmierci przypadł tobie. A że nie kępował się i mówił o tym wystarczająco głośno, wszystko słyszałem. Następnie przymierzyłem do roli mordercy Leonardasa. Przeciw niemu miałem tylko jedno: skoro nie jest Ophirczykiem, to dlaczego podaje się za Ophirczyka? Kogo może niepokoić jego pochodzenie? Jest wśród nas Turańczyk Zair Szach i Shemita Marshall, i Nemedyczyk, czyli ja, i Aquilończycy - nieboszczyk Terenco i jego żona. No, ale fakt, że Leonardas nazywa siebie Ophirczykiem, chociaż nim nie jest w rzeczywistości, co jeszcze nie dowodzi jego udziału w zabójstwie rycerza. Zająłem się Marshalllem. Był dziwnie spokojny i wyraźnie nie interesował się postęпами śledztwa. Zazwyczaj ludzie są ciekawi, szczególnie gdy sprawa dotyczy jakiejś tajemnicy, i aktywnie uczestniczą w pracy śledczego, nawet bez propozycji z jego strony - tak jak Benino.

- Prosiłeś mnie o pomoc - zachmurzył się filozof.

- Tak, oczywiście, wybacz. Oprócz całkowitej obojętności nic nie wskazywało, że Marshall jest w jakikolwiek sposób zamieszany w naszą zbrodnię. Wtedy zająłem się Zair Szachem. Ten był wyjątkowo podejrzanym osobnikiem. Przemilczał, że widział Serwusa w noc morderstwa i nawet z nim rozmawiał, to raz! Był na korytarzu w czasie zabójstwa Terenca - dwa! Ukradł turmaliny - trzy! Zresztą, jak już wiecie, nie tylko Zair Szach okazał się złodziejem kosztowności ze skarbca rycerza. Marshall na przykład ukradł czarną perłę, Leonardas - Czerwonego Ojca, a Lawinia diadem Ormazda.

- Co? - pisał staruszek. - Mój diadem?

- Nie twój - zaznaczył Gwido - tylko Serwusa. Zapytacie, jak się dowiedziałem? Dogoniłem dziewczynę już u samych bram Lidii. Zamierzała się ukryć, lecz okazała się na tyle miła, że zatrzymała wóz i zgodziła się porozmawiać ze mną. Chętnie oddała zrabowaną rzecz, bo paliła ją w ręce. I nie z tej przyczyny nasza ślicznotka zdecydowała się na ucieczkę. Właściwie nieszczęsnego Terenca też podejrzewałem, i to dość poważnie, aż do czasu, gdy jego samego ktoś zarżnął. Tak więc gdy dotarłem do ostatniego gościa, poszedłem inną drogą, to znaczy zacząłem po jednym wyłączać tych, którzy w żaden sposób nie mogli dokonać zbrodni. W końcu zostało dwóch... Teraz jestem całkowicie pewien: jeden z nich jest mordercą.

Gwido przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. Lambert usłużnie podał mu puchar z winem. Mały detektyw popatrzył na niego z wdzięcznością i wypił parę haustów.

- Czym dysponowałem? - ciągnął dalej Gwido. - Listem. Oto on. Napisany po aquilońsku, wyrobionym charakterem: „Serwusa zabił Shemita. Obejrzyj jego but”. Nie denerwuj się

tak, Marshallu. Obejrzałem twój but i znalazłem czarną perłę oraz kindżał Benina Brassy. W tym czasie mało mnie już obchodziło, co znajdę w butach. Najważniejszy był sam list. Zrozumiałem, że ten, kto go napisał, jest poszukiwanym mordercą. Kto więc napisał list?

Wszyscy oprócz Luma władamy różnymi językami jako ludzie wykształceni. To znaczy, że autorem listu mógł być każdy. Nie pominąłem nawet samego Marshalla. I wreszcie... Pamiętajcie, że zostawiłem tylko dwóch podejrzanych, więc wśród nich trzeba było szukać tego, kto napisał list. Co jeszcze? Trzy kindżały: jeden mój - nim zarżnięto Terencę, jeden Luma - ten, którym zakłuto Serwusa, i jeden Benina. Tym nikogo nie zdążono zabić. Jeśli chodzi o mój kindżał, to wszystko jest jasne. Dobrze pamiętam, że wziął go ode mnie Lambert, kiedy niechcący zepsuł otwieracz do butelek. Potem widziałem, że staruszek położył kindżał na stole, a ja zapomniałem go zabrać. „Kto został w sali jadalnej?” - pomyślałem sobie, kiedy obok ciała Terencę znalazłem mój własny kindżał. I odpowiedziałem sobie: „Tam był Marshall”. Poszedłem i zapytałem go, czy może nie widział kogoś. Powiedział, że większość czasu przespał i oprócz Lamberta nikogo nie widział. Wtedy zwróciłem się do Lamberta... Cofnijmy się o dzień. Gdy zrozumiałem, że samemu trudno mi będzie wyjaśnić te zbrodnie, wysłałem list do moich dwóch pomocników w Chanumarze i zleciłem im pewne zadanie. Dziś rano otrzymałem odpowiedź. No i jeszcze jedno: znalazłem świadka, który może potwierdzić wszystko to, o czym wam właśnie opowiedziałem i jeszcze opowiem. Tak, teraz dobrze znam imię mordercy.

- Kto nim jest? — niecierpliwie zapytał Benino.

- Nasz spóźniony gość, domniemany Ophirczyk Leonardas.

- Jak śmiesz! - warknął Leonardas i aż podskoczył na krześle. - Nie zabiłem Serwusa! I Terencę też nie!

Gwido nic nie mówił i to milczenie jeszcze rozgrzewało atmosferę.

- Nie! Nie! To nie ja! - histerycznie wrzeszczał fałszywy Ophirczyk.

Benino, Peppo i Marshall patrzyli na niego zdumieni. Jeden Zair Szach zachowywał spokój. Począł na pauzę między krzykami oskarżonego, zaśmiał się i powiedział:

- Ja i tak wiedziałem, że wszystkich zarżnął ten robak.

Z rykiem dość mocnym jak na robaka Leonardas rzucił się na niego. Benino ledwo zdążył pochwycić go za połę kurtki i odciągnąć od starca. Bocianie nogi ugięły się i Leonardas wyjąc grzmotnął o ziemię.

- To nie ja! Nie ja! Nie ja!

- Owszem, ty! - Gwido surowo wskazał palcem na domniemanego Ophirczyka. - Właśnie ty i jest na to świadek!

- Świadek? - zdziwił się Benino. - Rzeczywiście, coś tam mówiłeś o świadku. Kto to taki?

- Serwus Narot! - triumfalnie obwieścił mały śledczy.

IX. IMIĘ MORDERCY

Gwido wyciągnął rękę i krzyknął:

- Lambert! Wezwij gospodarza!

- Tak jest, panie! - odkrzyknął stary sługa, który siedział na stołku w dalekim kącie sali i z zadowoleniem obserwował zdemaskowanie mordercy.

- Dopóki nasz dobry Lambert nie przyprowadzi czcigodnego Serwusa, opowiem wam, jak udało mi się odkryć, że jest cały i zdrowy. Marshallu, przytrzymajcie z Beninem tego

podłego człowieka, dla którego drogocenne świecidełko jest droższe od życia... cudzego, naturalnie.

Po raz pierwszy myśl o tym, że rycerz żyje, pojawiła się wtedy, kiedy pobiegłem ze swojego do pokoju Terenca i Lawinii, usłyszawszy krzyki dziewczyny. Zapytacie, dlaczego właśnie wtedy? Dlatego, że poczułem, aromat tej trawy, którą palił wdychając ostry dym przez rurkę. A przecież jego komnaty, gdzie jeszcze zachował się ten przyjemny zapach, znajdują się dość daleko od pokoi gości. Jak mogłem poczuć woń na korytarzu? Dlatego, że Serwus Narot chował się tam! Jego drzwi znajdowały się na wprost drzwi Terenca i Lawinii, co potem okazało się korzystne.

Gdy już sprawdziłem swoje podejrzenia i przekonałem się, że są słuszne, nie niepokoiłem rycerza, lecz sam zająłem się poszukiwaniami Lala. Niestety, bez rezultatów...

- A Lumo Demetrios? - przerwał mu Marshall.

- Lumo Demetrios... - zasępił się Gwido. — Chciałem powiedzieć o tym później, ale Lumo zginął zamiast Serwusa.

- Jak to? - zmartwił się Benino. - Przecież sam widziałem Serwusa z kindząłem w plecach.

- Widziałeś Luma, mój miły druho - ze smutkiem odpowiedział Gwido. - Jeśli pamiętasz, byli oni tego samego wzrostu i jednakowej postury. Mój brat miał jednak włosy całkiem białe, a czcigodny Serwus - jasne z rudym odcieniem. Przypominasz sobie? Kiedy weszliśmy do pokoju, zasłony były starannie zaciągnięte, więc białe włosy wydały się nam ciemniejsze. A twarzy nie widział nikt, bo zabity leżał na brzuchu.

Muszę przyznać, że Lambert nieźle zagrał swoją rolę. Dowiedziałem się, że we wczesnej młodości wędrował z trupą aktorską i z doklejoną brodą grał w przedstawieniach jako stary, zrzędlawy ojciec młodych pięknych dziewcząt.

Tak więc Lambert dobrze wiedział, że zabitym nie jest jego pan. Pamiętasz, Benino, że nie pozwolił mi podejść blisko do ciała? Upadł na nie i zaszlochał. Wszystko to zrobił dlatego, żeby nie przyszło nam do głowy zajrzeć w twarz ofiary. Nawiasem mówiąc, staruszek przyznał się, że w tamtej chwili nie oszukiwał: wyobraził sobie, że zabitym jest jego uwielbiany Serwus.

- W jaki sposób w łóżu Serwusa znalazł się Lumo? - spytał zakłopotany filozof. - A sam Serwus gdzie wtedy był?

- W pokoju Luma! - rozległ się niski, dudniący głos rycerza. - Chodź, niech cię uściskam, druho mój, Benino. Potem opowiem, co się wydarzyło.

Objęli się i ucałowali, a Benino nie wytrzymał i uronił łzę. Kiedy usiedli, Serwus Narot, który przez czas swojego dobrowolnego zamknięcia nieco przytył i zarósł, ciągnął dalej opowieść.

- Sam poprosiłem Luma, żeby zajął moje miejsce, nad czym teraz ubolewam. Biedak nie czuł tego strachu, który mi nieustannie towarzyszył, i dlatego był spokojny. Usnął nie spodziewając się zdradzieckiego ciosu.

Jak zauważył najmądrzejszy z mądrych, Gwido Demetrios... teraz już wiem, że twój ojciec chwalił cię nie na darmo... Lumo zewnątrz jest do mnie podobny. Przy pierwszym spotkaniu zdumiała i ucieszyła mnie ta okoliczność, ponieważ plan działania miałem już gotowy. Najpierw chciałem, żeby moje miejsce zajęła zwykła kukła z poduszek albo Lambert, lecz wówczas niewielka byłaby szansa na ujęcie mordercy, bo mógł zbliżyć się i obejrzeć swoją ofiarę. A Luma ode mnie w półmroku nikt nie odróżni. Pospiesznie wymyśliłem niewyszukaną historyjkę i przedstawiłem ją Lumowi. Zaufał mi i zgodził się pomóc. Założył mój pierścień i poszedł do mojego pokoju. Powiedziałem mu, że będę nocował u niego, ale ponad wszystko pragnąłem dopaść tego, kto szykuje zamach na moje życie. Oto dlaczego nie poszedłem do pokoju Luma, lecz czekałem, aż on uśnie i cichutko zakradłem się z powrotem. Usiadłem w najciemniejszym kącie za fotelem i zacząłem się.

Wkrótce pojawił się morderca. Niestety, nie pomyślałem, że może ukryć twarz pod maską. Na próżno wyteżalem wzrok, by go rozpoznać: miał na sobie luźny chałat, który ukrywał figurę. Skradał się z pochyloną głową wciśniętą w ramiona, co też utrudniało identyfikację. Na dodatek unikał miejsc oświetlonych przez księżyc. Co widziałem? Ano nic!

I tu popełniłem błąd. Chciałem zobaczyć, co on zrobi, czy będzie czegoś szukał na stoliku albo pod nim, czy zajrzy pod łożo... Ale nie! Nie zdążyłem ochłonać, gdy gwałtownie uniósł rękę. Wtedy w świetle księżyca zobaczyłem kindżał. Oczywiście zaraz rzuciłem się na mordercę, lecz kindżał już opadł.

Gdy usłyszałem rżenie Luma, w furii ścisnąłem rękami gardło mordercy. Jeszcze moment i bym go udusił! Ale Mitra opuścił mnie tej nocy... Morderca zręcznie kopnął mnie kolanem w najbardziej bolesne miejsce, mój ucisk osłabł, a on momentalnie się ukrył.

Bezsilny leżałem na podłodze swojego pokoju. Chciało mi się płakać i krzyczeć ze złości i poniżenia. Ja, rycerz, który pokonał samego Jeźdźca Nocy, pobity przez kogoś, kto wkradł się do mojego domu, udając przyjaciela! Przyznam się, Benino, że na początku pomyślałem o tobie... Tylko ty z wszystkich moich przyjaciół masz dość siły, by mnie powalić. Potem zrozumiałem, że rzecz nie w sile, a w zręczności i szczęśliwym trafie. Lecz tak czy siak, to mogłeś być ty. Jednak nie chciało mi się w to wierzyć i postanowiłem przyrzec się innym.

Przekradłem się korytarzem na dół, do pokoju Lamberta, opowiedziałem mu o wszystkim i razem opracowaliśmy plan. On otworzył pusty pokój gościnny, z którego mogłem przez dziurkę od klucza widzieć wszystkie drzwi, no i zamieszkałem tam. Teraz mogę wam już tylko powiedzieć, że doskonale widziałem tego łajdaka Leonardasa, gdy skradając się wszedł do pokoju Terenca i Lawinii, a potem wybiegł stamtąd i zaczął hałasować na cały dom.

- Biedny Lumo - mruknął Benino. - Co z tobą, Serwusie?

- Jestem winny, wiem. I gdybym mógł cofnąć czas...

- Tego nikt nie potrafi - ponuro powiedział Gwido. - I Luma też nie ożywisz. Lambert pokazał mi to miejsce w sadzie, gdzie zakopał jego ciało. Co ja powiem ojcu? Jak się wytłumaczyć? Przecież Lumo to syn jego ukochanej siostry.

- Czemu mieszaniec zarznął Terenca? - zaniepokoił się Zair Szach, którego ta historia raczej bawiła niż smuciła.

A, to całkiem co innego! Był zakochany w Lawinii. Powiedziała mi wszystko, choć domyśliłem się tego wcześniej. Leonardas też jest Aquilończykiem. Razem się wychowywali, a kiedy dziewczyna dorosła, wolała od Leonardasa grubego Terenca za dobry charakter i wesołe usposobienie. Wtedy złodziej wyjechał do Ophiru, gdzie zajął się tym, czym jego konkurent pasjonował się w Aquilonii, to jest kamieniami szlachetnymi. Zazdrościł Terencowi wszystkiego i chciał być lepszy, choćby w kolekcjonowaniu drogich kamieni. A kiedy spotkał małżonków tutaj... nawiasem mówiąc, przypadkiem... postanowił pokazać się Lawinii w całej krasie... Na początku nie zamierzał zabijać Terenca, lecz pierwszy mord go natchnął i zamyślił to powtórzyć.

- A kindżały?

- Kindżały ukradł. Pierwszy Lumowi. To było bardzo łatwe, Lumo zawsze był bałaganiarzem. Drugi mnie. Pamiętacie, mówiłem, że dałem go Lambertowi. On posłużył się nim i położył na stole, skąd zapomniałem go zabrać. Potem zapytałem Marshalla, kto wchodził do pokoju jadalnego, a on odpowiedział, że prócz Lamberta nikogo nie widział. Za to Lambert widział... Leonardasa. A trzeci kindżał morderca wziął z pokoju Benina, choć, jak wiecie, nikogo nim nie zabił.

- A miał taki zamiar?

- Możliwe.

- A list?

- List, w którym jest mowa o tym, że Serwusa zabił Shemita? Oczywiście, że napisał go

Leonardas. Lawinia pokazała mi linijkę liściku, który otrzymała od niego jeszcze w młodości - kropka w kropkę to samo pismo co w moim liście! Zresztą przypomnij sobie, Benino, czy nie wydało ci się dziwne, że po zabiciu Terenca to Lawinia pocieszała naszego fałszywego Ophirczyka, chociaż powinno być odwrotnie? Wtedy to powziąłem podejrzenia o jego bezpośrednim udziale we wszystkich zdarzeniach. Lawinia domyśliła się, że jej męża zarżnął z złości Leonardas, ale... niezbadana jest dusza kobiety i taka pozostanie... ulitowała się nad mordercą. Może przez pamięć dawnej przyjaźni? Nie wiem. Jedno jest pewne: nie życzyła sobie więcej go oglądać. Bała się, że nie wytrzyma i wyjawia tajemnicę śmierci Terenca. Kiedy dogoniłem ją u bram Lidii, nie wypytywałem jej o to. Po prostu rzekłem: „Nic nie mów. Ja wiem wszystko” - i opowiedziałem jej to samo, co wam teraz. Lawinia wysłuchała do końca i stwierdziła: „Nie rozumiem, jak się domyśliłeś, ale to jest najprawdziwsza prawda. A teraz żegnaj. Niech Serwus nie ma mi za złe. To jego diadem, oddaj mu”. Wziąłem diadem, skłoniłem się i pomknąłem z powrotem.

- Biedna dziewczyna - pokiwał głową Serwus Narot. - Wcale nie jestem zły. W końcu ona jest kobietą, a mało to pokus w moim skarbcu? A was... - gniewnie spojrzął na Marshalla i Zair Szacha - was chętnie bym wyleczył batogami ze złodziejstwa. Tym razem wam daruję, ale więcej nie przyjeżdżajcie do mojego domu.

- Zapomniałem cię jeszcze o czymś poinformować, Serwusie - odezwał się Gwido. - Posłałem moich pomocników, żeby dowiedzieli się, co to za rozbójnicy zabili twojego przyjaciela... a twojego krewnego, Lambertcie... Fenida. Oto co mi napisali. - Wyjął z kieszeni kurtki zwinięty w rulon papirus i przeczytał: - „Żadnych rozbójników tam nie było już ze dwadzieścia lat. A chłopaka o imieniu Fenido zabił pewien człowiek. Kim on jest, wieśniacy nie wiedzą, ale opisują go tak: oczy jasne, włosy ciemne, chudy i długi”...

- Leonardas! - wykrzyknął szlachetny rycerz.

- Tak jest! No i wyjaśniła się tajemnica... - powiedział Gwido, ziewając i przeciągając się. - A teraz, jeśli pozwolicie, przyjaciele, pójdę spać. Od czasu, kiedy cię zabito, Serwusie, oczu nie zmrzyłem...

Lecz Gwidowi nie udało się pospać długo. Gdy tylko mu się przyśniło, że niesie Lala Bogini Losów, żeby oddać go szlachetnemu rycerzowi, ktoś zaczął walić w drzwi, według wszelkiego prawdopodobieństwa butem.

- Wstawaj, Gwido! Gwido, prędeż!

Młodszy z Demetriosów z trudem otworzył oczy, zerwał się i rzucił do drzwi.

Przed nim stał - rozczochrany i znów bez swojego dziewczęcego rumieńca - Serwus Narot. Miał na sobie tylko niebieskie aksamitne spodnie, opinające mocne nogi, nic więcej. Naga, obrośnięta siwymi włosami klatka piersiowa unosiła się gwałtownie, a z gardła wydobywał się głośny, urywany oddech. Zdenerwowanie Serwusa było tak ogromne, że Gwido momentalnie się ocknął.

- Co znowu? - zapytał szybko, spoglądając z dołu w szeroko otwarte, błyszczące oczy rycerza.

- Leonardas... Uciekł... - wysapał Serwus.

- Jak to uciekł? Przecież kazałeś Lambertowi zamknąć go jak należy.

- Wyłamał zamek. Nie wiem jak, ale wyłamał. O bogowie, wszyscy, jakich pamiętam, czemuście mnie opuścili? - żałośnie wykrzyknął Serwus, siadając wprost na podłodze w korytarzu.

- A Lal?

- Co Lal? Oczywiście, że zabrał ze sobą. Czy myślisz, że z powodu Leonardasa tak rozpaczam? Do licha! Niech idzie do Nergala! Ale mój Lal...

- Przekopaliśmy cały dom i nie znaleźliśmy takiego miejsca, gdzie można by ukryć kamień wielkości oka bizona. Albo... O, dureń, stary dureń!

- Kto? - zainteresował się niezadowolony rycerz, podejrzewając, że to jego ma Gwido na myśli.

- Ja, któż by inny! Dlaczego mi to wcześniej do głowy nie przyszło? On przez cały czas nosił go przy sobie!

- Przy sobie?

- No tak! Przy sobie, na sobie, w sobie... O, Mitro, czy wybaczysz kiedyś najbardziej tępemu ze swoich tępych niewolników? Czy zwrócisz znów swój jasny wzrok na tego nędznego...

- Na kogo?

- Ojej, Serwusie, na mnie, to zrozumiałe... - Gwido był lekko zirytowany tym, że rycerz przerwał mu modlitwę. - Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Mam nadzieję, że wysłałeś za nim pogoń?

- Już pojechali.

- Doskonale, a teraz wstawaj. Wypijemy trochę twojego cudownego różowego wina i poczekamy na wieści o Leonardasie.

Uspokojony wesołym głosem małego Gwida szlachetny rycerz podniósł się, otrzepał spodnie i skierował się ku schodom. Propozycja napicia się wina odniosła oczekiwany skutek: teraz Serwus był znacznie bardziej dziarski i spokojniejszy.

W sali jadalnej dołączył do nich Benino, który słyszał krzyk przyjaciela i, naturalnie, wyskoczył na korytarz zobaczyć, o co chodzi. Strata Lala wcale go nie zmartwiła.

- Niech tam - wzruszył ramionami. - Same kłopoty z tym kamieniem. Zapomnij, Serwusie. Masz tyle innych, nie mniej pięknych błyskotek.

- Wszystkie oddam za Lala Bogini Losów! - Rycerz opróżnił ogromny puchar miezczący trzy czwarte butelki. - Spod ziemi wydobędę tego drania Leonardasa! Wydobędę i kark skręcę.

- Ja też mu obiecałem taki los - markotnie przyznał się Benino. - I nie spełniłem obietnicy...

I tak przyjemnie gawędząc trójka przyjaciół spędziła czas do rana. O świcie wrócił pościg. Leonardasa nie udało się dogonić, lecz uzyskano wiadomość od strażników bram miasta, że popędził na gniadej klaczy w stronę Aquilonii.

- Lawinia! - wykrzyknęli wszyscy trzej jednym głosem.

- To jasne! - Gwido zdecydowanym ruchem przeciął powietrze chudą ręką. - Trzeba wybrać się do Aquilonii. On z pewnością spróbuje odnaleźć dziewczynę...

- Pojadę - postanowił rycerz. - Benino, jedziesz ze mną?

- Nie mogę - wykręcał się filozof. - Muszę wracać do Mesancii, bo Peppo znowu rozpoczyna zajęcia... I w ogóle... Chyba już pójdę, pora obudzić mojego chłopca. Wybacz, Serwusie.

Benino mocno zmieszany oddalił się.

Po jego odejściu w sali jadalnej na długo zapanowała cisza. Serwus Narot znów był ponury i nieustannie popijał wino, a młodszy z Demetriosów myślał o tym, że chyba nie uda się odnaleźć Leonardasa nawet po uzyskaniu wiadomości o jego ucieczce do Aquilonii.

- Więc Benino nie jedzie... - mruknął szlachetny rycerz, ponownie przywierając ustami do brzegu pucharu. - Cóż...

- A mnie weźmiesz? - uśmiechnął się Gwido.

- Ma się rozumieć!

Mimo poprzednich deklaracji sam rycerz najwyraźniej nie odczuwał ochoty, by dokądkolwiek jechać. Mały detektyw spojrział na niego uważnie i zrozumiał, że Serwus utracił nadzieję na odzyskanie Lala, a teraz robi tylko wszystko dla podtrzymania reputacji odważnego i silnego człowieka.

Nie mówiąc ani słowa, Gwido wyszedł z sali.

Młodszy Demetrios stracił resztki energii na rozmowy z Serwusem i Beninem i nie był już tak bystry jak podczas śledztwa. Zresztą tak z nim bywało zawsze po zakończeniu sprawy.

Nie żeby odpoczywał - chociaż po wytężonej pracy umysłu opadał z sił; po prostu zamykał się w sobie, zapadał w głąb swojej duszy, gdzie o dziwo, była zupełna pustka, a on nie czuł absolutnie nic. Ta pustka jednak ratowała go. Złe myśli nie miały dostępu, więc nic nie zakłócało snu, a i język stał się mniej cięty i nie tak precyzyjny jak zawsze.

Na szczęście dla ojca i innych ludzi z otoczenia taki stan Gwida trwał niedługo - dzień albo dwa. Potem znowu stawał się tym wesołym, uprzejmym, dowcipnym młodzieńcem, którego wszyscy lubili za dobry i nieskomplikowany charakter.

Gdy teraz siedział w sadzie na szerokiej, niskiej ławce pod rozłożystym drzewem brzoskwiowym, właśnie zaczął się pogrążyć w ten nieprzyjemny stan. Myśli ulatywały w niebo i tam się rozplątały, a wzrok stawał się tępy. Każdy, kto nie znał małego detektywa, a zobaczyłby go w tej chwili, bez wątpienia pomyślałby, że ma przed sobą jednego z tych nieszczęśników, których w Shemie i Aquilonii zamykają w lochu, w Argosie wysyłają na pływanie po rzece na kłodzie, a w Czarnych Królestwach po prostu eksterminują - czyli wariata. Ale Gwido oczywiście nie był wariatem, a pustka w jego oczach brała się z burzliwie spędzonych trzech ostatnich dni...

Westchnął bez przyczyny, podniósł głowę i spojrzął w gwiazdy. Tak jak i on, błękity i gasły, kończąc swój nocny trud. Oto chmura zakryła większą część księżyca, którego brzeg połyskiwał jak stare srebro, dopóki strzęp sąsiedniej chmury nie zasłonił i tego kawałka.

Gwido jeszcze raz westchnął, wstał i wyszedł na ulicę. Zamierzał przejść się po zaułkach nocnej Lidii i, być może, zajrzeć do jakiejś słynnej karczmy... Biedny Serwus! Biedny Benino! Takie myśli błąkały się po jego pustej głowie; nie potrafiłby chyba wyjaśnić, czemu uznał za biednych rycerza i filozofa. Lal Bogini Losów? Benino ma rację: same kłopoty przez tę błyskotkę niezwyklej urody...

Gdy Gwido wyszedł za bramę domu rycerza, zauważył długi ciemny cień przecinający ulicę. Jeszcze niedawno, zanim dusza w nim zamarła, przyjrzałby się uważnie i postarał znaleźć człowieka, który rzucał ten cień, ale teraz spojrzął obojętnie, zamknął bramę i poszedł ulicą, szurając nogami i wzbijając kurz.

- Hej! — odezwał się ktoś niskim, głębokim, lekko ochrypłym głosem. - Zdaje się, że to ty, pchło?

Gwido drgnął i zatrzymał się. Nie odwrócił głowy, ale unióśł brwi ze zdziwienia, potem rozciągnął usta w uśmiechu, gwałtownie się obrócił i powiedział:

- Pewnie, że ja. Hej, Conan, co za radość cię widzieć.

CZEŚĆ DRUGA

WŁADCA WĘŻY

I. GOŚĆ HONOROWY

Niebo rozjaśniło się nagle, zapowiadając rychły wschód słońca. Wkrótce zgasły latarnie, a wraz z chmurami odpływał sen. Gnuśna, Lidia, przypominająca raczej wieś niż miasto, budziła się niechętnie. Skrzypiały okna, wpuszczając do domów rześkość nowego dnia.

Krzyczało ptactwo domowe i dzikie. Szeleściły świeże zielone liście, pokryte łzami nocy. I nagle promienie słońca dotarły do ziemi, muskając ją ciepłem, a horyzont zalało najpierw różowe, potem żółte światło. Wstał świt.

Na kamienistym brzegu strumienia, w którego czystej wodzie pluskały drobne, czerwonozłote i srebrne rybki, siedzieli dwaj mężczyźni. Nie zwracali najmniejszej uwagi na brzask. Lata minęły od ich ostatniego spotkania, tysiące poranków i tysiące nocy, więc teraz słowa z ich ust sfruwały szybciej niż słoneczne zajaczki spadały na niebieską powierzchnię strumienia. Mówił głównie Gwido Demetrios; jego druh preferował zawsze pięść i miecz, a do gadania nie przywykł. Przyjaciele krótko opowiedzieli o wydarzeniach minionych lat i przeszli do terażniej-szości.

Gwido Demetrios, zdenerwowany nieoczekiwanie dla siebie samego, przedstawił historię Lala Bogini Losów. Plastycznie opisał makabryczne nocne zdarzenie w sypialni rycerza, fałszywy lament starego sługi, jęki obłudnika Leonardasa przy ciele zabitego przez niego Terenca i inne atrakcje tych dni; pod koniec opowieści niezgorzej się zmęczył.

Conan - rośli, szeroki w ramionach, z grzywą czarnych, długich włosów i chabrowymi oczami, słuchał opowiadania małego detektywa uważnie i z ponurą miną. Wszystkie te sztuczki bogatych chłopców srodze go denerwowały.

Rycerz, który rozkoszuje się oglądaniem kamieni szlachetnych? To zajęcie przystoi raczej dziewczętom i kupcom! Prawdziwy rycerz powinien walczyć w turniejach lub wojnach, o ile takie się zdarzą. A i pozostali uczestnicy wydarzeń nie budzili sympatii: oszuści, złodzieje i obłudnicy.

Zanim Conan poznał tę historię, słyszał już o Lalu Bogini Losów, który zniknął z kolekcji Serwusa Narota. Dowiedział się o nim kiedyś od pewnego argoskiego kupca i stąd wiedział, że wartość tego kamienia jest ogromna. Szybko obliczył w pamięci, ile rycerz może mu dać za odzyskanie skarbu, i przerwał narratorowi w pół słowa. Towarzysz właśnie skończył opisywać przebieg zdarzeń i teraz pograżył się w cierpieniu z powodu śmierci Luma.

- Posłuchaj no, pchło, ten twój rycerz bardzo jest bogaty?

- Ho, ho! - Gwido z radością odstąpił od smutnych myśli. - Słuchaj, co ci powiem, barbarzyńco: nawet mój przybrany ojciec nie ma tyle dobra, co ten szlachetny pan.

Conan, który doskonale znał odpowiedź, był zadowolony. Oznaczało to, że informacje, jakie uzyskał w małej karczmie na przedmieściu Lidii od miejscowego pijaczka, okazały się prawdziwe.

- Lecz Lal Bogini Losów - ciągnął Gwido - jest bez porównania droższy od wszystkich cudownych kamieni drogocennych Serwusa, od całego złota i domu na dokładkę. Co ja mó-

wię! Ten kamień nie ma ceny. Przysięgam na Mitrę, na nasze słońce. Jest bezcenny!

Własna porywczosć zadziwiła małego detektywa.

- Zresztą Nergal z nimi, to znaczy z kamieniami... - machnął ręką i uśmiechnął się przepaszająco. - Piękne są, na pewno, bardzo piękne, ale... Ludzie prawdę mówią, same kłopoty przez te błyskotki. Powiedz lepiej, dobry mój druhu, co przywiodło cię do Lidii? Jak to się stało, że znalazłeś się przed bramą domu rycerza?

- Chciałem poszperać w jego skarbcu - przyznał się Conan z bezwstydnym uśmiechem.

Gwido, przekonany, że przyjaciel po prostu żartuje, zachichotał wesoło. Zielone oczy znów ożyły, a chude ręce w zachwycie klepały szpiczaste kolana.

- Ach, tak się cieszę z naszego spotkania - powiedział w końcu i z oddaniem spojrzął w surową twarz przyjaciela. - Muszę przyznać, że już porządnie mnie zmęczyły przebiegłości i kłamstwa tych ludzi. Ty jesteś otwarty i honorowy. Z tobą jest łatwiej.

Conan nawet okiem nie mrugnął na taką deklarację przyjaźni. Właściwie wcale nie słuchał, zajęty planowaniem usług dla rycerza, bo nie wątpił, że jego pomoc zostanie przyjęta. Z opowiadania Gwida zrozumiał, że szlachetny Serwus nie płonie żądzą samodzielnego poszukiwania swojego skarbu, z czego wynikało, że zapłaci dobrą cenę temu, kto zrobi to zamiast niego.

Conan wstał, chwycił przyjaciela za kołnierz i postawił na nogi.

- No, pchło, idziemy.

- Dokąd? — zdziwił się mały detektyw, otrzepując spodnie. - Dokąd mnie ciągniesz, o synu wielkiej Cymmerii?

Górnolotne wyrażenia Gwida bawiły Conana, ale i denerwowały. Opuścił głowę i spoodełba popatrzył na przyjaciela.

- Do rycerza, chłopcze, a dokąd by? Przysięgam na brodę Croma, on nie ruszy swojego tyłka, żeby odnaleźć Lala, więc ja ruszę swój. Jak myślisz, zapłaci setkę sztuk złota, jeśli odnajdę jego kamień?

Gwido obruszył się, złożył ręce na piersi i z rozczuleniem popatrzył na barbarzyńcę.

- Dwie setki, mój druhu! Trzy! - Wyhamował swój entuzjazm, ściągnął jasne brwi i z powątpiewaniem dokończył. - A gdzie ty znajdziesz Lala Bogini Losów?

- Na razie nie wiem. - Conan wzruszył potężnymi ramionami. Może w Vendhii, a może gdzie indziej.

- Dlaczego w Vendhii?

- Nie zadawaj zbędnych pytań, pchło. Idziemy do rycerza.

Na więcej pytań Gwido się nie odważył. Zawracając za przyjacielem do domu Serwusa Narota, myślał sobie, że sama Bogini Losów przywiodła barbarzyńcę do Lidii, bo zgodnie z niezachwianym przekonaniem detektywa, jeśli ktoś w ogóle mógłby odzyskać skarb, to tylko on - ten chłopak z dalekiej północnej Cymmerii.

Lambert, który w swoim życiu nie widział człowieka wyższego i potężniejszego od swojego pana, od razu nabrał dla Conana szczerzego szacunku. Nie dość, że był wyższy od szlachetnego rycerza prawie o pół głowy, to przy tym charakter miał mniej niezrównoważony i spokojniejszy. Zimne spojrzenie drwiących oczu, ostre rysy surowej twarzy i pewny krok świadczyły o silnej naturze, jasności myśli, znajomości życia, ludzi i siebie samego.

Zwalił się na ulubiony fotel Serwusa Narota bez zaproszenia i prawdziwie po pańsku - mimo znoszonego, biednego ubrania - przyjął z rąk starego sługi ogromny puchar białego wina. Wymowny był także wzrok Gwida skierowany na przyjaciela; wiele to powiedziało Lambertowi.

Wszystko, co znalazło się w kuchni, natychmiast i odpowiednio uroczyście zostało postawione na stół w sali jadalnej przed miejscem barbarzyńcy. Dwaj słudzy przynieśli najlepsze wino i piwo z piwnicy. Wreszcie Conan dostał podnózek i dzbanuszek z trawą, której dym

tak lubił wdychać sam gospodarz. Aż do dziś ani jeden z gości rycerza nie został zaszczycony takim traktowaniem.

Trzeba przyznać, że przyjaciel małego detektywa wcale się nie dziwił takim przyjęciem. Swobodnie rozsiadł się w fotelu, odrzucił podnózek i szybko osuszył kolejny puchar cudownego białego wina (dzbanuszek z trawą po krótkiej inspekcji podzielił los podnóżka, co nadzwyczaj, ucieszyło Lamberta). Potem uwagę gościa zajęła różowiejąca na talerzu szynka na zimno wielkości całego prosiaka, więc nie namyślając się długo wbił w nią mocne białe zęby, mrucząc z zadowolenia.

Serwus Narot pojawił się w sali po dosyć długim czasie, gdy po szynce nie zostało nawet wspomnienie, a pokrzepiony barbarzyńca leniwie gryzł uwędzoną specjalną metodą kocią nogę, popijając pienistym, aromatycznym piwem. Na widok gospodarza nawet nie zamierzał wstać, słusznie sądząc, że szlachetny rycerz jakoś to przeżyje; powitał go tylko uniesieniem ręki i przeciągłym czknięciem.

W ślad za Serwusem przydreptał Gwido, rozpromieniony najmiłszym ze swych uśmiechów. Wydawało się, że chce uściskać wszystkich, nawet zrzędlivego Lamberta - taki wspaniały nastrój ogarnął go w tej chwili.

- Tak, tak, to ja jestem Serwus Narot! - zrozumiałe ogłosił rycerz, przypuszczając, że Gwido opowiedział swojemu przyjacielowi o jego bogactwie oraz licznych zaletach i teraz nieoczekiwany gość płonie żądzą poznania go. Całkowita obojętność na twarzy barbarzyńcy nie spieszyła go zupełnie. - Ten sam Serwus Narot! - powtórzył w odpowiedzi na senny wzrok Conana. - A ty chyba jesteś z Cymmerii? Bywałem tam w czasach burzliwej młodości, bywałem... Kurhany, chmury, szare niebo...

Rycerz usiadł z pełnymi dzbanem piwa i przystąpił do posiłku, który polegał na tym, że po kolei pogryzał to bażancie skrzydełko, to rybny placek, to kromkę świeżego chleba, w przerwach pociągając z dzbana. Najwyraźniej nie był głodny, ale jednak jadł i dla Cymmerianina stało się jasne pochodzenie fałd tłuszczu na brzuchu i nogach.

Kiedy na stole zostały już kości i okruszyny, do sali zeszli goście Serwusa Narota, nawet ci wygnani. Senność ogarniająca Conana ulotniła się. Z zaciekawieniem gapił się na wchodzących, próbując odgadnąć, kto jest kim.

Właściwie nie było to trudne zadanie, bo Gwido doskonale wszystkich opisał. Młody, z długą twarzą i długimi włosami Peppo trzymał za rękę postawnego przystojniaka, którego zajęcie wywoływało u Conana wstręt - teraz i zawsze. Takiemu mężowi pasował raczej miecz lub w najgorszym razie kopia, a nie pióro i papirus. Odrażający z wyglądu staruch, który porwał ogryzioną prawie do czysta przez barbarzyńcę kość, bez wątplenia był astrologiem Zair Szachem z Turanu. Krępy, czarniawy brodac z uśmiechem na tłustej fizjonomii - Shemita Marshall, to też nie budziło wątpliwości. Opanowanie tych dwóch ostatnich świadczyło o zupełnym braku sumienia; chociaż okradli starego przyjaciela, wcale się nie krępowali i w jego domu czuli się jak w swoim własnym.

Goście obrzucili Cymmerianina zaciekawionymi spojrzeniami i w milczeniu usiedli.

Lambert, chociaż parsknął pogardliwie, mimo wszystko czuł się gospodarzem: przyniósł półmisek z baraniną na zimno i rzucił na stół. Dobrotliwość rycerza złościła go bezmiernie - chyba całkiem zapomniał, że tym ludziom ufać nie wolno nigdy i w żadnym stopniu. Tylko sławnego Benina z jego młodszym bratem i jeszcze, być może, Gwida Demetriosia Lambert szanował tak, jak przystoi słudze w stosunku do wyjątkowych gości. Oni - jak do tej pory - nie zrobili nic nieprzyzwoitego.

W rezultacie takich konkluzji przed Gwidem i braćmi pojawił się koszyczek z przepiórczymi jajkami, które - oprócz baraniny na zimno - miały zaspokoić ich głód.

Zmyślny staruszek tak postawił koszyczek, żeby Marshall i Zair Szach nie mogli do niego dosięgnąć - na tym polegała jego mała zemsta na złodziejach i oszustach.

Oczyszczając mięso z białego, zastygłego tłuszczu, goście żuli smętnie. Oczy wszyst-

kich - z wyjątkiem bodaj jedyne Peppa - wbite były w gładkie deski stołu. Niespokojna noc minęła na bieganinie. Zniknięcie Lala Bogini Losów, podobnie jak ucieczka Leonardasa na wszystkich bez wyjątku podziało przygnębiająco, więc nikt teraz nie miał ochoty do rozmowy - obojętne, lekkiej czy poważnej.

A Peppo patrzył na Conana. Ten ogromny Cymmerianin z mięśniami jakby odlanymi z żelaza, szerokimi ramionami i surowym wyrazem twarzy, cały w starych, białych bliznach, zafrapował go. Właśnie taki chciał się stać - w marzeniach, niestety, jedynie w marzeniach, bo jego subtelny i rozważny umysł trafnie oceniał rzeczywistość. Młodzieniec rozumiał, że tacy potężni i piękni mężowie planowani są przez naturę i bogów wcześniej, jeszcze przed urodzeniem; mógł tylko mieć nadzieję, że w dalekiej przyszłości osiągnie choćby część takiej siły. Oczywiście trzeba będzie dołożyć wielu starań, ale Peppo umiał czekać i pracować.

Marzyło mu się, że trafi na wojnę, gdzie nauczycielami będą żołnierze i wrogowie, a nie brat, który zaważył mu pokój książkami. Wtedy po kilku latach z marzycielskiego i na razie słabowitego chłopaka wyrośnie zwinny, odważny i zuchowaty młodzian, potem mężczyzna, wojownik... Lecz na wojnie można zostać zabitym - i to Peppo też rozumiał, w duchu wszakże licząc, że zabiją kogo innego, a on pozostanie żywy. Zresztą przypuszczał, że wszyscy żołnierze - starzy i młodzi - liczą właśnie na to i gdy otrzymują w walce śmiertelny cios, zdążą tylko pomyśleć...

O czym jednak myślał, Peppo nie zdążył rozstrzygnąć. Serwus przerwał bieg jego myśli, głośno pytając:

- Conanie, a więc pragniesz odzyskać Lala Bogini Losów?

Wszyscy drgnęli, tylko na twarzy Gwida Peppo zauważył szczęśliwy uśmiech. Prawdopodobnie szlachetny rycerz umyślnie wyczekał na odpowiednią chwilę, żeby zadać to pytanie. To właściwe postępowanie: gość nakarmiony, napojony, ogrzany - teraz można przystąpić do interesów.

- Hmm... - mruknął Cymmerianin, nie odrywając się od puchara z winem.

- To wspaniale - pokiwał ogromnym, kudłatym łbem Serwus. - Lecz pozwól zapytać, w jaki sposób?

- A to już nie twój kłopot - niegrzecznie warknął Conan i jakby na potwierdzenie tego głośno czknął.

- Leonardas przepadł, gdzie się podziewa, jeden Nergal wie - ciągnął rycerz, udając, że nie słyszał tej bezczelnej odpowiedzi. - Nawet nie możemy ci wskazać, którą z ośmiu stron świata wybrał ten mieszańiec, żeby zniknąć bez śladu z moim kamieniem...

Peppo uważnie obserwował Cymmerianina. A ten przeciągnął się i ziewnął, nie patrząc na gospodarza i w ogóle na nikogo. Wbił obojętny wzrok w okno, za którym świeciło ogniste oko jasnego boga Mitry. Potem wyciągnął swój kindżał - najprostszy, bez drogocennych kamieni zatopionych w rękojeści - i zaczął dłużyć nim w zębach. Chwilami uśmiechał się do swoich myśli, aż w końcu spojrzenie jego zrobiło się bardziej przytomne.

- Długo znasz tego mieszańca? - zwrócił się nagle do szlachetnego rycerza głosem silnym i dźwięcznym, dudniącym w niskich rejestrach. Sen, który zaczynał go morzyć, uleciał w okamgnieniu. Teraz siedział przed nimi mąż dziarski, pewny siebie tak bardzo, że każdy z obecnych też poczuł w sobie jakąś siłę.

- Jakiego mieszańca? - zdziwił się Serwus.

Peppo zmarszczył brwi - rycerz okazał się nad podziw niedomyślny.

- Leonardasa - pomógł przyjacielowi Benino.

- Aaa... Dawno. Z pięć lat... a może dwa...

- Więc dwa czy pięć?

- Trzy - przypomniał sobie rycerz. - Tak jest, trzy. Kiedy byłem w interesach w Ophirze, to...

- Daj spokój z Ophirem - barbarzyńca okazał zniecierpliwienie. - Muszę dokładnie wie-

dzieć, kim jest ten człowiek.

- To przecież Leonardas! - wykrzyknął zdenerwowany Serwus.

- Leonardas - przytaknęli Marshall i Zair Szach. - Wszyscy go znamy.

- Jak długo? - włączył się do rozmowy mały detektyw, który już zrozumiał, do czego zmierza Cymmerianin.

- Też ze dwa lata - wzruszył ramionami Shemita. - Dokładniej sobie nie przypomnę.

- Około dwóch lat - zaskrzeczał rozdrażniony kolejnym śledztwem astrolog.

- W takim razie wyjawię wam tajemnicę - z uśmiechem powiedział Conan. - On nie jest Leonardasem.

Wszyscy drgnęli, nawet Gwido, jak zauważył Peppo.

- Jak na to wpadłeś? - zamruczał zdenerwowany Serwus.

- Słyszałem o jednym złodzieju już bardzo dawno. Rzecz się ma następująco: jest na wschodzie Vendhii królestwo Mandchattu. Tam ...

- Teraz jasne, dlaczego mówił o Vendhii - przerwał przyjacielowi Gwido.

- ...tam mieszkają głównie pół-Vendhijczycy, pół-Khitajczycy... jeszcze nikomu nie udało się przerwać Conanowi - ...lecz są też Aquilończycy, Turańczycy, Nemedycjczycy. Tylko Cymmerian nie ma - dodał z dumą. - Podróżnicy mówią, że życie tam jest nudne jak na Szarych Równinach. Kult bożka Baka zabrania im pić, dlatego nie ma ani jednej karczmy w Mandchattu i okolicy. Położyć się do łóżka z kobietą można, lecz tylko ze swoją żoną i jedynie dla przedłużenia rodu, a nie dla przyjemności. Do licha! - nieoczekiwanie rozzłościł się barbarzyńca. - Tam nawet żyć nie warto!

- Pewnie! - jednogłośnie przytaknęli wstrząśnięci tą opowieścią rycerz, Shemita i filozof.

- I w tym okropnym miejscu urodził się rozbójnik i złodziej Karmashan.

- Karmashan? - upewnił się zdziwiony Gwido. - Słyszałem o nim.

- I ja - dorzucił Zair Szach swoje trzy grosze.

- Przysięgam na Croma - ryknął Conan - jeśli jeszcze któryś z was otworzy gębę, będziecie sobie sami szukać Lala!

Wszyscy zrobili mądre miny i pokornie przygotowali się do dalszego śledzenia opowieści.

- Karmashan to był mieszaniec nad mieszańce. Nikt nie wie, kto go urodził, ale powiadają, że demony. W Mandchattu boją się go; dla niego to drobiazg wykończyć kogoś, z kim dopiero co pił wino na przyjacielskim spotkaniu. Jest wysoki i chudy i lubi udawać półgłówka.

- Leonardas? - zachnęli się wszyscy, lecz natychmiast zasznurowali usta.

Conan nie rozzłościł się: już zakończył swoje opowiadanie.

- Hmm... - ostrożnie zaczął Benino. - Myślę, przyjacielu, że się mylisz... Oczywiście, twój opis pasuje do naszego nieszczęsnego Leonardasa, lecz... to nie Karmashan.

- Jasne, że nie - wzruszył ramionami Gwido. - Przecież ci mówiłem, Conanie: Lawinia знаła Leonardasa od dzieciństwa, a ona urodziła się w Aquilonii, a nie w Vendhii.

- W każdym razie przez ostatnie lata mieszkał w Ophirze - dorzucił rozzarowany filozof.

- Aquilonia albo Ophir - zdecydowanie zakończył Serwus Narot. - A nie żadna Vendhia. Oto dwie drogi, Conanie. Wybieraj.

Niebieskie oczy barbarzyńcy zapłonęły gniewem. Był gotów za złoto szukać Lala Bogini Losów, ale nie znosił, żeby mu wskazywano choćby kierunek, w którym ma się udać. Nie zdążył jednak wyrazić rycerzowi swoich uczuć, gdy z jego lewej strony zagadał astrolog. Jego skrzeczący głos nagle stał się poważny i ostry.

- Nie potrzeba wybierać - obwieścił, zadzierając haczykowaty nos. - Nawet przez pięć lat nie znajdziesz człowieka, jeśli nie wiesz, w którą stronę się udać. Ja i tylko ja mogę ci

wskazać, Cymmerianinie, gdzie znaleźć Leonardasa... Tylko ja!
Wszyscy się wzdrygnęli.

II. ASTROLOG W AKCJI

Teraz drgnął i Peppo. Skąd ten staruch miałby wiedzieć, dokąd ruszył Leonardas? Jest z nim w zмовie, nie inaczej, więc postanowił sprzedać drogo swoje wiadomości.

- Wszystko jest bardzo proste. - Zair Szach z wyższością popatrzył na pozostałych. - Leonardas ma ze sobą Lala Bogini Losów, prawda? Jak mi miły Erlik i prorok jego Tarim, przecież nikt z was nie będzie twierdził, że znajdzie się na świecie jeszcze jeden taki kamień!

- Nikt z nas nawet nie myślał o tym - wymamrotał niezadowolony rycerz. - Mów z sensem, staruszkule, jak chciałbyś pomóc?

- Z gwiazd wyczytam, gdzie jest twój Lal.

Serwusowi Narotowi pociemniało w oczach. W okamgnieniu zrozumiał, o czym mówi Zair Szach. Wbrew odrażającemu wyglądowi i bezczelnemu zachowaniu, ten staruch był uważany za jednego z najlepszych astrologów w Turanie, a wszyscy wiedzą, że tam właśnie jest ich więcej niż ziaren piasku na pustyni. Dobrze, że niezbyt mocno nalegałem na wyrzucenie go z domu, pomyślał rycerz. Wtedy wyznaczenie drogi dla Conana byłoby nie tylko trudniejsze, ale całkiem niemożliwe i straciłbym na zawsze Lala Bogini Losów...

- Dobry staruszkule - rzekł Serwus przez ściśnięte wżruszeniem gardło. - Wiedziałem, że nie porzucisz w biedzie starego przyjaciela!

- Gwiżdżę na to - odgryzł się Zair Szach. - Nawet miedziaka bym ci nie podarował, a co tu mówić o Lалу...

- Czego chcesz? Złota? Drogocennych kamieni? - rycerz obraził się i mówił teraz chłodno.

- Jeszcze czego! - parsknął astrolog. - Chcę, żebyście zapomnieli wszyscy... wszyscy, mówię!... o tym, że przywłaszczyłem sobie turmaliny! Moja reputacja jest mi droższa od jakichś tam kamieni.

- Jasne - wieloznacznie zauważył Benino. - Jeśli ludzie dowiedzą się, że jesteś złodziejem, nikt nie zechce prowadzić z tobą interesów.

- Nie jestem złodziejem. Ja... zbłądziłem... więcej się to nie powtórzy... - nagle Zair Szach zmieszał się. - Więc jak?.. Zgadza się?

- Ja się zgadzam. - Serwus Narot z nadzieją popatrzył na swoich gości. - A wy?

- Tylko dla ciebie - mruknął filozof.

- Niech tak będzie - przytaknął Marshall, kryjąc uśmiezek.

- Dobrze - wzruszył ramionami Gwido.

- Przysięgnijcie na swoich bogów - zażądał astrolog.

- Tfu, dureń... - zamruczał pod nosem rycerz, jednak uroczystym tonem wygłosił formułkę: - Przysięgam na jasnego Mitrę, Dawcę Życia i Obrońcę Wielkiej Równowagi, iż nikomu nie powiem, że Zair Szach ściągnął mi turmaliny wartości...

- Już dobrze, wystarczy - pospiesznie przerwał starzec. - Twoja przysięga zadowolili mnie. Teraz ty, Marshall.

- Na jakich bogów mam przysięgać? - ponuro zapytał Shemita. - Mamy ich całą furę: Adonis, Ishtar i jej faworyta Ashtoreh, sprytny Biel, Złoty Pawlin Sabateusz - wyrodek i głupek...

- Dość! - przerwał mu astrolog. - Przysięgnij na wszystkich naraz.

- Przysięgam na ojca naszego Adonisa - smętnie zaczął Marshall - i na matkę Ishtar, a także na faworytę jej, piękną wiosnę Ashtoreh, a także na Biele i na złego wyrodka Pawlina Sabateusza: zapomniałem o tym, że Zair Szach ukradł turmaliny szlachetnemu rycerzowi Serwusowi Narotowi...

- Tym bardziej, że sam ukradłeś temuż rycerzowi czarną perłę - zjadliwie zauważył Benino.

- O, właśnie - łaskawie przytaknął Zair Szach. - Teraz twoja kolej.

- Przysięgam na Mitrę, już zapomniałem o tej niegodziwości - szybko powiedział Benino.

- I chłopiec niech przysięgnie - zażądał okropny starzec.

Peppo westchnął. Z ukosa popatrzył na Conana, który obojętnie gryzł paznokcie u kciuka i, wydawało się, w ogóle nie słuchał ich rozmowy. Chłopiec położył rękę na sercu i jedynym tchem wyrzucił z siebie:

- Przysięgam na jasnego Mitrę, nikomu nie zdradzę tajemnicy!

- Teraz ty! - Astrolog zwrócił się do Gwida.

- Mitra świadkiem, nikomu niczego nigdy nie powiem.

- No cóż... Zair Szach mógł już świętować zwycięstwo. - W takim razie zajmę się tym przecherà Leonardasem i twoim Lalem, nasz dobry gospodarzu. Zarządź, żeby do mego pokoju przyniesiono jedzenie, wino i piwo na dwa dni i dwie noce. I niech nikt nie niepokoje mnie przez ten czas...

Wstał, zebrał poły szaty i drobnymi kroczkami poszedł ku schodom.

- Poczekaj! - Serwus Narot z roztargnieniem popatrzył za nim. - Kiedy wyjawisz nam, gdzie jest kamień?

- Do licha! Mówiłem przecież, głupi rycerzu, za dwa dni! Dodaj do dzisiejszego południa dzień, noc, jeszcze jeden dzień i jeszcze jedną noc. I nad ranem wszystkiego się dowiedzie...

Po tych słowach zręcznie wspiął się po schodach, na dwa dni pozbawiając przyjaciół swojego czarownego towarzystwa.

Conan nudził się. W domu rycerza miał jedyną rozrywkę - kontemplowanie skarbów, co uważał za całkowitą stratę czasu. Rozmawiać z innymi gośćmi nie miał ochoty, bo wydawali mu się ograniczonymi głupcami. Gwido pogrążał się w rozmyślaniach o Lumie i o swojej własnej przyszłości, która rysowała się dosyć żałośnie - ojciec był bliski śmierci, a więc mały detektyw, który do tej pory robił to, co sprawiało mu przyjemność, będzie zmuszony zająć się gospodarstwem. Przedtem był spokojny, bo obowiązki spadkobiercy obiecał wziąć na siebie przybrany brat Lumo, lecz teraz... Od czasu do czasu, kiedy te myśli szczególnie doskwierały Gwidowi, głośno wzdychał, strasząc pozostałych. Cisza królowała w domu po odejściu Zair Szacha. Absolutna cisza, gęsta jak mgła i całkowicie nieprzenikniona.

Nawet filozofowi słowa przychodziły z trudem, a rycerz pokasływał i preferował samotność, co wcześniej mu się nie zdarzało. Marshall, tak samo jak nowy gość Conan Cymmerianin, bez przerwy pił i też milczał.

Peppo przypuszczał, że to zbyt późne zrozumienie tego, co zaszło, a także obawa przed odkryciem astrologa tworzyły w domu taką dziwną atmosferę. Chłopak popadł w prostrację, zapominając nawet o marzeniach. Nie mógł wykonywać żadnych czynności, nawet najprostszych: brat mył go, ubierał, prowadził za rękę do sali jadalnej, wyprowadzał na spacer po sadzie. W końcu, przez dzień zaledwie, pogrążył się w tak głębokim odrętwieniu, że zaczął śnić na jawie.

Benino spoglądał na brata z niepokojem, ale nie przejmował się za bardzo. Rozumiał, że milczenie i dziwny nastrój dorosłych spowodowały jego obecny stan. Niewątpliwie bardziej pożądany byłby wyjazd niż pozostawanie tutaj, ale filozof nie mógł zostawić przyjaciela w

takiej chwili jego życia. Lal Bogini Losów (który po tych wszystkich dniach budził w Beninie raczej niechęć niż zachwyt) przesłonił nieszczęsnemu rycerzowi świat, zmienił go, zepsuł, spaczył. Benino przeklinał chwilę, kiedy Serwus Narot wymienił sakiewki ze złotem na magiczny rubin. On sam, chociaż pasjonował się drogocennymi kamieniami, zachował zdrowy rozsądek; zaraza nie wniknęła w jego duszę i mózg, jak to się stało z rycerzem.

Zachował świeżą głowę i nie zamierzał jej zaprzętać trudnymi myślami o nowych nabytkach i sposobach ich ochrony. Oto dlaczego cała historia z Lałem Bogini Losów i Serwusem doprowadzała go do smutku, ale otwierała nowe perspektywy dla rozważań filozoficznych.

A Conan wypróbował każde wino z zapasów rycerza i w duecie z Shemitą wypił jego piwo. Kiedyś taka degustacja z pewnością zakończyłaby się zabawą i miłością, ale nie tu. W domu Serwusa Narota nie było ani jednej przyzwoitej dziewczyny oprócz kucharki, która bez wątplenia była przyzwoita i bez wątplenia dziewczyna, choć w wieku czterdziestu lat. Iść do miasta, do karczmy, Cymmerianinowi się nie chciało. W ogóle znajdował się w dosyć niezwykłym dla siebie nastroju. Syty i niewzruszony jak skała, pił, pił i znowu pił, myślami błądząc po niedawnej przeszłości, gdzie jedna przygoda następowała zaraz po drugiej, nie dając wytchnienia. Chyba w tej ciszy odpoczywał od poprzednich burzliwych wydarzeń, nabierał sił przed nowymi radykalnymi zwrotami swojego losu.

Tak minął jeden dzień, potem drugi. W noc przed wyjaśnieniem tajemnicy nikt nie spał.

Conan i Marshall dlatego, że znów pili. Pozostali z powodu udręczenia duszy i niepokoju, tym łatwiejszego do wyjaśnienia, że nikt nie wierzył w przyjaźń Zair Szacha, tego obrzydliwego starucha. Jednak kiedy nazajutrz zszedł do sali jadalnej z twarzą podobną do potrząskanego kamienia, wszyscy wbili w niego wzrok, nie mrugając nawet i wstrzymując oddech.

A on siedział, nieruchomy i dumny, z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami i suchymi, brązowymi, węzlastymi rękami złożonymi na kolanach. Po jego prawej stronie stał półmisek z kośćmi - resztki uczy dwóch kumpli od butelki. Zair Szach tylko zerknął w tę stronę, ale wytrzymał i odwrócił twarz.

- Mów - nie wytrzymał Serwus Narot. Na policzki powróciły mu rumieńce, a oczy zmętniały i prawie całkowicie zniknęły pod nabrzmiętymi powiekami.

- Co? - wycedził astrolog.

- Jak to „co”? Odnalazłeś w tym świecie mój rubin?

- Odnalazłem.

Wszyscy odetchnęli z ulgą i rozluźnili się.

- Gdzie? Dalej, odezwij się, stary grzybie! - zdenerwował się rycerz. - Gadaj, ale już!

- Młodzieniec ma rację - zaskrzeczał Zair Szach, odwracając się do Conana i jednak ściągając z półmiska ogryzioną kość. - Lal Bogini Losów znajduje się w drodze z Argosu do Vendhii.

- Bezpośredniej drogi stąd do Vendhii nie ma - zaprotestował Marshall.

- Nie twierdzę, że jest. A jednak Leonardas z Lałem zmierza do Vendhii.

- To znaczy Leonardas... - Serwus zaciął się.

- Karmashan? - Benino z niedowierzaniem zapytał astrologa.

- Tego nie wiem - odpowiedział staruch zaczepnie. - Gwiazdy pokazały mi tylko miejsce, w którym znajduje się kamień i kierunek jego dalszej drogi. Teraz jest na granicy Shemu i Turanu.

- Hmm... - rycerz popatrzył na Benina smutnymi jak u zbitego psa oczami. - Vendhia jest duża... Tak... - Przeniósł wzrok na astrologa.

Filozof dobrze rozumiał, co oznacza to spojrzenie przyjaciela: Serwus miał nadzieję usłyszeć dokładne określenie miejsca, w którym obecnie znajduje się magiczny rubin, albo ostatecznego celu jego podróży. Natomiast to, co usłyszał, wzbudziło jego wątpliwości co do szczerości astrologa. Kto wie, a może obmierzły starzec jest w zмовie z Leonardasem i nau-

myślnie chce posłać ich na fałszywy trop? Trzeba będzie mieć na niego oko aż do powrotu Conana z Lalem albo bez...

- Dobrze i to - uspokajał Benino przyjaciela. - Z ośmiu stron świata mamy jedną. A tam można pytać przechodniów, właścicieli oberży i ich gości, wieśniaków... Jestem pewien, że Conan sam się we wszystkim zorientuje.

- Na pewno - obiecał barbarzyńca schrypniętym głosem, odrywając się wreszcie od dzbana z piwem. - Ile dajesz, rycerzu?

- Ile zechcesz, tyle dam - wzruszył potężnymi ramionami Serwus Narot, rozdrażniony i wcale nie uspokojony słowami przyjaciela.

- Dwie setki - ryknął Conan, przecinając powietrze zdecydowanym ruchem ręki.

- Choćby trzy.

- Trzy setki - uprzejmie zgodził się na taką zapłatę za swój trud Cymmerianin.

- Nawet cztery.

Tu obudziło się sumienie Conana.

- Cztery to za dużo. Niech będzie trzy.

Wstał i na miękkich nogach ruszył w stronę schodów.

- A ty dokąd? - chórem zapytali zdumieni rycerz, Benino i Marshall.

- O, Cromie! Muszę pomyśleć - nie odwracając się mruknął barbarzyńca. W rzeczywistości postanowił po prostu zdrzemnąć się trochę, bo dwa dni picia już dawały znać o sobie. Przez cały ten czas prawie nie spał.

- Pomyśl, mój druho, pomyśl - powiedział Gwido, dla którego manewr przyjaciela był oczywisty. - Czeką cię niełatwa sprawa, koniecznie musisz pomyśleć...

Potem wstał i szybko wyszedł do sadu, aby w samotności wspomnieć Luma, zmarłego tak nie w porę i tak głupio.

Następny ranek stał się początkiem końca. Wszyscy poczuli bezgraniczną ulgę. Cisza, która na długi czas zawisła nad tym domem, rozwiła się. Gwar, głośny śmiech, a nawet śpiew napełniły ogromną przestrzeń sali jadalnej.

Gwido, który oderwał się od smutnych myśli, bezustannie chichotał, a wtórował mu basem Shemita. Poszturchiwali się głupawo Benino z bratem i z Serwusem, który nabrał ducha i odzyskał rumieńce. Nawet Zair Szach parskał w kułak, słuchając żartów gości i gospodarza.

Tylko jeden Conan był ponury. On, w odróżnieniu od pozostałych, nie miał powodów do radości... Łajdak Leonardas - a może rozbójnik Karmashan - mógł zmienić kierunek swojej drogi, a wtedy cały pomysł był zwykłą stratą czasu. Na dodatek barbarzyńca nigdy nie widział tego drania i mógł łatwo wziąć za niego kogoś innego. Zresztą wszystko to były błahości. Nie takich rzeczy dokonywał Conan w swoim życiu. Teraz jednak wydawało mu się, że sukces jest daleki jak nigdy przedtem. Chwała Mitrze, skłonność do zmartwień nie zaliczała się do jego nałogów, więc szybko zajął się w myślach wytyczaniem trasy, którą pójdzie.

- Conan! - radosnymi okrzykami powitali go o świcie nad podziw rzeźcy goście Serwusa Narota.

Sam gospodarz milczał, lecz po uśmiechu, od którego jego twarz stała się dwakroć szersza, można było łatwo domyślić się, co czuje.

- Kiedy wyruszasz? - zapytał Gwido, starając się nie okazywać szczególnej radości z powodu wyjazdu przyjaciela. Conan mógł niewłaściwie go zrozumieć. Detektyw cieszył się wprawdzie, że w domu w końcu zapanował spokój, ale z Cymmerianinem akurat nie chciał rozstawać się tak szybko.

- Zaraz - mruknął barbarzyńca. - Piwa się napiję i pojedę.

Natychmiast podano żądany napój drogiemu gościowi. Wraz z pojawieniem się Conana stary sługa zaczął nakrywać do stołu. Kucharka, prawdopodobnie zgodnie z nakazem Lambert, przygotowała prawdziwe cuda sztuki kulinarnej. Był marynowany łosoś, dwa rodzaje

szynki - z czosnkiem i zwyczajna, pieczona gęś nadziewana jabłkami i jakimś nieznanym kwaśnosłodkim ziołem nadającym potrawie niezrównany smak i aromat, comber jagnięcy w ostrym sosie, świeże bułeczki i wiele innych smakołyków, aż oczy gości napełniły się łzami zachwytu i rozczulenia.

Oczywiście najlepsze kąski Lambert postawił przed barbarzyńcą. Jego dusza odzyskała spokój, a wraz z nim i dobroć: pan zostanie w domu, pod jego kuratelą. W imię tego starego sługę stać było na wiele.

Och, te straszne drogi! Podróżując po nich, można nie tylko zaziębić się i umrzeć, ale też natknąć się na bandę rozbójników lub demona... Lambert, który nigdy nie wyjeżdżał poza granice miasta, miał mętne wyobrażenie o życiu. Dla niego wszystko sprowadzało się do tego domu i do tego człowieka, a ich dobro było najważniejsze. Nic też dziwnego, że barbarzyńca, który przypadkowo trafił do Lidii, spotkał tu Gwida Demetriosa i zobowiązał się do odnalezienia rubinu, był dla staruszka najdroższym gościem, czemu dodatkowo sprzyjała jego imponująca sylwetka.

- Wszystko gotowe do drogi, mój dzielny przyjacielu - ogłosił Serwus, który stracił apetyt ze zdenerwowania. - Doskonały koń, jadło, wino i woda... Starczy co najmniej na pięć dni. A potem... Trzymaj!

Wyłowił spod kurtki dobrze nabitą sakiewkę. Conan na oko ocenił, że jest w niej nie mniej niż pół setki sztuk złota. Tak, takiego bogactwa wystarczy mu na trzy miesiące... Chwycił sakiewkę i wsunął ją do kieszeni.

- Eee... Może życzy pan sobie nowe ubranie? - Lambert, z jakiś powodów tracący śmiałość w obecności Conana, wodził oczami od niego do gospodarza i z powrotem.

- Oczywiście, że sobie życzył - spostrzegł się rycerz, nie pozwalając gościowi odpowiedzieć. - Przynieś moją nową tunikę, kamizelę, kurtkę i spodnie, a żywo!

- Nie trzeba. - Barbarzyńca powstrzymał staruszka, który już zerwał się z miejsca. Zwrócił się do gospodarza: - Na nic mi twój strój. Mam dość złota, kupię coś po drodze.

- Po co na próżno tracić pieniądze? - zdziwił się Serwus. - Mam dwa pokoje zawalane...

- Nie trzeba! - powtórzył Conan. - Zbyt wymyślnie się ubierasz, przyjacielu. Twoje kwiaty na zadku i gwiazdy na brzuchu to nie dla mnie.

Rycerz zmieszał się i lekko rozżłościł. Rozumiał oczywiście, że barbarzyńca ma rację. Jego szaty zwykle wywoływały uśmiech u prostych ludzi i zachwyty u tych ze znakomitych rodów. Na chwałę Serwusowi trzeba powiedzieć, że bardziej niepokoiła go opinia pierwszych, którzy żyli zgodnie z naturą, czego on nie pojmował umysłem, lecz czuł sercem.

Conan nie tracił czasu. Pochłonął już pół pieczonej gęsi, wyrzucając z niej nadzienie na stół, wysączył dzban piwa i zaraz na duszy zrobiło mu się jaśniej. Czekająca go podróż już nie wydawała się bezsensowna - wiedział z doświadczenia, że niczego nie dostaje od życia ten, kto nic nie robi. A on zawsze coś robił, zawsze był w ruchu, życie było w nim i on sam był życiem.

Barbarzyńca nie zastanawiał się, co go czeka. W ogóle rzadko o tym myślał. Znał ludzi, którzy po rozważaniach na temat drogi i przygód zostawali w domu, gdzie stopniowo popadali w przygnębienie, tyli i tępieli, nie zajęci żadną sprawą. Wszystko to było śmieszne i dziwne, a najczęściej wstrętne, lecz o tym także nie myślał. Po prostu czuł tak, nie inaczej.

Uśmiechnął się do swoich myśli - chaotycznych, ale krzepiących. Wepchnął do ust ostatni kęs, przełknął go, prawie nie gryząc, dopił piwo z dzbana i już w biegu złapał z rąk Lamberta wiązkę suszonych ryb.

Cymmerianin wyszedł z domu nawet nie spojrzawszy na gospodarza i jego gości. Wsiadł na wysokiego wronego konia, z zadowoleniem klepnął wypchany worek podróżny przytroczony do siodła i ruszył w drogę.

III. ZNAJOMOŚĆ

Słońce prażyło tak, jakby chciało cały Shem spalić do szczętu. Czarne włosy Conana przyciągały gorące promienie, zdjął więc tunikę i zrobił z niej coś w rodzaju turbanu. Wiedział bowiem, jak niebezpieczne może być ogniste oko Mitry - takie subtelne i delikatne raniem, a obojętne i okrutne w południe. Właśnie mijał wypalone przez nie pola. Chodzili po nich ludzie - wydawało się, że bez celu i nadziei na lepszą przyszłość. Cymmerianin wiedział, że pracują od świtu do zmierzchu bez odpoczynku. Susza - rodzona siostra głodu - była ich starym wrogiem, z którym walczyli, na ile starczyło sił.

Potem pola skończyły się. Droga stała się bardziej równa i szersza. W dali pobłyskiwały srebrem szare mury Asgalunu i zapach morskiego wiatru już czuło się w gorącym powietrzu.

Conan spiął konia ostrogami. Upał znużył i jego, i zwierzę. Sen - ciężki, przemożny - zaklejał powieki, plątał myśli i barbarzyńca, wbrew początkowemu zamiarowi niezatrzymywania się, dopóki jest jedzenie i woda, postanowił zajechać do oberży, żeby pokrzepić siły spokojnym snem pod dachem.

Opłata za wjazd do Asgalunu była nieporównywalnie wyższa niż we wszystkich innych miastach świata. Pobierali ją srodzy strażnicy, szukający okazji, by zedrzeć z gościa - bogatego kupca czy biednego wędrowca - jeszcze coś ponad sumę określoną przepisami.

Zazwyczaj ludzie płacili bez szemrania, wszak wszyscy wiedzą, że z władzą nie wygrasz.

Cymmerianin jednak był nie z tych. Rzucił na tacę trzy złote, nogą odepchnął grubasa, który uczepił się cugli i spokojnie wjechał do miasta. W ślad za nim niosły się wyzwiska. To wartownicy grozili wszystkimi możliwymi nieszczęściami i wzywali Adonisa, żeby zesłał na zuchwalca grom i błyskawicę, ale Conan ani myślał się zatrzymać. Nie wątpił, że Adonis ma ważniejsze, sprawy na głowie, a gniewem strażników się nie przejmował. Chciwość powinno się karać; tak sądził, a więc ukarał ją teraz, płacąc za wjazd tyle, ile uznał za właściwe.

Tawernę „U grubego Shakkona” barbarzyńca zauważył z daleka. Szyld nad drzwiami, wysokości nieomal dorosłego człowieka, przyciągał uwagę jaskrawymi kolorami i dwiema rozkraczonymi figurami po bokach. Przedstawiały one samego Shakkona z dużym kuflem piwa w ręce i jego małżonkę z miotłą, stykających się ogromnymi brzuchami. Naganiacz - czarniawy chłopaczek - przeraźliwie wrzeszczał, zapraszając gości. Łapał przechodniów za ręce, a kiedy z odrazą go odpychali, podbiegał do innych, mając nadzieję, że ci okażą się bardziej ulegli.

Conan dał oberwańcowi złotego tylko za to, żeby milczał w czasie, gdy on będzie w tawernie. Rzucił mu cugle, przykazując strzec konia, i wszedł do środka.

Gości było niewielu. Para przyjezdnych na wpół pijanych kupców, płowowłosych, ubranych w złoto i srebro, troje miejscowych wieśniaków i strażnik obficie polewający czarną kędzierzawą brodę cienkim jasnym piwem.

Cymmerianin popatrzył i skrzywił się. Cóż, jeśli nie znajdzie się tu lepsze piwo, wypije to, które przywiózł ze sobą w worku podróżnym, ale pieczonego barana zażąda świeżego, gorącego, prosto z rożna.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Czy to imponujących rozmiarów miecz nowego gościa wydał się grubasowi Shakkonowi całkiem przekonującym argumentem, czy też tubalny, schrypnięty głos przeniknął do samej głębi otłuszczonego serca, w każdym razie baran został natychmiast podany, i to taki, jakiego zamówiono.

Conan rzucił się na mięso z entuzjazmem głodnego dzikusy. Rwał je zębami, mrucał i mlaskał. Zresztą w taki sam sposób sycili się i inni goście. Pojawili się nowi. Przyszedł dziwnie ubrany człowiek z nosem prawie tak długim jak miecz Cymmerianina. Zajrzał jeszcze jeden strażnik, utuczony na skarbowym wikcie - łysy, krótkonogi, tępogęby.

Chyłkiem przecisnął się przez drzwi, patrząc wokół zaszczutym wzrokiem, obszarpany chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co Conan. Ostrożnie stąpając, przeciął salę i przysiadł się do kupców - chyba zamierzał pokrzepić się na ich rachunek.

Barbarzyńcy, który miał już w żołądku pół barana, świat wydał się lepszy. Już nie widział potwora w grubym Shakkonie, lśniącym od potu. I nie taką maszkarą zdawała się gospodyni, nie wypuszczająca miotły z rąk, raz po raz szukająca okazji, by boleśnie ukłuć nią małżonka.

A pozostali - motłoch marnotrawiący życie jak popadło - zupełnie nie interesowali Conana. Widział już w życiu tylu ludzi, że można by nimi zaludnić duże miasto. A w miejscach takich jak to nigdy nie zwracał uwagi na gości, tylko na dziewczki.

Gniewne krzyki kupców przerwały tok myśli barbarzyńcy. Spojrzał w tamtą stronę i uśmiechnął się - obszarpaniec porwał ze stołu ogromną pajdę chleba i drżącymi rękami wpychał ją do ust. Płowowłosi kupcy gniewnie wrzeszczeli i żądali od gospodyni, by natychmiast wygoniła włóczęgę, póki nie zeżarł całego ich jedzenia. A ona z groźną miną już się odwracała. Nozdrza jej drgały, w malutkich oczkach, prawie ukrytych pod fałdami tłuszczu, płonął ogień, potężne ramiona wznosiły się nad głową powoli i nieubłaganie.

Chłopak nie czekał, kiedy silna jak wiejski kowal matrona opuści na jego rozczochrany łeb swoją miotłę. Podskoczył, zgiął się jak scyzoryk i rzucił w stronę stołu Cymmerianina. Widocznie uznał, że tylko on jest w stanie uchronić go przed strasznym gniewem tej kobiety.

I rzeczywiście: gdy gospodyni zobaczyła, że złodziejaszek wygląda zza potężnego ramienia gościa, uspokoiła się i zajęła swoimi sprawami, nie zwracając więcej uwagi na kupców i ich biadolenia. Conan zrozumiał, że tamci zapłacili dokładnie tyle, ile wyniósł rachunek, ani miedziaka więcej, a zatem nie mieli prawa do ochrony przed „sępami” stołów - chytiry, jak wiadomo, traci dwa razy. Za to strażnicy, złączeni wspólną służbą i świadomością własnej prawości, wstali i ruszyli do stołu barbarzyńcy.

- No, złodzieju, wyłaż - groźnie zażądał krótkonogi i pulchną pięścią przycisnął do boku rękojeść miecza, który smutno dyndał mu u pasa. - Nie słyszysz?

Conan z ciekawością popatrzył na niego, potem przeniósł wzrok na chłopaka. Ten skurczył się za baranią nogą, ale odważnie zerkał na strażników i syczał coś przez zęby, nad wyraz równe i białe.

- Już dobrze, zostaw go - leniwie mruknął drugi, bojaźliwie zerkając na potężnego Cymmerianina. Nie był widać pewien, dlaczego złodziej przybiegł akurat do tego stołu. Może to jego przyjaciel albo brat...

- Co mam zostawić? - zdziwił się krótkonogi. - Za przestępców płacą nam po dziesięć miedziaków od głowy. Ja z tych pieniędzy nie zrezygnuję! Dalej! - zasyczał, zbliżając nalaną gębę do baraniej nogi. - Wyłaż!

Noga ani drgnęła, a obszarpanca za nią prawie nie było widać. - Ja cię... - ryknął strażnik.

- Proch i popiół... - niegłęboko mruknął barbarzyńca, ogłuszony jego wrzaskiem. - Ty krzywa gębo, cuchnące siodło, plwocino Nergala! Jazda stąd, póki ci tyłka do podłogi nie przybiłem!

Spokojny ton Conana, w którym jednak wyraźnie było słycać groźne nuty, zmusił strażników do sięgnięcia po miecze i wycofania się. Za to chłopak się ośmielił, wyszedł z za nogi i pisnął:

- On już i tak ma tyłek blisko podłogi. Lepiej brodę mu przybij.

Conan spojrział na niego ze zdziwieniem, po czym odwrócił głowę do strażników. Choć nie powiedział ani słowa, ci w lot zrozumieli, że trzeba uciekać, dopóki nie wywiązała się bójka, w której raczej nie mieli szans.

- Jesteś tu nowy - chrząknął ten, który miał tyłek niedaleko od podłogi. - Nie znasz naszych porządków. Dziesięć miedziaków na ulicy nie leży, więc...

Nie dokończył. Cymmerianin z pogardliwym uśmiechem wsunął rękę pod kurtkę, wyciągnął stamtąd złotego i rzucił na stół.

- Starczy?

Strażnikom zaświeciły się oczy. Każdy z nich dostawał złotego za miesiąc służby, a tu takie bogactwo ni stąd, ni zowąd wpadło im prosto w ręce...

- Tak, panie... - wyschniętymi ustami zaszeptał krótkonogi. - Nawet zupełnie... zupełnie wystarczy.

Capnął ze stołu monetę i rzucił się w stronę wyjścia. Drugi ryknął i pobiegł za nim, podejrzewając, że współpracownik nie zechce się z nim podzielić. Za nimi podążała potrząsając miotłą oburzona żona właściciela - obaj nie zapłacili za wypite piwo i zjedzoną szynkę.

Conan szyderczo popatrzył za nimi i odwrócił się do obszarpańca.

- Coś ty za jeden? - zainteresował się, ponownie przysuwając do siebie baranią nogę, której cała jedna strona - ta najbliższej chłopaka - była niezgorzej ogryziona.

- Trille - odezwał się obszarpaniec i szybko oderwał jeszcze kawałek mięsa.

Miał wąską, niezwykle ruchliwą, ale całkiem szlachetną twarz. Poszczególne rysy wydawały się nieładne, jednak w całości sprawiały dość przyjemne wrażenie. Długi, cienki nos, duże usta, niebieskie, szeroko rozstawione oczy w obramowaniu gęstych czarnych rzęs - gdyby chłopaka domyć i uczesać, mógłby uchodzić za syna szlachcica albo nawet samego króla. Nawet jego sylwetka odznaczała się pewną dystynkcją - szczupła, wysoka i gibka, z rozrośniętymi prostymi ramionami. Gładką z natury skórę pokrywały teraz plamy brudu i wypryski, a ładne ręce były spierzchnięte. Nad górną wargą wyrosła mu płowa szczecina, a na podbródku - pojedyncze kłaczkki. W jasnych gęstych włosach tkwiły słomki i rzepy. Cóż, skoro gościem Conana okazał się zwykły włóczęga, to teraz, zdaniem Cymmerianina, należało go nakarmić - wiadomo, że kto sam był głodny, nie pozostawi nikogo głodnego - a następnie pozbyć się raz na zawsze.

- Jedz! - Conan podsunął Trillemu baranią nogę. Zawołał karczmarza i zażądał dla siebie pieczonej gęsi i jeszcze dwóch dzbanów piwa, z których jeden miał być dla obszarpańca.

Gdy tylko chłopak dostał pozwolenie na dokończenie mięsa, chwycił nogę w obie ręce i posapując wbił w nią zęby. Wyglądało na to, że przez ostatnie dni nie zdarzało mu się uradować żołądka czymkolwiek oprócz kawałka czerstwego chleba. Pożerał mięso nawet oczami, wytrzeszczając je tak mocno, że, wydawało się, wyjdą z orbit.

Conan natomiast łatwo poradził sobie z gęsią, dopił piwo, położył na stole zapłatę za jedzenie i wstał. Miał przed sobą daleką drogę, a każda zwłoka oznaczała jeden krok do przodu przez chery Leonardasa, wywożącego do Vendhii Lala Bogini Losów. Jeśli przeliczyć drogę mieszańca na trzysta złotych obiecanych przez Serwusa, to...

Cymmerianin szybko obliczył, że każdy jego krok kosztuje w przybliżeniu pół miedzianej monety, a jeśli jedzie konno...

- Poczekaj, bracie...! - Był już w drzwiach, gdy usłyszał dźwięczny głos obszarpańca.

- Czego? - Zmarszczył brwi Conan.

- Poczekaj na mnie, ja zaraz...

Barbarzyńca wzruszył ramionami i wyszedł z gospody. Czy nie ma innych kłopotów niż czekanie na tego włóczęgę?

Wziął cugle z rąk służącego. Oberwaniec, wybawiony od konia Conana, znów zaczął wrzeszczeć, przyzywając gości. Cymmerianin wskoczył na siodło i natychmiast chuda ręka Trillego spoczęła na jego kolanie.

- No, co jest? - w głosie włóczęgi wyraźnie było słychać pretensję. - Przecież prosiłem, żebyś poczekał!

- Odejdź! - ryknął barbarzyńca, do ostateczności zdenerwowany bezczelnością chłopaka. Obronił go przed strażnikami i nakarmił, czego on jeszcze chce?

- No, poczekaj - upomniał go Trille. - Powiniennem jechać z tobą. Przydam ci się. Wiesz,

kim ja jestem? Pewnie nie wiesz, bo i skąd.

Conan uderzył piętami konia i ten ruszył jak oparzony. Po kilku chwilach z tyłu pozostała tawerna „U grubego Shakkona”, oberwaniec - naganiacz i włóczęga... A przed nim było miasto Asgalun, przez które należało przejechać, zanim zapadnie zmrok, żeby noc spędzić już na shemskich stepach, gdzie nikt nie zakłóci snu Cymmerianina...

Conan krzyknął i spał konia, znowu ciesząc się życiem. Przecież nie ma nic piękniejszego od niego na świecie...

...na świecie nie ma nic piękniejszego od życia, bo i jak może być? Tylko żyjącemu przyniesie radość pocałunek pięknej dziewczyny, pierwszy uśmiech dziecka, zwycięstwo nad wrogiem i powrót przyjaciela z dalekiej wyprawy... Ta świadomość żyła w sercu barbarzyńcy, choć nie w jego głowie. Nie uznawał głębokich myśli i nie lubił rozważań na poważne tematy. Dla niego wszystko było proste: postępuj tak, jak masz ochotę w danym momencie. (Filozof Benino powiedziałby raczej: „Jak ci każe serce”). Nie podejmuj jednak pochopnych decyzji. Bywają różne chwile i nie zawsze warto liczyć na swoją znajomość życia.

Conan nie zawsze był sprawiedliwy. Czysto barbarzyńska, wybuchowa natura niekiedy tłumiła rozum, a w dodatku nie zawsze pojmował sprawiedliwość tak jak inni. Dziś na przykład mógłby obu strażników uśmiercić tylko dlatego, że ośmielili się niepokoić go wrzaskami w czasie posiłku. Jedynie dobry nastrój, jaki akurat odczuwał po jedzeniu, uratował tych zuchwalców od dzikiej wściekłości barbarzyńcy.

Chyba nie odczuwałby po tym skruchy. Szybko zapomniałby o tych, których wyprawił na Szare Równiny z tak błahego powodu jak hałas w gospodzie. A gdyby nawet sobie o nich przypomniał, to bez współczucia, z uśmieszkiem. Mogło być i tak.

Stało się jednak całkiem inaczej. Czasami ta szala wagi, na której znajdowała się jego sprawiedliwość, przeważała drugą, na której jak kupka popiołu leżała cudza. Spór toczył się o ludzkie życie. No i życie, uchronione przez barbarzyńcę przed czyjąś złą wolą, płaciło jego rachunki, zapewniało równowagę uczynków przed bogami i nawet surowy Crom nie mógłby zakwestionować wielkości swojego syna.

Ale cóż, kiedy syn miał w nosie wszelkie uczucia. Wcale nie myślał o uratowanych przez siebie ani o tych, których zgubił. Po prostu żył, jak umiał. Szedł tam, dokąd prowadził los, działał tak, jak nakazywała natura. A uczucia i ich motywy - to sprawa niegodna wojownika.

Zapadał zmierzch, lecz Conan wciąż poganiał konia, teraz już po stepie. Wiatr świstał mu w uszach - wolny wiatr, który wyrwał się przez szczelne mury miasta w przestworza migocące srebrem pod dopiero co narodzonym światłem księżyca. Pojawiło się parę gwiazd, ale jeszcze nie świeciły pełną mocą, ledwo się tliły. Ich drżące światło rozpalało się stopniowo, szykując się do długiej nocy. Oto królestwo mroku. Nadchodzi niosąc ze sobą strach, wahanie, sen. Budzi nikczemne uczucia w słabych ludziach i łowieckie instynkty w silnych zwierzętach.

Chwała Mitrze i innym bogom, w Shemie nie było dzikich lwów i tygrysów ani podłych hien, ani węży. Czasami zdarzała się tylko puma albo bezdomny pies, których w ostatnim czasie namnożyło się, i to nie tylko w Shemie.

Conan nie obawiał się zwierząt. Spał czujnie i nawet miękki krok pantery obudziłby go w samym środku mocnego snu. No i wiemy miecz zawsze był obok - Cymmerianin wyciągnie go z pochwy w okamgnieniu w razie niebezpieczeństwa... Cóż, gdyby w Shemie mieszkały lwy i tygrysy, barbarzyńca po prostu nie poganiałby konia i nie rezygnował z noclegu.

Conan zsiadł z wierzchowca obok niedużego kopca, wokół którego leżały kupki świeżo skoszonego siana, i urządził sobie pachnące łożo. Wbił palik w miękką i już zimną ziemię i przywiązał wronego, a następnie sam się położył. Sen przyszedł od razu, mocny, spokojny. Ani jedno westchnienie niepokoju nie wyrwało się z piersi barbarzyńcy.

Potem w sen zaczęło się wsączać coś dziwnego: ni to strzępy wspomnień, już nie odsiewane na jawie przez wybiórczą pamięć, ni to ostrzeżenie na przyszłość. Tam, w pałacach boga Hipnosa, który włada sztuką pogrążania człowieka w ciepłe mgły snu nie gorzej niż Conan włada sztuką walki, Cymmerianin nie potrafił zrozumieć, co to oznacza.

Widział tylko twarze, domy i drogę - długą jak życie pustelnika. Czuł czyjeś dotknięcia, słyszał głosy, lecz sam nie chodził i nie mówił. Czy było tam dobrze, czy źle? Ani jedno, ani drugie. Było nijako.

Uczucia barbarzyńcy, których miał tyle co każdy inny człowiek (choć nawet sam przed sobą niechętnie to przyznawał), teraz drzemały spokojnie. Postronny obserwator nic szczególnego nie widziałby w tym śnie, chociaż chyba mu się nie podobał. Oto mignęła piękna twarz Belit - jego ukochanej, zmarłej wiele lat temu. Conan jednak widział, że jej ciemne oczy nie wyrażały trwogi ani tęsknoty. Oto obojętne oblicze starego żołnierza Cumbara - minęły dopiero dwa miesiące od dnia, kiedy Cymmerianin pożegnał się z nim u bram Mesancii, stolicy Argosu. A oto znów ta droga... Nikogo na niej nie ma, tylko z oddali słysząc jakieś przyciszone głosy.

Conan obudził się nagle. Ręka chwyciła rękojeść miecza, jeszcze zanim otworzyły się oczy. Przetoczył się na drugą stronę łoża i rozpląszczył czarnym cieniem na ziemi, gotów w każdej chwili ciąć i ugodzić wroga. Najpierw jednak należało przekonać się, czy tam jest wróg.

Kroki zbliżały się. Chód lekki i miarowy - to nie człowiek, to koń. Jednak skąd wzięłyby się koń w stepie, gdzie hula tylko wiatr? Conan wstrzymał oddech. Wkrótce w ciemności nocy, pięćset łokci od kopczyka, rozróżnił jeźdźca kierującego się w jego stronę. Ten zatrzymał się na chwilę, uniósł w siodle, wypatrując czegoś w dali, a gdy spostrzegł wronę stojącego w sнопie księżycowego światła, pojechał w jego stronę. Nie zrobił nawet dwudziestu kroków, gdy Cymmerianin, który widział w nocy jak kot, rozluźnił palce zaciśnięte na rękojeści miecza.

- Żeby cię Nergal rozszarpał, przyjacielu - rzucił ochryple w ciemność. - Obudziłeś mnie.

IV. W ERUKU

Trille - bo to był on - przywiązał konia i radośnie, prawie ze łzami szczęścia w oczach zeskoczył na ziemię i rzucił się na barbarzyńcę. Nawet próbował go objąć niczym starego druha, z którym nie widział się dziesięć lat, lecz tamten powstrzymał go jednym spojrzeniem.

- Masz zamiar tak się za mną włóczyć? - surowo zapytał Conan.

- Eee... - obszarpaniec machnął ręką, przestępując z nogi na nogę, i odwrócił głowę od zimnych oczu Cymmerianina. - Mnie wszystko jedno, dokąd pójdę, więc pomyślałem, że mogę ci towarzyszyć.... Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

Potem, słusznie się obawiając, że Conanowi nie jest obojętne, kto idzie za nim tą samą drogą, i że chyba niezbyt go ucieszy towarzystwo, odetchnął głęboko i jednym tchem powiedział:

- Jesteś śmiały i zdecydowany, jesteś wspaniały i silny, o orle górski...

- Przestań! - Conan podniósł dłoń z obrzydzeniem, przerywając ten potok pochlebstw. Przykrość, którą poczuł od pierwszej chwili, rozrastała się, wypełniając serce kolcami złości. Wystarczyło jedno spojrzenie na włóczęgę, żeby wiedzieć, kim jest. Ot, zwyczajny natręt, z tych co przyczepiają się do podróżników, by zabawiać ich w drodze głupimi popisami. Za ten

trud trzeba ich karmić i poić, a bywa, że jeszcze ochraniać. Conan spotykał takich już wcześniej, ale nigdy nie dał się złapać na ich przynętę. Jednak w oczach Trillego było coś dziwnego, co odróżniało go od pozostałych. Może dobre pochodzenie, które Cymmerianin od razu dostrzegł...

Włóczęga wykorzystał chwilę zakłopotania i zbliżył się o krok.

- Przysięgam na wszystkich bogów, nie będziesz żałował - powiedział żarliwie z ręką na sercu. - Wiesz, kim ja jestem?

- Idź sobie! - barbarzyńca ogłosił decyzję i wrócił na swoje łóżko.

- Co ci się we mnie nie podoba? - obraził się Trille, wlokąc się za nim. - Jestem mądry, ładny i zwinny...

- Precz! - ryknął Conan. - Przysięgam na Croma, ty wroni wyrzutku, mam cię dość.

Chłopak westchnął i zatrzymał się. A gdy Cymmerianin zagrzebał się w sianie i zachrapał, wyrzucając z głowy istnienie włóczęgi, usiadł na ziemi, oparł podbródek na kolanach i wkrótce również zasnął. Widać przywykł do spania w każdej pozycji.

Conan otworzył oczy z pierwszymi promieniami słońca. Niebo, błękitne i czyste, zapowiadało dobry dzień. Dusza była wolna i lekka, a powietrze świeże - wszystko razem sprawiało cudowne wrażenie wieczności życia. Oddech przyrody i oddech człowieka stanowiły jedno - człowiek obudził się równocześnie z ziemią, trawą i drzewami. Przyroda weszła w jego serce i ogrzała je.

Cymmerianin wstał. Niestety, na tym świecie oprócz niego i przyrody istniał jeszcze włóczęga. Też się obudził i mrugał powiekami o długich rzęsach, przypominając sobie, dokąd go przygnało zeszłej nocy.

Conan wściekł się, gdy go zobaczył. Błogostan, który spłynął na niego z niebios, zniknął w okamgnieniu, ulotnił się w wilgotnym powietrzu poranka. Barbarzyńca ryknął i powoli wyciągnął z pochwy miecz.

- Spokojnie, przyjacielu - ochryplym od snu głosem mruknął Trille i odczołgał się kawałek. - Odejdę, jeśli każesz...

Wstał, odwrócił się tyłem do Cymmerianina i poszedł do swojego konia, zgarbiony, z rękami bezwładnie zwisającymi wzdłuż boków. Wyraźnie nie chciał rozstawać się z tym ogromnym, silnym mężczyzną, którego uznał za swojego przyjaciela i protektora. Cóż jednak robić?

Ciemnogniada klacz chrapnęła, gdy szarpnęła cugle, odciągając jej pysk od soczystej trawy i nerwowo uderzyła kopytem, gdy skoczył na siodło. Wrony koń Conana patrzył na piękną klacz z tęsknotą, gotów pognać za nią. Jego pan jednak ani myślał ruszać w drogę. Siedział na stercie siana i z apetytem pochłaniał pieczonego koguta, popijając go, czerwonym winem z butelki. Znowu zapomniał o Trillem, a może specjalnie nie patrzył w jego stronę, przekonany, że teraz chłopak zostawi go w spokoju i pójdzie do swoich. Wczoraj spłacił dług człowieczeństwu i nakarmił tego natręta, ale dziś nie czuł się zobowiązany do zaproponowania mu części swojego posiłku.

Głębokie westchnienie wyrwało się z piersi włóczęgi. Rzucił barbarzyńcy ostatnie spojrzenie. Nie zobaczył najmniejszej oznaki, że jego obecność jest w ogóle zauważona, a tym bardziej przyjmowana łaskawie, więc ruszył z miejsca. Wracał do Asgalunu - miasta, które tak niezycliwie wita włóczęgow. Zresztą kto w ogóle na tym świecie wita ich przyjaźnie?

Zbliżał się wieczór. Daleko w tyle pozostał step i pas mizernego suchego lasu, i mętny strumień z kwaśną wodą, i mała wioska bez gospody. Od samego rana Conan jechał nie zatrzymując się i tylko raz pozwolił koniowi napić się ze źródła we wsi. Niebawem powinny pojawić się w oddali mury Eruku. Tam podróżnik już był i teraz czuł przedsmak obchodu po znajomych karczmach, objęć znajomych dziewczek o okazałych kształtach i dobrych ser-

cach. Zelina, Irha, Saddana, Lila, Aina - czarnookie piękności, które potrafiły kochać mężczyznę tak gorąco, że po latach w jego sercu pozostaje ślad od płomienia tej miłości...

Conan pamiętał je. Noce i brzaski w maleńkich pokoikach na poddaszu karczmy, pieśni i okrzyki pijanych na dole, w sali...

Cymmerianin uśmiechnął się na wspomnienie czarnych jak węgle oczu pewnej pulchniutkiej Iry. Liczył na to, że zapłoną na widok dawnego przyjaciela i w mig rozpalą jego namiętność, zamącą w głowie, pociągną w ciepło alkowy i...

Spiął ostrogami konia, by jak najszybciej osiągnąć Eruk - tę kolebkę miłości, pijaństwa i złodziejstwa. Mimo wszystko życie jest piękne. Tak bardzo teraz cieszyła go przestrzeń równiny, bliskość miasta, suchy ciepły wiatr dmuchający w plecy. Przeszłości nie ma, jest tylko przyszłość - w jej tajemnicy zawiera się sens całego życia. Do tej przyszłości zdązał teraz barbarzyńca, całkowicie zapominając o celu swojego przedsięwzięcia.

Wkroczył do Eruku tak energicznie, że strażnicy ledwie zdążyli chwycić lejące z jego rąk złote. Wąskie i krzywe, ale przytulne uliczki, brukowane równymi kamieniami, gościnnie wytrzeszczały na podróżnika okrągłe okienka swoich domów. Na przedmieściach stały głównie chatki biedaków, którzy zakrywali otwory w cienkich ścianach byczymi pęcherzami, przez co okna naprawdę przypominały oczy. Smętni przechodnie odskakiwali na bok, nauczeni bać się jeźdźców. Ludzie zapalający latarnie, nerwowi i złośliwi, bo ich trud nie był opłacany brzęczącą monetą, lecz w naturze, krzyczeli za nim i grozili Złotym Pawlinem Sabatei - wstrętnym mieszanicem, o ile wiedział Conan. Dziewek na ulicy zupełnie nie było; przebywały w karczmach. Tam też kierował podróżnik swojego konia.

Bliżej środka miasta trafiały się tu i ówdzie kamienne domy, przeważnie parterowe, przysadziste, z oknami wychodzącymi na wewnętrzne podwórka. Tutaj mieszkali ludzie bardziej majętni - drobni kupcy i sędziowie. Samo centrum obfitowało w luksusowe pałace jedno - i dwupiętrowe, ze złoconymi wieżyczkami na płaskich dachach i dziwacznymi witrażami w ogromnych oknach. Na ulicach, dostatecznie szerokich, by mogło jechać ramię w ramię trzech konnych, co krok spotykało się różne karczmy - od tanich knajp do szykownych tawern, w których kufel piwa kosztuje nie mniej niż kindżał z aquilońskiej stali.

Conan pewnie skrzył w lewo od głównej ulicy i zatrzymał się. Miał przed sobą drzwi tej samej karczmy, w której kiedyś poznał Irę i Lilę. Dwie siostrzyczki, a różniły się tak bardzo, jak kot różni się od słonia, kawałek baraniny od ogryzionej kości czy kropla wody od flaszki wina.

Ira, okrągła jak paczuszek, miała wesołe usposobienie, chętnie i zaraźliwie się śmiała i piła piwo nie wylewając go na siebie. Wysoka, chuda Lila była ponura jak świeżo upieczona wdowa, za to w miłości gorąca i nienasycona, chociaż stale wylewała piwo na suknię, co denerwowało jej chciwych przyjaciół. Conanowi podobały się obie: Ira - bo miło uśmiechnięta, Lila - bo małomówna i skromna. Zalety Lili wynikały wprawdzie po części z umysłowego ograniczenia, ale w hałasie przyjacielskiej uczyty, a potem w szale namiętności nie było to bardzo widoczne.

Z nadzieją na spotkanie dawnych kochanek barbarzyńca pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka. Przez te lata nic się tutaj nie zmieniło. Sala była nabita. Zgiełk, śmiech i wciąż ten sam karczmarz - potężny Shemita z krótką, kędzierzawą brodą, zabawiający klientów w ten sposób, że bez wysiłku gwał podkowy i zonglował dwoma młotami kowalskimi. Gdy zobaczył drogiego gościa, radośnie rzucił mu się na spotkanie.

Oczywiście dobrze pamiętał tego olbrzymiego, mocarnego Cymmerianina, który kiedyś dla żartu rozgiął wszystkie zepsute przez niego podkowy, a oba młoty przywiązał do nóg pijanego strażnika i wrzucił go do kadzi piwa, skąd potem nieszczęśnik nie mógł się wydostać. Och, te cudowne, wesołe zabawy! Wielu je pamiętało. Wtedy pieniądze strumieniem płynęły prosto do bezdennych kieszeni karczmarza, a on z kolei nie skąpił Conanowi piwa - co prawda, nieco kwaskowatego i cienkiego, ale barbarzyńca nie narzekał na darmowy poczęstunek.

Niestety, obu dziewczyn - Iry i Lili - teraz tu nie widywano. Conan z początku sądził, że są z gośćmi na górze, więc usiadł przy wysokim, długim stole i zamówił dzban piwa oraz słoninę z chlebem. Rozejrzał się wkoło i zobaczył nowe, nie znane mu jeszcze dziewczyny. Trzy gracze, każda o rozmiarach sporej świnki, przechadzały się między ławkami i tuliły czule do mężczyzn, mieszając kokieteryjnie głosiki z ich ochryplymi tenorami. Prawdę mówiąc, barbarzyńca dawno nie słyszał takich dzikich wrzasków, jakie wydobywały się z gardeł tych dziewczątek.

- Hej, Djalwaz! - Chwycił karczmarza za połę kurtki. - Gdzie Ira?

- Och, panie! - Okrągła, chytrą gębę osiłka wykrzywił smutny grymas. - Biedną Irę żołnierze zabili w zeszłym roku. Tak po prostu, wsadzili miecz w samo serce. Jak my rozpoczęliśmy!

- Proch i popiół... - mruknął Cymmerianin i sam się zdziwił, że taki mocny żal przeszył jego pierś. - A Lila?

- I Lili już nie ma z nami. Utonęła, biedaczka!

- Gdzie?

- W kałuży! - żałośnie machnął ręką Djalwaz. W jego oczach błyszczały szczere łzy. Natężając głos, aby Conan mógł go usłyszeć w tym hałasie, ciągnął: - Kiedyś wypija zbyt dużo i poszła pospacerować na ulicę. A tam upadła w głęboką kałużę!..

Barbarzyńca nachmurzył się. Nigdy nie miał złudzeń co do losów dziewczek karczemnych - one wszystkie tak czy inaczej odchodzą na Szare Równiny przed czterdziestką. Ale jego przyjaciółeczki? Potrząsnął głową, odpędzając nieznane uczucie ściskające pierś i zwrócił wzrok na jedną ze ślicznotek, która już szła do niego z drugiego końca sali.

- Miltacha! - wrzasnął sąsiad Conana z lewej strony, który też zobaczył dziewczynę i nie wątpił, że idzie właśnie do niego. - Czekam na ciebie, kruszyno!

Cymmerianin chrząknął. Waga tej kruszyny była nie mniejsza niż jego. Sąsiad natomiast - chudy, kościsty chłopak lat dwudziestu pięciu - czubkiem głowy ledwo sięgał dziewczynie do ramienia.

- Krrruszynko! - znów krzyknął z widocznym zadowoleniem. - Czekam zbyt długo!

- Zamknij się - powiedziała basem kruszynka, nie zaszczycając go spojrzeniem. Jej ciężka ręka spoczęła na ręce Conana. - Pójdiesz ze mną, barbarzyńco?

Ciemne oczy z bursztynowym odcieniem uparcie patrzyły na niego. W końcu poczuł, że w jego piersi topnieje bryła lodu, która utworzyła się po opowieści karczmarza o tragicznej śmierci Iry i Lili.

- Pójdę - kiwnął głową, przyciągając ślicznotkę bliżej. Usiadła, uśmiechnęła się samymi ustami i błyskawicznie chwyciła jego kufel. Piwo z bulgotem zniknęło w jej gardle, a barbarzyńca gestem wezwał spoconego sługę i kazał przynieść jeszcze dwa dzbany.

- No i co, Miltacha? - z urazą w głosie zapytał sąsiad Conana. - Zeszłej nocy byłeś ze mną, a dziś?

- Dziś będę z nim - tubalnie oświadczyła dziewczyna i przylgnęła policzkiem do ramienia Cymmerianina. - Ty, chłopcze, skaczesz niby wesz, a pożytku w tym za grosz.

Conan, żeby przez męską solidarność opanować uśmiech, wgrzył się w polec słoniny, a jego sąsiad sapnął i umilkł okropnie obrażony.

- Hej, barbarzyńco - gorąco szepnęła Miltacha w ucho nowego przyjaciela. - Jak masz na imię?

- Conan.

- Z Cymmerii?

- Uhm.

Conan dopił piwo, a lód w jego piersi topniał, aż całkiem się roztopił. Czy spowodowały to wspaniałe kształty ślicznotki przylepionej do jego prawego boku czy może piwo - barbarzyńca nie wiedział, a i nie chciał wiedzieć. Tylko jedna myśl została w jego rozmiękczonej

mózgu: spać, a najlepiej z Miltachą. Już zapomniał Irę i Lilę, które ofiarowały mu tyle pięknych i szalonych nocy. Zapomniał wszystkie inne dziewczki, których mnóstwo spotykał na drogach i bezdrożach - Belitę, Karełę, Almę...

Cymmerianin wstał ciężko i szarpnięciem postawił na nogi swoją ślicznotkę.

- Idziemy - powiedział, przyglądając się jej mętnym wzrokiem.

Miltacha z ulgą westchnęła. Bywało, że piwo i wino zwały z nóg jej nowo poznanego przyjaciela, zanim zdążyła zaciągnąć go na górę, do łóżka. Mocno ścisnęła ramię Conana szeroką, po męsku silną ręką i przyciskając się do niego okrągłym, jędrnym biodrem, poszła za nim zdziwiona, że tak dobrze zna drogę. Wcześniej nie widywała go tutaj, a nie mogłaby nie zauważyć...

Zresztą niewiele to teraz obchodziło Miltachę. Ledwo powstrzymywała się, żeby nie przyspieszyć kroku i nie popędzić po schodach. Z zachwytem spoglądała na mocną, jak z brązu wykutą szyję barbarzyńcy, szerokie ramiona, na które spadały kosmyki czarnych, prostych włosów, twardy podbródek pocięty białymi bliznami, długie gęste rzęsy... Cała noc z mężczyzną, a nie z pijanym susłem! Zazdrościła samej sobie. Cała noc!

Miltacha nie wytrzymała i pognała na górę, pociągając za sobą Conana.

Ponury jak chmura gradowa barbarzyńca zszedł do sali. W nocy prawie nie spał, zniewolony przez nową dziewczkę Djalwaza. Zmarnował też świt, poranek, a nawet południe.

Słońce już minęło zenit, gdy otworzył oczy i stwierdził, że znajduje się w zalanym słońcem pokoju obok chrapiącej góry imieniem Miltacha. Zerwał się, złorzecząc na własną głupotę, na ten wesoły przybytek i, nie wiedzieć czemu, na rycerza Serwusa Narota. Szybko włożył zakurzone ubranie i rzucił się na dół.

Karczmarz, doglądający sług przy pracy, gdy tylko ujrzał go na schodach, wyszczerzył zęby w uśmiechu. W ciągu dnia w karczmie zazwyczaj bywało pusto i cicho, więc pozwolił sobie poświęcić więcej uwagi staremu, dobrze znanemu gościowi.

- Piwa, panie? Wina? Baraniny? - Djalwaz, jak każde obyczaj, złożył ogromne łapska na piersi na znak szczególnej sympatii dla gościa.

- Piwa - ponuro rzucił Conan, podchodząc do stołu.

Ile drogi przebył Leonardas przez ten czas, gdy jego prześladowca spał głębokim snem? Czy dotarł już do samej Vendhii? A może postanowił zmienić kierunek i teraz zmierza do Stygii lub Zamory czy Ophiru? Na pewno nie na darmo wziął ze sobą astrologa... Ta myśl ledwo mignęła, zaraz przepadła. Już lepszy taki towarzysz podróży jak ten włóczęga, niż zrzedzący staruszek...

Jak jednak Conan mógł zaspać? Wściekły na siebie, osuszył dzban dobrego ciemnego piwa, zakąsił kromką świeżego chleba o brunatnej, chrupiącej skórce, oderwał kawałek baraniej nogi i przełknął. To, co zostało, wsunął do worka podróżnego, bo jego własne zapasy już się wyczerpały.

W końcu postanowił, że nadgoni stracony czas i będzie jechał całą noc bez przystanku. Złość na samego siebie za lenistwo i niepamięć zaczęła wreszcie słabnąć. Cymmerianin duszą już był w drodze.

- Piwa! - krzyknął tubalnym głosem do karczmarza, który z daleka patrzył na niego z rozczuleniem, ale nie odważył się zbliżyć i przemówić.

Teraz, promiennie uśmiechnięty, sam rzucił się spełnić żądanie drogiego gościa i ze złością syknął na sługę, który zamierzał go wyprzedzić.

Czekając na piwo, Conan rozglądał się po sali. Przez lata jego nieobecności niewiele się tu zmieniło. Ustawiono nowe stoły, długie i krzywonogie, a zamiast wygodnych stołków – ławy. Jediną lampę, której światło nigdy nie dochodziło do odległych kątów, zastąpiło sześć innych. Podłogi myto staranniej - i to bodaj wszystko.

Skrzypnęły drzwi, pchnięte czyjąś niepewną ręką. Barbarzyńca wpatrzył się szczelinę,

przez którą wpadł potok dziennego światła, i nagle wściekły ryk wyrwał mu się z gardła, aż karczmarz i służący cofnęli się gwałtownie i otworzyli usta. Na progu, oświetlony niby jakiś bożek jasnymi promieniami, stał włóczęga Trille i patrzył przymrużonymi, bezczelnymi oczami na Cymmerianina.

- Precz! - złym głosem krzyknął Djalwaz, a za nim jego służący, gdy zobaczyli, kto spowodował taki gniew drogiego gościa. - Wynoś się stąd!

Jednak Conan, który całkiem niedawno przegonił chłopaka takimi samymi słowami, nagle poczuł złość, i to bynajmniej nie skierowaną na Trillego.

- Proch i popiół... - ryknął, obracając głowę w stronę właściciela karczmy. - Zajmij się swoimi sprawami, przyjacielu! A ty... - skierował wzrok znowu na włóczęgę - chodź no tu.

V. DALEKA DROGA

Zdumieni taką nieoczekiwaną obroną karczmarz i służący, zgodnie z mądrą radą Cymmerianina, zajęli się swoimi sprawami. Włóczęga przeszedł przez salę i odważnie usiadł za stołem.

- Pij - przyzwolił Conan, podsuwając chłopakowi napoczęty już dzban z piwem.

Obszarpaniec nie kazał się długo prosić. Chwycił mocno w kościste palce pękaty dzban i zaczął głośno chleptać ożywczy napój, pomrukując z zadowolenia.

Conan zmarszczył brwi, wbił wzrok w stół i zaczął się zastanawiać. Z jednej strony chciałby uwolnić się od tego chłopaka, może nawet bardziej niż przedtem, bo jego natarczywość mogła się wydać podejrzana. Najprościej byłoby wykończyć go - to środek najpewniejszy. Jednak zabijanie włóczęgów barbarzyńca zawsze uważał za rzecz niegodną prawdziwego wojownika, podobną zemście na dziecku lub starcu. A z drugiej strony... Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób chłopak potrafił znaleźć go w mieście. Biorąc wszystko pod uwagę, musiał mieć nie byle jakie zdolności śledcze. Skoro już przyczepił się do Conana tak mocno, to musi być po temu jakaś przyczyna.

- No, bracie, uratowałeś mi życie - powiedział Trille, odrywając się od dzbana. - Gdyby tak jeszcze kromkę chleba...

Conan bez słowa wysypał z worka podróznego wszystko, co tam jeszcze zostało, i udał się do Djalwaza do kuchni uzupełnić zapasy. Rozdrażnienie, które go opanowało na widok chłopaka w drzwiach karczmy, zaczęło mijać. Jednak czuł, że niebawem znów zapłonie ogniem, a wtedy zapomni o zasadach wojownika i wyprawi zuchwałego włóczęgę na spacer po Szarych Równinach, których przestroni oko nie ogarnia i nawet tłumy cieni zmarłych nie zdepczą tam wszystkich ścieżek...

Karczmarz, zdumiony do głębi duszy dobrocią surowego barbarzyńcy, wypchał jego worek mięsem i chlebem pod samo wiązanie i wśród ukłonów przyjął jako zapłatę dwie złote monety.

Zanim Conan wrócił do stołu, Trille pochłonał resztki baraniej nogi, pół bochenka chleba i teraz dopijał piwo z dzbana.

- Przysięgam na Cromę, chłopcze - zamruczał Cymmerianin, siadając na swoim miejscu - zreć to ty potrafisz...

- Nie tylko to potrafię!.. - przerwał mu obszarpaniec, zadowolony i z takiej pochwały.

- Do mielenia językiem też jesteś zdatny - ponuro zgodził się Conan. - Do czego jeszcze się nadajesz?

- Powiem ci...

Trille, osłabiony jedzeniem, utracił czujność. Przybliżył usta do ucha barbarzyńcy i wyznał szeptem:

- Nosem jak wilk czuję, tak też ciebie w tej dziurze odnalazłem! Dotarłem do Eruku, przejechałem po ulicach, obwąchałem karczmy i oto jestem tutaj. A prócz tego... - Zniżył głos i całkiem przykleił się do ucha Conana. - Prócz tego jestem... Władcą Węży.

Tego Conan już nie mógł znieść. Zamachnął się i wymierzył gadule taki policzek, że Trille spadł z ławy i grzmotnął na podłogę ku wielkiej ucieście Djalwaza i sług.

- Szakali synu! - wycedził barbarzyńca przez zęby patrząc na leżącego oberwańca. - Beknięcie Nergala, kłamco, głupku...

- Nie jestem kłamcą - z godnością odpowiedział Trille, wstając i otrzepując się. Cios losu (tym razem zadany za pośrednictwem ręki Conana) zniósł mężnie, jak przystało doświadczonemu włóczędze, którego każdy uważa za swój obowiązek obrazić. - Powiedziałem ci prawdę, o barbarzyńco! Skoro nie wierzysz, to cię przekonam.

- Jak? - Gniew Cymmerianina zaczynał stygnąć i z większym zainteresowaniem spojrział w smutne niebieskie oczy nowego znajomego.

- Jedziemy!

Trille był zdecydowany. Wskazał głową drzwi i sztywnym krokiem ruszył do wyjścia, nie oglądając się, jak gdyby był pewien, że Conan pójdzie za nim.

Dziwiąc się w duchu takiemu niespotykanemu zuchwalstwu, barbarzyńca mimo wszystko zarzucił na plecy worek podróżny i poszedł za Trillem. Ten chłopak zaczyna mu się podobać.

Siniak na kości policzkowej Trillego rozkwitał pięknym fioletowo-purpurowym kolo-rem. Tylko jedno smuciło obszarpańca: niebieskie oko zapuchło mu tak, że prawie całkiem zniknęło. Teraz o jego urodzie można było wnioskować jedynie na podstawie drugiego oka, na szczęście nie uszkodzonego. Jednak nie winił Conana. Nie on pierwszy i nie ostatni tak zareagował na jego wyznanie. Pewnie, prostemu człowiekowi, rozważał Trille, trudno uwierzyć, że obok niego przebywa sam Władca Węży, niezrównany, potężny, chociaż teraz lekko poturbowany i zużyty.

Kierując swoją ciemnogniadą klacz, uprowadzoną spod karczmy w Asgalunie, ku stepom Shemu, nowy znajomy barbarzyńcy stopniowo osiągał duchowy spokój. Już nie wątpił, że groźny, potężny i ogromny Cymmerianin weźmie go ze sobą. Czuł, że jakiś mus pcha go naprzód. Wiedział też z doświadczenia, że droga do celu nigdy nie bywa łatwa i prosta. Conanowi potrzebny jest towarzysz podróży, a jemu, Trillemu, opiekun. Zmęczył się klepaniem biedy samotnie w wielkim, okrutnym świecie i chciał odpocząć.

Tymczasem zbliżał się zmierzch. Niebo z błękitnego zrobiło się szare, słońce zniżyło się i zwalniało miejsce księżycowi. Na horyzoncie pojawiły się puszyste białe obłoki - za nimi szła noc. Wiatr nasilił się, po stepie popłynęły fale i przystroiliły złotem szarą, nieskończoną przestrzeń.

Włóczęga ostro osadził klacz i odwrócił się do Conana. Na jego cienkich wargach igrał półuśmieszek, a w głębi niebieskiego oka błyskała czerwonym żarem rozszerzona źrenica.

- Zatrzymamy się tutaj - zarządził, zeskoczył z konia, rzucił cugle i dalej poszedł pieszo.

Gniada klacz ze zdziwieniem popatrzyła na plecy nowego pana, potem opuściła głowę i zaczęła szczypać stepową trawę. Wrony koń Conana, też rzucony na pastwę losu, poszedł za jej przykładem.

Cymmerianin w milczeniu maszerował za włóczęgą, w duszy przeklinając własną głupotę. Każdy inny udusiłby tego zuchwalca na miejscu i ze spokojnym sumieniem kontynuował podróż. On jednak, znęcony obietnicą pokazania zadziwiających umiejętności, nie tylko nie zabił włóczęgi, lecz jeszcze pociągnął za nim jak prostak z ludu na jarmarczne widowisko. Do licha! Conan dawno nie był taki zły na siebie.

- Tutaj - mruknął Trille, zatrzymując się.

- Dlaczego tutaj? - drwiąco zapytał barbarzyńca, z góry patrząc na samochwałę.
- Wszystko jedno, można i dalej.
- No więc o co, u diabła, chodzi? - Conan nie myślał ukrywać swojego rozdrażnienia.
- Koni żal - mgliście wyjaśnił włóczęga.

Podszedł do Cymmerianina i czubkiem zniszczonego sandała nakreślił wokół niego coś w rodzaju koła, zostawiając ślad w trawie, bo ziemi nie było widać spod gęstego dywanu roślin. Następnie odszedł o kilka kroków i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

Conan też usiadł, mrużąc przekleństwa. Dobrze, że nie widzą go teraz bracia - piraci!

Oto ich przywódca, surowy, nieustraszony i groźny jak fala sztormowa, rozsiada się niby jakiś próżniak i gapi na takiego samego kretyna... Głębokie westchnienie rozdarło duszę barbarzyńcy. Co tu dużo mówić, taki gadatliwy złodziejasek, zuchwalec i cwaniak umiał go zainteresować. Mitra świadkiem, nieraz w podróży przyczepiali się do Conana rozmaici obszarpańcy i nie było wypadku, żeby potem tego nie żałował. Nagle wspomniał Shemitę Iawę, ryżego Viscania i wilkołaka Majlo... Tak, z radością spotkałby ich znowu... Niestety, życie zaprowadziło ich do innych miast i krajów i tylko on, Conan, włóczy się po drogach wielkiego świata w poszukiwaniu sławy, bogactwa i miłości.

Trudno, niech ten obdartus z nim idzie, postanowił. Nawet jeśli nie potrafi zaklinać węży. Chwała bogom, Cymmerianina jeszcze nigdy nie zawiodło przecucie oparte na doświadczeniu oraz kontaktach z różnymi ludźmi. I teraz też nie zawiedzie.

Trochę uspokojony, popatrzył na Trillego bardziej łaskawie i zaraz skrzywił się nieprzyjawnie: włóczęga mocno zmrużył oczy, wygiął się dziwnie, spocony i drżący mamrotał jakieś brednie w nieznanym barbarzyńcy języku. Conan chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Z daleka niosło się niespokojne rzenie koni, a z wszystkich stron - obrzydliwe chóralne syczenie. Wysoka trawa kołysała się gwałtownie już nie od podmuchów wiatru, lecz od ciał setek pełzających w niej gadów. Prawie u samych nóg Cymmerianina mignęła błyszcząca czarna wstęga, uniosła się i malutkimi, złymi oczkami groźnie przyjrzała człowiekowi. Szarpnęła się w jego stronę, ale nie mogła pokonać narysowanego przez Trillego kręgu. Nagle wokół niej zaroilo się od wstrętnych stworów...

Węże różnej wielkości i rozmaitych gatunków pełzały po trawie, zwijały się w kłębki, syczały. Nigdy wcześniej Conan nie widział takiego nagromadzenia Nergalowego plemienia, więc teraz o mało nie wpadł w panikę: pragnął dobyć miecza i porąbać te gady w plasterki, uciec albo wbić ostrze w zdrowe na razie niebieskie oko włóczęgi. Nic takiego nie zrobił.

Patrzył jak zaczarowany na to szatańskie widowisko i zaczynał rozumieć, jakiego towarzysza podróży zesłał mu Mitra... lub Crom.

- Patrz, bracie - wesoło powiedział Trille, którego tańce węży jedynie bawiły. - Głucha gadzina! Nie wiedziałem, że żyje w Shemie. Ma rozdwojony ogon i kłębi się wprost pod nogami!

Conan nie podzielał zachwyty obszarpańca. Gadzinę, co kłębi się pod nogami, jego zdaniem należało zniszczyć na miejscu, zamiast się nią zachwycać, lecz tu nie on był panem.

Podniósł oczy i ze wstrętem popatrzył na długą płową zmiję, która owinęła się wokół cienkiej szyi chłopaka i zwiesiła płaską głowę przed jego ustami.

- Tfu, do licha! - splunął barbarzyńca i odwrócił się.

- A to... - widocznie Trille postanowił dobić nowego towarzysza - wąż, ale jadowity. Żyje pod...

- Dosyć! - przerwał Conan rozzuchwalonemu przyrodnikowi. - Zabierz stąd te gady, zanim pożrą konie!

Obszarpaniec pokornie kiwnął głową, złożył wargi w trąbkę i zagwizdał cicho, modulowanie. Właśnie tak, o ile pamiętał Conan, gwizdzą prawdziwi zaklinacze węży, lecz nie odganiając, a przeciwnie, przyzywając je. Stwory jednak z wolna się rozpełzały. Jakiś wąż zsunął

się po rękę Trillego i znikł w trawie. Po kilku chwilach wkoło zrobiło się czysto.

Cymmerianin zdławił westchnienie ulgi i wstał.

- Pora jechać.

- Mhm - mruknął w odpowiedzi włóczęga nieobecny głosem, wpatrując się w jeden punkt na horyzoncie. Może żał mu było rozstawać się z węzami, może jakaś myśl nawiedziła go w tej chwili, ale nie ruszył się z miejsca, dopóki Conan nie podniósł go za kołnierz i nie postawił na nogi. Wtedy też westchnął - nie z ulgą, a cierpiętniczo - i powlókł się za barbarzyńcą, który pewnie maszerował przodem, nie lękając się nowego spotkania z gadami.

Konie, które zostawili pośrodku stepu, stały niespokojnie i rżały, przebierając nogami. Węże ominęły je z daleka, lecz zwierzęta wyczuły ich niewidzialną obecność.

- Dokąd się udajemy? - zapytał Trille, który w końcu się ocknął.

- Do Vendhii - krótko odpowiedział Cymmerianin, bez wysiłku wskazując na konia.

Chłopak wzruszył ramionami i wdrapał się na swojego.

- Niezbyt to blisko - powiedział ni to oceniająco, ni usprawiedliwiająco.

- Możesz zostać! - uśmiechnął się okrutny barbarzyńca. Mocno uderzył konia piętami i pogalopował po stepie pogrążającym się w mroku.

Władca Węży niezdecydowanie popatrzył za siebie, potem na Conana, potem znowu w tył.

- Do Vendhii? Bardzo daleko... - szepnął. Jednak przemógł swoje lenistwo, które jest chyba właściwe wszystkim włóczęgom, i podążył za Conanem - czarnym punktem widocznym w dali...

Nad ranem Trille całkiem stracił siły. Jechali wolno, to stępą, to klusem, ale wcale nie robili postojów. Cymmerianin wydał się chłopakowi wykuty z żelaza: surowa, grubo ciosana twarz o regularnych rysach nie wyrażała żadnych uczuć, plecy miał proste, spojrzenie czyste.

Za to Trille ledwo trzymał się w siodle. Czuł plecy zgięte jak pod wielkim ciężarem, w oczach mu się ćmiło, a nogi w biodrach trzęsły się jak u zgrzybiałego starca. Ile razy w ciągu nocy dziękował Mitrze i wszystkim bogom za zesłanie takiej łaski, jaką stanowiły wierzchołki. Piechotą nie mógłby iść cały dzień i całą noc bez przerwy. A Conan pewnie by poszedł...

Na początku drogi, po przedstawieniu z węzami, rozmawiali niewiele. Włóczęga dowiedział się, że nowy towarzysz nosi przydomek Conan, jest rodem z zimnej, północnej Cymmerii, ma trzydzieści lat i jeden rok (o całe pięć lat więcej od Trillego). Innych informacji nie udało mu się wyciągnąć z barbarzyńcy - na pytanie o cel ich obecnego przedsięwzięcia tylko się uśmiechnął, lecz niestety nic nie powiedział. O swoim życiu też nie życzył sobie mówić. Bodaj ta ostatnia okoliczność zmartwiła chłopaka najbardziej. Tułając się po świecie, przywykł opowiadać i słuchać innych, tak że w wieku dwudziestu sześciu lat różnorodnych prawdziwych historii miał pełno w zapasie. To dawało nie tylko przyjemność, lecz i chleb. W długie zimowe wieczory, kiedy włóczęgom żyje się szczególnie nędznie, Trille za polewkę i przylepkę chleba w natchnieniu wtajemniczał właściciela gospody i jego gości w przygody podróżników, opisywał piękno i obyczaje dalekich krajów, bez koloryzowania przekazywał legendy i baśnie różnych narodów. Dwa, a bywało, że i trzy dni można się było z tego utrzymać. Potem gospodarzowi nudziło się słuchanie w kółko tego samego, więc jeżeli goście nie stawali w obronie, przeganiał gawędziarza precz, nawet na mróz i zamieć. Ludzie interesu nie są litościwi, a Conan - choć barbarzyńca - jednak w karczynie nie dał skrzywdzić, nakarmił...

Myśli przepływały przez głowę włóczęgi. To drzemał w siodle, omal nie spadając, to prostował się i przez jakiś czas siedział sztywno, jakby kij połknął. Stopniowo ogarniało go zmęczenie, wszystkie członki miał słabe: palce ledwo utrzymywały cugle, głowa ciążyła na piersi, a oczy, gdy raz się zamknęły, zupełnie nie chciały się otworzyć. Kiedy zaś pierwszy, jeszcze niewidoczny promień słońca oświetlił równinę Turanu z łańcuchem gór po prawej

stronie, Trille jednak usnął. Śniło mu się miasto. Duże i hałaśliwe, z ładnymi domami i przyzwoitymi mieszkańcami... Może to była jego ojczyzna? Kto wie...

Dopiero pod murami Zambuły - zgiełkliwego turańskiego miasta - Conan zauważył, że jego towarzysz mocno śpi, i trzeba powiedzieć, że zauważył w porę. Akurat w tej chwili Trille zaczął zsuwać się z konia. Upadłby bez wątpienia na ziemię i może nawet rozbił głowę, zaplątawszy się w strzemiona, gdyby nie pochwyciła go żelazna ręka barbarzyńcy. Chłopak przebudził się i zamrugał oczami, na razie nie rozumiejąc, gdzie jest, dlaczego, z kim, lecz już śmiertelnie przerażony - trudno zliczyć, ile razy jego sen przerywał kopniak albo obelżywe słowo.

- Conan?

- Nie, Yildiz Turański - sarknął Cymmerianin i znów puścił konia galopem.

Władca Węży, zmordowany i senny, pognął za nim, w duchu przeklinając siebie za to, że z takim uporem przyczepił się do tego Cymmerianina. Sam od Eruku do Zambouli zrobiłby co najmniej dziesięć odpoczynków, a z Conanem trzeba było jechać bez postoju. Nagle straszna myśl poraziła włóczęgę: a co jeśli żelazny barbarzyńca postanowił w ogóle nigdzie się nie zatrzymywać, dopóki nie dotrze do Vendhii? Zimny pot wystąpił mu na czoło. Nie, takiej próby on absolutnie nie wytrzyma.

Zdecydowany zdać się na los, Trille dogonił towarzysza. Brama Zambouli już był otwarta i pierwsi przybysze wchodzili i wjeżdżali do miasta po prostej, niebrukowanej drodze. Byli tu handlarze, myśliwi, chłopci z wozami hałaśliwego drobiu na sprzedaż, podróżnicy, kalecy - żebracy... Około dwudziestu osób, co jak na Zambouli było mało. Zazwyczaj pod tą bramą od nocy kłębiło się nie mniej niż pół setki wszelakiego motłochu, żeby wypraszać u siebie nawzajem chleb i miedziaki, błagać strażników o wpuszczenie teraz, a nie rano.

- Conan... - nieśmiało zwrócił się obszarpaniec do barbarzyńcy. - Może zajedziemy do karczmy? Jeść się chce...

- Tobie tylko żarcie w głowie - mruknął Conan, sam marzący od północy o soczystym kawałku pieczonej baraniny i kuflu dobrego piwa. - Zaraz wstąpimy...

Wierny swojemu postanowieniu, by jechać bez postojów, żałował czasu i na jedzenie.

Można było sięgnąć do worka podróżnego po zapasy zabrane z Eruku, lecz Cymmerianin zachowywał je na czas, gdy znajdą się daleko od zaludnionych miejsc i nie będzie gdzie dostać jedzenia. Mimo wszystko wyłowił kromkę chleba z dna worka i podzielił się ze współtowarzyszem. Co prawda, było to jeszcze przed nocą...

Pokrzepili się w pierwszej napotkanej karczmie. Conan był zdumiony żarłocznością Władcy Węży, który za jednym zamachem pochłonał trzy miski klusek, polewkę rybną, comber barani, placuszek wielkości koła furmanki i gomółkę sera. Następnie za jednego złotego wynajęli pokój do południa.

Umeblowanie było skromne, lecz na więcej nie liczyli. Wyrko ze zniszczonym nakryciem dostał Conan, brudną podłogę z desek - Trille. Niestety, trzeba było obejść się bez stołu i taboretów, ponieważ ich po prostu nie było. I w ogóle niczego nie było - tylko wyrko.

Bez utyskiwań i skarg towarzysze szybko położyli się na swoich pościeliach i, zupełnie nie zwracając uwagi na hałas uliczny, który dochodził tutaj przez małe okienko bez szyb, usnęli w okamgnieniu. Trillemu znów śniło się miasto.

VI. WIEDZMA

Po południu towarzysze wyjechali z Zambouli.

Z początku, wypoczęci i syci, popędzali konie. Później, gdy mury miasta pozostały daleko w tyle, pojechali stępa.

- Conan... - włóczęga nie wytrzymał długiego milczenia. - Powiedz, bywałeś wcześniej w Vendhii?

- Bywałem - życzliwie odpowiedział Cymmerianin.

- A ja nie...

- Gdzie się nauczyłeś zaklinania węży?

- Nie jestem zaklinaczem - pokręcił głową Trille. - Jestem Władcą! Tak powiedział mi jeden mądry człowiek. Dawno temu... - Zobaczył, że Conan gotów jest go słuchać, więc ciągnął dalej: - Zaniośło mnie pewnego razu na Pustkowie Piktów. Lato już przeszło, zimno, deszcz, bezmiar błota pod nogami - tak pewnie jest na Szarych Równinach, myślałem, i przysięgam na wszystkich bogów... swojego nie mam... nie bardzo chciałem tam trafić. Słyszałem, że stamtąd jeszcze nikt nie wrócił do żywych...

Szedłem dzień, drugi... Miałem podartą kurtkę i płócienne spodnie — nic więcej. Nocą marzłem do szpiku kości. Co robić? A na domiar złego zboczyłem z drogi. Trafiłem na same Bossońskie Bagna. Gdzie nie stąpniesz, wszędzie grząsko. Tylko patrzeć, jak zapadniesz się po czubek głowy. Przysiadłem na jakiejś kępcie. Tyłek od razu się zamoczył, ale było mi już wszystko jedno. Zacząłem rozmyślać. Z prawej strony bagno, z lewej strony bagno, z tyłu - Ocean Zachodni, jeszcze gorzej niż bagno. A przede mną... Więc poszedłem naprzód.

I nagle spod mojej nogi wypełza straszliwe węzysko. Grube jak twoja ręka, oślizgłe, z wielkim łbem. Prawdę mówiąc, nie widziałem takich przedtem, nawet nie słyszałem, że istnieją.

- Jakich to gadów nie napłodził Nergal - zgodnie przytaknął barbarzyńca, z zainteresowaniem słuchając opowiadania Trillego.

- Właśnie. Więc skrada się do mnie ta kreatura, podnosi głowę i prosto w oczy mi patrzy. Wiesz co, Conan, dziwna rzecz: przedtem węże tylko parę razy widziałem z daleka, a strachu nie czułem. A przecież boję się i niedźwiedzi, i wilków, i tygrysów... Dobra, przyznam się... Wszystkiego się boję, nawet myszy i zajęcy. A tu patrzę na gada błotnego i chciałbym wyciągnąć rękę i pogłaskać go po gładkiej skórze... No to wyciągnąłem.

- I co?

- Nic. Zwinął się w kłębek u moich nóg i leży. A że już całkiem zdrętwiałem z zimna. Wstałem i poszedłem dalej. Obejrzałem się - on za mną patrzy... Przeszedłem jeszcze kawałek i znów natknąłem się na węza. Długi i cienki niby pasek. Przekroczyłem go i idę sobie...

Conan znudził się. Szczerze ziewnął, odwrócił się od współtowarzysza i zaczął wypatrywać w dali murów Kuthchemesu. Ale oprócz równiny niczego nie widział - do miasta powinni byli dojechać pod wieczór, a może dopiero nocą.

- Ledwie wydostałem się z jednego bagna, wpadłem w drugie. Ugrzęzłem po same piersi. Chwycić się nie ma czego. Oto, myślę, wyszedłem na ścieżkę, która prowadzi na Szare Równiny... Pamiętam, że nie wolno się szarpać, bo jeszcze głębiej wciagnie. Co robić? Rozprostowałem ręce na cuchnącej płynnej masie, zamarłem, czekam... Na co, nie wiem. Może na cud, może na człowieka jakiegoś... Do bogów zwracać się boję: może wezwę nie tego, którego w moim kraju czczą. Gdybym wiedział, skąd pochodzę... Tobie to dobrze, masz Croma. Jaki taki, ale jest...

Conan nie mógł pozwolić, żeby o jego bogu mówiono tak bez szacunku. Niech ten niewiadomego rodu włóczęga wygaduje na Erlika, Imira, Chanumana i temu podobne zera, ale nie na Croma.

- Cała wielka Cymmeria szanuje Croma - przemówił z naganą w głosie, zresztą nie odczuwając szczególnego oburzenia. - I ty, szakali ogonie, ugryź się w język, a jak nie, to mój miecz ci go odetnie.

- Dobrze - ulegle zgodził się Trille, gotów nawet ogłosić Croma władcą swojego świata, byle tylko nowy przyjaciel był z niego zadowolony. - Więc skoro tak wyszło, że nie mam bogów, siedziałem w bagnie, patrzyłem na ciemniejące niebo i myślałem o przyszłości, którą utraciłem, teraz już na wieki. Myślałem o ... Czy obudziło się w tobie zaciekawienie dla moich rozważań?

- Bynajmniej. - Barbarzyńca bezwzględnie odrzucił grzeczną propozycję poznania rozmyślań towarzysza przed śmiercią, wyrażoną w tak wyszukany sposób.

- W takim razie opowiem ci, co się stało w chwili, gdy pogrążyłem się w to obrzydliwstwo po gardło. Siedzę, nudzę się, marznę... I nagle... „Trzymaaaaj!”

Trille wrzasnęła zniechęta i tak przeraźliwie, że oba konie zarżały i stanęły, widząc oczekując napadu, a Conan dobył miecza, gotowy do walki, gdy nagle zrozumiał, że ten krzyk to tylko naturalna kontynuacja opowieści. Stłumił gniew, zmierzył chłopaka lodowatym wzrokiem chabrowych oczu i ze stoickim spokojem stwierdził:

- Będziesz wrzeszczeć, to ci utnę łeb.

- Dobrze — zgodził się Trille z taką sprawiedliwą decyzją. - To nie ja krzyknąłem... - poczerwieniał z wysiłku szykując się, by znów krzyknąć, ale wspomniawszy o groźbie towarzysza i cicho powiedział: „Trzymaj”... Zrozum, bracie, w ciszy bagien słaby głos starca wydał mi się wrzaskiem. Drgnąłem i ostrożnie odwróciłem głowę... Na skraju trzęsawiska stał człowiek w długim szarym chałacie, z siwą brodą i wyblakłymi błękitnymi oczami, łzawiącymi ze starości. Podał mi kostur, którego uczepliłem się obydwoma rękami, i dość łatwo wyciągnął mnie na twarde miejsce.

Gdy znowu mogłem kojarzyć... bo do tej chwili strach zdławił we mnie tę umiejętność i moje myśli w czasie siedzenia w bagnie nie wyróżniały się składnością i głębią... więc gdy znowu mogłem kojarzyć, bez trudu domyśliłem się, że mam przed sobą nie kogo innego jak druida, mędrca i czarnoksiężnika, którego Piktowie szanują bardziej niż swojego wodza.

Zaprosił mnie do chaty. Okazało się, że stała na skraju bagna, ukryta w zaroślach, i przeszedłem obok o jakieś piętnaście kroków. Tam, przy ogniu, w czasie gdy schło moje ubranie, opowiedział mi... Bracie, czy w końcu zbudziła się w twojej duszy chęć do intelektualnych rozmów?

- Ani trochę - z obrzydzeniem powiedział Conan, który chciał słuchać samej historii, a nie żadnych rozważań.

- Więc opuszczę pierwszą część jego długiej mowy i od razu przejdę do drugiej, całkiem krótkiej. Najpierw dał mi czarkę z jakimś mocnym i cierpkim, ale dobrze rozgrzewającym napojem, potem chwilę popatrzył mi w oczy i nagle... Jego twarz zmieniła się. Uniósł brwi ze zdziwienia, obrócił moją głowę do światła i zaczął wpatrywać się bacznie. Znosiłem to, chociaż było mi nieprzyjemnie: dokładnie tak samo postąpił ze mną w Aquilonii jeden przeklęty sędzia... Trzymał za podbródek i oglądał, a potem wsadził do lochu na dwa miesiące za włóczęgostwo. A kto powiedział, że włóczyć się nie wolno? Mitra? Erlik?

Tutaj małe zajście przerwało narrację. Gdy Trille wspominał krzywdę i swoje doznania z więzienia, wybuchnął gniewem. Niebieskie jego oczy błyskały, a uszy zapłonęły czerwienią jak flagi na galerze kupieckiej. Wymachiwał rękami, podskakiwał w siodle, aż nagle spadł z konia. Jakiś czas leżał bez ruchu na ziemi, na próżno oczekując pomocy od Conana. Ponieważ ten nawet się nie obejrzał, Trille pomógł sobie sam. Zerwał się, dogonił swoją klacz, skoczył na nią i jak gdyby nigdy nic kontynuował opowieść. Teraz jednak starał się nie ruszać w ogóle.

- Starzec długo przyglądał się mojej twarzy, tak długo, że szyja mi zeszywniała. Potem wstał, włożył go garnka jakieś korzonki, które wisiały na ścianach jego starej chałupy, zalał je

wodą i powiesił nad ogniem. Dopóki woda nie zabułgotała, nie odezwał się do mnie ani słowem. Potem zamieszał strawę, dodał kilka kropli tego rozgrzewającego napoju i kazał wypić do dna.

Nie powiem, żeby smak tego oślego moczu był specjalnie przyjemny, ale wypilem. Potem on znów wpatrywał się w moje oczy.

„No, chłopcze - przemówił nagle cicho i jakoś smutno - bogowie obdarzyli cię dziwnym talentem... Nie ma w twoim życiu miłości ani sławy, ani bogactwa. Nie ma spokoju, lecz nie ma też wojny. Ty jesteś Władcą Węży...”

Skrzywiłem się. „Węży? A to dopiero! - Chciałem rzec się tego tak wątpliwego tytułu.

- Jeśli powiesz, staruszk, że jestem utraconym w niemowlęctwie synem króla Bubabundii, ja może będę skakał ze szczęścia, lecz co mam robić z wężami? Nie cierpię ich, zresztą tak samo jak i wszystkich innych stworzeń...”

Wysłuchał mnie z uśmiechem.

- Jakoś nie słyszałem o Bubabundii...

Rozłościłem się.

- I co z tego? Ja też nie słyszałem. Nie mać mi w głowie, staruszk. Co tam mruczałeś o wężach?

Znów stał się poważny i smutny.

- „Tak, chłopcze, jesteś Władcą Węży. Takich jak ty na całym świecie jest trzech. Nigdy się nie spotkacie, bo nie planuje tego los, a i nie są potrzebne takie spotkania ani tobie, ani im...”

Znów okazałem nietakt, brutalnie przerywając druidowi:

- „Nergal z nimi. Na co mi oni? Powiedz lepiej, co mam robić z wężami?”

Wzruszył kościstymi ramionami.

- „Niech życie ci podpowie. Wiedz jedno: w trudnej chwili możesz posłużyć się swoim darem, lecz nie próbuj nim kupczyć. Każdy... zapamiętaj to, chłopcze... każdy talent traci siłę, jeśli nim handlować...”

To właściwie cała historia - nieoczekiwanie zakończył Trille. - Druid wyprowadził mnie z bagien, pokazał drogę do Zingary...

- Co było dalej? - Conan nie lubił, gdy opowiadanie kończyło się tak zwyczajnie.

- Tam, w Kordawie, zingarskiej stolicy, w karczmie poznałem jednego poławiacza węży i on, po paru flaszki kwasu, opowiedział mi o gatunkach i narowach tych stworzeń... Potem trafił się przypadek, by sprawdzić, czy druid mówił prawdę...

- Co za przypadek?

- Przecież widziałeś - uśmiechnął się Trille.

- Brednie! - ostro rzucił Conan. - Skąd mogłeś wiedzieć, jak zwołać gady z całego Shemu, jeśli wcześniej nie próbowałeś?

- Bogowie wiedzą - nieoczekiwanie surowo i nieco uroczyście odpowiedział chłopak.

- Brednie!

Niechby i Trille po trzykroć był Władcą Węży - Cymmerianin nie mógł uwierzyć, że tak niezawodnie wezwał je z całej okolicy po raz pierwszy.

- Wtedy coś drgnęło i przebudziło się w mojej duszy - próbował wyjaśnić Trille. - Nagle poczułem, że wystarczy, bym zapragnął, a one usłyszą moje wezwanie...

Zamilkł rozumiejąc, że jego słowa nie są przekonujące. Zresztą Conan, chociaż pokręcił głową i w taki sposób wyraził wątpliwość, więcej się nie spierał. Na świecie jest tyle dziwnych i nie wyjaśnionych zjawisk - czy ma sens ich negowanie?

Słońce tuż przed zachodem paliło wściekle: wysyłało promienie we wszystkie strony, przenikało do wszystkich zakątków ziemi. Nawet pod drzewami nie było cienia, bo rzedł, topił się pod palącym okiem dobrego Mitry. Znużeni podróżnicy już nie mieli sił do rozmowy. Leniwe, senne myśli niemrawo krążyły po ich nagrzanych słońcem głowach, a powieki cięży-

ły i oczy same się zamykały.

Trille z początku dzielnie walczył ze snem, lecz wkrótce porzucił próżne starania. Skłonił głowę na piersi, twarz zasłonił kosmykami włosów i słodko zasnął. Jego nogi mocno ścisnęły pękate boki klaczy, która posłusznie wlokła się obok konia Conana i więcej nie próbowała zrzucić jeźdźca.

Tak samo Cymmerianin. Nie spał, chociaż przed oczami - oprócz zielonej bezkresnej równiny - przeblyskiwały mu fragmenty minionych, dawnych i wczorajszych marzeń. Jawa pomieszana ze snem, niczym stare, dobre wino zmieszane ze skisłym piwem, rozrzedzała krew, uderzała do głowy brzydkim odurzeniem. Ustawiczna myśl, bez początku i końca, zupełnie niezrozumiała rola się w mózgu Conana, wypełniając sobą wszystkie jego labirynty.

W taki sposób z pewnością ludzie popadają w obłąd - nieoczekiwanie przyszło barbarzyńcy do głowy. Na skutek tego drgnął i przebudził się - na okamgnienie, lecz to wystarczyło, by podnieść oczy i zobaczyć w dali łunę.

Sen, jak spłoszona przepiórka, uleciał wysoko. Conan uniósł się w siodle, by zobaczyć, co się dzieje. Wąskie języki ognia ciągnęły ku niebu. Czarne kropki poruszały się nerwowo jak zaniepokojone mrówki. Wokół wysokiego, bezlistnego drzewa buszował pożar.

- Hej ty, dziecię węża! - barbarzyńca brutalnie walnął w ramię spokojnie drzemiącego towarzysza.

- Co takiego? - Trille, z roztargnieniem mrugający długimi gęstymi rzęsami, wyglądał uroczo; gdyby przejeżdżała tędy młoda dziewczyna, bez wątpienia rzuciłaby się mu na szyję i ucałowała, mimo groźnej sytuacji. Wiadomo - kobieta, nawet będąc o krok od Szarych Równin, nie przepuści okazji, żeby popieścić miłego chłopca... Lecz dla barbarzyńcy podobne uczucia były całkiem niedostępne. Wygląd Trillego nie rozculił go, ale rozdrażnił do ostateczności. Kopnął towarzysza ogromną nogą obutą w znoszony, za to podkuty but, złapał za kołnierz żelazną ręką i zdrowo potrząsnął.

Trille pisnął żałośnie i spróbował wysliznąć się z łapy Cymmerianina. Na razie nie rozumiał, czym jest spowodowane takie surowe traktowanie. Przecież tylko się zdrzemnął, chociaż bronił się przed tym ze wszystkich swoich niewielkich sił.

Conan sam go puścił.

- Patrz! - wskazał ogień płonący coraz mocniej i jaśniej.

- Ooo... - jęknął całkiem już rozbudzony chłopak, ze strachu zatrzymał konia, a potem się cofnął.

Pożar na równinie wysuszonej słońcem był straszniejszy od ulewy, pioruna i bandy rozbójników. Pożerał trawę z nieprawdopodobną szybkością. Trzeszcząc i hucząc, chciwie pochłaniał wszystko na swojej drodze. Przed nim można było tylko uciec, odjechać konno w szalonym tempie. Teraz podróżników oddzielało od niego półtorej setki kroków i należało mocno się pośpieszyć, jeśli obydwaj mieli zamiar pożyć jeszcze choć parę lat... Trille z wdzięcznością popatrzył na towarzysza. Gdyby nie on... Nie zdążył dokończyć myśli. Conan omal nie zawył ze złości na opieszałość Władcy Węży. Znowu potrząsnął nim i wrzasnął w samo ucho:

- Ruszaj się, niedonosku! Ale nie do tyłu!.. - Szarpnął cugle klaczy, którą Trille już zawracał. - Naprzód!

- Jak to... naprzód? - wykrztusił chłopak, z przerażeniem patrząc na barbarzyńcę. - Tam przecież pożar...

- Jaki tam, do Nergala, pożar? - Conan machnął ręką i pogonił swego konia, zostawiając towarzysza na pastwę losu.

Wtargnął w dziko ryczący tłum, tratując od razu kilka jego rzędów. Miecz błysnął w czerwonym od płomieni powietrzu, zrzucając z karków czarne, jakby zwęglone głowy oprawców. Conanowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, skąd wziął się ogień: w tych

krajach z dawien dawna palono na stosie czarownice, jeśli czymś rozgniewały ludność.

Egzekucja odbywała się w sposób wypraktykowany: ofiarę przywiązywano do słupa i okładano wiązkami chrustu. Następnie w odległości dwóch albo trzech dziesiątek kroków układano dookoła kamienie, żeby ogień nie przerzucił się na równinę. Podpalano nie sam chrust, ale trawę przy kamieniach, tak że płomień podchodził do ofiary z daleka, żeby mogła obserwować przybliżanie się śmierci. Dopóki w szalonym przerażeniu miotła się u słupa i jęczała, tłum radośnie podskakiwał i rzucał w nią kamieniami.

Wcześniej Conan nigdy nie oglądał tego okrutnego widowiska, lecz opowiadał o nim nasłuchiwał się aż nadto, kiedy był najemnikiem w armii Yildiza Turańskiego. Rozumiał i pochwalał surowość prawa, ale nie znęcanie się. Właśnie dlatego, gdy zobaczył płonące ognisko, od razu pojawił się, co się dzieje, i owładnięty ową pierwotną, straszną wściekłością, która nieraz zmuszała jego wrogów do haniebnej ucieczki bez walki, rzucił się na pomoc.

Czworo wieśniaków upadło, trafionych śmiertelnie mieczem barbarzyńcy. Pozostali, gdy trochę ochłonęli po niespodziewanym ataku, z wrzaskiem rzucili się na niego.

Oczywiście kilka dziesiątek prostaków, nawet z kłonicami, nie mogło pokonać wojownika. Jemu jednak zwycięstwo nie było potrzebne. Chciał tylko oczyścić drogę do słupa i oswobodzić ofiarę, zanim ogień liźnie ją swoim gorącym językiem. Dlatego też piersią konia przewrócił jeszcze kilku wojowniczych chłopów, wsunął miecz do pochwy i skierował wrogo prosto w płomień.

Żar objął mu twarz i ręce. Iskry posypały się na czarną końską grzywę i na jeźdźca. Conan zacisnął zęby, zasłonił oczy, przeciął wąski jeszcze pas ognia i znalazł się na bezpiecznym, chociaż gorącym miejscu. Kobieta przywiązana do słupa była młoda. Jej twarz, przedśmiertnie blada, nie wyrażała oczekiwanego przerażenia. Przeciwnie, z delikatnych rysów można było wyczytać spokój i cichą, nabożną radość. Tacy bywają fanatycy, ofiarowani ulubionym bogom. Gdy Cymmerianin to zauważył, doznał niemałego wstrząsu i przez krótką chwilę wątpił w słuszność swoich działań. Jednak było to tylko tłem nie ujętego w słowa pomysłu, by rozciąć pęta, złapać dziewczynę i posadzić ją przed sobą na siodle.

Więcej nie niepokojony wątpliwościami, barbarzyńca tak uczynił.

Zachowywała się ulegle, choć wyszeptwała coś w rodzaju protestu. Wśród krzyków wieśniaków i trzasku ognia nie usłyszał dokładnie, co powiedziała, lecz domyślił się i rozgniewał. Lekko ścisnął palcami jej ramię i skierował konia dalej od ognia, buszującego już całą mocą. Jeszcze trzech wieśniaków upadło pod szeroką piersią konia i po kilku chwilach Conan pędził już po równinie, uwożąc ze sobą piękną czarownicę. Zapomniał o porzuconym Trillem i w ogóle o wszystkim. Coś gnało go do przodu i leciał jak czarny drapieżny ptak, trzymający w dziobie lekkie, pokryte jasnym, delikatnym puchem pisklą.

Takim go z pewnością w tej chwili widział surowy Crom.

VII. O ŻYCIU I ŚMIERCI

Dom Chawrata, przytulony do południowych murów Kuthchemesu, z zewnątrz przedstawiał nie nadającą się do zamieszkania ruinę. W środku natomiast było czysto i przytulnie. Nie świece, lecz lampy z brązu oświetlały wszystkie trzy pokoje, grube dywany leżały na podłogach, a meble, zrobione przez samego gospodarza, wyglądały prawie jak królewskie.

Tak mieszkał Chawrat - dawny przyjaciel Conana, który służył z nim w armii Yildiza Turańskiego dziesięć lat temu. Chudy, żyłasty chłopak stał się dorodnym mężczyzną z ciężkim łańcuchem na byczej szyi. Jednak brązowe oczy nie straciły żywego blasku, a palce - całe

w pierścieniach — tak samo pewnie jak dawniej trzymały puchar i miecz.

O zmroku, kiedy Conan zsiadł z konia przy rozpadającym się ganku i wszedł do domu, ciągnąc za rękę prześliczną, chociaż zbyt bladą dziewczynę, Chawrat nie uwierzył oczom. Cały dzień przesiedział w samotności, pijąc znakomite turańskie czerwone wino, i oddawał się wspomnieniom o minionych sławetnych czasach agrapurskich, o hulankach, awanturach i bitwach. To zanosił się serdecznym śmiechem, to głęboko wzdychał, to znów pąsował i z zakłopotaniem skrobał się palcami po karku. Tutaj, w Kuthchemesie - jego ojczystym mieście - szanowano go jako człowieka rozsądnego, sprawiedliwego i silnego i nikt nie się domyślał, jak tęskni ten solidny mąż do swoich młodych lat, jak marzy, żeby choć raz jeszcze uczestniczyć w karczemnej bójce, a potem lec z rozbitą twarzą w rynsztoku albo pod ławą w koszarach.

Gdy Chawrat zobaczył na progu masywną postać barbarzyńcy, który z dawnego przyzwyczajenia otworzył drzwi nogą, zakrzuszył się i omal nie stracił rezonu ze zdumienia. To przecież niemożliwe, żeby Conan, którego dopiero co wspominał, zjawił się u niego w rzeczywistości. Nie, to musi być sen. A może urojenie. Albo źle obliczył swoje możliwości i wypił zbyt dużo.

- Conan! - ryknął, z trudem gramoląc się z głębokiego fotela i rzucając się ku gościowi.

- Ojej!.. Ojej!

- Kiedyś znałeś więcej słów - posępnie zauważył Cymmerianin, obchodząc szczęśliwego Chawrata i zajmując jego fotel.

- Conan! - ze łzami rozrzewnienia wykrzyknął znowu gospodarz. Zdaje się, że naprawdę zapomniał wszystkie słowa oprócz jednego - Conan.

- Zostało wina? - chciał wiedzieć barbarzyńca, z niezadowoleniem spoglądając na pół tuzina pustych flaszek na stole.

- A jakże! - Chawrat wreszcie przypomniał sobie jeszcze dwa słowa. Pospiesznie posadził dziewczynę na fotelu obok Conana, upadł na kolana, podniósł klapę od loszku i zręcznie zeskoczył na dół. Po kilku chwilach z czarnego otworu wysunęła się jego ręka i postawiła na podłodze dwie zakurzone butelki, po czym zniknęła i pojawiła się z dwiema następnymi. Potem jeszcze i jeszcze...

Uczta rozpoczęła się od czerwonego turańskiego, a po nim poszły białe argoskie i różowe brythuńskie. Wspomnienia jak wino lały się strumieniem. Właściwie mówił tylko Chawrat, który przez ostatnie lata namilczał się aż nadto. Gość słuchał, pił, uśmiechał się, to znów chmurzył, jednak nie wykrzykiwał jak gospodarz: „A pamiętasz?...” Oczywiście, że pamiętał wszystko, tylko nie przywykł mówić o tym głośno. I dziewczyna... Należałoby nie zwlekając wypytać ją, kim jest i czym rozgniewała mieszkańców turańskiej wioski oraz umieścić ją gdzieś tu, w Kuthchemesie. Czas nie stał w miejscu, nie czekał, kiedy Conan nagada się ze starym druhem i wypije wszystkie jego zapasy. Lal Bogini Losów - o którym wołał nie pamiętać - odjeżdżał w worku podróżnym Leonardasa coraz dalej i dalej...

Powoli Chawrat tracił wątek wspomnień, mylił imiona i czas, coraz częściej nalewał wina w swój puchar i przed nocą był gotów: usta zamknęły się, ciężkie ręce spadły na kolana, głowa zwiśla.

Conan przeniósł cielsko towarzysza broni na łożo. Tęsknota, która opanowała go zniecka, była podobna północnemu wiatrowi, co studzi nie tylko ciało, lecz i duszę. Na okamgnienie pociemniało mu w oczach. Barbarzyńca ryknął głucho jak zaszczute zwierzę i potrząsnął głową, odganiając niezrozumiałe uczucie, szarpiające duszę. To miniona młodość przypominała o sobie, lecz on nie wiedział o tym, nie rozumiał.

Wino, spływając do gardła, gasiło uczucia, to znów przeciwnie - wydało mu się, że rozpała serce, aż bolało, jakby w oczekiwaniu czegoś nieznanego, odległego i nieprzyjemnego. Po to jednak był Cymmerianinem, żeby nie pozwalać duszy na swobodę.

Conan uśmiechnął się ze złością, zacisnął pięści i wlał resztkę wina do swojego pu-

chara. Wypił i spojrzął na dziewczynę.

Dotąd siedziała milcząca, nie podnosząc wzroku na swojego wybawcę i jego towarzysza. Teraz, czując co się z nim dzieje, patrzyła mu prosto w oczy. Zdziwił go kolor tych oczu - niedużych, lecz ładnych, szeroko rozstawionych. Dookoła nie czarnej, ale ciemnej i jakby matowej źrenicy biegła zielonkawa otoczka, przechodząca w czystą zieleń, jak morze w pogodny dzień, które jaśnieje w dali, a ku brzegowi ciemnieje do czerni. Conan i jej nalał jeszcze wina, podsunął półmisek z szynką i swoim ostrym kindzałem odciął gruby kawał chleba.

- Dlaczego? - wyszeptła nagle, nie spuszczać wzroku.

W lot pojął, o co pyta, i rozżłościł się.

- Dlaczego? - Zgniół zgrabną nóżkę pucharu i wino wylało się na stół. - A ty co, chciałaś sprawić uciechę tym mieszańcom? Czy może Szare Równiny bardziej ci się podobają niż życie?

- Nie byłam na Szarych Równinach - pokręciła głową.

- A ja byłem! - odciął się i trochę zmieszał, bo zełgał. Znalazł się obok, o włos, lecz nie dokładnie tam. I dodał miękko: - Nie sądzę, żeby ci się tam spodobało. Nieprzenikniona mgła, ziąb i smutek. I mężczyźni tam zupełnie nie różnią się od kobiet, i wina nie ma, i mięsa.

Gdy Conan wyliczył rzeczy niezbędne w życiu, których nie ma i być nie może na Szarych Równinach, zdecydował, że wypełnił swój obowiązek wyjaśniając dziewczynie, dlaczego nie należy się tam spieszyć. Ku jego zdziwieniu i oburzeniu przymknęła oczy, najwyraźniej nie zgadzając się z jego wykładem.

- No, co jeszcze? — spytał rozżłoszczony barbarzyńca.

Cierpliwością i przedtem się nie wyróżniał, a teraz, nocą, zmęczony i obolały na duszy, tym bardziej nie zamierzał tracić czasu na czczą gadaninę.

- Zasłużyłam na śmierć - powiedziała kobieta cicho i beznamiętnie.

- A co ty wiesz o śmierci? - Conan z wściekłości rzucił pucharem o ścianę. - Ogień nie zdążył cię dotknąć! Ostatnim tchnieniem błagałabyś wszystkich bogów, aby wrócili ci życie!
- Barbarzyńca splunął, wznosił oczy ku niebu i westchnął: - Cromie! Czemu kobieta ma taki mały rozum? Czemu nie potrafi cenić tego, co ma, a wciąż chce czegoś jeszcze?

Czy to wino pomieszało jowę ze snem, czy surowy północny bóg zszedł w końcu do swojego niespokojnego syna, w każdym razie Conan nagle usłyszał nerwowe słowa, bardziej przypominające skrzypienie koła niż głos Cromy:

- A ty, Conanie? Czy zawsze jesteś zadowolony z tego, co masz?

- Zawsze - stanowczo odpowiedział barbarzyńca, zupełnie nie dziwiąc się temu, że po raz pierwszy zdecydował się podjąć rozmowę z bogiem.

- Kłamstwo!

Nawet cymmeryjskiemu bogowi Conan nie mógł pozwolić na takie traktowanie.

- Ty starcze! - krzyknął w sufit, starając się, żeby głos brzmiał szyderczo. - Siedź w swoich chmurach i milcz! Bo jak nie...

W tym momencie wzrok barbarzyńcy przypadkiem padł na okno rozświetlone gwiazdami.

Dziki ryk wstrząsnął domem Chawrata, aż pękł klosz pięknej lampy z brązu, zleciały butelki ze stołu, a sam gospodarz, gwałtownie przebudzony, z przerażenia podskoczył na łożu i spadł na podłogę. Tylko dziewczyna była nieporuszona jak przedtem. Przeniosła wzrok na okno, żeby zobaczyć, co też tak mocno wstrząsnęło jej wybawcą, ale oprócz chytrego, długonosego oblicza - ani trochę nie straszego - niczego nie zobaczyła.

Tymczasem Conan rzucił się ku drzwiom. Twarz za oknem natychmiast zniknęła. Chwilę potem ciszę ulicy rozdarł ten sam ryk, ale teraz dołączył do niego żałosne skomlenie, nieco przypominające głos Cromy.

Wkrótce wszystko ucichło. Dziewczyna porozumiała się wzrokiem z Chawratem i spoj-

rzała na drzwi, z jakiegoś powodu pewna, że za chwilę wejdzie jej wybawca. I tak się stało: w otwartych kopniakiem drzwiach pojawił się Conan. Jego twarz wykrzywił gniew. Prawą ręką wycierał pot z czoła, a lewą trzymał za kołnierz chłopaka, tego samego, którego fizjonomię widziała za oknem.

Barbarzyńca rzucił chłopakiem w kąt, po czym usiadł przy stole, nalał wina i wypił jednym haustem.

- Nigdzie nie można się ukryć przed tym dzieckiem węża - powiedział zły, choć już nieco uspokojony. - Słyszałeś, Chawrat? Wlecze się za mną jak przywiązany, a teraz zachciało mu się żartować! - Conan wychylił się z fotela i wbił groźny wzrok w poturbowanego, skurczonego, lecz chyba już mniej przestraszonego obszarpańca. - Przysięgam na Croma, którego głos nam tu udawałeś, błaznie, więcej nie będziesz miał okazji do śmiechu - od razu łeb uknęć!

- Zrozumiałem, bracie... - pokiwał głową obdartus, wychodząc z kąta. - Można?

Wyciągnął chudą rękę i wziął solidny plaster szynki ze stołu. Usiadł na tapczanie daleko od Conana i z ciekawością popatrzył najpierw na gospodarza, potem na dziewczynę.

- Jak cię nazywają, przyjacielu? - zwrócił się grzecznie do Chawrata.

Ten odpowiedział i zapytał:

- A kim ty jesteś?

— Ja? Trilimanil Mangus Parc - wyniośle odpowiedział chudzielec. - Najlepszy druh Conana.

Barbarzyńca, który właśnie otworzył usta, żeby zakpić z pompatycznego imienia, przy ostatnich jego słowach zachłysnął się winem i znów rozeźlony zaryczał:

- Dla ciebie, Trilimanilu pełzający, wężowa skóro, nie jestem druham! Moi przyjaciele nie uciekają jak tchórze od żalosego ogniska i garstki mieszańców! Do licha!

Końcowe „do licha” zabrzmiało z taką pasją i tak pogardliwie, że Trille mimo wszystko speszył się.

- Wybacz mi, bracie - wymamrotał, spuszczając oczy. - Nie od razu zrozumiałem, czemu pchasz się, żeby spłonąć żywcem. Nie widziałem... jej.

Odwrócił się do dziewczyny.

- Kim jesteś, miła? - zapytał pieszczotliwie i uśmiechnął się z aprobatą.

- Klemensina... Jestem z Koryntii, mój dom stoi u podnóża karpashkich gór.

- A jak trafiłaś do Turanu?

- Szukałam... jednego człowieka.

- Droga Klemensino - zaczął uroczyście Chawrat - nie czekaj na pytania, opowiedz nam wszystko. Uwierz, że ja i moi przyjaciele - tu ponownie spojrzął z ukosa na Trillego - jesteśmy gotowi ci pomóc, jeśli nieszczęście dotknęło swoim skrzydłem czyste serce młodej panny...

Były żołnierz rozpoczął szarżę. Poczerwieniały mu policzki, a brązowe oczy rozbłyły. Początek własnej przemowy nadzwyczaj go zadowolił. Już zamierzał ciągnąć ją w tym duchu, ale Conan ugodził go takim wściekłym spojrzeniem, że zakrztusił się i zamilkł, doznając przy tym niemałego wstydu.

Spokojne, poukładane życie w nudnym miasteczku stworzyło z dziarskiego rębajły wymownego eleganta. Spróbowałby powiedzieć coś podobnego dawnymi czasy, w koszarach!

Wydawało się, że Klemensina jest pogrążona w swoich myślach, a tymczasem powiedziała:

- Tak, to nieszczęście... Enart...

- Twój ukochany? - Oczy Trillego załśniły. Węszył tu historię miłosną, jakie wielbił, on - nikomu nie potrzebny i przez nikogo nigdy nie wspomniany.

Enart mieszkał też w Koryntii, w mieście Katmie. Od naszej wsi do Katmy jest wszystkiego pół dnia drogi. Kiedyś ojciec... zajmował się handlem bydłem... wziął mnie ze sobą.

Nie, miasto nie podobało mi się. Hałas, krzyki całą dobę, złe twarze przechodniów... U nas życie było całkiem inne. Przywykłam do ciszy, a u podnóża karpashkich gór jest ona szczególnie: długa, głęboka, spokojna... A mimo to Enart mieszkał w Katmie. Wtedy zaczął się najszczęśliwszy okres w moim życiu. Spotykaliśmy się rzadko, bo potajemnie. On był synem krawca, a mój ojciec przeznaczył mi na męża syna miejscowego sędziego, który miał wtedy już dwadzieścia pięć lat.

- A ty? - kwaśno zapytał Chawrat, nagle wyraźnie odczuwając swoje trzydzieści trzy.

- Czternaście, a Enart siedemnaście.

- Hmm... I co dalej?

- Syn sędziego przychodził do nas każdego dnia. O Mitro, jak trudno mi było uśmiechać się do niego, rozmawiać z nim, patrzeć w jego szpetną twarz całą pokrytą pryszczami! Uważał się za pięknego. Z jakichś powodów wydawało mu się, że dziewczyny marzą o nim na jawie i we śnie. Jednak było całkiem odwrotnie. Już ja wiedziałam, jak śmieją się z niego, pyszałkowatego i głupiego jak indyk.

Klemensina rozgadała się i odzyskała właściwe jej rumieńce i ożywienie. Tęsknota, z początku przebijająca w głosie dziewczyny, zniknęła. Conan słuchał jej jednym uchem. Znacznie chętniej na nią patrzył. Teraz znajdował Klemensinę całkiem pociągającą. Długie i gęste ciemnoblonde włosy miękkimi falami spadały na wąskie plecy. Cyzelowane rysy były łagodne, ale wyraziste. Niewysoka, zgrabna figura jeszcze zachowała cechy niedawnego dzieciństwa, ale zapowiadała się obiecująco. Pół roku - rok i zakończy się to cudowne przejście od miłego dzieciństwa do kwitnącej, czystej młodości, a wtedy... Gdzież się podział Enart?

- Enart... - jak gdyby słysząc myśli Conana, marzycielsko powiedziała Klemensina. - On... on jest taki...

- Pewnie bardzo przystojny - Chawrat uprzejmie pomógł gościowi.

- O, tak! Gdy tylko zobaczyłam go wtedy w Katmie, o nikim innym nie mogłam już myśleć, zwłaszcza o synu sędziego. Widziałam Enarta we śnie i na jawie. Mówił, że on mnie też... Pewnego razu ze smutkiem oznajmił, że ojciec wysyła go w interesach do maleńkiej wioski w pobliżu Kuthchemesu. „Tylko na miesiąc” - powiedział Enart, ale i to mi wystarczyło, żeby utracić spokój i sen.

Minął miesiąc, potem drugi... Enart nie wracał. W tym samym czasie mojemu ojcu znów wypadło jechać do Katmy. Ubłagałam, żeby wziął mnie ze sobą. A tam... O, Mitro, jak mogłeś do tego dopuścić!.. Tam dowiedziałam się, że Enart...

Klemensina przerwała opowieść w najciekawszym miejscu i rozplakała się gorzko.

- No, no, dziewczyno... - w roztargnieniu mrucał Chawrat, przykrywając jej delikatną rączkę swoją łapą. - Co się stało z twoim Enartem? Znalazł sobie inną?

- Tak! - Dziewczyna podniosła głowę, a w oczach miała nieme pytanie: czy naprawdę bywa na świecie taka niesprawiedliwość? - Tak, znalazł inną. W tej samej wsi niedaleko Kuthchemesu.

- Pewnie jest bogata?

- Enart nie z tych! - Łzy momentalnie wyschły w jej pięknych oczach i gniewnie spojrzała na nieokrzesanego Chawrata. - Nawet gdyby była królową, nie zamieniłby mnie na nią. Ale... zdaje się, że go zczarowała. Tak powiedziała mi potem starucha - czarownica, której dom swoją ścianą przylega do naszego.

Kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, a mój ojciec był młody i porywczy, próbował przegnać tę staruchę, a jej dom zniszczyć. W tym samym roku stracił połowę swojego bydła... Chwała Mitrze, na tym zakończyła się wojna między nimi: ojciec wszystko zrozumiał i zaniechał planu. Właśnie do niej, do Donny, przyszedł tego dnia, gdy wróciłam z Katmy.

„Zapomniał o tobie - powiedziała Donna - dlatego, że ona zmusiła go do tego”. O, jakie dziwne były dla mnie jej słowa... Jak można przymusić człowieka do kochania, zapomnienia, niemyślenia? Potem jednak usłyszałam coś, co trochę ogrzało moje serce, a równocześnie

mocno zaniepokoiło. „Ona nie chce miłości twojego Enarta. Jej potrzebna jest jego wiedza”.

Zapomniałam powiedzieć, że Enart pobierał nauki i, jak sam mi opowiadał, wiele osiągnął w tej dziedzinie. Jego ojciec większą część tego, co zarobił ciężką pracą, oddawał nauczycielom, żywiąc nadzieję, że później syn zostanie doradcą samego senatora. I jego marzenie, co dość rzadko się zdarza, już zaczęło się spełniać. Enart został zauważony. Był częstym gościem w bogatych domach, chociaż na razie mógł tylko zabawiać szlachetnych gospodarzy i ich przyjaciół swoimi wiadomościami z astrologii, geometrii, algebry.

Donna powiedziała mi: „Jej babka była czarownicą i matka, i ona sama jest nią po trzykroć. Ale nie wystarcza jej wiedzy do tego, żeby zostać stukrotną czarownicą. Powinnaś wyrwać jej Enarta, inaczej wiele nieszczęść może uczynić ta kobieta...”

„Wyrwę — obiecałam. - I Enarta, i jeszcze coś. Tylko jak, Donno? Naucz mnie!” I nauczyła... Wybaczone mi, lecz ciężko jest opowiadać o tym, co było dalej. Powiem krótko: uciekłam z domu tego samego wieczora. Do wioski, gdzie żyła ta czarownica z moim Enartem, dotarłam zaledwie po dwóch miesiącach. Ujrzałam go - on rzeczywiście nie poznał mnie, a ja mu się nie przypominałam. Najpierw zrobiłam to, czego nauczyła mnie Donna. Wszystko, co zdarzyło się potem, było podobne do koszmarnego snu.

Klemensina zamilkła, pustym wzrokiem patrząc na ścianę zawieszoną różnorodną bronią. Wszyscy spojrzeli tam w ślad za nią, ale niczego szczególnego nie zobaczyli.

- Mów dalej - mruknął Conan, dopijając wino z ostatniej butelki.

- Oni umarli.

- Kto?

- Enart i ta czarownica...

- O, Erliku i proroku jego Tarnie... - Chawrat był oszołomiony; takiego końca się nie spodziewał.

- Wtedy i ja postanowiłam umrzeć. Moje życzenie było takie samo jak wszystkich mieszkańców wsi, od młodego do starego. Ja, obca, byłam dla nich źródłem zła. Cieszyli się jak dzieci, gdy szykowali dla mnie stos.

- Stos? - zdumiał się Chawrat. - A to mieszkańcy! Czemuż to swojej czarownicy nie spalili?

- Nie wiem - obojętnie odpowiedziała Klemensina. - Może ratowała im zdrowie albo zaklinała deszcze...

- A dla ciebie stos? Co za dranie! - Oburzenie Chawrata było bezgraniczne.

- Wiesz, kto ją ocalił? Conan! - chępliwie powiedział Trille przysuwając się bliżej barbarzyńcy. - Popędził na nich jak wicher! Wymachiwał mieczem, krzyczał...

- Nie wymachiwałem i nie krzyczałem - słabo zaprotestował Conan. - No już, pora spać! Chawrat, ułóż dziewczynę...

Wstał i lekko chwiejnym krokiem poszedł do kąta, gdzie runął na dywan, który zastąpił mu pościel.

- Conan... - cicho zawołała Klemensina.

- No?

- Wydaje mi się, że chcę żyć.

VIII. PUŁAPKA

Po tej nocy Klemensina rzeczywiście ożyła. Rankiem opuścili Kuthchemes we trójkę. Dziewczyna stanowczo nie chciała rozstać się z Conanem, a on nie protestował, bo miał zostawić ją gdziekolwiek dalej od Turanu, a najlepiej odesłać przy okazji do ojczyzny, do Koryntii.

Dzisiaj mijał siódmy dzień ich wspólnej podróży. Konie (dla Klemensiny jeszcze w Kuthchemesie kupili przysadzistą, mocną klacz barwy jasnej zimowej nocy) wszystkie zmarniały, szczególnie wrony, który niósł na grzbiecie największy ciężar - barbarzyńcę, wagą równego pewnie młodemu bykowi. Coraz częściej jechali więc stępą, a nie kłusem czy galopem. Po drodze nie trafiały się żadne osady, tak że Conanowi wypadło zająć się polowaniem. Dawno już wyczerpały się te zapasy, którymi obdarował ich Chawrat, a towarzysze Cymmerianina zupełnie nie potrafili zdobywać jedzenia. Nieraz myślał, że sam znacznie szybciej pokonałby długą drogę do Vendhii; Lal Bogini Losów teraz już z pewnością leżałby w jego worku podróżnym, a ścierwniki dziobały resztki Leonardasa. Cóż, kiedy los narzucił mu dodatkowy ciężar w postaci młodej panny i tchórzliwego włóczęgi.

Myślał też, że te spotkania nie zdarzyły się bez powodu. Nie próbował więc przegnać Trillego, który jechał obok niego dumny i egzaltowany, widocznie aby zdobyć uznanie w oczach Klemensiny, że ma takiego potężnego przyjaciela jak barbarzyńca.

Przed nocą zbliżyli się do gór na odległość trzech lotów strzały. Conan postanowił zatrzymać się tutaj, chociaż towarzysze chórem namawiali go, by jechać dalej, argumentując, że wcale nie są zmęczeni. Cymmerianin i tak gwizdał sobie na ich samopoczucie. Noc w górach może być niebezpieczna nawet dla niego; nie zamierzał tracić drogiego czasu na obronę swoich nieudolnych kompanów przed rozbójnikami i dzikimi zwierzętami.

W spokojnych płomieniach ogniska piekła się para susłów - wszystko, co udało się dziś zdobyć Conanowi. Posiłek minął w całkowitym milczeniu. Później noc zstąpiła do samej ziemi i otuliła czernią wszystko oprócz niepokornych języków ognia. Trille wzdychał aluzyjnie, a gdy nie doczekał się odzewu, mimo wszystko zapytał:

- Conan... Nie mógłbyś nam wyjaśnić, w jakim celu jedziemy do Vendhii?
- Nic ci do tego - ponuro odpowiedział barbarzyńca, układając się na kurtce.
- Cóż - Władca Węży był nastrojony filozoficznie - do Vendhii, to do Vendhii. Słyszałem, że oko Mitry wypala tam do cna całe wsie. Gdy pojawia się na horyzoncie, ludzie chowają się do domów i do zmierzchu nie wychodzą...
- Brednie - uciął Cymmerianin.
- Słońce daje ciepło, a nie ogień - poparła swojego wybawcę Klemensina. - A w Vendhii jest ono naprawdę gorące. Opowiadał mi ojciec. Bywał tam nieraz, jeszcze jako chłopiec.
- I widział słońca? - zainteresował się Trille.
- Oczywiście, dużo słońci. Setkę albo nawet dwie.

Conanowi znudziła się ta bezsensowna rozmowa. Kazał obojgu spać, więc zamilkli, nie ważąc się sprzeciwić, jednak sam nie mógł usnąć. Dziwne myśli nachodziły go tej nocy. Podróż raz wydawała mu się głupotą, to przeciwnie, czymś bardzo ważnym, co zostawi ślad w jego duszy na całe życie. Nie żałował, że człowiek nie potrafi przewidzieć, jak ułoży się przyszłość i czy ułoży się w ogóle. Im bardziej zagadkowa droga, tym bardziej pociągała barbarzyńcę, jego nieokiełznaną, gwałtowną i silną naturę. Być może wiedząc, co czeka go za tym i następnym zakrętem, nie parłby do przodu, bo nie miałoby to sensu... Jakieś wspomnienia zamajaczyły i zaraz zniknęły. W końcu w zmętniałych od senności oczach powstał niezwykle obraz, nad podziw piękny, po prostu boski. Potem zmorzył go sen.

Przebudzenie nie było przyjemne. Deszcz, zimny i kłujący, lunął przed samym świtem,

kiedy niebo już zaczynało jaśnieć. Podróżnicy w okamgnieniu przemokli do nitki. Spiesznie zbierali się w półmroku i w półśnie, zderzali ze sobą, ślizgali na mokrych węgielkach.

Ruszyli w drogę, gdy tylko się rozwidniło. Czekali ich pokonanie górskiej przełęczy, która błyszczała gołymi skałami, porośniętymi gdzieś krzywymi, mizernymi drzewkami. Pół dnia zeszło im na to, żeby dostać się na wierzchołek - ścieżka wiła się, chwilami ginąc im z oczu, pięła się pod górę, po czym raptownie spadała w dół. Jednak wszystko zakończyło się szczęśliwie i pod wieczór zmoknięci, wyczerpani, lecz zadowoleni z siebie i pokonanej odległości wyszli na równinę. Tutaj, chyba w nagrodę, znaleźli przytulony do skrajnej ściany nieduży dom - według wszelkiego prawdopodobieństwa oberżę dla takich podróżników i poszukiwaczy przygód jak Conan i jego towarzysze.

Przez siedem dni drogi Klemensina zrobiła się podobna do prawdziwego włóczęgi. Jej delikatna skóra ogorzała od wiatru, oczy patrzyły pewniej, ubranie było w strzępach, ale taka bardziej podobała się barbarzyńcy i Władcy Węży. Wygląd tego ostatniego też uległ zmianom. Klemensina ostrym kindżalem Conana wyrównała strzępy jego łachmanów i nawet zeskrobała z podbródka kłującą szczecinę. Teraz Trille mógł uchodzić za przebranego syna królewskiego, który podróżuje incognito w towarzystwie sług. Conan zauważył, że nawet postawę stara się zachować odpowiednią, więc w duchu wyśmiewał się z nieszczęsnego włóczęgi.

Oberżystą okazał się mały, mizerny staruszek, z powodu braku sąsiadów i gości rozgoryczony, obrażony na cały świat i ustawicznie zły. Powitał przybyłych sarkastycznym śmiechem, pokazał im język i nawet próbował przedrzeźnić chód Trillego, ledwie powłóczącego nogami ze zmęczenia. Na to barbarzyńca bez żadnych ceregieli po prostu wyrzucił go za próg jego własnego domu na deszcz i zamknął drzwi na zasuwę. Gdy nieszczęśnik przemókł, zaczął uniżenie prosić o wpuszczenie go z powrotem i obiecywać, że będzie dla wędrowców jak rodzony ojciec. Istotnie potem zachowywał się już bez zarzutu: na rozkaz Conana napełnił jego worek podróżny gąsiorkami dobrego wina, na czas podawał do stołu, nie gadał niepotrzebnie, nie przypominał natrętnie o zapłacie za posiłek i dach nad głową. Najbardziej staruszek starał się dogodzić Cymmerianinowi. Posłusznie znosząc sprawiedliwą karę, nabrał szacunku dla tego ogromnego, ponurego i milczącego męża o grubych rysach człowieka północy. Podobnie jak Lambert - wierny sługa rycerza Serwusa Narota - podsuwał głównemu gościowi najlepsze kęsy, czule zaglądał mu w oczy, otwarcie schlebiał okrzykami zachwytu na każde jego słowo. A gdy otrzymywał w odpowiedzi krótkie mruknięcie, posepnie szedł do kąta, skąd dalej patrzył rozmiłowanym wzrokiem na Conana.

- Powiedz no, staruszkule - zapytał Trille, zlizując z palców barani tłuszcz - nie jest ci nudno tutaj? Widzę, że dookoła nikogo nie ma; tu góry, tam równina, a tam - zadarł podbródek i próbował pluć na sufit - niebiosa.

- Nie nudzę się - statecznie odpowiedział oberżysta. - Co prawda najbliższa osada jest o trzy dni drogi stąd, lecz rozbójnicy zaglądają tu często.

- Robójnicy? - Władca Węży zakrzuszył się kawałkiem baraniny i z niepokojem popatrzył na Conana.

- Ano tak. Schodzą z gór, grabią podróżnych, zabijają, a potem dzielą zdobycz. Ostatnio czapkę mi podarowali. Dobra czapka.

Zręcznie zeskoczył ze skrzyni, na której siedział, i wyciągnął zakurzoną, przeżartą przez mole szmatę, która wcześniej chyba była turbanem. Rzeczywiście, staruszek zabrał się za szmatę i uwił z niej coś w rodzaju turbanu; wsadził go na głowę i dumnym wzrokiem objął swoich gości.

- Do licha! - z przykrością splunął barbarzyńca. - Ale z ciebie dureń.

- Może i dureń, ale mam swoje korzyści - napuszył się wstrętny staruszek. - Tego baranka, po którym zostały tylko kosteczki, moi drodzy goście, przynieśli ci sami rozbójnicy. Liczą się ze mną. Szanują.

Oberżysta poczuł się poważnie obrażony. Wbrew oczekiwaniom jego opowiadanie i

wspaniała czapka wywarły na podróżnych niemiłe wrażenie. Niestety, nie mógł dojrzeć w ich oczach ani zachwytu, ani skrywanego strachu. Conan, a z nim ci młodzi ludzie spoglądali na staruszkę ze wstrętem i w duchu rozważali, czy nie warto by go zaniknąć w piwnicy do rana. Do tego nie mógł dopuścić.

- A ja ich nie szanuję - obłudnie kiwając głową zmienił front oberżysta. - Róbcie, co chcecie, a ja ich nie szanuję! Każdego dnia zwracam się do Erlika i proroka jego Tarima: „Skierujcie na właściwą drogę tych bandytów, tych niedonosków, te oskubane orły górskie...”. - Tu westchnął przesadnie ciężko i ciągnął płaczliwym głosem: - Ale nie słuchają. Nie słuchają moich modlitw! Oto dlaczego złodzieje grasują po górach, po dolinach i grabią zacy lud, a potem przybywają do mnie. A ręce mają we krwi! We krwi!

Staruszek wczuł się w rolę i teraz perorował w zapamiętaniu z przymkniętymi oczami, wygrażając krzywym palcem, byle widzowie byli zadowoleni. Conan patrzył na przedstawienie ze szczerym zaciekawieniem i lekką tylko odrazą, bo podobne rzeczy już w życiu widywał, jednak Trille i Klemensina poczuli się wstrząśnięci. Dziewczyna nigdy dotąd nie zetknęła się z takim bezczelnym hipokrytą, a zawstydzony Władca Węży zobaczył w staruchu swoje odbicie, bo czasem też grał komedię, choć nie tak prymitywną. Bywało, że robił z siebie cierpiętника, niesprawiedliwie uciskanego i krzywdzonego, a wszystko to dla kawałka chleba, nie z miłości do sztuki. Trille w końcu zdecydował, że jego cel lepiej uświęca środki, więc trochę się uspokoił i dalej patrzył z nieukrywanym obrzydzeniem.

Tymczasem staruszek całkiem się zagalopował. Skacząc pośrodku pokoju z pianą na ustach, rzucał na rozbójników wszelkie wyzwiska i obelgi, jakie tylko znał. Wzywał bogów, proroków i nie wiadomo dlaczego smoki, które nie mają z czymś takim nic wspólnego. Błagał, żeby złodzieje, przekłęci przez ludzi i jego osobiście, ponieśli karę. Krótko mówiąc, ze wszystkich sił starał się przypodobać gościom.

Czas płynął i Conan, który urządził się bardzo wygodnie - rozwalił się w fotelu, nogi położył na stole i długim paznokciem małego palca dłubał w zębach - zaczął ziewać.

Zawsze hołdował harmonii i jej rodzonemu bratu umiarowi, dzięki czemu utrzymywał równowagę wewnętrzną. Teraz czuł, że staruszek przesadził. Była już najwyższa pora przestać i pozwolić gościom odpocząć, a oberżysta wciąż miotał się niczym w konwulsjach i wrzeszczał jak opętany.

Trille i Klemensina kolejny raz wzdrygnęli się od dzikiego krzyku komedianta i Conan postanowił w końcu przerwać to przedstawienie. Kiedy jednak otworzył usta, żeby kazać staremu zamilknąć, jego czujne ucho złowiło jakiś szmer z boku - może w kącie, może za oknem.

Wydatne wargi barbarzyńcy zniekształcił zły uśmieszek. Najbystrzejsze oko nie zauważyłoby, jak jego prawa ręka ześliznęła się na pas, a palce ścisnęły rękojeść wiernego miecza... W okamgnieniu stał na nogach, wcale nie przy swoim fotelu, a koło drzwi. Nagle zapadła grobowa cisza, bo i staruszek zamilkł ze strachu. Nie było słyhać ani szmeru, ani oddechów, czuło się tylko napięcie i trwogę.

Towarzysze Cymmerianina popatrzyli na niego szeroko otwartymi oczami. Po występie staruszkę nie mieli wątpliwości, że oto pojawili się rozbójnicy, a Conanowi udało się w jakiś sposób wyczuć — właśnie wyczuć, bo przecież niczego nie słyszeli - ich obecność.

Jeszcze przez kilka chwil w powietrzu trwała ta dziwna, ciężka cisza. Następnie za drzwiami coś brzdęknęło, grzmotnęło i potężne uderzenie zatrzęsło zmurszałym domkiem.

Od samego początku siły były nierówne. Ani Władca Węży, ani tym bardziej dziewczyna nie władali bronią, zresztą jej nie mieli. Przeciw Cymmerianinowi wystąpiły dwie dziesiątki rozwścieczonych, zdziczałych w górach bandytów, z których każdy był zahartowany w częstych potyczkach ze swoimi ofiarami i ze sobą nawzajem.

Używali mieczy i kindżałów, krzywych turańskich szabli, a także zębów i paznokci. W niewielkim stopniu przypominali ludzi. Błyszczące wściekłością oczy, wyszczerzone zęby,

brudne, zarośnięte gęstymi brodami twarze - byli raczej podobni do goryli, którym wypadła sierść wskutek jakiejś zarazy. Takie właśnie ryczące i charczące stado zważyło się na Conana, pragnąc rozszarpać go natychmiast - po prostu za to, że jest żywy.

Barbarzyńca odepchnął Trillego i Klemensinę w najdalszy kąt pokoju i z impetem naparł na pierwszy rząd bandytów. Nie oczekiwali takiego odporu. Gdy dwóch z nich runęło na podłogę z rozplatanymi głowami, pozostali, stropieni, odstąpili na chwilę. Może wtedy Conanowi udałoby się wypchnąć ich za próg domu, gdyby z boku nie wynurzył się równy mu wzrostem, ale bardzo chudy brodacz. Trzymał w ręku krótki miecz i doskonale nim władał: ostrze migąło z szybkością błyskawicy przed nosem barbarzyńcy. Teraz więc i Cymmerianinowi przyszło się cofnąć, ale tylko na krótki czas. On sam przecież nie gorzej umiał posługiwać się mieczem.

W niewielkim pokoju szczelnie wypełnionym ludźmi nie było miejsca na popisy we władaniu bronią i na wesołe poświstywanie ostrzy. Rywale, Conan i chudy brodacz, jakby się umówili: chwycili swoje miecze i zaczęli machać nimi jak maczugami, próbując ciąć nieprzyjaciela w ciemność. I chociaż obaj wojownicy byli mistrzami, żaden nawet nie zadrapał przeciwnika.

Bandyci rykiem podżegali swojego herszta. Sami na razie nie podejmowali prób wkroczenia do walki, pewnie dlatego, że z powodu ciasnoty każdy następny cios mógł spaść na ich głowy. Za to zabawiali się kluciem Cymmerianina mieczami i szablami z odległości trzech kroków.

W ferworze walki Conan nie zwracał uwagi na ich napaści, nie zauważał ran, z których lała się krew. Kolejne uderzenie rozcięło mu policzek i wargi, aż ostrze zazgrzytało po zębach. Prawie nie czując bólu, zawył jak zwierzę w klatce drażnione przez myśliwych, odepchnął nogą herszta i porwał się na grupę rozbójników. Jedno straszne uderzenie jego miecza wyprawilo na Szare Równiny dwóch naraz. Dopiero gdy bandyci zobaczyli, jakim jest niebezpiecznym przeciwnikiem, pohamowali śmiech, wystawili przed siebie broń i w milczeniu ruszyli na Conana.

Trille, śmiertelnie przerażony, cichutko jęczał w swoim kącie, zasłaniając twarz rękami. Mocno przyciskał się do ramienia nad podziw niewzruszonej Klemensiny - to trochę uspokajało Władcę Węży. Jednak nie tylko strach obezwładniał jego duszę. Zdawał sobie sprawę, że teraz powinien stanąć obok barbarzyńcy, którego nie dalej jak siedem dni temu nazwał swoim najlepszym przyjacielem. Nie miał broni - ani miecza, ani kindżału, ani nawet pałki, lecz przed nim stał stół, a na nim leżał toporek do dzielenia mięsa.

Nieszczęsny Władca Węży lamentował coraz głośniejszym głosem, bo nie potrafił rozstrzygnąć prostego i zarazem skomplikowanego problemu: stanąć do walki czy nie?

Trille więc męczył się w rozterce, a tymczasem Klemensina wstała, spokojnie zbliżyła się do stołu i wzięła toporek. Gdy wznosiła broń nad głowę, włóczęga wreszcie się poderwał, zdarł znoszoną koszulę z piersi, w której jak ptak w sidłach rozpaczliwie szamotało się przeżalenie, i z dzikim wyciem skoczył w sam środek bitwy.

Wbił palce w szyję samego herszta i poczuł jej niespodziewaną kruchość. Dziko wyjął, objął chude ciało bandyty obydwiema nogami i zawisł na nim jak gruszka; zaczął tłuc czołem w chudą, tępą twarz, z rozkoszą wdychając zapach pierwszej w życiu utoczonej przez siebie krwi.

Herszt, z początku zaskoczony nagłą napaścią, ocknął się szybko. Bez trudu oderwał palce chłopaka od swojej szyi, rzucił go z powrotem w kąt, natychmiast o nim zapominając, i znów zaatakował Conana. Jednak w Trillem już przebudził się zwierz.

Z nieopisaną radością zauważył, że pod nogami barbarzyńcy i Klemensiny leży kilku bandytów z rozplatanymi głowami. Władca Węży gryzł, bił, szczypał, kopał leżące ciała.

Życie włóczęgi nauczyło go pokornie znosić ciosy, których dostawał zawsze niemało, a oprócz tego cenić swoje własne istnienie na tej ziemi, gdyż nikt inny go nie cenił. Ta nauka

teraz dawała plony. Na całym ciele, także na twarzy, miał niezliczone siniaki, zadraśnięcia i rany, a on, jak Conan, nie zwracał na nie uwagi.

Przy użyciu rąk, nóg, łokci i siedzenia powoli, ale skutecznie torował sobie drogę do drzwi. Nie, nie zamierzał uciec i zostawić przyjaciół w niebezpieczeństwie. Kierował nim tylko instynkt. Kiedy w końcu wystrzelił za drzwi, czubkiem buta zawadzając o listwę progu i impetem przewracając się na ziemię, zerwał się natychmiast i z wojowniczym wrzaskiem wrócił do środka.

W samą porę, by zobaczyć, jak Conan, który spóźnił się z kolejnym ciosem, bo jego broń utknęła w ciele bandyty, upadł trafiony mieczem herszta. Potem także Klemensina zachwiała się i usiadła na zalanej krwią podłodze. Trille z nienawiścią, od której pociemniało mu w oczach, rzucił ostre jak kindżał spojrzenie oberżyscie, bo to on ogłuszył dziewczynę pałką. Niczego więcej chłopak nie zdążył zobaczyć ani poczuć. Sprytnie uderzenie pod kolana rzuciło go na podłogę, a nogi w ciężkich podkutych butach skoczyły na niego. Z zaciekłością deptały słabowite ciało włóczęgi. Rozbójnicy byli rozwścieczeni, ponieważ w potyczce z trzema jedynie podróżnikami stracili dobrą dziesiątkę swoich. Trillemu dostało się więc znacznie więcej niż Conanowi i Klemensinie, którzy te straty spowodowali. Dzięki temu bogu, na którego ziemi chłopak przyszedł na świat dwadzieścia sześć lat temu, jeden z pierwszych ciosów trafił go w skroń. Ciemność otuliła go w okamgnieniu, ból w ciele osłabł i więcej już niczego nie czuł.

IX. ZNÓW O ŻYCIU I ŚMIERCI

Pierwszy przebłysk świadomości przyniósł Conanowi przejmujący ból w całym ciele, rwący, nękający, nie słabnący nawet na chwilę. Ale to nie on sprawił, że Conan jęknął przy bezskutecznej próbie pohamowania przebudzonej nagle pamięci. Z jakiegoś powodu w tym momencie najstraszniejsze chwile jego życia stopiły się w jedno skondensowane, ciężkie jądro, które utknęło w karku, nie pozwalając obrócić głowy. Z tego kłębaka wspomnień stopniowo zaczęły oddzielać się różne głosy to błagające o coś, to krzyczące ze strachu, to ryczące w gniewie, a wszystkie zwrócone właśnie do niego, do Conana. Głosy rozsadały mu mózg, lecz nie wystarczyło zatkać uszu, by ich nie słyszeć. Dźwięczały w całym ciele, rozpałały ból, aż barbarzyńca z wściekłym krzykiem w popłochu ścisnął skronie żelaznymi palcami.

Potem znów zapadł się w ciemność, gdzie nie było niczego i nikogo. Tam żadna pamięć nie miała władzy, gdyż inny świat nie dopuszcza ziemskiego. Conan jednak dokładnie wiedział, kim jest - nawet tam, w obcej, wrogiej ciemności. Dobrze to czy źle - nie był w stanie ocenić, po prostu nie umiał. Z całą pewnością nie istniały tam żadne uczucia. Nie zaznał tam wolności, ale i nie odczuł niewoli. Kiedy w całkowitej mgle nagle pojawiła się plama światła, dalekiego i nieosiągalnego, jego dusza nie podążyła w tę stronę. Być może zostałby w tym obcym świecie, gdyby światło samo nie przybliżyło się do niego. Pograżony w jego chłodnym blasku Conan zaczął się budzić, tym razem zdecydowanie porzucając świat majaczeń. I znów usłyszał głosy:

„Conan! Conan! Conan!”

Nie, to nie pamięć odtwarzała ten głos. Znajomy, choć daleki, brzmiał na jawie zupełnie blisko, przy jego prawym uchu. - Conan!.. Cicho zacharczał, dając do zrozumienia, że słyszy.

- Conan, to ja, Klemensina. Słyszysz?

- Mmm...

- Musimy wydostać się stąd, póki ciemno.

Wargi ma razie nie chciały słuchać barbarzyńcy, lecz jedno słowo mimo wszystko wymówił.

- Triiille...

- Jest tutaj. Ale... Nie zdoła iść o własnych siłach. Będziesz musiał go nieść.

Conan chciał skinąć głową, lecz nie mógł. Tak, oczywiście, będzie niósł Trillego. Zawsze i wszędzie na niego spadało najtrudniejsze zadanie, niezależnie od stanu, w jakim się sam znajdował. Przywykł do tego, nigdy o tym nie myślał i nigdy się nie przeciwstawiał. Jego siła była nieświadomie przyjmowana przez innych jako siła samej Natury. Człowiek nauczył się z tej natury tylko brać, nie odczuwając przy tym pragnienia rewanzu, i tak samo traktował barbarzyńcę - jej syna.

- Conan, wstawaj!

Kategoryczny szept Klemensiny przenikał do mózgu, uciskał skronie tak, jak jeszcze niedawno jego własne palce. Jednak miała rację - trzeba wstawać i uciekać stąd, póki to jest jeszcze możliwe. A jest możliwe?

Ochrypli jęk wyrwał się z gardła Cymmerianina, gdy gwałtownym szarpnięciem uniósł się na rękach. Dopiero teraz dały znać o sobie wszystkie rany, siniaki i zadrapania odniesione w bójce z bandytami. Ciało od nowa połączyło się z mózgiem niewidocznymi nićmi i cierpieniem, jakie spowodował ten związek, okazało się nie do zniesienia. Uzdrawiający sen odpłynął, świadomość nie gasła ani na chwilę pozwalając, by człowiek czuł cały ból palący go wewnątrz i z zewnątrz.

Conan wstał zaciskając zęby. Jego oczy już przywykły do ciemności piwnicy i teraz powoli penetrowały pomieszczenie w poszukiwaniu Władcy Węży. Na razie nie wiedział, co się z nim stało, lecz jeśli Klemensina powiedziała, że trzeba będzie go nieść... Nawet w kurzu bitwy nie uszła uwagi Cymmerianina odważna postawa włóczęgi, więc zmiękło jego surowe serce: nie pomylił się, biorąc chłopaka ze sobą. Kto pokonał tchórzliwość w imię przyjaźni, jest godzien szacunku.

Opierając się rękami o sufit, podszedł do chudego, skręconego ciała, które leżało bez ruchu na kupie łachmanów w kącie. Conan beznamiętnie obejrzał twarz Trillego, pokrytą jednym wielkim krwawym strupem, ale w jego sercu rosła złość, tak żywa i gorąca, że drżmiąca siła powstała, przekazując energię zdrewniałym od długiego snu członkom. Barbarzyńca zamarł na moment, rozkoszując się tą swobodną, potężną siłą, której powrót oznaczał powrót do życia. Potem powoli pochylił się nad nieszczęsnym włóczęgą.

Zdaje się, że dusza chłopca spacerowała w pobliżu Szarych Równin, z tęsknotą oglądając się za siebie, ale z równą tęsknotą maszerując naprzód. Conan widział takich nieraz. Przywrócenie ich do życia kosztowało zwykle wiele wysiłku, bo ich dusza pragnęła wybawienia od ziemskich mąk, a ciało we wszystkim było jej powolne. Lekarzom nie zawsze udawało się szczypaniem, kłaśnięciami, krzykiem i puszczeniem krwi ożywić zwiędłą jak śnięta ryba istotę, lecz barbarzyńcy - dosyć często. Conan wlewał w usta umierającym łyk dobrego, mocnego wina przekonany, że właśnie tego im trzeba. Jedynie takie leczenie uważał za skuteczne dla wszystkich, niezależnie od rodzaju ran i stanu człowieka. Przecież wszystkim wiadomo, że na Szarych Równinach nie ma innych rozrywek oprócz smętnych spacerów w gęstej mgłę po stożkach wulkanicznych. Natomiast wino jest jedną z radości życia, więc podczas uzdrawiania należy przypomnieć człowiekowi o tej radości, żeby zechciał wrócić z powrotem.

Conan zawołał więc Klemensinę i kazał jej znaleźć worek podróżny, który w czasie walki z rozbójnikami miał zawieszony na plecach. Niestety, z pięciu gąsiorków wina, wrzuczonych tu przez oberżystę na jego polecenie, ocalały tylko dwa. Pozostałe potłukły się na drobne kawałeczki i dziewczyna długo musiała wytrząsać je z worka na klepisko piwnicy.

Conan palcami rozchylił suche, popękane wargi chłopaka i z największą ostrożnością, starając się nie uронić ani kropli wlewał mu wino do ust.

Klemensina nie traciła czasu. Gdy barbarzyńca leczył Trillego swoim sposobem, ona

obejrzała piwnicę. Ściany były tak zmurszałe, że nawet ona mogłaby z pewnością rozwalić je jednym uderzeniem. Jednak na triumf było za wcześnie: z zewnątrz dochodziły głosy całkiem żwawych strażników, chociaż towarzyszył im brzęk gąsiorków. Czy towarzyszą uda się dostać z piwnicy? Czy uda się przejść obok bandytów, którzy najprawdopodobniej okrążyli domek staruszka? Wprawdzie Klemensina święcie wierzyła w siłę i dobrą gwiazdę Cymmerianina, lecz obecne położenie wydało się jej prawie beznadziejne.

Kiedy dziewczyna pogrążyła się w smutnych myślach o przyszłości, Trille zaczął dawać pierwsze oznaki życia. Mętnym wzrokiem omiół pochyloną nad nim twarz barbarzyńcy, a w jego spojrzeniu nie było na razie świadomości. Zapadłe piersi unosiły się ciężko, charczący oddech z trudem wydobywał się z rozchylonych ust, ale żył.

Conan uśmiechnął się krzywo. Wstał i z łatwością uniośł chłopaka.

- Idziemy - powiedział cicho, robiąc krok ku ścianie, której zdaje się nie uważał za przeszkodę.

Jednak wybuch śmiechu na zewnątrz domku zatrzymał Cymmerianina. Gdyby był sam, przedarłby się nawet przez trzy dziesiątki bandytów. Teraz jednak była z nim dziewczyna i ledwie żywy Trille, który nie mógł ustać na nogach i czepiał się obydwoma rękami kurtki Conana.

- Odwróć ich uwagę - nagle zdecydowała Klemensina, sama dziwiąc się swoim słowom. Z uśmiechem wzruszyła ramionami. - A wy pójdziecie wzdłuż gór, dookoła równiny.

- Nie - ochrypli głos Władcy Węży brzmiał jeszcze jak echo z Szarych Równin, ale on sam mimo wszystko był już tutaj. - Pójdziemy wszyscy...

- Czy to możliwe? - Dziewczyna znów wzruszyła ramionami.

Trille bez słowa ścisnął rękę barbarzyńcy. Wydawało mu się, że bardzo mocno, choć w rzeczywistości Conan ledwo poczuł ten znak. Od razu zrozumiał, co miał na myśli chłopak, i z powątpiewaniem kiwnął głową.

- Jesteś słaby - mruknął, ciągnąc włóczęgę za sobą do ściany, którą zamierzał rozbić.

- Nie! - usłyszał Conan głos człowieka żywego, a nie tego półtrupca, który leżał bez czucia zaledwie kilka chwil temu. Conan miał nawet wrażenie, że z piwnicy uniosło się westchnienie Szarych Równin, które wypuściły duszę Władcy Węży z topieli swojej wilgotnej mgły.

- Nie! Zrobię to.

Klemensina przenosiła niepewny wzrok z jednego na drugiego. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego się spierają, choć domyślała się, że już zaraz, za chwilę zdecyduje się ich los. Trille puścił rękę Cymmerianina i gestem nakazał jemu oraz dziewczynie usiąść na podłodze. Następnie powtórzył znaną Conanowi czynność: końcem sandała nakreślił krąg, starając się, by linia nie przerwała się ani na palec...

Barbarzyńca ukrył głowę w kolanach, bo nie chciał znowu oglądać tych stworów, z których każdy wydawał się mu pomiotem Seta - złośliwego stygijskiego bożka. Klemensina podejrzewała, że szykuje się coś niezwykłego i interesującego, więc przygotowała się do słuchania i obserwowania. Ciekawość kobiety jest niezniszczalna, nawet w chwilach niebezpieczeństwa.

Jednak gdy z wszystkich stron rozległo się obmierzłe syczenie, którego pochodzenie było dość jednoznaczne, dziewczyna wzdrygnęła się i nie mogąc zapanować nad wstrętem, też ukryła twarz, a ramieniem przywarła do nogi Cymmerianina.

Nie minęła chwila, gdy z zewnątrz dobiegły dzikie wrzaski. Wśród bandytów zapanowała panika, przerażenia czuło się w powietrzu. Dochodziło i do piwnicy, objawiając się dreszczami na ciele Klemensiny. Gruboskórny barbarzyńca zamiast przerażenia odczuwał zadowolenie. Z łatwością wyobraził sobie popłoch i śmierć, królujące teraz w domu i wokół niego. Z odgłosów dochodzących stamtąd tworzył obraz zdarzeń: oto jeden ukąszony bandyta z wrzaskiem zwałił się na ziemię; oto przedśmiertne rżenie drugiego zmieszało się z triumfalnym sykiem owiniętego wokół jego szyi węża; oto trzeci wskoczył na konia i nagle razem

runęli na ziemię, w okropnych konwulsjach przyjmując śmierć... Wycie, krzyki, jęki rozdzierały ciszę nocy i ta smutna muzyka radowała okrutne serce Cymmerianina, jak może cieszyć wojownika jedynie zwycięstwo nad wrogiem.

Conan zachmurzył się w końcu. To przecież nie było jego zwycięstwo. Znow czary! W przeszłości nieraz musiał liczyć na siły z innych, nie poznanych do końca światów, lecz jego czysto ziemską naturę nie akceptowała magii białej, czarnej, czerwonej czy zielonej, żadnej. Cenił tylko to, co powstaje dzięki rozumowi, sile, zręczności i przebiegłości, wszystkim innym zaś - od zasuszonych żabich łapek począwszy, a na samym Lalu Bogini Losów skończywszy - gardził w duszy, instynktownie stroniąc od tego i obawiając się.

Takie właśnie myśli przemknęły przez głowę Cymmerianina, ale trwało to krótko. Conan poderwał się, zupełnie nie zwracając uwagi na dojmujący ból, wyciągnął miecz i całą swoją masę uderzył w ścianę, bez trudu wyłamując porządną kawał i razem z nim wylatując na wolność.

Obraz, który stanął mu przed oczami, ściśle odpowiadał temu tworzonemu z dźwięków. Ciała bandytów, nabrzmiałe jak u topielców, z sinymi twarzami i wytrzeszczonymi oczami, zaścielały niewielką przestrzeń przed domem. Między nimi i na nich wiły się, pełzały i kołysały ohydny płaskimi głowami węże. Conan, który patrzył na nie przez chwilę, gotów był potem przysiąc, że w malutkich, złych oczkach gadów płonął prawdziwy triumf. Nie wiedział, ile ich tu jest - dwadzieścia, trzydzieści, sto? - ale nie chciało mu się trudzić liczeniem. Splunął w kierunku poboju i zajął do wnętrza domu, gdzie bitwa z węzami była w pełni.

Pośrodku pokoju, na szeroko rozstawionych nogach stał herszt. Jego miecz migał w powietrzu tak szybko, że ostrze wydawało się srebrną pajęczą nicią targaną wiatrem, który wpadł do domu. Dziesiątki posiekanych w kawałki stworów leżały wokół, lecz wciąż nowe i nowe, nie wiadomo skąd przybywające, pełzły do niego, owijały się dookoła stóp, wyciągając cienkie, rozdwojone języki.

Dwóch bandytów, oszalałych z przerażenia, miotało się tutaj również. W odróżnieniu od spokojnego dowódcy, wrzeszczeli, jęczeli, obłąkańczo wymachiwali jataganami i przeskaکیwali z nogi na nogę, żeby nie nastąpić na wijące się po podłodze gady.

Oberżysta znajdował się w najbardziej opłakanym stanie. Ktoś zawiesił go za nogi u sufitu. Teraz szarpał się rozpaczliwie, wrzeszczał i wzywał bandytów, żeby uwolnili go natychmiast.

W ferworze wczorajszej potyczki Conan zdołał zauważyć, że ohydny starzec rzucał w niego naczyniami i pluł, pomagając swoim przyjaciółom. Chrząknął więc z zadowolenia, że podłość i obłuda zostały ukarane, i to w sposób najokrutniejszy. Węże już były niedaleko; musiały tylko pokonać herszta i droga do związanej, jakby specjalnie dla nich przygotowanej ofiary byłaby otwarta. Rozumiejąc to, obłudnik wiercił się niezwykle energicznie. Można było pomyśleć, że już go któryś ukąsił. Niestety, kolor kościstej twarzy świadczył o czymś przeciwnym: najwyraźniej cieszył się świetnym zdrowiem, co denerwowało nie tylko Cymmerianina, ale i bandytów. Gdy Conan otwierał drzwi, herszt odwrócił się gwałtownie i szczerząc zęby, przeciął sznur, na którym dyndał oberżysta. Staruch z wraskiem upadł na podłogę i szybko popęzł na czworakach w kąt, ale już w jego kierunku zmierzały gady.

Wszystko trwało jedną chwilę. W tym samym momencie węże zamarły, po czym zaczęły spieszenie opuszczać dom.

Conan nie spodziewał się podstępu. Skrzyżował miecze z dwoma bandytami i nie zauważył, że ich herszt się ukrył. Poprzedniego dnia odważnie walczył sam na sam z ogromnym, silnym barbarzyńcą, więc trudno się było spodziewać, że spróbuje haniebnej ucieczki. Jednak gdy głowa jednego rozbójnika zleciała z szyi a potem i drugi zwałił się na podłogę rozplątany potężnym ciosem prawie na połowę, w pokoju został tylko Conan i starzec, żałośnie wyjący w swoim kącie.

- Ty stary kapciu... - wycedził Cymmerianin odwracając się do niego. - Jak ich wezwaliśmy?

- Położyłem czapkę na oknie - przyznał się. Trząśnięty ze strachu; dobrze pamiętał, jak go ukarano tylko za niewinne grymaszenie, więc teraz oczekiwał prawdziwie strasznej kary.

- Zostaw go, Conan. - Władca Węży, zbity, ale nie złamany, ze współczuciem spoglądał na starucha i z błaganiami na przyjaciela. Jeszcze niepewnie trzymał się na nogach, więc oparł się ramieniem o ścianę. Jakaś zmiana dokonała się w nim tej nocy. Już nie włóczęga, ale doświadczony podróżnik, który poznał życie i śmierć, pełen godności i szlachetności, prosił o łaskę dla tego, kto omal ich wszystkich nie zgubił. Widocznie czyn, którego Trille dokonał nocą w imię przyjaźni, przebudził drzemiące w nim dotąd wyższe uczucia.

Conan popatrzył i skrzywił usta w uśmiechu.

- Niby dlaczego? Będzie o jednego mieszkańca mniej na ziemi... - Podniósł miecz.

- Nie! - pisnął staruszek.

- Dlaczego nie? - spokojnie odrzekł barbarzyńca i podszedł do niego.

- On i tak cię zabije! - Obłudnik zachłystywał się z żalu i wściekłości. - Znajdzie cię i zabije! Przed Karmashanem nikt jeszcze nie uszedł!

Miecz opadł.

- Przed Karmashanem? - Conanowi chciało się wyć z rozżalenia. Przez całą noc miał obok siebie słynnego rozbójnika i pozwolił mu ująć cało.

W tej chwili Cymmerianin nie pamiętał o takim drobiazgu, że nigdy wcześniej Karmashana nie widział i rozpoznać go po prostu nie mógł. Zgrzytnął zębami i znów zwrócił się do starca.

- Gdzie jest teraz?

- W Vendhii, w Aquilonii, w Ophirze. - Powodowany nadzieją ocalenia oberżysta gotów był wydać swojego przyjaciela, ale, co zrozumiałe, nie wiedział, dokąd tamten się udał.

- W Stygii...

Głos mu osłabł. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, dokąd mógł się udać Karmashan - ciągle tylko widział przed sobą jego twarz i parę baranków, które chodziły po podwórzu. Baranków szkoda, mógł je upiec i podać gościom za kilka cennych złotych, ale teraz... Wiedział, co go czeka. Chyba nie zostawi go na tym świecie ten surowy Cymmerianin...

Milczący, zniechęcony staruch wbił oczy w podłogę, jakby w jej szparach mógł zobaczyć swój los.

I nagle zatrzęśła nim dzika jak nigdy dotąd furia. Jej powodem był barbarzyńca, który przyszedł do jego domu, żeby mu odebrać najpierw źródło istnienia, a potem i życie. Już zapomniawszy, że to on pierwszy zamierzał pozbawić życia Conana i poszperać w jego worku podróżnym, że dziesiątki nieszczęsnych wędrowców trafiły na stożki Szarych Równin z jego winy, że sam dla miedziaka poświęciłby rodzzonego ojca, którego, chwala bogom, już od dawna nie miał.

Gdyby te myśli nawiedziły go choć chwilę wcześniej, z pewnością umiałyby dać sobie z nimi radę i ująć z życiem, ale... Conan, nie chcąc dłużej patrzeć na jego sprzedajną gębę, odwrócił się i skierował ku wyjściu. Trille uśmiechnął się z ulgą i zamierzał pójść za nim...

Nagle zdezorientowany starzec przeraźliwie zapiszczał i skoczył na plecy wrogowi, starając się rozerwać zębami jego potężną szyję. Widocznie przekonanie o nietykalności własnego życia w odróżnieniu od innych dodało mu siły, więc barbarzyńca nie od razu mógł rozluźnić uścisk chudych rąk.

Władca Węży zamarł pod ścianą. Mizerne ciało obmierzłego starca wyleciało w powietrze uniesione żelazną ręką i grzmotnęło o podłogę. Łotr chyba wcale nie poczuł uderzenia, bo zerwał się i jak pies rzucił do nóg Conana, warcząc i kłapiąc zębami.

Zdażył tylko usłyszeć krótki, zły ryk i brzęk miecza. Włóczęga wyciągnął rękę, żeby powstrzymać egzekucję, lecz było już za późno. Miecz się uniosł, głowa obłudnika potoczyła

się po podłodze i zatrzymała u nóg barbarzyńcy.

Znów usłyszał westchnienie Szarych Równin, ale teraz było to pełne zadowolenia westchnienie. Mgły czekały na nową duszę, nie na lekką i czystą jak Trillego, a zapleśniałą i przegniłą na wskroś. Cóż, było im wszystko jedno.

- Dlaczego? - Trille zakrył oczy dłonią. - Dlaczego?

- Następnym razem będzie mądrzejszy - mruknął Cymmerianin, wycierając ostrze połą kurtki jednego z bandytów.

- Jakim następnym razem? - Chłopak ze zdumieniem spojrzał na przyjaciela. - Dla niego nie będzie następnego razu!

Conan wzruszył ramionami i wyszedł z domu. Miał wiele do przemyślenia. Przedtem przypuszczał, że Karmashan i Leonardas, który ukradł rycerzowi Lala Bogini Losów, to jedna i ta sama osoba. Jednak teraz zaczął w to wątpić. Więcej, był pewien, że się pomylił. Leonardas trzy dni bawił u Serwusa Narota, a Karmashan w tym czasie mieszkał w górach wśród rozbójników. Wprawdzie Conan nie był daleki od myśli, że złodziej mógł się rozdzielić, ale sensu w tym nie dostrzegął.

Kogo jednak ścigać? Dalej zmierzać do Vendhii czy pograsować po górach, znaleźć Karmashana i uśmiercić go, ot tak, na wszelki wypadek?

Gwiazdy, obojętne na ludzkie sprawy, powoli gasły, a masyw górski, już oświetlony niewidocznymi dla oka promieniami wschodzącego słońca, wydawał się zaczarowanym miastem, nęcącym tajemnicami i ukrytymi skarbami. „Czego szukasz, człowieku? - pytały. - Życia? Śmierci?”

Conan splunął w ich stronę i zdecydowanym krokiem skierował się do swojego konia.

X. NIESPOKOJNA NOC

Straszne myśli dręczyły Trillego cały następny dzień. Krzyki pokąsanych bandytów nie dawały mu spokoju, nieustannie dźwięczały w uszach, odzywały się w sercu gorzkim poczuciem winy. „Teraz to wszystko jedno - myślał markotnie - do którego boga się modlić. Przed wszystkimi jestem grzeszny, przed wszystkimi”. Urywane westchnienie wydobyło się z jego piersi, płosząc Klemensinę i denerwując barbarzyńcę.

Władca Węży wciąż od nowa wspominał wydarzenia minionej nocy i zadawał sobie jedno i to samo pytanie: czy miał prawo posłużyć się swoimi rzadkimi umiejętnościami w takim celu jak zabicie pół tuzina rozbójników w okrutny sposób? Nie, nie miał - taka była jego zdecydowana odpowiedź.

Trille nazwał siebie w duchu zabójcą i rozpustnikiem, choć wkładał w to słowo inne znaczenie niż wszyscy; miał na myśli to, że ani drgnął na pierwszy krzyk mordowanego przez węże bandyty. Rozumiał jednak, że dzięki temu działaniu uratował życie przyjaciół, jadących teraz obok niego w ponurym, lecz przecież nie wiecznym milczeniu.

Spojrzał z ukosa na Conana, potem na Klemensinę i zaniósł się takim rozdzierającym duszę łkaniem, że konie zarżały niespokojnie.

- Co jest? - Cymmerianin obejrzał się i obrzucił włóczęgę lodowatym spojrzeniem chabrowych oczu. - Przestań wyć, chłopcze!

- Cierpię - wyjaśnił Trille, przyciskając rękę do serca, żeby wzmocnić siłę przekonywania. - Tak cierpię, że już nie mam sił.

- Wyciągnij z worka placek kukurydziany i zjedz. - Barbarzyńca po swojemu zrozumiał przyczynę udreki Władcy Węży.

- Nie chcę - mruknął chłopak, ale placek jednak wyjął. Mruczając wbił w niego zęby i pochłonął w okamgnieniu. Może to się wydać dziwne, ale nastrój rzeczywiście mu się trochę poprawił. Pokrzepiony Trille sięgnął po drugi placek, ale Conan bez zbędnych słów odebrał mu worek i przywiązał do swojego siodła.

Pod wieczór podróżnicy dotarli do skraju lasu, za którym według zapewnień Klemensiny powinna płynąć wielka rzeka Mchete opasująca Vendhię. Władca Węży, który tracił ducha nawet na widok strumienia, znów się zdenerwował. Dziewczyna uspokoiła go wyjaśniając, że u źródeł wielka Mchete jest wąska i płytka, więc nie ma się czego obawiać.

- Weźmiemy od tubylców łódkę... - tłumaczyła łagodnie dziewczyna, ale wywołała tym jeszcze większe przerażenie chłopca.

- Od jakich tubylców? - wpadł jej w słowa, a na jego twarzy obok cierpienia pojawił się strach.

- Brzegi rzeki zamieszkują plemiona dzikusów - wyjaśniła Klemensina. - Wprawdzie walczą między sobą, ale przybyszów przyjmują przyjaźnie, ponieważ dostają od nich wino i barwne tkaniny. Tubylcy uwielbiają barwne tkaniny.

- My nie mamy wina ani barwnych tkanin! - krzyknął Trille, czując mniej więcej to co świnia, kiedy wyjrzy z chlewa i zobaczy gospodarza z duży nożem, którym zeszłej zimy zarzął jej siostrę.

- Wino mamy - Cymmerianin wzruszył ramionami - ale nie dla dzikusów. Raptem jeden gąsiorek, i to napoczęły.

- Gwiżdżę na to! - gorączkował się Władca Węży. - Nie chcę jechać do tubylców! Pożrą nas, przysięgam na twojego Crom, Conanie, na pewno pożrą!

- Nie przysięgaj, kiedy klepiesz takie bzdury. - Barbarzyńca zmarszczył brwi. - Tutejsi dzicy nie jedzą ludzi. To w malachitowych dżunglach za Czarnymi Królestwami wołają mięso ludzkie od wszelkiego innego. Jednak...

Trillego omal nie zemdlilo przy ostatnich słowach Conana. Wcześniej nigdy nie myślał o sobie w ten sposób. Przypomnienie, że jest tym „ludzkim mięsem”, które tak lubią smakosze z malachitowych dżungli, doprowadziło go do nieopisanego przerażenia.

- O bogowie! - wykrzyknął, łapiąc się nie wiadomo dlaczego nie za serce, tylko za swój chudy zadek. - Wiedziałem, że jesteście obojętni na kłopoty ludzi, ale żeby aż tak! Wytlumaczcie tym nieszczęsnym dzikusom, tym ohydny insektom, tym pożeraczom...

- Do licha! - rozłościł się barbarzyńca. - Dość tego kwękania! Niech mnie Crom, jeśli na twoje kości połakomi się nawet najgłodniejszy tubylec!

Klemensinę nieźle ubawiła sprzeczka dwóch przyjaciół, lecz i jej duszę trwożyła drapała malutkimi pazurkami. Z opowiadań ojca dobrze wiedziała, że nie ma na świecie takiego dzikusy, który odmówiłby sobie pieczeni z białego podróżnika. Oczywiście plemiona vendhyjskie są bardziej życzliwe i cywilizowane od tych, o których teraz opowiadał Conan, ale od nich też można oczekiwać podstępów. Tym bardziej, że trójka przyjaciół nie ma wina ani kolorowych tkanin.

- Nie, pod lasem nie wolno się zatrzymywać - ocknęła się dziewczyna, bo zobaczyła, że barbarzyńca zawraca konia w stronę pasa zieleni. - Rośnie na suchej, piaszczystej ziemi.

- No to co? - zdziwił się Conan.

- Aligatory składają tam jaja. Stąd nie widać, ale w tym zagajniku aż roi się od zębatych stworów wielkości pirogi.

- Hmm... Skąd wiesz?

- Hodowla bydła nie jest jedyną namiętnością mojego ojca - z uśmiechem powiedziała Klemensina. - Sam dużo czytał w różnych językach i mnie do tego zachęcał. A ponadto nie znaleźliśmy większej przyjemności niż oglądanie map. Chyba nie ma na ziemi zakątka, którego bym nie widziała. Niestety, tylko na papirusie.

- Dobre zajęcie - zaśmiał się Cymmerianin. - W każdym razie korzystne... Zgoda, do

lasu nie pójdziemy. Jeśli u tubylców możesz się od biedy wykupić winem i kolorowymi szmatkami, to nie ma sposobu na krokodyle, a żywy człowiek to ich ulubiony smakołyk...

Ostatnie zdanie Cymmerianin wymruczał pod nosem, żeby nie straszyć Trillego. Następnie zawrócił konia i skierował się ku okrągłemu zielonemu pagórkowi, który wyglądał na równinie jak guz na czole. Na jego szczycie z zadowoleniem odkrył całkiem przytulną zapadlinę, w której mogli położyć się wszyscy troje.

- Tutaj z pewnością nie ma aligatorów - zauważył, zapraszając towarzyszy na wzgórze.
- Najwyżej latające - zażartowała Klemensina.

Zostawiła swoją klacz koloru jasnej zimowej nocy na dole, a sama zręcznie wspięła się na szczyt pagórka. Trille poszedł za jej przykładem.

Spędzili cały dzień w drodze, więc wszyscy troje byli głodni jak stado wilków, nawet Władca Węży, który w południe zjadł ogromny placek kukurydziany. Towarzysze szybko przygotowali sobie łoża z kurtek, po czym usiedli i zabrali się do jedzenia. W worku zostały jeszcze dwa placki i kawałek słoniny. Conan podzielił to wszystko na trzy równe części, chociaż Trille i Klemensina szlachetnie zaproponowali mu większą porcję, mając na uwadze jego wzrost i wagę.

W kilka chwil przyjaciele pochłonęli zapasy, w ramach oszczędności wypili po jednym łyku wina i położyli się spać.

Wschodnia noc, rozświetlona srebrem gwiazd i złotem księżyca w pełni, stopniowo otulała ziemię. W ciszy wyraźnie było słychać odgłosy uderzeń ogonów krokodyli o taflę wody, ale poza tym było cicho. Słaby wiatr nie poruszał liśćmi drzew, bo żadnych drzew w okolicy nie było. Zwierzęta drapieżne poszukiwały zdobyczy w innych miejscach, ptaki spały, owady, jeśli pełzały, to nie robiły przy tym hałasu. Panowała całkowita cisza, która jednych przeraża, a drugich zachwyca. Ale są jeszcze inni, tacy jak Conan, którzy zupełnie nie zwracają na nią uwagi.

Noc nie zdążyła jeszcze przykryć ziemi swoim czarnym płaszczem, gdy barbarzyńca już spokojnie spał z mocną pięścią podłożoną pod policzek.

Trille nie był taki spokojny. Sumienie, o którego posiadanie wcześniej siebie nie podejrzewał, nie pozwalało mu usnąć. Po raz setny w myślach wyobrażał sobie na jednej szali wagi życie Cymmerianina, Klemensiny i swoje, a na drugiej - pół tuzina szalonych i dzikich rozbojników. Po raz setny skłaniał się ku temu, że postąpił słusznie, i po raz setny w to wątpił. Nieustannie wzdychał i przewracał się z boku na bok, przeszkadzając spać dziewczynie. Ją też dręczyło sumienie, ale nie na tyle, by pozbawić snu.

Klemensina oczywiście nie zapomniała o swoim występku, dokonanym, jak jej się wydało, w imię miłości. W rzeczywistości zniszczyła i miłość, i ukochanego, i obcą dziewczynę. Co prawda dziewczyna nie zasługiwała nawet na odrobinę litości, lecz Klemensina nie chciała się tym usprawiedliwiać. Jej myśli wciąż wracały do tego strasznego dnia: wiadomość o śmierci Enarta i czarownicy, złe krzyki wieśniaków, ciemna piwnica, stos...

Dziewczyna zdławiła ciężkie westchnienie i przymknęła oczy. Sen przyszedł niespodziewanie, nie pozwalając dokończyć myśli o Conanie. O tym, jak po raz pierwszy poprzez języki ognia zobaczyła barbarzyńcę, pędzącego ku niej na pięknym wronym koniu. Przez chwilę wydał się jej bogiem, który zstąpił z niebios: ogromny, ze śniadą twarzą i grzywą gęstych czarnych włosów w aureoli czerwonozłotych iskier... I wtedy wpadła w głęboki sen.

Śnił się jej stos płonący pośrodku oceanu, pasma obłoków powoli płynących na niebotycznej wysokości i barbarzyńca. Jego sylwetka, jak kolos wznosząca się w centrum ognia, była nieruchoma. A Klemensina miotła się po brzegu i wzywała pomocy. Nikt jej nie słyszał. Wtedy promień słońca trafił w ogień. Nastąpił wybuch i dziewczyna w końcu zobaczyła twarz Conana. W chabrowych oczach był lód nie roztopiony przez ogień, czarne strzały brwi ponuro się marszczyły, a na wargach zastygł uśmieszek. Znowu rzucał wyzwanie wszystkim, którzy zagrządzali mu drogę do przyszłości.

Klemensina pochlipywała we śnie, bo miała świadomość własnej bezsilności. Wydawało się jej, że gorące płomienie już dotknęły ciała Cymmerianina i że zostało tylko kilka chwil, zanim jego dusza odleci na Szare Równiny... Czemu on nie rusza z miejsca? Czemu nie próbuje przeskoczyć przez stos, sięgający mu zaledwie do brzucha?

Dziewczyna nabrała pełne płuca powietrza i krzyknęła, mając nadzieję, że zwróci jego uwagę. Powinien się ratować! Powinien!

Lodowaty wzrok powoli zwrócił się ku niej. Conan otworzył usta i... zarżał.

Klemensina przebudziła się przerażona. Już po kilku chwilach zrozumiała, że to był tylko sen. Uśmiechnęła się na wspomnienie tego dziwnego wytworu pamięci... czy może wyobraźni. Odwróciła się na drugi bok, by znowu zasnąć, kiedy usłyszała takie samo rzenie jak we śnie...

Poderwała się i boleśnie uderzyła czołem w twarde ramię Conana, który już siedział, nasłuchując dźwięków dochodzących z podnóża pagórka.

- Co to? - szeptem spytała dziewczyna, ze strachu przysuwając się bliżej do niego.

- Konie - odpowiedział ponuro. - Pewnie aligatory tutaj doszły... Trzeba odjeżdżać. W ciemności z tymi stworami nie tak łatwo sobie poradzić.

- Uciekajmy stąd! - Klemensina pociągnęła go za rękaw. - Prędzej, póki nie pożarły naszych koni.

- Poczekaj... Zdamy.

Schylił się, przyciągnął do siebie worek podróżny i poszperał w nim. Chwilę potem coś szcześnie i dziewczyna zobaczyła maleńki ogień między palcami Cymmerianina. Podniósł rękę. Jaskrawy płomień oświetlił najbliższą okolicę wzgórza. Klemensina z ulgą zobaczyła, że konie stoją na miejscu, chociaż niespokojnie przebierają nogami. Głowy miały zwrócone w stronę lasu, ale co je przstraszyło - z tej odległości nie można było rozpoznać. Conan nakrył dłonią ogień i szarpnął za nogę Władcy Węży.

- Hej, Trilimilu, wstawaj.

Barbarzyńca mówił swoim zwykłym, tubalnym, lekko ochrypłym głosem, więc dziewczyna wywnioskowała, że jeśli rzeczywiście istniało niebezpieczeństwo, to nie tak blisko, żeby uciekać na złamanie karku.

- Co? Gdzie? Jak? - Trille, pomimo udręk duszy, zasnął bardzo mocno i teraz zupełnie nie mógł zrozumieć, czego chce od niego ten nielitościwy barbarzyńca.

- Wstawaj, mówię! Trzeba stąd uciekać!

- Dlaczego?

- Aligatory...

Wystarczyło to jedno słowo, żeby Trille zerwał się na nogi i popędził na dół, pojękując ze strachu. Wczorajszy czyn uległ zapomnieniu, wrodzone tchórzostwo pokonało przypadkową odwagę. Conan z ironicznym uśmiechem popatrzył za nim, nie spiesząc się ze wstawaniem.

Władca Węży wdrapał się na swojego konia i już zamierzał na łeb, na szyję pognać jak najdalej od tego strasznego miejsca, gdy nagle przypomniał sobie o towarzyszach podróży.

- Szybciej, nieruchawe kraby! - zasyczał, oglądając się bojaźliwie. Podstępne aligatory majaczyły mu wszędzie, a ucho słyszało nawet takie dźwięki, których nie było: zgrzyt ostrych zębów, szuranie łap i ogonów, burczenie pustych żołądków... Nie, tego Trille nie mógł znieść. Nie czekając, aż Conan i Klemensina osiodłają konie, uderzył swojego piętami i pognał po nocnej równinie, skąpo oświetlonej przez prawie całkiem zasłonięty chmurami księżyc.

Cymmerianin kazał dziewczynie jechać za włóczęgą, a sam podążył do lasu, żeby nazbierać jaj krokodyli - wiedział, że po wysuszeniu na słońcu mogą stanowić smaczny i sycący posiłek.

Klemensina nie od razu dogoniła swojego dzielnego towarzysza. Trille umykał z taką szybkością, jakby za nim pędziły wszystkie aligatory świata, opętane dziwną myślą, by pożreć właśnie tego chudego włóczęgę i nikogo innego.

- Trille, Trille, stój! - wołała dziewczyna. - Zaczekaj!

W końcu przeblysł świadomości kazał włóczędze zareagować na rozpaczliwe wezwania Klemensiny. Zatrzymał konia, wstydliwie odwrócił twarz na bok i zwrócił się do towarzyszek:

- A gdzie Conan?

- Niestety... - ponuro odpowiedziała dziewczyna poirytowana niegodziwym zachowaniem chłopaka. - Nie zdążył uciec... Aligator go zjadł.

Chciała tylko zażartować, ale okazało się, że popełniła poważny błąd. Niestety, nie wzięła pod uwagę dwóch okoliczności. Po pierwsze, Trille był ufny i nawet przez chwilę nie podał w wątpliwość tej smutnej wiadomości. Po drugie, był szczerze przywiązany do Conana i uważał go za jedynego człowieka, z którym - a może i dla którego - warto żyć na tym okrutnym świecie. Cóż bogowie? Co im do małego człowieczka, który zagubił się w burzliwym żywiole losu i życia? Wyniosłe spoglądają z niebios w dół, nie odróżniają dobra od zła. Co ich obchodzi Trille albo Klemensina czy ktokolwiek oprócz nich samych. Do licha! Dawno już doszedł do takiego wniosku. Teraz włóczęga o niczym nie myślał ani niczego nie wspominał - najwyżej w sercu. Słowa Klemensiny o mało nie przyprawiły go o śmierć. Wytrzeszczył oczy, krótko, żałośnie jęknął i jak worek spadł z konia, przy czym boleśnie uderzył ciemieniem o kamienisty grunt.

A potem wpadł w histerię: wył i tarzał się po ziemi jak furia. Dziewczyna nie zdążyła zdziwić się takiej reakcji na jej niewinny przecież żart, a Trille już podarł w strzępy koszulę na sobie, wyrwał kilka kosmyków włosów i teraz długimi paznokciami drapał twarz.

- Oj, oj, oj! - zawodził tak przeraźliwie, że Klemensina na chwilę ogłuszył. - Ścierwo cuchnące! Mojego Conana!... Pożreć jak psa!.. jak bezdomnego, niepotrzebego psa!.. Ogony kreaturom pourywan! Łuskę oskrobie! Oj, oj, ojoj!

Akurat w tym dramatycznym momencie w poświacie księżycy na skraju równiny pokazał się Cymmerianin. Jego koń żwawo i wesoło bił kopytami, bardzo zadowolony, że obrzydliwe gady, które pod lasem omal nie odgryzły mu głowy, zostały z tyłu. Podczas gdy Conan zbierał jaja, nieszczęsne zwierzę drżało na widok tych potworów, niespiesznie pełzających ze wszystkich stron, jakby były pewne, że zdobycz nie przepadnie. Lecz barbarzyńca wskoczył na grzbiet konia, gwizdnął i odgoniwszy najbliższą maskarę, która klapnęła zębami przy samym końskim uchu, pognął naprzód...

Co może być piękniejszego od pędu po równinie nocą? Koń oddałby za to bez namysłu wiązkę siana! A może dwie wiązki albo nawet trzy. Wiatr świszczę w uszach, ale nie może zatrzymać cudownego galopu. Kamienie lecą spod kopyt, a powszechna ciemność straszy i obiecuje wieki noc, lecz i to nie powstrzyma rumaka w biegu. Gwizdać na przyszłość, gdy terazniejszość jest tak wspaniała, gdy serce bije w piersi tak radośnie, gdy...

Jeździec ostro ściągnął cugle i koń stanął. Wiatr, ciemność... One nie mają władzy nad radością życia. Za to człowiek ma. Rozczarowany koń zarżał, opuścił głowę i rozdrażniony szczyptał trochę mokrej od rosy trawy. Czekająca na nich nowa nieprzyjemność - żalony lament Władcy Węży i osłupiała z przerażenia klacz, która widocznie przypuszczała, że to właśnie ona doprowadziła swojego pana do tego stanu i teraz oczekiwała konsekwencji.

Wrony, który do tego czasu już zorientował się w dziwnym charakterze włóczęgi, próbował uspokoić przyjaciółkę żartobliwym rzeniem. Na próżno! Stała jak wmurowana, a w jej ogromnych, żółtych oczach wyraźnie odzwierciedlał się przeżywany przez włóczęgę szok.

- Proch i popiół... - wymruczał Conan, zeskakując na ziemię. - Czego krzyczy ten łajdak?

- Zażartowałam sobie z niego - tłumaczyła się Klemensina, która już po trzykroć prze-

kleła swoją nierozwagę

- Jak?

- On... on myśli, że cię pożarły aligatory... - dziewczyna z poczuciem winy spuściła oczy, oczekując wyrzutów, lecz barbarzyńca tylko stęknął.

- Mnie? A to dopiero!

Złapał Trillego za kołnierz i podniósł jednym szarpnięciem.

- Hej, przyjacielu!

Władca Węży zamilkł, bo opadł z sił. Na razie jeszcze nie mógł zrozumieć, że to on, Conan, cały i zdrowy stoi obok i potrząsa nim. W tym stanie całkowitego wyczerpania niewiele do niego docierało. Cymmerianin wydobyl z worka podróżnego drogocenny gąsiorek z winem i według własnej recepty zaczął leczyć towarzysza podróży. Dwa łyki zrobiły swoje: spojrzenie chłopaka stało się przytomniejsze, a głowa, dotąd dyndająca na cienkiej szyi jak na nitce, wreszcie utrzymywała się w jednym położeniu.

- Conan? - zarzęził Trille, z wszystkich sił starając się skupić wzrok na barbarzyńcy.

- Ja - mruknął olbrzym i wsunął gąsiorek z powrotem do worka, żeby nie kusić chorego.

- Jesteś... żywy? Niczego ci nie odgryzły?

Zamiast odpowiedzi Conan odepchnął go mocno i wskoczył na konia, harującego obok i niecierpliwie bijącego kopytem.

- Jak myślisz, Klemensino, długo trzeba by jechać do najbliższej osady? - w zadumie spytał Cymmerianin, wpatrując się w ciemne rozgwieżdżone niebo.

- Gdyby pojechać wzdłuż lasu, przed świtem można by dotrzeć.

Barbarzyńca nic więcej nie powiedział, o nic więcej nie zapytał.

Koń ruszył z miejsca i jak wichur pognął po opustoszałej równinie, pragnąc znów poczuć znajomy entuzjazm, połączyć się z przyrodą, z której sam pochodzi, odetchnąć świeżym wiatrem, odzyskać świadomość własnej siły... I tym razem zakosztował tego szczęścia w pełni.

XI. TUBYLCY

Przed samym brzaskiem stało się oczywiste: towarzysze przecięli niewidoczny pas, dzielający dwa klimaty. Ten, który zostawili za sobą, był umiarkowany i oko wszechobecnego Mitry patrzyło na ziemię ospale, obojętnie, choć stale. Nowy klimat od razu pokazał swoją podłą naturę, zagęszczając gorącymi warstwami powietrze i zsyłając na głowy podróżników rozpalone promienie porannego słońca. Z każdym krokiem - a konie przed świtem już zdeptały kopyta i teraz ledwie przebierały nogami - trudniej było oddychać, jak gdyby żar ścisnął piersi i parzył płuca.

Mchete, może wielka i majestatyczna, lecz w tym miejscu bardziej przypominająca zamulony strumyk, wody miała słone, więc podróżnicy musieli przełknąć suchą kulę w gardle i mieć nadzieję na źródło lub łaskę tubylców, który z pewnością znali sposoby zdobycia słodkiej wody.

Wbrew zapewnieniom Klemensiny pierwsze chałupy pojawiły się dopiero przed południem, kiedy konie całkiem opadły z sił. Nieszczęsny Trille jęczał w heroicznych próbach ukrycia przed towarzyszami dzikiego przerażenia, które opanowało go na widok glinianych szpiczastych dachów domostw dzikusów. Wiercił się w siodle i wściekle gryzł kościstą pięść.

Conan milczał. Zdawać by się mogło, że nic go nie niepokoiło. Pochłonięty jakąś bardzo ważną myślą, nie odpowiadał na nieliczne pytania towarzyszy i w ogóle zachowywał

się dosyć dziwnie: ani jedno przekleństwo nie wyrwało się z jego ust, ani razu nie spojrzął z irytacją na nieustannie skamlącego Władcę Węży, ani razu obcas okutego buta nie wbił się w jedwabisty bok zmęczonego konia. Zresztą buty wszyscy troje zdjęli przed świtem, a potem zmęczeni drugą podróżą i upałem, ściągnęli z siebie zbędną odzież. Cymmerianin, nawet w zakurzonych i poplamionych winem i tłuszczem spodniach, wyglądał majestatycznie.

Potężny, z bujnymi, czarnymi, długimi włosami i chabrowymi oczami, wznosił się w siodle ogromnego, odpowiedniego do jego postury wronego konia jak bóg, który zstąpił z niebios na marną ziemię i ponurym spojrzeniem oglądał okolicę, żałując, że nie uczestniczył w jej tworzeniu.

Bo istotnie zadziwiające piękno ukazało się oczom wędrowców. Po wschodzie słońca ujrzeli wiotkie kibicie palm o rozpostartych na wszystkie strony zielonych liściach, piaszczystą, jaskrawożółtą, ciągnącą się daleko na pomoc mierzeję Mchete; wysepki delikatnej, jasnozielonej trawy, między którymi ziemia była czarniejsza od czerni. Wiele mogłaby urodzić taka ziemia, lecz Conan wiedział, że tubylcy sieją na niej tylko kukurydzę, bo innych upraw nie znają. Nawet Trille nieco się ożywił, gdy zauważył w zieleni liści palmowych duże owłosione orzechy, a na potężnych konarach baobabów nie znane mu zwierzęta, trochę podobne do małp i, być może, jadalne.

Bardzo szybko wyjaśniło się, że są to po prostu małpy. W pierwszej chwili ohydne stwory przyglądały się towarzyszom, usiłując określić, z jakiego są plemienia, dlaczego pośrodku pyska wyzywająco sterczy im nos, podczas gdy u porządnego goryla powinien być przypłaszczony. Potem jednym głosem wrzasnęły i zaczęły obrzucać ich owłosionymi orzechami, które tak zachwyciły Władcę Węży, a które przy bliższym poznaniu okazały się nieprzyjemnie ciężkie i twarde.

Zły los i w tym przypadku okazał się niesprawiedliwy: wszystkie co do jednego pociski trafiały w Trillego, a Conan i Klemensina nie odnieśli nawet zadrapania. Być może włóczęga powinien zainteresować się, dlaczego bogowie są tak okrutni dla niego i przyjąć pewne oczywiste prawdy. Jednak bardziej zajmowało go cierpienie z powodu oszpecenia swojej niegdyś miłej aparycji. Na czole wyrósł mu niewiarygodnych rozmiarów guz we wszystkich kolorach tęczy z dodatkiem czerni, pod okiem purpurowiał ogromny siniak, nos był przypłaszczony, jak przystoi każdemu szanującemu się gorylowi, a górna warga napuchła i pięknie wywinęła się do góry. Do pełnej wspaniałości brakowało mu tylko kółka w nosie i piór we włosach, lecz o to - jak myślał odjeżdżając od zdradzieckiego zagajnika palmowego - z pewnością zatroszczą się dzikusy, nie różniące się chyba niczym szczególnym od małp.

Choć pogodzony z losem, Władca Węży nie porzucił głupiego przyzwyczajenia, by trząść się i pojękiwać ze strachu. Teraz też to robił, tylko ciszej niż przedtem. Jadąc tak, snuł filozoficzne rozważania o życiu. Oto on - włóczęga i żałosny tchórz, a oto jego życie. Co przewidzieli dla niego bogowie i co on sam stworzył ostatecznie? Czy słuszna jest jego droga? Czy właściwy następny krok? Czy istnieje prawda w świecie pełnym okrucieństwa, strachu, kłamstw? Czy zachowało się dla niej miejsce? Dlaczego żyje na tym świecie taka nikczemna istota jak on, który nie potrafi nic zrobić, aby zapanowały dobro i pomyślność?

Wreszcie wszelka filozofia uleciała od Trillego hen, wysoko i teraz nawet nie mógł oblec swoich rozważań w słowa. Tylko serce wiedziało, jak zwrócić się do bogów i losu z prośbą, by poznać nie poznane dotąd przez nikogo uczucia i umocnić je w sobie, żeby potem nie zbłądzić w ciemnościach bytu. Siniaki, guzy i zadrapania strasznie polały. Trille cierpiał, ale chociaż wiedział, że męczarnie fizyczne mogą uszlachetniać i wskazać prawdę, wyodrębnić wśród marności świata niewiadomą. „Czym ty jesteś, Życie?” - pytał zniechęcony włóczęga, zadzierając podbródek i kierując jedyne widzące oko ku błękitniejącemu wysoko niebu. Jednak nie było stamtąd odpowiedzi - i nigdy nie będzie.

Władca Węży szybko to zrozumiał, więc wyrzucił z głowy wszystkie ważne myśli, odsunął od siebie przyszłość i znów złączył się z teraźniejszością.

- Przekłete kreatury - poinformował Conana, łatwo zapominając o dopiero co odbytej wycieczce w labirynty filozofii. - Czemu im tak przypadłem do gustu, powiedź?

Cymmerianin nie wiedział. Dręczyły go własne myśli, a w dodatku wreszcie zauważył na dużym, pokrytym zielenią wzgórzu, wśród wysmukłych palm, nad wstążką strumienia osadę tubylczą.

Klemensina, kryjąc nagły niepokój, z powątpiewaniem patrzyła na barbarzyńcę. Podejrzewała, że lepiej byłoby ominąć wioskę dzikusów, lecz gdy już chciała powiedzieć o tym Conanowi, jej klacz zarżała, szarpnęła głową i zaczęła przewracać się na bok. W jednej chwili ogromne oczy zaszyły mgłą, na pysk wystąpiła piana i zaraz wyschła, a błyszcząca grzywa zmatowiała. Zakłopotana dziewczyna stała obok leżącego zwierzęcia, nie rozumiejąc co się stało.

- Zatruta strzała - tonem skazańca powiedział Trille, spokojnie spoglądając w dół. Już był gotów przyjąć strzałę we własne ciało. Zrównał się duchowo z kapłanem dobrego Mitry; czuł się tak samo subtelny, spokojny i posłuszny bogom. Strach, tak długo nękający jego duszę, a nawet ciało, wyparował bez śladu. Jednak nie zdążył nacieszyć się nowym dla niego, wzniosłym uczuciem, bo jego niebieskie oczy dojrzały w piasku koło kopyt padłej klaczy duży, złoty medalion z dziurką pośrodku. Trille wzdrygnął się, wydał z siebie zachwycony pisk, zeskoczył z konia i podniósł znalezisko.

Jak dziwnie skonstruowany jest człowiek! Dopiero co gotów był spokojnie przyjąć los, który przeznaczili dla niego bogowie, ale sięgając po złoty drobiazg, natychmiast utracił siłę i wspaniałego ducha. Odejść z tego pięknego świata? Właśnie wtedy, kiedy bogactwo samo wpadło mu w ręce? Za nic!

Trille wsunął do kieszeni spodni drogocenny skarb, rozejrzał się lękliwie i schował za zabitym koniem. Otrząsnął się szybko ze swojej nowej wzniosłości. Nie, nie będzie z niego ani kapłan, ani pustelnik... Trille dodał wprawdzie do tego stwierdzenia słówko „niestety”, ale sam usłyszał, ile w tym słowie fałszu. Tak naprawdę był szczęśliwy, że jego duszy zabrakło koniecznej siły i samozaparcia. Zrobiło mu się dobrze i wesoło. Poklepał się po kieszeni i radośnie zachichotał. Z jakichś powodów Władca Węży był pewien, że teraz tak szybko nie umrze. Gdyby miało być inaczej, po co bogowie zsyłaliby mu tak drogocenny przedmiot?

Na ostatnie pytanie dał mu odpowiedź Conan. Jedną ręką chwycił chłopaka za kołnierz, drugiej zaś użył do odebrania medalionu i schowania do kieszeni własnych spodni. Zaraz potem bez trudu podniósł Klemensinę, podsadził na swojego konia, sam usiadł za nią i ruszył prosto do osady, nic sobie nie robiąc z zatrutych strzał i innych niespodzianek, które przygotowali dla nich dzicy.

Klemensina z ledwo ukrywanym obrzydzeniem zerkała na częstokół, na którym jedna obok drugiej wisały ludzkie, końskie i małpie czaszki. Nie mniejszą odrazę wywoływały w niej oblicza tubylców - z na wpół otwartymi ustami, obwisłymi policzkami i pożądlivym spojrzeniem. Odróżnienie kobiet od dziewcząt nie przedstawiało trudności, bo wielokrotne macierzyństwo zniekształciło figury pierwszych, podczas gdy drugie były nad podziw smukłe i wiotkie. Dużo bardziej kłopotliwe okazało się odróżnienie mężczyzn od chłopców i starców.

Czarna i żółta farba pokrywała ich ciała, w nozdrzach kołysały się ogromne miedziane koła, w czarnych długich włosach tkwiły różnokolorowe jedwabne sznurki, a na przyrodzeniu zalotnie żółciły się wianuszki z drobnutkich kwiatków.

Ubrania tubylców były nadzwyczaj oszczędne. Kobiety nie miały na sobie niczego, a mężczyźni nosili na szyi coś w rodzaju postronków z węzełkami. Na nieproszonych gości spoglądali bez lęku i zdziwienia, może nawet z radością. Jednak Klemensina wzdrygnęła się, bo rozpoznała w tym spojrzeniu coś nieprzyjemnego, a nawet niebezpiecznego. Tak myśliwy patrzy z zasadzki na młodego, tłustego jelenia, czując przedsmak kolacji z jego udźca.

Dziewczyna bezwiednie przeniosła wzrok na czaszki. Jaki los przewidzieli dla nich bo-

gowie? Czy aby nie przypadnie im z Conanem dzielić doli tych nieszczęśników, którzy trafili do niewoli tubylców przed nimi?

Na razie byli wolni. Wrony koń, dumnie podrzucając rasową głowę, stał obok barbarzyńcy, niewątpliwie gotów do dalszej podróży. W porównaniu z nim muły dzikusów wydawały się nieudanym żartem bogów tworzących świat zwierząt. Czemuż to Conan zwleka? Czyżby nie widział tych dziwnych spojrzeń i czaszek na częstokole?...

Milczenie trwało już dosyć długo. Nikt nie ruszał się z miejsca i nikt nie zaczynał rozmowy. Uśmiechnięty Conan złożył na piersi mocne ręce i wpatrywał się w największego z tubylców, według wszelkiego prawdopodobieństwa wodza. On też patrzył na przybysza. Jego czarne oczy nie wyrażały żadnej myśli, z czego wynikało, że nic się nie dzieje w głowie dzikusa. Tylko dziwny błysk w oku świadczył o zainteresowaniu - bez wątplenia Conan był łakomym kąskiem i wódz musiał podjąć najważniejszą decyzję: zostawić go dla siebie czy podzielić się delikatesem z ziomkami?

W końcu odezwał się Conan. Posługując się mieszaniną wszystkich znanych mu języków wyjaśnił tubylcom, że on i jego towarzyszka koniecznie muszą uzupełnić zapasy żywności i wody, a w podzięce odjadą stąd niezwłocznie i nigdy więcej nie wrócą.

- Kru ru? - grzecznie zapytał wódz cienkim, skrzypiącym głosem.

- Wody! - wrzasnął Cymmerianin. - I mięsa!

- Mieesa!... - radośnie podchwyciły dzikusy znajome słowo. - Uuu! Mieesa!

Dwóch z nich skoczyło na tyły gości; zaraz przywlekli konia Klemensiny. Zręcznie posługując się długimi, wąskimi nożami, chyba z obsydianu lub czegoś podobnego, w kilka chwil rozdzielili tuszę na kawałki. Lepsze odłożyli dla wodza, a pozostałe nakryli dużymi palmowymi liśćmi, zachowując na czarną godzinę, a może zamierzając poczekać, aż zgnije przed przyrządzeniem według specjalnego przepisu. W każdym razie jedno było jasne - nakarmić przybyszów nie zamierzano.

Słowo dając, pomyślała Klemensina, to nie jest całkiem w porządku. Chociaż nigdy nie próbowała koniny, a tym bardziej zatrutej, jednak to zwierzę należało przedtem do niej...

Prawdopodobnie Conan myślał tak samo, ponieważ splunął z irytacją i zdecydowanym krokiem poszedł ku stercie mięsa. On akurat koninę jadał, i to z wielkim smakiem, a to, że klacz uśmiercono zatrutą strzałą, nie miało znaczenia: jad, którego używają tubylcy ulega zobojętnieniu we krwi i mięso można jeść bez obaw.

Nie zdążył zrobić trzech kroków, gdy wódz, dotąd stojący spokojnie, zakrzyczał alarmująco:

- Bab! Bab! Bab!

Wszystkie kobiety huknęły jednym głosem i z piskiem rzuciły się ku przybyszom.

Szybko się wyjaśniło, że ich bronią były paznokcie. Uczona Klemensina nie miała czasu się zastanawiać, czy wielki jest pożytek z takiego odkrycia. To, co wyczytała w książkach, w żaden sposób nie znajdowało zastosowania w obecnej sytuacji. Geografia nie brała pod uwagę charakteru dzikusów i wojennego kunsztu ich towarzyszek życia. Nieoczekiwanie dla siebie, spluwając i wspominając Croma, dziewczyna wyciągnęła kindżał i rzuciła się naprzeciw atakującym. Opatrzność, która w osobie Conana uratowała ją od stosu, i tym razem zapobiegła niechybnej śmierci. Nie mogłaby się oprzeć dwóm dziesiątkom silnych, żylastych tubylek, lecz barbarzyńca, którego widać opatrzność znów wybrała na jako swojego przedstawiciela, zręcznie pochwycił jedną dziko piszczącą piękność z obwisłymi piersiami i rzucił ją w sam środek walczących. Rozwścieczone i nieco zakłopotane wycie obwieściło, że manewr udał się: trzy tuziemki padły trupem, a jeszcze dwie uciekły, pojękując i rozcierając stłuczone miejsca.

Widocznie jedna z rannych była żoną lub matką wodza, ponieważ ten znowu krzyknął swoje „bab” i wszystkie kobiety żwawo powróciły.

Klemensina odetchnęła z nieukrywaną ulgą. Bójka z bandytami w oberży była pierwszą

w jej życiu, czyli tę należałoby uważać za drugą, jednak żadnego doświadczenia w tej dziedzinie nie zyskała. Za to teraz przekonała się, że do jej zalet można zaliczyć umiejętność pokonywania strachu. Zaraz jednak zmarkotniała, bo jej myśl szybciej niż wiatr poszybowała do Trillego, który w ogóle nie miał zalet, a jednak potrafił być dzielny:.. Jeszcze jedno westchnienie wyrwało się ze szczupłej piersi dziewczyny.

Popatrzyła na Conana i spróbowała odczytać jego myśli - mimo wszystko od niego zależała ich dalsza podróż.

Jeśli Conanowi coś zaprzętało głowę w tym momencie, to bynajmniej nie myśli. W tłumie dzikusów wypatrzył jedną, całkiem ładniutką i młodą. Jej czarne jak węgle oczy patrzyły otwarcie i wesoło. Stała za wodzem i ramieniem dotykała jego łokcia. Lekko poruszała wydatnymi ustami, jakby szepcząc modlitwą, chociaż Cymmerianin był pewien, że proponowała mu właśnie miłość, i to natychmiast. Proste i długie do kolan włosy koloru kruczego skrzydła błyszczały w słońcu. Gibkie, szczupłe ciało, niczym nie ozdobione i nie osłonięte, było stworzone do zaspokajania namiętności - w tym wypadku namiętności przybyłego barbarzyńcy.

Przez kilka chwil Conan patrzył na autochtonkę, nie zauważając ponurych min jej pobratymców i grymasu niezadowolenia na twarzy wodza. Następnie zrzucił ten iluzoryczny wytwór cywilizacji, jakim jest koszula, i oddał się we władanie przyrodzonym instynktom - to znaczy podszedł do dziewczyny i ujął w dłonie jej małą pierś, mruczając przy tym najsubtelniej, jak umiał.

Tubylcy oniemieli ze zdziwienia. Nieproszeni goście zachowywali się całkiem inaczej niż ci, których czaszki ozdabiałały częstokół. Całe plemię z dziecinną ciekawością obserwowało długi pocałunek, którym Conan obdarzył swoją wybrankę, delikatne ugryzienie, które ona zaaplikowała mu w potężną szyję oraz uroczysty przemarsz do chaty...

Kiedy za Cymmerianinem i dzikuską opadła krwistoczerwona zasłona, Klemensina z obawą popatrzyła na tubylców. Wydawało się jej, że wódz zaraz krzyknie „bab” i te straszne kobiety rozerwą ją na kawałki tak szybko, że nawet opatrność nie zdąży jej pomóc. Tym bardziej taka lubieżna opatrność jak Conan. Uczucie obrzydzenia pojawiło się na delikatnej twarzyczce dziewczyny, gdy wyobraziła sobie, co odbywa się w chacie. A przecież wyobrażenia podsuwała jej uściski i nic więcej. Sama dotąd nie brała udziału w akcie namiętności, bo Enart był niewinny, a ona nikogo innego nie kochała. Świącie przekonana, że dzieci przychodzą na świat jako rezultat pocałunku, Klemensina dziwiła się okrzykom i jękom, które dochodziły zza czerwonej kotary. Czyżby Conan uderzył tę nieszczęsną dziewczynę? - pomyślała. A jeśli, co byłoby jeszcze gorsze, postanowił ją udusić? Zimny pot wystąpił jej na czoło. Nie z litości nad rozwiązłą dzikuską; po prostu w potajemnym zabójstwie nie dostrzegła żadnego sensu. Postanowiła więc wmieszać się i uratować autochtonkę. Ruszyła ku chacie, w myśli prosząc bogów, by dali jej siły, a okrutnemu barbarzyńcy - opamiętanie. Czując na plecach drwiący wzrok tubylców, odchyliła zasłonę i...

XII. NOWI PRZYJACIELE WŁADCY WĘŻY

Trille, otoczony z wszystkich stron przez małpy, siedział wśród palmowych gałęzi i tęsknie patrzył w dal. Gdzieś tam, w osadzie za laskiem, przebywali teraz jego towarzysze. Co się z nimi stało? Pożarli ich ludożercy czy oszczędzili? Wzięli do niewoli czy przyjęli jak oczekiwanych gości?

Władca Węży od czasu do czasu zadawał sobie takie pytania, nie zapominając wszakże o swoim położeniu. Już trzeci dzień spędzał w towarzystwie małp, które, zdaje się, brały go

za swojego bardzo bliskiego krewnego i nie pozwalały się oddalić. Karmiły go kokosami, bananami, słodkimi korzeniami, obejmowały, lizały i przyjaźnie gryzły. Jednak gdy tylko podejmował próbę zejścia na ziemię, zewsząd rozlegało się głośne wycie i przywódca silną kudłatą łapą wciągał go z powrotem na gałąź.

Nowi przyjaciele Trillego najwyraźniej byli przekonani, że uratowali go z rąk wrogów. Żal rozrastał się w piersi Władcy Węży, tkwił suchą kulą w gardle na wspomnienie konia unoszącego Conana i Klemensinę. Sam zdążył zrobić tylko krok w stronę swojej klaczy, bo czarne, bezczelne stado spadło na niego i uniosło ponad ziemię wśród pisków i pokwikiwań.

Siedzi teraz między małpami na gałęzi, sam też niby małpa, i pewnie będzie tak siedzieć przez całą resztę życia... O, bogowie, czyżby rzeczywiście tak miało być?

Władca Węży jęknął na tę straszną myśl i popatrzył na przywódcę. Ten siedział na wyższej gałęzi, z nogą zadartą w taki sposób, że włóczęga musiał zwracać się do jego czerwonego zadka, i ssał palec.

- Krrarr... Frru! - spróbował porozumieć się z nim Trille. - Urr, mrr, trr.

- Ha! Ua, ua, ua! - wrzasnął rozdrażniony przywódca, szczerząc ogromne żółte zęby. - Uj!

- Brra? - nie zrozumiał Władca Węży.

- Uj! Uj! — powtórzył rozmówca już spokojniej i znowu entuzjastycznie wessał się w palec.

- Do licha!

To była ósma próba dogadania się i też zakończona fiaskiem. Jeśli nawet stary, mądry samiec rozumiał to, co chciał mu powiedzieć nowy członek stada, to w takim razie nie zgadzał się z nim. No bo jak można być obojętnym wobec takiej czarnej niewdzięczności!

Temu brzydalowi bez sierści i ogona podsunął najbardziej pociągającą samicę, która skończyła niedawno dwa lata, a on ją odrzucił. Napchali mu pełne usta przepysznych, tłustych gąsienic, a on je wypluł. Nie czochrał się jak należy... a raczej w ogóle się nie czochrał. Nie umiał skakać z gałęzi na gałąź i trzeba było go ciągle nosić... Ile kłopotów z jedną gołą małpą! Gdyby przywódca nie miał tak miękkiego serca, dawno już przegnałby precz tego pasorzyta, tego darmozjada...

Trille westchnął. Już zaczął się przyzwyczajać do zapachu, do jednakowych płaskich pisków, gardłowych okrzyków, bananów i kokosów, lecz w żaden sposób nie mógł znieść zalotów narzuconej mu samicy. „Kochana - mamrotał, odwracając twarz o nieszczęśliwym wyrazie - proszę cię, odejdz. Błagam, zabieraj się stąd do Nergala. Zaklinam cię na wszystkie świętości, idź precz...” Niestety, samica brała namowy i prośby za miłosne gaworzenie i też gruchała coś po swojemu, obśliniając ucho wybrańca.

Po ósmej, znów nieudanej rozmowie z przywódcą Trille podjął próbę wzruszenia jego czarującej małżonki. Pochylił się nad nią i starając się nie zauważać krzywego, pomarszczonego palca, którym dłubała w nosie, gorąco szepnął:

- Urr, brr... Du du, ych, au au u!

- Uj? - ze zdziwieniem zapytała. - Agrr!

- Agrr? - Nad Trillem zawisł sam przywódca, a jego wygląd nie zwiastował niczego dobrego. - Ou, ou... Agrr...

Zaraz potem samiec z wyrzutem pokiwał głową i tak strzelił w pysk rozwiązłego członka stada, że ten zleciał z palmy na łeb na szyję i utknął w gałęziach poniżej.

- Agrr! Agrr! — piskliwie krzyknął przywódca, potrząsając długimi, kosmatymi łapami. - Agrr!

Na taką zuchwałość nie pozwoliliby sobie żaden młody i krzepki samiec - próbować uwieść małżonkę przywódcy pod jego nosem, używając na dodatek takich okropnych wyrażen!

- Agrr - z obrzydzeniem powtórzył samiec. - Agrr!

Poniechał dalszej zemsty, znów wlaź na gałąź i oddał się ulubionemu zajęciu. Zdarzało się, że gdy był w szczególnie dobrym nastroju, łaskawie podsuwał nogę swojej połowicy, a ona, nie posiadając się ze szczęścia, gorliwie ssała jego palec. Teraz jednak na próżno czule spoglądała na męża, bowiem postanowił ukarać ją za niedostateczne opieranie się rozpustnikowi. Biedaczka ze zwieszoną głową zesła niżej, wyzwoliła Trillego z pułapki gałęzi i ze złością wymierzyła mu klapsa.

Nigdy przedtem Władcy Węży nie przydarzyła się podobna historia. Gdyby na jego miejscu był Conan, z pewnością znalazłby jakieś wyjście. No, ale Conan nigdy nie znalazłby się na jego miejscu... Jego nikt nie pomyli z małpą! Tym bardziej same małpy...

Trille smętnie obejrzał swoje ręce, nogi, brzuch - wszystko, co miał w polu widzenia - i ciężko westchnął. W odróżnieniu od Conana i Klemensiny nie trudził się ablucjami w ruczajach, rzeczках czy kałużach, a teraz od stóp do głowy pokryty był zaschniętym błotem, kurzem i jeszcze czymś obrzydliwym. Z ubolewaniem stwierdził, że śmierdzi równie intensywnie jak całe małpie plemię... Okrutną lekcję dał los biednemu włóczędze.

Przeplatając modlitwy przekleństwami, obiecał sobie na przyszłość koniecznie myć się, choćby raz na miesiąc (nie, raz to za mało, może dwa albo trzy), codziennie płukać włosy w czystej wodzie i starannie obgryzać paznokcie u wszystkich dwudziestu palców. Pewnie, były to ciężkie warunki, prawie nie do spełnienia, ale Trille postanowił sienie poddawać. Powinien dowieść sobie i wszystkim swojej żelaznej woli i wielkiego męstwa. Powinien...

W oczach Władcy Węży pojawiły się szczere, czyste łzy. Przysięga godna nie chłopca, lecz męża uniosła jego ducha tak wysoko, że trzeba było nie lada wysiłku, żeby dogonić go i zaciągnąć z powrotem do ciała. Włóczęga wiercił się na gałęzi i marzycielsko uśmiechał do przyszłości. Czyż ktokolwiek mógł wyobrazić sobie choć przez chwilę, że jest zdolny do takiego radykalnego działania? Nikt. Ach, jak to będzie pięknie, kiedy zaczniesz chodzić umyty! Z jaką miłością zaczną patrzeć na niego wszystkie dziewczyny!..

Trille nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy barbarzyńcę - jeśli dzikusy go jeszcze nie pożarły - i podzieli się swoją nowiną. „O Cromie, Erliku, Mitro, Adonisie i pozostali, którzy siedzicie w obłokach i patrzycie na nas - zwykłych śmiertelników z wysokości niebios! Pomóżcie mi uciec od moich miłych przyjaciół, żeby ich Nergal porwał do swojego mrocznego królestwa... Pomóżcie mi odnaleźć Conana! Będę odważny i zdecydowany, będę się mył... Och, pomóżcie!” Władca Węży jednym tchem wypowiedział ostatnie słowa wymyślonej na poczekaniu modlitwy, po czym zmrugał oczy i czekał na spełnienie życzenia.

Jednak nic się nie działo. Jak przedtem dookoła niego siedziały małpy, jak przedtem przywódca stada ssał palec i tak samo jego małżonka skarżyła się na niesprawiedliwą karę.

Trille niedowierzając podniósł oczy ku górze. Czyżby bogowie go nie usłyszeli? Nagle radość musnęła jego serce delikatnym skrzydłem: pochwycił zesłaną mu przez niebiosy cudowny pomysł! Z lekką urazą pomyślał, że sam mógłby na to wpaść. Zastonił oczy dłońmi, skupił się i cichutko zasyczał. Węże, węże, węże pełzły do niego ze wszystkich stron. Czuł je, słyszał i widział. Do wolności pozostało tak niewiele...

To, co zobaczyła Klemensina za kotarą, ugodziło ją w samo serce jak strzałą, co więcej, zatrutą strzałą. Okrzyk przerażenia wyrwał się z jej ust i upadła bez czucia na ziemię. Nawet w koszmarnym śnie nie mogła sobie wyobrazić, co mianowicie ludzie nazywają miłością.

Podczas gdy Conan wciągał spodnie, a rozczarowana autochtonka szlochała na cały głos, tubylcy przywlekli pod chatę stertę palmowych liści i kwiatów, zamierzając świętować ślub białego człowieka z dziewczyną ze swojego plemienia. Szczególnie cieszył się na to wydarzenie wódz. Już dawno zamierzał uwolnić się od krewniaczki, z którą powinien był się ożenić, i oto nadarzała się wspaniała okazja pozbycia się jej bez sięgania po takie nieprzyjemne środki jak utopienie lub uduszenie.

Jasne, że samego Conana nikt nie myślał pytać o zgodę. Jak każe obyczaj tubylców, ten,

kto z własnej inicjatywy prowadzi dziewczynę do chaty, jest zobowiązany natychmiast ją poślubić, w przeciwnym razie grozi mu śmierć na stosie. Oto dlaczego tylko ostatni idiota działa tak otwarcie. Mądre dzikusy wolą krzaki, jamy, brzeg strumienia, a nawet palmy, cokolwiek, byleby uniknąć dokuczliwego pożycia małżeńskiego.

Wódz dawno już chciał znieść ten głupi obyczaj, nie tyle z powodu moralności i dążenia do równouprawnienia, ile w rezultacie potrzeb własnych. Rzecz w tym, że niepożądane dziewczice (to znaczy pożądane, ale inaczej) zostawały jego żonami. Do ich obowiązków należało wydawanie na świat jednego niemowlęcia na rok. Wskutek tego, mając już dziewięć żon, z których dwie, chwała bogom, okazały się bezpłodne, wódz miał szesnaścioro dzieci, nie wiadomo dlaczego żądających jedzenia i picia każdego dnia. Wprawdzie jedną z żon udało się mu cichaczem podduścić, lecz do tego czasu zdążyła urodzić trojaczki. Ta okoliczność aż nadto dowodziła nieszczęśliwego losu wodza.

Tym prawdziwsza była radość tego miłego człowieka w chwili, gdy Cymmerianin powlókł dziewczynę do chaty. Ale jeszcze bardziej naturalne było jego oburzenie, gdy zobaczył, że narzeczony nie myśli o dopełnieniu obowiązku.

Conan z uśmiechem popatrzył na przygotowania do wesela, podszedł do Klemensiny i wypróbowanym środkiem - łykiem wina - przywrócił ją do przytomności. Następnie, nie zwracając uwagi na spojrzenia pełne niemego wyrzutu, a także na spłoszone okrzyki porzuconej dzikuski oraz na groźne wycie całego plemienia i gniewne ryki wodza, włożył do worka podróżnego parę kawałków koniny.

Szkarłatnie zachodzące słońce zapowiadało gorącą i duszną noc, lecz barbarzyńca nie zamierzał przeczekać jej tutaj. Jego, który zjeździł i przeszedł tysiące dróg, bywał i mieszkał w setkach miast czy osad, działania tubylców specjalnie nie zdziwiły. Również w innych plemionach, o czym wiedział, mężczyźni szukali okazji, aby podsunąć swoje kobiety obcokrajowcom. Różnica dotyczyła tylko sposobu działania. Jedni narzucali żonę jako karę za wtargnięcie na ich terytorium, drudzy próbowali wcisnąć to samo, lecz już jako nagrodę posiadaczom rudej brody, a inni po prostu dawali kobietę w prezencie jako znak szczególnego traktowania gościa. Nieraz Conan musiał ratować się ucieczką od takiego podarunku, który też dobrze umiał biegać, a jeszcze lepiej pisać. Bo kto potrafi pisać głośniejsze od odrzuconej kobiety? Nikt. Teraz też młoda dzikuska wybiegła z chaty i przeraźliwie wrzeszczała. Jednak Conan zdążył się zorientować, że nie dostała mu się dziewczica, a to znaczy, że powinien poślubić ją ten, kto pierwszy zaciągnął ją w krzaki czy w inne ustronne miejsce. Natomiast na obyczaje autochtonów barbarzyńca po prostu gwizdał, co też demonstrował całym swoim zachowaniem.

Nagle nastąpiła cisza. Klemensina od razu poczuła - sercem, skórą, koniuszkami rąk - jej straszny ciężar. Dziwne, śmiertelne milczenie, w którym zamarli nie tylko ludzie, lecz i cała przyroda. Było tak rzeczywiste, że czuło się lodowaty mrok królestwa zmarłych.

Klemensina odwróciła głowę do barbarzyńcy. Już całkiem zapomniała, jaki to straszny widok zobaczyła w chacie. Teraz miała tylko jedno pragnienie - wskoczyć na konia, mocno przytulić się do potężnych pleców Conana i umknąć z nim jak najdalej stąd.

Cymmerianin podniósł miecz. Jego usta wykrzywił zły uśmiech. W chabrowych oczach migały niebezpieczne zimne ogniki, a dziewczyna ujrzała w nich także śmierć. Purpurowy promień słońca odbił się w błyszczącej kłindze, co już wznosiła się do nieba, by spaść na głowy dzikusów.

Krzyk przerażenia zastygł na ustach Klemensiny w chwili, gdy z puszystych, białych poduszek obłoków oderwało się słońce i gwałtownie poleciało w dół, zostawiając czerwony, osłepiający jaskrawy ślad, podobny do świeżej rany, która przecięła, błękitne ciało nieba.

Tym razem Trille postanowił nie rozstawać się tak szybko ze swoimi uroczymi przyjaciółmi. Obwieszony wężami od stóp do głowy przemaszerował przez palmowy zagajnik,

wyszedł na równinę i skierował wzrok ku wzniesieniu, gdzie, o ile pamiętał, leżała osada tubylców.

Oczywiście klaczy nigdzie nie było. W ciągu trzech dni jego nieobecności wszystko mogło się wydarzyć. Może zbyt doskwierała jej samotność i postanowiła poszukać szczęścia gdzie indziej? A może straszne dzikie zwierzęta, jakich Trille jeszcze nigdy nie widział, rozszarpały ją i zjadły? A może.. Zresztą los klaczy niepokoił Władcę Węży najmniej.

Pragnął całym sercem, namiętnie, odnaleźć Conana i Klemensinę. Byli to jedyni ludzie na świecie, którzy zaakceptowali jego istnienie. Wszyscy inni nie uważali za konieczne, by żył. Takich jak on włóczęgów jest zbyt wielu, a pożytku z nich niedużo. Tylko roznoszą po świecie zarazę i psują powietrze obrzydliwym zapachem niemytego ciała. Właśnie, co do ciała: Trille obejrzał się krytycznie dzisiejszego ranka i, niestety, doznał przykrych wrażeń. Z pomocą węży wyzwolił się od natrętnych małp i opuścił zagajnik. Dokonał od razu heroicznego czynu, mianowicie poszedł nad Mchete i umył się w jej kwitnących wodach. Teraz pachniał zgniłymi liliami wodnymi i zdechłymi krokodylami, jednak nadal czuł gorycz.

Dwadzieścia sześć lat śmierdział jak knur i dopiero dzisiaj stał się człowiekiem. Tak będzie i w przyszłości. Zapamiętał przysięgę, którą złożył sobie siedząc na palmowej gałęzi w otoczeniu małp, i na razie nie zamierzał jej się sprzeniewierzać.

Od strony osady nie dochodził żaden głos. Trille wcisnął głowę w ramiona w obawie przed zatrutymi strzałami i nie bez wahania poszedł w tamtą stronę. Królewski boa, gruby i długi, owinał się wokół jego szyi, zwiesił płaski łeb nad kolaniem swego władcy. Zazdrośnie spoglądał na pozostałe gady, jadowite i paskudne, które poprzeplatały się tworząc coś w rodzaju żywej kolczugi połyskującej w promieniach zachodzącego słońca.

Trille bardzo się starał stłumić w sobie wciąż rosnący, ściskający piersi, tłumiący oddech strach przed tubylcami. Gdy tylko małpy z opętańczym wrzaskiem rozpierzchły się na widok hordy węży, poczuł się jeśli nie półbogiem, to na pewno wybitnym wojownikiem. Po zejściu z palmy dłuższy czas siedział na ziemi rozpierany dumą i świadomością własnej wielkości.

Już myślał, żeby dodać do swojego tytułu jeszcze jeden = Władcy Małp, lecz wspomniawszy o Conanie i zawstydzony tych nieskromnych pragnień. Strach znowu wpełzł w jego duszę, samotność stała się prawie nie do zniesienia. Ledwo powłóczęg nogami, szedł przez równinę. Tutaj był sam, nie licząc jego syczących poddanych. A on ich nie liczył.

Zewsząd napływał do niego lęk, a bezsilna dusza przyjmowała go z pokorą młodej dziewczyny, na siłę wydanej za żonę bogatego, złego starca. W końcu włóczęga zrozumiał, że z takim obciążeniem nie zrobi więcej ani kroku. A zatem wyprostował ramiona, zadarł podbródek i zaintonował wesołą, krzepiącą, bojową pieśń żołnierzy turańskich. Gdy jednak usłyszał w całkowitej ciszy swój żalony, słaby głos, umilkł. Opanowały go dziwne przeczuć. Cienie towarzyszy pojawiły się nagle - tylko cienie, bez ciała i ducha. Od tego nawet strach w piersi zadrżał i spadł na dno duszy. Trille westchnął, spojrzawszy na niskie chaty ze spiczastymi dachami i zauważył, że nad nim nie ma słońca. Nagle z dalekich i mrocznych światów przypląnęła tęsknota, właściwa niewolnikowi przykutemu do wiosła galery. Szepem przeklinając własną słabość, Władca Węży wdrapał się na wzgórze. Teraz jeszcze bardziej, po tysiącokrotnie bardziej pragnął zobaczyć Conana, ale szansa na to ulatniała się z każdym krokiem. Z każdym też krokiem rosło zmartwienie, wijąc w sercu włóczęgi przytulne gniazdko i składając w nim jaja. Z każdym krokiem robiło się ciemniej, bardziej sucho i wietrznie. Wężę owinięte wokół swego władcy zaniepokoiły się, a boa podniósł głowę i popatrzył przed siebie długim, prawdziwie królewskim spojrzeniem. I wtedy Trille spojrzawszy w tym samym kierunku.

XIII. PODSTĘPNY KAMELITA

Trille pamiętał swoje dzieje, od kiedy skończył jedenaście lat. Do tego czasu, jak opowiadał mu oberżysta na północy Argosu, włóczył się po drogach tego ogromnego świata z szajką błaznów jarmarcznych. W końcu znudziło się im karmienie nieletniego nieroba i złodziejaska, więc wyrzucili go z wozu wprost do zasy py śniegowej. Od tego wydarzenia pamięć Trillego rozpoczęła rejestrowanie jego losów.

Była zima - dla Argosu niezwykle śnieżna i mroźna. Białe puszyste płaty bez przerwy, nocą i dniem, waliły z nieba. Z gór z wesołym piskiem zjeżdżała dzieciarnia. Niskie szare niebo zaczęło o baszty zamków. Leniwie wlokły się na północ ciemne, nieforemne obłoki.

Mały włóczęga leżał w zaspie, czując, że robi mu się ciepło i przyjemnie. Wiedział, co to znaczy, ale nie miał siły wstać i iść, a i nie było dokąd. Do Argosu trafił po raz pierwszy. Ani tam, ani nigdzie na świecie nie miał żadnych znajomych. Może sam los zadysponował jego przyszłością i przygotował mu miejsce na Szarych Równinach? Tam i tylko tam może znaleźć schronienie bezdomna, nikomu niepotrzebna istota.

„Oj, chłopak, jakiś ty biały!” - czyjś grzmiący bas zadudnił mu wprost do ucha, przerywając dopiero co rozpoczęty sen. „No już, wstawaj!”

Trille niemrawo pokiwał głową. Nie chciało mu się wstawać. Rozgrzał się, ręce ani nogi już nie bolały z zimna, a droga na Szare Równiny wydawał się krótka i upragniona. Wtedy żelazna ręka schwyła go za kołnierz i podniosła.

„Przecież zamarzasz, szczeniaku...” — burknął ten sam głos.

Potem mały włóczęga, uspokojony, popłynął na rękach swojego dobroczyńcy.

Oberżysta przyniósł go do domu, wymył, nakarmił i położył spać - do najprawdziwszego łóżka. Rano powiedział mu: „Jesteś podobny do mojego syna. Zostań”. Trille został. Dużo później dowiedział się, że syn Massima - oberżysty - utonął w Chorocie i zdarzyło się to dawno temu, kiedy samego Trillego jeszcze nie było na świecie. Cóż, widać los zmienił swoje początkowe postanowienie i podarował małemu włóczędze życie, a jednocześnie dom i ojca.

Rok później, w taki sam śnieżny zimowy wieczór przyszedł Władca Węży usłyszał od Massima interesującą historię.

- Czy wiesz, chłopcze, czym jest Dola Człowiecza? Z pewnością myślisz, że to stara wiedźma z kosturem i nosem do samej ziemi. Nie! To młoda dziewczyna! Włosy jej są czarne jak noc, oczy błękitne jak letnie niebo, kibić wysmukła, uśmiech łagodny, a chód energiczny.

W każdym kraju ma swoje imię. W Argosie - Marinella, w Vendhii Mariam, w Ophirze Mariena, w Brythunii Marsha, w Shemie Marthala. I jakkolwiek nazywają ją ludzie, przez wyższych dane ma jedno imię: Bogini Losów. Powiadają, że jest córką Mitry, jedyną i ukochaną. Czy to prawda - nie wiem, lecz posłuchaj, co ci powiem, chłopcze.

Wiele lat temu, gdy wędrowałem z trupą wędrownych aktorów... Jesteś zdziwiony? Tak, ja też będąc młody i naiwny wierzyłem w triumf dobra, byłem wesoły i otwarty. Nie żałowałem chleba ani miedziaka, gdy widziałem, że komuś są bardziej potrzebne niż mnie.

Stałem na wozie w pstrokatym stroju i głosiłem ludziom o dalekich światach, wymyślonych przeze mnie, o wiecznym szczęściu i o wiecznym zmartwieniu. Wzywałem ich, żeby z miłością spojrzeli na bliźniego, bo nasze życie, mając początek, ma też koniec i tylko dobro pomoże nam przeżyć je choćby trochę lepiej, spokojniej, sprawiedliwiej, dłużej.

Słuchali mnie, lecz niechętnie. Czekali, aż umilknę i zejść z wozu - po mnie wchodziły błazny. Oto kiedy naród ożywał się i weselił. Czasami wydawało mi się, że ani jedno słowo nie trafia do ich serc, jeśli nie wepchną ich tam siłą, jak to robili szlachcice i straż królewska.

Czas płynął, a ja widziałem, jak żebraczka oddaje swój kawałek chleba umierającemu chłopczykowi i odchodzi, przeklinając bogów za ich okrucieństwo i proponując własne życie za jego. Widziałem, jak ostatniego dnia wojny, smutnego dnia mordy i grabieży pokonanych,

stary żołnierz z twarzą oszpeconą okropną szramą przez cały policzek, jasnooki, ogromny i straszny jak sam Czarny Jeździec, ukrywa pod swoim płaszczem dziecko. Jego towarzysze broni chcieli je zabić... po prostu dlatego, że znaleźli je w domu kupca właśnie przez nich zarżniętego. Dziecko zabili, ale dopiero po zabiciu żołnierza... Widziałem... Widziałem wiele cudów, mój chłopcze. Mijały lata. Rzuciłem tę głupią zabawę - narzucanie ludziom swojej filozofii, podczas gdy każdy z nich ma własną. Rzuciłem trupę wędrowną.

Pewnego razu w oberży - w tej samej, w której siedzimy teraz - spotkałem dziewczynę.

Zafrapowała mnie. Nigdy przedtem nie myślałem nawet, że bywają na świecie takie piękności. Włosy czarne jak noc, oczy błękitne jak letnie niebo... Czy już domyślasz się, chłopcze? To była ona - Marinella, Bogini Losów. Wtedy o tym nie wiedziałem. Patrzyłem oczarowany, jak przedzie swoją cienką złocistą nić, która wije się między jej białymi palcami, i serce moje zamierało.

W sali oprócz nas nikogo nie było. Podszedłem do niej, przysiadłem obok i nieśmiało zapytałem: „Jak masz na imię, dziewczyno?” Ona z uśmiechem podniosła na mnie oczy błękitne, zadziwiającej czystości: „Marinella” Ucieszyłem się. Odezwała się do mnie, a to znaczy, że mój biedny ubiór ani trochę jej nie speszył. Szybko powiedziałem: „Och, jaką piękną przedziesz nić! Taka cienka, a nie rwie się. Myślę, że to khitajski jedwab”. Zaśmiała się. „Nie, Massimo, to nie khitajski jedwab.” Otworzyłem usta, żeby kontynuować rozmowę, lecz nagle moje serce drgnęło. „Massimo? Nazwałaś mnie Massimo? Skąd znasz moje imię?”

Podniosła wrzeciono:

„Stąd”.

W milczeniu spoglądałem na wrzeciono i nie mogłem pojąć sensu jej słów. Oberżysta, ten, co był tu przede mną, przyniósł mi pieczonego koguta i dzban piwa. Rozerwałem koguta na pół i jedną część zaproponowałem jej. Marinella z uśmiechem pokręciła głową, dziękując za mój poczęstunek. Gdy jadłem, jedna nitka się zerwała. Zasmuciła się...

„O, Witinio, jaka szkoda...” wyrzekła cicho i znów zaczęła praść.

„Kto to jest ten Witinio?” zazdrośnie się zainteresowałem, rozgryzając koguci kuperek.

„Pewien piękny młody człowiek - odpowiedziała. - Zginie za dwa miesiące...”

I wtedy zrozumiałem, kim ona jest...

„Jesteś Boginią Losów?”

Marinella przytaknęła, nie odrywając oczu od przędzy.

„Słyszałem o tobie kiedyś. To prawda, że w twoich rękach są nitki życia każdego człowieka?”

Podniosła na mnie oczy pełne smutku.

„Nie, Massimo, nie życia. Losów.”

Potem zamilkliśmy. Skończyłem jeść koguta, dopiłem piwo, siadłem bliżej ognia. Myśli w głowie mi się plątały, z trudem wierzyłem własnym oczom i uszom. Czyżby aż tak mi się poszczęściło? Czyżby przede mną była sama Wieczna Dziewica? Powiadają, że ukazuje się nie każdemu, a tylko temu, kto ma czyste myśli i serce szlachetne. Dla pozostałych jest Marinella - zwyczajną, chociaż bardzo ładną dziewczyną. Czy mogłem się uważać za czystego i szlachetnego? Najpierw pomyślałem, że tak. Starłem się żyć sprawiedliwie, pomagać ludziom. A co więcej? Nic... Wydało mi się, że to za mało.

Wtedy nawiedziła mnie inna myśl. Bogini Losów po prostu czegoś ode mnie potrzebuje? Znow zwróciłem się do niej:

„Powiedz mi, Marinello, skąd w twoich pięknych oczach smutek? Czyżby nieszczęśliwy los biednego Witinia tak zranił twoje wrażliwe serce? Czyżbyś po raz pierwszy przepowiedziała śmierć?”

Odpowiedziała:

„Nie, Massimo, śmierć przepowiadam często - dużo częściej niż sto czy dwieście lat temu. Smucę się z innego powodu. Powiem ci, bo widzę twoją duszę, otwartą na kłopoty

innych bardziej niż na własne. Jestem Wieczną Dziewicą, stworzoną, by żyć wiecznie. Los każdego człowieka jest w moich rękach, chociaż niczego nie jestem w stanie zmienić. Jednak moja dobroć jest ratunkiem dla wielu. Ty na przykład za piętnaście lat powinieneś zginąć w wodach Chorotu, lecz... - tu przerwała na moment swoje opowiadanie i po piętnastu latach zrozumiałem dlaczego: w Chorocie utonął mój syn - lecz tylko część twojej duszy zginie. Ty pozostaniesz przy życiu, aby darować je drugiemu człowiekowi". - To znaczy tobie, tak sobie teraz myślę.

„Nie jestem człowiekiem, nie mogę zgubić części swojej duszy i żyć dalej po tej okropnej stracie. Tak się stało ze mną... Dawno, bardzo dawno, Massimo. Widzisz mnie, moje wrzeczono, a powinno być jeszcze coś - rubin, zawierający w sobie sens mego istnienia. Bez niego czas mój będzie krótki...”

Zaniepokoiłem się.

„Chcesz powiedzieć, że możesz wkrótce umrzeć?”

Marinella z zalem popatrzyła na nic, która znów się zerwała.

„Nie, Massimo, czas mój nie skończy się tak szybko. Minie jeszcze lat dwadzieścia, a może trzydzieści czy czterdzieści... Jednak świat nie może istnieć bez Bogini Losów. Zamiast mnie wyżsi stworzą inną, ale ona już nie będzie miała mojej dobroci. Równowaga powinna być przestrzegana we wszystkim.”

Massimo umilkł i Trille na próżno czekał na ciąg dalszy opowiadania. Dopiero po jakiś pięciu dniach oberżysta wrócił do tej rozmowy.

- Gdybym mógł odnaleźć jej rubin... Rozumiesz, chłopcze, co by to znaczyło? Uratowałbym świat od złej kreatury, co przyjdzie na miejsce miłej i dobrej Marinelli, a z nią straszne choroby, wojny, głód... Gdybym tylko wiedział, kto wziął ten kamień! - Tak wykrzykiwał Massimo, przekazując swój niepokój Trillemu.

Rok później mimo wszystko poszedł szukać Lala Bogini Losów. Wkrótce po nim wyruszył i Władca Węży, wygnany z domu przez złą macochę, lecz na setkach dróg i w setkach miast nie spotkał swojego przybranego ojca...

Trille zastanawiał się, czy to możliwe, że Marinelli już nie ma. Czy nie dlatego tak smutny, tak okrutny, tak obojętny jest świat dla ludzi? Czy rządzi nowa bogini - zła, wstrętne, odrażająca jak but pogryziony i ośliniony przez psa...?

Włóczęga zdławił ciężkie westchnienie i popatrzył przytomniejszym wzrokiem.

Serce Władcy Węży podskoczyło i poleciało gdzieś na dół, do żołądka. Spróbował zemdleć, ale nic z tego nie wyszło. Przeciwnie, strach odpłynął jak fala, determinacja i gniew pobudziły ducha i Trille, szczerząc zęby ze złością, wkroczył w niegodziwą ciemnosrebrną chmurę, która okryła osadę tubylców i ukradła mu przyjaciela.

Od razu zorientował się, co to jest. W prastarych legendach nazywało się to kamelita i było czymś w rodzaju płynnej gwiazdy, jakby meduzą. To ciało niebieskie, przyciągane przez żywą istotę z ziemi, otaczało ją i powoli dusiło. Następnie, nakarmione energią i krwią, znów podążało w górę, do obłoków. Nie było na świecie potwora bardziej plugawego niż ono.

Chmura mlasnęła i zaczęła wsysać nogi Trillego. Ledwie zdążył zerwać z siebie węża boa i odrzucić go poza zasięg chmury, żeby z jego pomocą wydostać się na twardy grunt. Dusiciel plasnął o trawę u podnóża pagórka i powrócił jak strzała. Jego długi, cętkowany ogon owinał się wokół włóczęgi, a potem z łatwością wyrwał go z podstępnej kamelity.

Miękka powierzchnia pokryła się pęcherzykami, zabulgotała obrażona, gdy wypuszczała zdobycz, a Władcy Węży zdawało się, że słyszy głębokie westchnienie z samego dna. Co to było? Czy to demon-chmura wyzionął swój kosmiczny smutek? Czy jego ofiara właśnie pożegnała się z życiem? I właśnie w tej chwili zgasło słońce. Jego promienie ślizgające się po równinie, lśniące na mętnej powierzchni Mchete, błędzące po liściach i trawie utonęły w zmierzchu nadchodzącej nocy. Horyzont zabarwił się szkarłatnie, ale tylko na moment. Potem

i on stał się szary, gdy słońce odeszło do wiecznego królestwa. Trille zamarł, z wszystkich sił starając się zdusić w sobie dotąd nieznanne uczucie dzikiej wściekłości. W oczach mu pociemniało, jak gdyby ta noc weszła w niego; żółte iskry tańczyły wszędzie, gdzie tylko skierował wzrok. Był pewien, że kamelita połknął Conana, Klemensinę i całą osadę tubylców.

Zgrzytając zębami z bezsilności, odszedł od tej smrodliwej, trzęsącej się galarety i usiadł na grzbiecie swojego dusiciela. Gady poruszały się po jego ciele, cichutko syczały, dotykały głowami i ogonami jego twarzy, lecz Trille nie zwracał na nie uwagi.

Myślał o jednym, a tak intensywnie, jakby rozwiązanie tej zagadki mogło wynieść go na imperatorski tron - jak tu wydostać towarzyszy z grzędawiska. Pytanie, czy jeszcze żyją, odrzucił od razu, bo nie znał odpowiedzi. Na czoło wystąpił mu pot od wytężania nieprzywykłego do wysiłku mózgu, serce biło nierówno, a nogi ugięły się w kolanach. Nigdy przedtem nie zdarzał mu się myśleć o innych, wszystkie zamiary, wysiłki i nadzieje kierował na jedyną istotę na świecie - na samego Trilimaniła Mangusa Parka, włóczęgę z dziada pradziada, żarłoka i złodziejaszka, którego bogowie przez nieporozumienie nagrodzili takim zadziwiającym talentem.

Władca Węży uśmiechnął się gorzko. Nagle jego rozum, przez całe dwadzieścia sześć lat zajęty jedną tylko sprawą - jak działać zręcznie i chytrze, żeby nie trzeba było płacić własną skórą - złowił w morzu myśli interesujący pomysł. A gdyby tak kazać wężom zamienić w sito plugawego kamelity? Jakby w odpowiedzi gady zgodnie zasyczały, gotowe spełnić każde życzenie swojego króla.

Otóż to! Trille, bojąc się nawet pomyśleć o możliwym fiasku takiego znakomitego pomysłu, poderwał się i gorączkowo przyjrzał ogromnej powierzchni ciała niebieskiego. Jest żywa - to zauważyłby i głupek, a do takich włóczęga siebie nie zaliczał - a to znaczy, że śmiertelna. Niech więc Nergal zabierze swoją własność z powrotem.

Władca Węży zwrócił oczy ku niebiosom, gdzie - jak przypuszczał - za pięknym księżycem w pełni chowa się przed ludzkim wzrokiem Nergal, i powtórzył ostatnią swą myśl głośno. Potem stanął na czworakach i wypiął zadek w tamtym kierunku. Wstał, dopełnił zniewagi potężnym splunięciem i bez sił usiadł na ziemi, nogą popychając dusiciela w stronę kamelity.

Długie cętkowane ciało ogromnego węża, bez namysłu właściwego człowiekowi w każdej trudnej sytuacji, pogrążyło się w smrodliwy dziwotwór. Za nim popełżyły i drobniejsze stwory, w liczbie około dwóch setek. Wszystkie kolejno znikwały w połyskującym w świetle pierwszych gwiazd kamelicie, a za nimi pojawiały się nowe, które tak samo uparcie wnikały w śmierdzącą galareta, pragnąc ją zniszczyć, chociaż nie rozumiały dlaczego.

Trille - znowu po raz pierwszy w życiu - mógł triumfować, bo oto miał przed sobą efekty własnego pomysłu. Cichy jęk, wyraźnie pochodzenia demonicznego, wydobył się z wnętrza strasznego grzędawiska, które drgnęło, zakołysało się i zaczęło kurczyć w konwulsjach, jakby miało nadzieję zmiążdżyć w swoim łonie nienawistne stwory, które z taką wściekłością szarpały jego delikatne ciało. Jęk przeszedł w krzyk - dźwięczny, prawie ludzki - krzyk przerodził się we wrzask, od którego dusza włóczęgi o mało nie zamarała z rozpaczy. Jednak nie czuł się zwycięzcą. Jego serce znów zareagowało na cierpienie, chociaż cierpiał obcy, niezrozumiały i nienawistny stwór.

Z trudem utrzymując na drżących wargach okrutny uśmiech, Władca Węży podniósł ręce dłońmi obrócone na wschód. Cała przestrzeń wokół niego natychmiast zarojła się od pstrych, wijących się wstęg. To było jego wojsko. Tylko on mógł nimi rządzić, tylko on znał jego prawdziwą siłę. Kiedy kamelita oderwał się w końcu od ziemi i jak wicher zakręcił w powietrzu, wytrząsając ze swego wnętrza mnóstwo złych, małych istot, które już zdążyły się w nim rozmnożyć, Trille z ulgą odetchnął i odwrócił się, pewny zwycięstwa.

Doskonały spokój i łagodność samej przyrody weszły do jego serca. Beznamiętnym wzrokiem rozglądał się wokół; szukał Conana, przygotowany na ujrzanie potężnego ciała

pozbawionego krwi. Nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, że samo istnienie Cymmerianina też jest w jego mocy: oto zaraz pochyli się nad nim i wdmuchnie w niego życie, a jeśli Mitra zechce, to choćby swoje własne.

Niebieskawe światło księżyca zalało okolicę. Tubyłcy, muły, koń Conana, Klemensina, sam Conan wydawali się martwi. Władca Węży wstrzymał oddech - bo mógł być potrzebny barbarzyńcy - i podszedł do leżącego przyjaciela. Jego chabrowe, szeroko otwarte oczy patrzyły na srebrny dysk księżyca, usta miał mocno zaciśnięte, brwi zmarszczone, a ramiona rozrzucone. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć: Szare Równiny już zawładnęły duszą barbarzyńcy. Śmierć, naśladowując jedyne słuszne i wieczne prawo przyrody, pokonała życie. Niestety, tak często zdarzało się to nie w porę!

Trille podniósł głowę i też wpatrzył się w obojętną, okrągłą twarz księżyca, z ciemnymi plamami jakby od trądu, które po chwili pobladły i zniknęły. Chmura zasnuła źródło światła i smutku, lecz jego blask mimo wszystko docierał na dół. Życie trwało, lecz bez Conana.

Trille przycisnął ucho do piersi przyjaciela - jego serce milczało. W napięciu wsłuchując się w pustkę, jeszcze niedawno wypełnioną czystą, silną i jasną jak pierwsza gwiazda duszą Cymmerianina, włóczęga szeptem dyktował jej rytm: tik, tik, tik... Jego palce, wczepione w kołnierz kurtki Conana, zaciskały się mocniej, kiedy wydawało mu się, że słyszy odzew serca barbarzyńcy. Wystarczyło, żeby zamilkł, a znów zapanowała cisza - absolutna, bez najsłabszego dźwięku.

Władca Węży rozejrzał się. Śmierć była wszędzie, wszędzie znajdował jej ślady. A jednak palmy stały jak przedtem, wyciągnięte niby struna, rozkładając ogromne liście. Przygniecioną mokra trawa już wyschła i podnosiła się, a po dachach przysadzistych chałup dzikusów spacerował księżyc. Boa zwinął się u nóg swojego króla i spoglądał na niego przez mętłą białą błonkę, która zasnuła mu podłużne oczy. Życie trwało i będzie trwać, lecz bez Conana.

Trille zadarł podbródek, wpatrując się w ten podły księżyc, któremu było absolutnie obojętne, czy barbarzyńca jest żywy czy martwy. Zapłakał cicho.

CZEŚĆ TRZECIA

WŁADCZYNI NIEBIOS

I. WĘDRÓWKI BOGINI LOSÓW

Zeszłej nocy wróciła do Argosu. Za nią pozostały Hyrkania, Khitaj, Iranistan, Czarne Królestwa, Stygia i Shem. W ciągu pięćdziesięciu dwóch lat obeszła cały świat, lecz jej twarz wciąż była tak samo biała, świeża i piękna. Jedyne palce, które nie wypuszczały wrzeciona, miała zdarte do krwi. Wiedziała, co to znaczy: kończy się jej czas. Już wkrótce zamiast niej przędę ludzkich losów weźmie w swoje ręce inna. W niczym nie będzie do niej podobna i oczywiście nigdy nie rozstanie się z magicznym Lalem, choćby morze łez zalało jej nogi.

Marinella wspomniała, jak sama straciła kamień. Wielki Pożar, który wybuchł na Bossońskiej Topieli, zaledwie w jeden dzień przybliżył się do Aquilonii i spalił do szczętu wszystkie wsie w okolicach Turanu. Marinella mieszkała wtedy w Kampasji, małym północnym miasteczku, u wdowy po krawcu. Nie podobało jej się tutaj: wiecznie szare niebo zasnuwane chmurami, ponure twarze wokół, niskie domy z brudnożółtego kamienia. Jej jasna dusza pragnęła słońca i radości. Gdy przędza wreszcie się skończyła, odeszła do ciepłych krajów, byleby dalej stąd.

Jednak tylko pół miesiąca spędziła w drodze. Wieść o Wielkim Pożarze dogoniła ją, gdy zbliżała się do wsi. Drogę zapełniały wozy i bryki wyładowane wszelkimi możliwymi gratami, jeźdźcy i piesi. Wszyscy uciekali przed strasznym nieszczęściem. Pięć dni i pięć nocy nie cichły krzyki i płacz, dosięgając nieba, obłoków, gwiazd, lecz nie uszu bogów - ci zachowywali milczenie.

I wtedy Bogini Losów wybrała się w podróż powrotną. Nie bała się ognia, bo czymże jest żywioł przeciw wieczności. Pragnęła pomóc. Może ktoś chory został pod gruzami albo nie ma siły uciec? Ledwo podeszła pod otwarte na oścież bramy Kampasji, gdy z nieba połała się woda.

Jednak tutaj już nie miał kto cieszyć się z długo oczekiwanego deszczu. Czarne szkielety budynków, czarne i gołe drzewa, czarna ziemia - i pustka. Żadne głosy, żadne jęki nie dochodziły ze strasznych wyrw okiennych, z piwnic, z ulic. Marinella poszła do domu wdowy po krawcu, lecz nie znalazła ani domu, ani staruszki. Pozostała ogromna wypalona plama i kupa popiołu na miejscu, gdzie rosła topola - olbrzymka, pod którą lubiła praść złote nici.

Potem ludzie wrócili do miasta. Oczekiwała wielkiej radości - przecież pożar się skończył - i była zdziwiona i zirytowana, kiedy nadal słyszała płacz, widziała smutne twarze. Płakali po swoich domach, po wąskich i krzywych uliczkach - po całym rodzinnym mieście, które zamieniło się w stertę gruzu i popiołu. Przecież byli tylko ludźmi. Gdy Marinella to zrozumiała, z uśmiechem poprzez łzy zabrała się wraz z mieszkańcami Kampasji do oczyszczania miejsc pod nowe budowle. Tylko z czego je wznosić? Od gorąca popękały kamienie, drzewa spaliły się doszczętnie.

Ciężkie dni nastały dla Aquilończyków. Król nie otworzył dla nich skarbcza. Szlachtę

dawniej też mało niepokoiły kłopoty biednych - ona odbudowała swe domy szybko i jeszcze wspanialsze, ponieważ złota nie brakło.

Bogini Losów, widząc zmartwienie jednych i radość innych, nie myślała długo. Odnalazła w szafasach niedaleko Kampasji szewca - najbardziej szanowanego człowieka w mieście - i oddała mu rubin, żeby mógł wysłać do dalekich krajów podwoły po kamień i szkło. Na jego szczęście i szczęście innych prostych ludzi, zdecydowanych odbudować swoje domy, nie było wtedy granic...

Dużo później Marinella dowiedziała się, że jej rubin tej samej nocy ukradł sługa hrabiego de Plonjo, a potem sprzedał go królowi Palandii. Dalszego losu magicznego Lala nie знаła nawet Bogini Losów.

- Marinello, przynieś wody!

Głos Shelli przerwał bieg smutnych wspomnień Bogini Losów. Wstała, z łatwością podniosła z ławy ciężki drewniany ceber i poszła do studni. W ciągu pięciu lat swojego pobytu tutaj poznała tę dziewczynę taką, jaką była w rzeczywistości, a nie taką, jaką ją widzieli inni. Kapryśne nutki w jej dźwięcznym głosiku już jej nie peszyły. Shella była bardzo dobrą i bardzo skromną istotą i dlatego z wszystkich sił chciała wydawać się złościcą.

Nic jej losu dawno już wyszła z rąk Marinelli. Wieczna Dziewica ze smutkiem zobaczyła, że dziewczynie sądzono jest kochać, a nie być kochaną. Zestarzeje się w samotności, bez bliskiego człowieka, z tęsknotą w sercu, które tak pragnęło szczęścia. Jednak Shella dziś jeszcze tego nie wiedziała, a Marinella nie zamierzała wtajemniczać jej w sekrety przyszłości.

Shella, pierwsza piękność we wsi, mieszkała w domu przy samej drodze. Właśnie ta okoliczność pozwalała jej, nieprzycuczonej do prac kobiecych, nosić ładne suknie i jeść smaczne potrawy, ponieważ goście płacili jej nadzwyczaj hojnie, szczególnie mężczyźni. Kto będzie liczył monety, kiedy w oczy patrzy mu z miłym uśmiechem taka piękność? Złe języki szeptały, że nie tylko wynajmowaniem pokoi zarabia Shella. Bogini Losów doskonale jednak wiedziała, że dumna dziewczyna czeka na pięknego rycerza. Dbą o siebie troskliwie, odganiając najbardziej nachalnych mężczyzn pogardliwym spojrzeniem.

Marinella spuściła ceber do studni i sama pochyliła się nad nią. Ile razy rozmawiała z własnym odbiciem? Ile losów powierzyła mu, ile skarg? Gdyby wyżsi nie obdarzyli jej wieczną młodością, dawno już delikatną skórę pokryłyby głębokie zmarszczki, które pojawiają się nie ze starości, lecz od łez i zmartwień.

A Shella, beztraska, miła Shella... Piękny rycerz pojawi się, gdy jej twarz zwiędnie, a oczy wyblakną. I pomyśli: „Ach, gdybym był urodził się wcześniej! Na pewno nie przepuściłbym takiej piękności!” odejdzie na zawsze, zostawiając w sercu nie gojącą się ranę...

Już dawno temu Wieczna Dziewica nauczyła się wzdychać. Wyprostowała się i ciężko westchnęła nad losem biednej Shelli. Kto powiedział, że bogowie nie umieją współczuć? Umieją nawet kochać... Marinella też doświadczyła tego dziwnego uczucia, może jako jedyna z wyższych, gdyż żyła między ludźmi. Dotąd nosiła w swoim sercu obraz niezgrabnego młodzieńca o dobrych oczach i nieśmiałym uśmiechu. O, Massimo...

Wydawało mu się wtedy, że zachowuje się śmiało i zdecydowanie... Marinella nie pragnęła przekonać go o niesłuszności tego poglądu. Wiedziała, że bohaterowie są często nieśmiali w życiu codziennym, a Massimo właśnie jest takim bohaterem. W przyszłości dowie się tego, i to nieraz... Dlaczego tak się złożyło? Dlaczego dopiero pod koniec jego życia jest im przeznaczone spotkać się znów? Będzie siwy, zgarbiony i nie od razu ją pozna... Co zdarzy się później? Marinella nie lubiła o tym myśleć. Niestety, sercu nie można nakazać, serce myślało za nią...

Łza potoczyła się po jej gładkim policzku i upadła na wysoką pierś... Nawet tego nie zauważyła, pogrążona w myślach o przeszłości i przyszłości. Twarze, twarze, twarze... Wielu pamiętała... A oni? Czy pamiętali Marinellę - cichą, ładną dziewczynę mieszkającą krótko

pośród nich?

Wieczna Dziewica znów zajrzała do studni, żeby przecząco pokręcić głową swojemu odbiciu. Wyciągnęła ceber z wodą i skierowała się ku domowi.

Samotność to jej dola. Tak było, jest i będzie. Mieszkańcy małej argoskiej wioski, widząc cudzoziemkę z wrzecionem, niezmiernie zdziwieni jej życzliwym uśmiechem, wzięli ją za wiedźmę. W długim życiu Bogini Losów zdarzały się i takie rzeczy. Nie lękała się stosu. Bała się złych krzyków i nienawiści płonącej w setkach oczu. Skąd w spokojnych wieśniakach takie zdziczenie? Marinella nie mogła sobie wyobrazić. Z pewnością nikt nie wie, jak głębokie są tajniki ludzkiej duszy, nawet bogowie.

Chociaż Shella płakała i cierpiała, bo samotności bała się bardziej niż wszystkiego na świecie, Wieczna Dziewica musiała odejść ze wsi.

Wybrała się w drogę nocą. Dla niej noc nie była gorsza od dnia, a zwierzęta - od ludzi. Żeby tylko ścieżka nie urywała się w rowie i żeby świecił księżyc. Zresztą Marinella w ciemności widziała dobrze, a księżyc był jej potrzebny jako towarzysz i przyjaciel. Gdy blado-srebrna tarcza wzniosła się nad lasem, rzeczywiście różnie było iść. Przypomniały się jej stare pieśni, w ciszy nocy brzmiące szczególnie ciepło, stare ballady o rycerzach i pastuszkach, złych magach i odważnych wojownikach oraz te sławiące cnoty władców i piętnujące podłość motłochu. Wśród tych wytworów rozumu i duszy ludzkiej były takie, które bynajmniej nie chwyciły za serce, były też niektóre nieprzyjemne, chociaż w nich też Marinella umiała znaleźć nastrój lub frazę, która potrafiła ją poruszyć samym brzmieniem.

Teraz, w nocnym lesie, najbardziej odpowiednie wydały się jej pieśni o nieszczęśliwej miłości, o samotności, o dziwnej harmonii między niebem a ziemią, które są zawsze obok siebie, a nigdy nie łączą się w jedno...

*Opadł wiąz... Ciężką kroplą gwiazda z nieba legła na mej skroni.
Gdyby wiedział, kogo wiezie w deszcz i w słońce mój mały konik.
Grzywą potrząsa chwacko na wietrze, nie zatrzymuje się wpół drogi.
Na mych barkach cały świat ogromny... Dalej nie chcą nieść go nogi.*

*Siwizna przyprószyła mi włosy, głowę wysoko w chmurach mam,
Och, gdyby wiedzieć, że żyć będziemy - wiele by człowiek za to dał.
Tyle chwil za nami ulotnych, Ziemi sięgają włosy moje.
Na co nam wieczność, na co życie w biegu? Ja jeszcze tylko konia napoję.*

Właściwie tę pieśń mogłaby ułożyć ona - Bogini Losów. Co prawda nie miała konia, lecz miała wieczność, która już dawno ją zmęczyła. Gdyby wiedziała, że jej następczyni nie wplecie swojej złości w błyszczącą złotą nić, z radością oddałyby jej wrzeciono i rozpląnęła się w otchłani światów.

I znów obraz Massima stanął jej przed oczami. Kiedy tylko myślała o końcu swojego istnienia na ziemi, zawsze przypominał się on: nie był skutkiem, a raczej przyczyną tych rozmyślań. Widziała go młodego, potężnego jak niedźwiedź i naiwnego jak dziecko - nigdy staro.

Chyba nie pamiętał jej dobrze. Zafascynowała go wtedy, ale przed nim było takie długie życie... Wieczna Dziewica wiedziała, że kochał i był kochany, że jego syn miał zostać przystojnym mężczyzną i odważnym wojownikiem, że miał stały dochód i cieszył się szacunkiem okolicznych ludzi. Wszystko utracił oprócz szacunku i dochodów. Wszystko - to znaczy miłość... Później uratował małego włóczęgę, którego los wydawał się Marinelli trochę niezwykły, zwłaszcza że chłopiec miał wielki dar zesłany z niebios. Nie reprezentował sobą niczego szczególnego, jednak w głębinach jego duszy tkwiło coś przyciągającego uwagę, coś trudnego do uchwycenia, Marinella wyczytała wtedy z nici losu Massima, że jest mu sądzone

uratować życie ulubieńcowi bogów.

Ścieżka gwałtownie skręciła w lewo, do potężnego dębu. Między jego grubymi krzywymi korzeniami rośla bujna trawa, mogąca służyć jako łoże dla zdrożonego wędrowca. Wieczna Dziewica nie czuła zmęczenia, jednak usiadła, z przyjemnością wdychając chłodny, aromatyczny zapach roślinności i kory dębowej. Wyciągnęła z torby podróżnej wrzeciono i wzięła się do pracy. Cichy szmer obok nie przstraszył jej. Ogromny biały wilk wyszedł z zarośli i patrzył na dziewczynę, dopóki w jego oczach nie zapłonął czerwony ogień. Wtedy ocknął się i umknął w głąb lasu. Potem znów zapanowała cisza. Gdyby Marinella umiała spać, przytknęłaby powieki i pogрузzyła się w przyjemnej drzemce; we śnie Massimo, piękny i młody, wprowadziłby ją do swojego domu i poprosił, by została jego żoną... Jeśli nie może to być na jawie, niech chociaż będzie we śnie.

Złote nici płynęły przez palce, pasmami ścieląc się u kolan. Jedna zerwała się od razu, po niej następna. Dobre serce Wiecznej Dziewicy drgnęło. Uleciały niezsizszalne, ale słodkie marzenia - teraz ze smutkiem wyobraziła sobie tych, czyje życie wkrótce się zakończy. Oto śpiący młodzi małżonkowie. Przez otwarte okno na ich twarze pada spokojne światło księżycy. Nie minie dziewięć dni i niespodziewany pożar pochłonie dom, będzie i ich samych...

Marinella ze zdziwieniem poczuła na policzkach łyzy, które płynęły tak łatwo, jakby była zwyczajną dziewczyną, a nie Boginią Losów. Czyżby w ciągu tych długich lat, spędzonych na ziemi między ludźmi, stała się człowiekiem?... Ta myśl okazała się nieoczekiwanie przyjemna. Marinella zaśmiała się cicho, rozbawiona swoim pomysłem, ale zaraz zmarszczyła cienkie brwi. Nie ma sensu się cieszyć. Nigdy, przenigdy nie będzie... Nie dokończyła myśli, wytarła rękawem łyzy i zabroniła sobie marzyć. Ostatecznie jest boginią, obce jej są uczucia, a tym bardziej nadzieje. Ona po prostu istnieje, to wszystko.

... I znów zerwała się nić. Teraz zdecydował się los dumnego szlachcica, który mieszkał we wspaniałym mrocznym zamku na wschodzie Argosu. Za rok zginie na polowaniu, goniąc za tłustym młodym dzikiem. Piers przebije mu strzała wypuszczona przez jego własnego syna... A wszystko przez to, że przyjdzie mu do głowy nedorzeczny pomysł - przestraszyć chłopca zza krzaków dzikim rykiem...

Mimo wszystko nie przywykła do śmierci. Niekiedy wydawało jej się, że ten świat jest urządzony w dziwny sposób. Życie i śmierć, przecząc sobie nawzajem, zawsze są obok siebie. Dokładnie jak niebo i ziemia, tylko w odróżnieniu od tych ostatnich - na jedną chwilę się stykają. Po co żyć? Czy jest miejsce na radość, gdy wkrótce droga na ziemi dobiegnie końca?

Czy jest sens znosić zgryzoty tylko po to, by oddychać, jeść, spać? O, jakże bezsensowna jest nieodwracalność końca istnienia. Marinella sercem pojmowała racjonalność i wielkie znaczenie takiego urządzenie świata, ale rozumem - nie mogła. A może odwrotnie? Może rozumem pojmowała, a sercem nie?

Zbliżał się świt. Marinella popatrzyła na czarne jeszcze niebo, które na wschodzie zaczynało jaśnieć. Wkrótce przebudzą się dźwięki, przyjdzie nowy dzień, a z nim inne wydarzenia, inne spotkania... Jak bardzo lubiła krótki w porównaniu do życia, lecz długi w stosunku do przemieszczania się myśli w przestrzeni moment między końcem nocy a początkiem dnia! Doświadczała w tym czasie najsubtelniejszych uczuć, przedranny wietrzyk nawiewał najbardziej wzruszające wspomnienia. Znowu ujrzała Massima. Jego twarz pojawiła się między liśćmi - nikogo piękniejszego Marinella nie знаła. Rozumiała oczywiście, że to tylko bezcielesny cień, stworzony przez wschodzące słońce - ale jednak z uśmiechem skinęła głową na powitanie...

Już po chwili niebo z czarnego zrobiło się różowoszare. W świetle rozplynęła się iluzoryczna twarz Massima, lecz zanim przepadła, Wieczna Dziewica zauważyła smutek w ciemnych oczach...

Ręce moje wiedzą co to jest zmęczenie,

*Nogi moje wiedzą, co to jest zmęczenie,
Lecz serce moje najlepiej wie, co to jest zmęczenie.
Promień słońca dotyka mego serca, oddając część swego ciepła,
A serce marznie.
Uśmiech dziecka dotyka mego serca, oddając część swego ciepła,
A serce marznie.
Mieszkam w dużym mieście, gdzie nikt nie zna mojego zmęczenia.*

W zamyśleniu zlizwała z palca kroplę krwi. Trzeba iść.

II. CIERPIENIA SIĘ NIE KOŃCZA

Trille omdlewał pod zachwyconymi spojrzeniami zgromadzonych. Siedział przy ognisku i jadł kuropatwę. Ruchy miał stateczne, na szczupłej twarzy zastygł smutek, a niebieskie, z natury szelmowskie oczy z filozoficzną obojętnością patrzyły w punkt ponad głowami wszystkich. Jedna okoliczność kładła się cieniem na triumfie Władcy Węży - zachowanie Conana. Pałaszował już piątego ptaszka, patrząc na włóczęgę z nieukrywaną kpina, a i Klemensina również. Trille rozumiał powód; w ogóle teraz zrozumiał wiele z tego, co przedtem było mu niedostępne - przyjaciele są mu wdzięczni za uratowanie, ale jego harda mina i wydęte policzki bawią ich niezmiernie. Na szczęście tubylcy nie byli tak wymagający.

Po napadzie podstępnej kamelity tylko czternaścioro z nich pozostało przy życiu: czterech mężczyzn, siedem kobiet i troje dzieci. Wódz stracił wszystkie swoje żony, co, naturalnie, sprzyjało jego wspaniałemu nastrojowi. W chudym, bladym włóczędzie widzieli swojego wybawcę, za co nieustannie dziękowali nie jemu, lecz ogromnemu drewnianemu bożkowi z rozwartą zębatą paszczą, przygotowaną do pochłonięcia ofiary. Gdy tylko tubylcy odzyskali przytomność, powrzucaли do paszczy zwłoki ziomków i zajęli się szykowaniem poczęstunku dla gości. Banany duszone z liśćmi paprotnika, pieczone na rożnie kuropatwy i gąsienice gotowane w mleku kokosowym - takimi naprawdę królewskimi daniami podjęli Trillego i jego przyjaciół.

O kamelicie w ogóle nie mówili. Zresztą cały słownik autochtonów składał się z trzech słów: „bab”, „matua”, „kra ru”. „Bab” znaczyło kobieta (wszystkie i każda z osobna), a „matua” - mężczyzna, zaś „kra ru” - wszystko pozostałe. Wielka sztuka porozumiewania się polegała na nadaniu głosowi odpowiedniej intonacji dla wyrażenia tego, co trzeba. Conan i Klemensina opanowali tę sztukę perfekcyjnie.

- Kra ru? - pytał uprzejmie wódz, palcem wskazując na kości.

- Ha! - odpowiadał Cymmerianin. - Jasne, że kra ru. Chociaż według mnie nie ma jak baranina.

- Matua, ooo... - włączała się do rozmowy Klemensina. - Kra ru, przysięgam na Mitrę, cudo nie kuropatwa.

Gdy Trille przekonał się, że dzikusy go nie zjedzą, gotów był odnieść się do nich przychylnie. Jednak oni woleli towarzystwo dziewczyny i barbarzyńcy. Bali się wyniosłości swego wybawcy, a poza tym brali go za niemowę. Przez cały dzień nie wypowiedział ani głoski, a to znaczyło, że jest krewnym ich idola - drewnianego bożka. W zachwycie spoglądali na Trillego przez rozcapierzone palce, jak wypada prostemu dzikusowi patrzeć na istotę wyższą, i lękliwie się do niego uśmiechali. Potem odwracali się do Conana i Klemensiny i wesoło z nimi szczebiotali. Władcę Węży bardzo obrażało takie traktowanie, więc dąsał się jeszcze

bardziej i jeszcze głośniejszą sapnął.

Przed wieczorem, kiedy tubylcy odprowadzili gości do chat i oddalili się z przyjaznymi okrzykami, Trille w końcu odetchnął swobodnie.

- Conan, powiedz - po raz pierwszy tego dnia otworzył usta nie po to, żeby wrzucić w nie kawałek mięsa - masz mój złoty medalion?

- Mam - odpowiedział Cymmerianin i wyciągnął się w hamaku.

- Gdzie on jest?

- Tutaj.

Ku niezadowoleniu Trillego Conan ani myślał pokazać mu medalionu. Szeroko ziewnął i zamknął oczy, jak gdyby nie wyspał się przez trzy dni martwej drzemki pod kamelitą.

Władca Węży odwrócił się do niego plecami, rozhuśtał swój hamak i też zamknął oczy. Chciał zapomnieć, odgonić niespokojne i niezrozumiałe odczucia. Ale sen nie przychodził. Ciche, uspokajające skrzywienie bambusowych kijów, do których był przymocowany hamak, pozornie usypiało. Jednak ledwie sen opadł na powieki, coś dosłownie podrywało Trillego.

Głęboko wzdychał i wiercił się, by ułożyć się wygodniej i mimo wszystko zasnąć. Daremnie.

Pożegnał się z nadzieją na odnalezienie spokoju we śnie. Jego myśli znów wybiegły w przyszłość. Stopniowo rozjaśniało mu się w głowie. Czuł, że jego życie jakoś się zmieniło. Na czym to polegało, tego nieprzywykły do myślenia poważnie włóczęga nie pojmował. Błąkał się jak ślepiec w ciemnościach swojego umysłu, gubił końce jednych myśli i nie mógł znaleźć początku innych. Z zachwytem dokonywał odkrycia za odkryciem, wtedy jednak zapominał, co one oznaczały, gubił się i złościł, aż w końcu odkrycie ulatniało się z pamięci. Jedyne wnioski, do którego udało mu się dojść mimo wszystkich przeszkód czynionych przez leniwy mózg, był taki: spotkanie barbarzyńcy zmieniło jego życie. W jakimś stopniu on sam stał się inny i dalej wszystko też potoczy się odmiennie. Dzisiejsza noc jest tego dowodem.

Trille uśmiechnął się. Miał świadomość, że teraz jest mężczyzną, a nie chłopcem, z pogardą wspominał swoje minione życie aż do spotkania z małpami. Nie wiedział, że prawdziwi mędrcy są przeciwni negacji własnej przeszłości i uważają to zajęcie niegodne człowieka. Ale nawet gdyby o tym wiedział, to przecież nie był mędrcem i nie miał żadnych powodów, by nim zostać. Dlatego westchnął usatysfakcjonowany swoimi rozważaniami, zamknął oczy i natychmiast zasnął. Tak oracz zasypia po długim, ciężkim dniu, bo uważa sen za prawdziwe i jedyne święto.

Obudził się przed świtem. Cichy płacz rozwiął jego słodkie marzenia jak wiatr strzępy mgły. Uniósł głowę i wpatrzył się w półmrok chaty. Płakała Klemensina.

Trille uniósł się na łokciu, wbijając roztargniony wzrok w dziewczynę. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ją pocieszyć. Spojrzał na Conana - jego hamak był pusty. Wtedy zwiesił nogi - aż wzdrygnął się, czując wilgotną polepę pod stopami - i na palcach podszedł do Klemensiny. Ciężko dysząc ze zdenerwowania, pochylił się nad nią.

- Hej, dziewczyno - wymamrotał, wstydząc się straszliwie swojego chudego i półnagięgo ciała. - Kru ru? Co ci się stało?

- Enart - chlipnęła w odpowiedzi. - Enart...

- Mm... - mruknął Trille współczująco. - Tak, to wielkie zmartwienie, po prostu przemożone... Chciałem powiedzieć przemożne. Conanowi też zdechł koń... No, no..

Innych słów pociechy nie znalazł. Znowu wpadł w rodzaj transu i spodziewał się z przyzwyczajenia, że zacznie filozofować. Jednak w głowie nic nie zaświtało. Trille wyteżał umysł, czerwieniejąc z wysiłku, jednak doskonała myśl nie przychodziła. W końcu roześmiał się i zakomunikował Klemensinie:

- Słuchaj no, dziewczyno, chcesz, to wezmę cię za żonę. Jestem mądry, szlachetnej krwi... zwróć uwagę na mój wygląd... i dobry. Crom świadkiem, tobie jest potrzebny właśnie

taki mąż jak ja.

Klemensina ze zdziwieniem popatrzyła na towarzysza, który napuszył się, zadowolony ze swojej pomysłowości.

- Nie, Trille... Jesteś za stary.

- Ja?

Takiej odpowiedzi nie oczekiwał. Owszem, nie był pierwszej młodości, ale przecież zgrzybiałem starcem trudno go nazwać! Conan na przykład ma trzydzieści jeden lat i zupełnie nie wygląda na staruszka, a Trille jest młodszy od niego o całe pięć lat...

- Coś takiego!.. - obrażony wdrapał się z powrotem na swój hamak. Dalej rozmowę prowadził już stamtąd, wysuwając tylko nos. - Obraziłaś mnie, Klemensino! Nikt nigdy mnie nie obraził tak okrutnie. - Przynajmniej w tej chwili tak mu się wydawało. - Ale ... jestem gotów ci wybaczyć, jeśli powiesz, że jestem młody i szlachetny.

- Byłabym obłudna - smutno westchnęła Klemensina.

- Dlaczego zaraz „obłudna”? - zaperzył się Władca Węży. - Chodź tutaj! No, chodź, dotknij mojego ciała. Skórę mam gładką i elastyczną, ani jednej zmarszczki nie znajdziesz! No? Co ty na to? Chodź, dotknij.

- Po co mam dotykać? - Dziewczyna chyba się rozżłościła. - To lata są świadectwem starości, ciało nie ma tu nic do rzeczy.

- Nie ma nic do rzeczy?! Starzec ma ciało zwiotczałe, a ja... i mięśnie twarde, i...

- I co jeszcze? - Conan wszedł do chaty.

- Powiedz jej, bracie! - Trille podskoczył w hamaku. - Niech podesjdzie i dotknie mojego ciała!

- Nie chcę! - powtórzyła Klemensina. - Powiedz mu, Conanie! Nie chcę go dotykać!

- No to nie dotykaj - łaskawie zezwolił barbarzyńca, wyciągając z worka pieczoną kuropatwę na zimno i wbijając w nią zęby.

Władca Węży parsknął i odwrócił się, ale apetyczny zapach ptaka zmusił go do zapomnienia na jakiś czas o obrazie. Odczekał chwilę, w której było słyhać tylko trzask delikatnych kosteczek łamanych mocnymi zębami Cymmerianina, rozmyślnie ziewnął i jakby mimochodem powiedział:

- Kuropatwę by się zjadło...

- Został tylko placek - odpowiedział Conan z pełnymi ustami. - I to kukurydziany.

- A niech cię! - Trille odwrócił się gwałtownie i wbił wściekły wzrok w barbarzyńcę. - Dobra, niech będzie placek, dawaj.

Conan wyłowił z worka duży płaski placek, przetamał go na pół i podał jeden kawałek Klemensinie, a drugi rzucił Władcy Węży. Choć mogło to wydawać się dziwne, po prawie trzydniowym odpoczynku pod kamelitą Conan znowu odzyskał dawno zapomniany dobry nastrój. Nawet myśl o Lalu Bogini Losów nie bardzo go teraz niepokoiła, a Trille, do którego przywykł, jakby mniej irytował. Wiedział, a raczej pamiętał jakimś dziesiątym czy dwudziestym zmysłem, jak uratował go ten kościsty włóczęga, jak wdmuchiwał mu w usta przez długie pół nocy swój oddech zwany życiem. Ku niemałemu zdziwieniu Conana, Władca Węży - samochwała i gaduła - do tej pory nie pisał słówkiem o zastosowanym przez niego sposobie uzdrawiania, z pewnością pozbawiającym jego samego małej części życia. Nie bez przyczyny teraz jest taki blady, nie bez przyczyny niebieskie oczy zmatowiały, a powieki obrzmiały...

- Jak myślisz, Trilimilu - nieoczekiwanie zapytał towarzysza, ponuro żującego suchy placek - koninę można jeszcze jeść?

- Tę, co leżała na ziemi obok ciebie?

- Właśnie.

- Nie wolno - autorytatywnie stwierdził Trille. - Za bardzo śmierdziała... po prostu okropnie... Przyznam się, z początku myślałem, że to ty...

- Co za dureń, do licha! Czemu miałbym śmierdzieć, kiedy jestem żywy?

- Wtedy nie wiedziałem, czy żywy - rezonował włóczęga. - A konia nie od razu zobaczyłem.

- Przeklęty kamelita - mknął Conan. - Narzeczoną moją udusił i koń zdechł...

Wszyscy troje milczeli. Każdy po swojemu przeżywał podstępność kamelity. Potem Cymmerianin odsunął zasłonę i do chaty wpadły wesole, promienie słoneczne - zwiastuny nowego dnia. W dali majaczyły sylwetki dzikusów, którzy snuli się tu i ówdzie, a za nimi palmy wyciągały szerokie liście na spotkanie słońca... Życie trwało.

Conan w milczeniu wstał, wepchnął do worka podróżnego cały ich wspólny majątek i skinął na towarzyszy, by poszli za nim.

- O, matua! Matua! Kru ru! - rozległy się powitalne i służalcze okrzyki dzikusów. - Kru ru?

- Kru ru - ponuro odpowiedział barbarzyńca. - Noc ciepła, ani deszczu, ani wiatru, czemu by nie kru ru?

- Kru ru, bab. - Klemensina obdarzyła kobiety uśmiechem, potem pomachała mężczyznom. - Matua! Kru ru!

Tylko jeden Trille zachowywał wyniosłość, chociaż wcale tego nie pragnął. Silił się na uśmiech, lecz wychodził mu jakiś grymas. Gdy Klemensina przypadkiem spojrzała na niego, ze zdumienia otworzyła szeroko oczy i pokręciła głową.

Dopiero teraz tubylcy zauważyli, że goście mają na sobie stroje podróżne i najwyraźniej zamierzają ich opuścić. Jęknęli i na znak rozpaczony zaczęli wrywać sobie włosy z głowy, ale nie za mocno. Dokładając wszelkich starań matua rzucili się szykować prowiant, a bababrały się do pleceniawianków, opanowane chwalebnażądzą ozdobięcia drogich im gości od stóp do głowy. Wódz w tym czasie zbliżył się do Cymmerianina. Bez skrzywienia wyrwał jeszcze jeden kosmyk włosów ze swojej bujnej grzywy, niedbale rzucił go na ziemię, potem przycisnął ręce do brzucha i przenikliwie zajęczał:

- Kru ru... matua... Ooo...

- Kru ru - mruknął Conan. - Masz, weź - i dał mu złoty medalion Trillego.

Władca Węży był wstrząśnięty. Zaiste, cierpienia nigdy się nie skończą! Jego znalezisko, jego skarb, barbarzyńca oddaje temu dzikusowi, tej pokrace, ludożercy, gamoniowi!

Włóczęga surowo zmarszczył brwi i zrobił krok do przodu.

- Hmm - chrząknął dwuznacznie. - Hmm...

Więcej niestety nic nie udało mu się z siebie wydobyć. Złoty medalion szczęśliwie przeszedł w ręce zachwyconego wodza, a Conan w zamian otrzymał w prezencie woreczek wypchany plackami kukurydzianymi i glinianymi naczyniami z sokiem owocowym oraz niedużą, lekką, za to mocną łódkę do pływania po Mchete. Trille był zawstydzony. Dopiero teraz zrozumiał postępowanie barbarzyńcy: wymienić nieprzydatne świecidełko najedzenie, picie i środek transportu. O, rozsądniej nie postąpiłby i sam Crom.

Pokonując wrodzoną chciwość, Władca Węży uśmiechnął się do wodza.

= Kru ru, matua = pożegnał się ochrypłym głosem. = Może kiedyś się spotkamy...

Modląc się w duchu do wszystkich bogów, żeby te słowa nie okazały się prorocze, powlókł się za Cymmerianinem, cicho płacząc po utraconym - teraz już na zawsze - medalionie. Nigdy, przenigdy nie miał takiej pięknej rzeczy. Co tu gadać! Nawet kawałek złota nie trzymał dotąd w rękach. Teraz Władcę Węży dręczyły sprzeczne uczucia. Chciwość walczyła z rozsądkiem, a złość na Conana ze szczerą przyjaźnią, jaką czuł do niego. Dwa wewnętrzne głosy, których istnienia w swoim wnętrzu włóczęga nie podejrzewał: jeden piskliwy i wstrętny, a drugi przeciwnie, niski i spokojny, kłóciły się na temat dobra i zła, przy czym obydwie wyzywały się jak pijani marynarze na okręcie. Trille był niezadowolony, ale nie mógł temu przeszkodzić.

Cierpiąc i z tego powodu ledwo ciągnąc nogi, dowlókł się do skraju osady. Nagle usłyszał rozzwierające uszy piski. Głosy wewnętrzne od razu umilkły, a ich posiadacz wzdrygnął

się i zaczął niespokojnie rozglądać w poszukiwaniu Conana, którego już zdążył zgubić.

Piszczeli tubylcy. Ogromny boa dusiciel, zwinięty w kłębek obok chaty, gdzie spał jego władca, nie zwracał zupełnie uwagi na przerażenie dwunogich ciemnoskórych istot ani na barbarzyńcę, który już wzniosł nad nim miecz. Był pogrążony w krótkim, lecz mocnym odrętwieniu...

Miecz świsnął w powietrzu i już, już spadłby na płaską głowę gada, lecz tuż przedtem silne pchnięcie przewróciło Conana na ziemię.

Natychmiast się zerwał. Jego chabrowe oczy błysnęły wściekłością, grymas złości wykrzywił rysy, miecz drgnął w silnej ręce.

Dokładnie tak samo groźnie szczerząc zęby, na szeroko rozstawionych chudych nogach stał naprzeciw barbarzyńcy Trille. Sam nie wiedział, co za siła rzuciła go na plecy Conana, ale serce tłukło mu się jeszcze ze złości i desperacji. Potrząsając pięściami, już chciał przejść do ataku, gotów bronić tego cętkowanego, nieruchomego, zdawałoby się nieżywego, monstrum - pomyłki bogów i przyrody - przed swoim najlepszym przyjacielem. W niebieskich oczach włóczęgi, stokrotnie pomniejszone, migotało słońce.

Conan opuścił miecz - chwila wściekłości minęła. Wspomnił, kogo ma przed sobą: najeżonego, drżącego Władcę Węży. Cymmerianin przeniósł wzrok na dusiciela i kiwnął głową ze zrozumieniem. Byłoby dziwne, gdyby zachował się inaczej... Poczul coś jakby szacunek do chłopaka, tak odważnie broniącego swojego poddanego, niechby nawet ohydny gada. Znów chrząknął nie wiedząc, jak wyrazić swoje myśli z powodu niedosłej bójki, i odszedł. Trille, który od razu stracił zapał do walki, powlókł się za nim.

W końcu, po załadowaniu na muła wziętego od tubylców ubożego dobytku, towarzysze ruszyli ku Mchete. Z nimi szedł niewyrośnięty dzikus, wydelegowany przez przedsiębiorczych ziomków, by zabrać muła z powrotem. Nogi grzęzły w gorącym piasku, promienie ognistego oka Mitry próbowały podpalić dżunglę.

Conan zatrzymał się na moment i przycisnął do piersi potężną pięść, aby zdusić niepojęty, dziwny i słodki, a równocześnie palący ból. Nie udało się. Jak gdyby ten promień, który błądzi po równinie bez celu, przypadkiem trafił w żywą duszę i nieoczekiwanie znalazłszy tam nieograniczoną przestrzeń, zaczął palić z całej mocy...

A przed nimi już pobłyskiwała ciemna, mętna powierzchnia wielkiej Mchete.

Klemensina związała w koński ogon długie, gęste jasnokasztanowate włosy z wybielonym przez słońce pasmem i odwróciła się do towarzyszy.

- Przejdziemy brzegiem do mierzei. Tam spuścimy łódkę na wodę. Kru ru, matua?

Dzikus energicznie potrząsnął łbem.

- Kru ru! Kru ru, bab!

- Co on mówił? - zapytał niezadowolony Trille, zmorzony upałem i najbardziej na świecie marzący o dzbanie zimnego piwa i lekkim kauczukowym hełmie turańskich najemników.

- On mówi, że właściwa Vendhia zaczyna się tam, za mierzeją.

- Jakże to szczęście... ponuro odpowiedział Władca Węży.

Z wysiłkiem uniósł głowę i popatrzył przed siebie. Wydawało się, że jest bardzo daleko do ciemnej wstęgi rzeki. Za to słońce jest blisko - tak blisko, że włosy zaczynają się tlić od jego parzących promieni... Istotnie, cierpienia nie mają końca.

- Conan... - zawołał Trille słabym głosem barbarzyńcę, który maszerował w przedzie.

- Coonan! Odchodzę...

- Dokąd? - zdziwił się Cymmerianin, odwracając się.

- Na Szare Równiny... Żegnaj, mój druhu...

III. ZAPOMNIANI PRZEZ LUDZI I BOGÓW

Drugi dzień płynęli podróżnicy po ciemnych, cuchnących wodach Mchete. Pomyślny wiatr wciąż popychał łódkę do przodu. Mijali na brzegach lasy, pustynie, zburzone i porzucone budowle. Wydawało się, że słońce nie znika za horyzontem nawet nocą, a tylko chowa się za dysk księżycy i stamtąd parzy. Trille i Klemensina nigdy przedtem nie bywali w tak gorących krajach. Męczyli się pół dnia i początek nocy. Potem Conan - jedyny, który umiał nawigować łódką za pomocą żerdzi - na chwilę zatrzymał się przy brzegu i zrobił dla całej trójki kapelusze z liści palmowych z takim szerokim rondem, że ocieniały całe ciało. Narwał też trawy, która rosła w wielkiej ilości na brzegach bagna. Jej sok miał wspaniałe właściwości gojenia oparzeń słonecznych. Teraz nieszczęsnym towarzyszom barbarzyńcy niczego nie brakowało, chyba jedynie stałego gruntu pod nogami...

Trille, który w ostatnim czasie jeszcze bardziej schudł, zmęczony upałem i przeżyтыми duchowymi cierpieniami, trochę się uspokoił i poweselał. Jego skóra, dawniej blada i niezdrówna, pokryta pryszczami, nabrała równego różowego koloru ze złocistym odcieniem opalenizny, a na policzkach - zbytek łaski - rozlał się najprawdziwszy rumieniec.

Zadowolonemu z siebie Władcy Węży roіło się, że teraz Klemensina nie wzbraniałaby się dotknąć jego ciała. Gdy jednak zwrócił się do niej z tą propozycją, otrzymał tak zdecydowaną odmowę, że wrażliwe serce zadrżało z ponizenia i tłukło się w piersi przez cały ranek. Trille nadał się, przestał rozmawiać z dziewczyną i z barbarzyńcą, który nic tu nie zawinił. A gdy wkrótce zobaczył na brzegu stado słońi, ucieszył się jak dziecko.

Conana zmęczyła huśtawka nastrojów chłopaka. On sam nigdy nie wyróżniał się równowazonym charakterem, lecz Władca Węży czasami był po prostu nie do wytrzymania. To cierpiał i płakał, to pograżał się w ponurym milczeniu, by po chwili śmiać się lub robić z siebie idiotę, nadymając policzki i z rozdrażnienia głośno sapiąc... Nieraz Cymmerianin podnosił nad jego głową karzącą rękę, ale jej nie opuszczał. W czystych niebieskich oczach Trillego pojawiało się takie zdumienie, taka żałość, że Conan spluwał do rzeki i znowu brał żerdź. Nergal za nim trafi, za tym władcą pełzających kreatur!... Czy jest mężczyzną, czy chłopcem? Conan przypuszczał, że ani jedno, ani drugie. Ot, nieporozumienie, kaprys natury, nieudany wytwór boga zmęczonego kłopotami świata. No i jak takiego uderzyć? To jakby zakłuć mieczem rannego wojownika albo... Nie, żadne inne porównanie nie przychodziło barbarzyńcy do głowy. Zresztą i tak już stracił wystarczająco dużo czasu na rozmyślanie o tym nędzniku... Conan mocno odepchnął się żerdzią od mulistego, grząskiego dna i na jakiś czas zapomniał o Trillem.

Pod koniec trzeciego dnia podróżnicy dokonali dwóch nieprzyjemnych odkryć. Po pierwsze - w całym dniu łódki pojawiły się małe, dziurki wielkości ziarnka grochu.

Ponieważ tubylcy wyposażyli ich w solidną, a co ważniejsze całą łódkę, zaczęli wpatrywać się w mętną wodę i po jakimś czasie zauważyli, że do dna przyssały się ze trzy dziesiątki paskudnych z wyglądu ryb. Cymmerianin spróbował oderwać je za pomocą żerdzi - bez skutku. Wtedy Trille i Klemensina wzięli każde po glinianym naczyniu od soku owocowego i zaczęli wybierać wodę. To zajęcie nie przynosiło ani zadowolenia, ani szczególnego pożytku.

Towarzysze barbarzyńcy podupadli na duchu, a i on sam, zdaje się, utracił ten swobodny, beztroski nastrój, który tak szczęśliwie uzyskał w osadzie dzikusów.

Po drugie - Mchete nagle rozrosła się wszere, prąd stał się rwący i wartki. Łódka podskakiwała na licznych płycznach w górę, a potem z impetem spadała do wody. Conan odrzucił niepotrzebną teraz żerdź i usiadł między Trillem a Klemensiną. Wypadało się zastanowić, jak by tu dopłynąć do brzegu i albo zdobyć nową łódkę, albo kontynuować podróż po lądzie.

Gdy łódka po raz kolejny podskoczyła i znów plasnęła o wodę, Trille pociągnął barbarzyńcę na nogawkę spodni.

- Coonan - jęknął, robiąc męczeńską minę. - Chcę na brzeg...
- Ja też - mruknął Conan nie odwracając się.
- Przysięgam na Croma, zaraz zwymiotuję...
- Nie jęcz, Trille - rzeško powiedziała Klemensina, sama ledwie powstrzymując mdłości. - Pamiętam, że w najszerszym miejscu Mchete powinna być wyspa. Myślę, że już się do niej zbliżamy.

- Wyspa? - Cymmerianin z powątpiewaniem popatrzył na dziewczynę. Czy można wierzyć książkom, z których czerpała swoją wiedzę geograficzną? Sam Conan, który w życiu nie przeczytał już nie tylko całej książki, ale nawet linijki, bardziej wierzył swoim oczom niż bajdom uczonych mężów. Jednak Klemensina kiedyś już dowiodła, że i uczeni mężowie nie zawsze się mylą. Może i tym razem okaże się, że ma rację.

- Tak było narysowane na obrazku: Mchete, wijąca się jak ogromny wąż, w jednym miejscu robi się pękata, jakby połknęła słonia. Tam jest wyspa.

- Z tubylcami? - słabym głosem zapytał Trille.

- Nie wiem. O tym w książce nic nie było.

- Pewnie z tubylcami - westchnął włóczęga, żałośnie zwieszając głowę.

Otworzył usta, żeby jak zwykle ponarzekać, ale nagle poczuł takie zmęczenie, że zrezygnował i oddał się rozmyśleniom. To zajęcie obecnie już nie na żarty go pasjonowało.

Podobało mu się nie tyle to, że myśli, i nie to co myśli, ale sam fakt, że w ogóle myśli. Jego, włóczęgę niedomytego, łotra, nieuka, który zna wszystkiego trzy litery, pociągnęło takie szlachetne zajęcie. Czuł się jak mędrzec ze świty imperatora. Duma dodała mu sił. Postanowił pozachwycać się swoją mądrą twarzą. Przechylił się przez niską burtę łódki, wpatrzył się w wodę jak w lustro i... W tej chwili lekka łódź znów podskoczyła. Klemensina ledwo zdążyła złapać niefortunnego towarzysza za spodnie i wyciągnąć z powrotem.

- O Mitro - zwróciła dziewczyna się do jasnego boga. - Ten chłopak marudzi od rana do wieczora, a teraz jeszcze zachciało mu się kąpieli w rzece, gdzie aż się roi od krokodyli. Nakaż mu siedzieć spokojnie i milczeć.

- A w dodatku ten chłopak zeżał wszystkie nasze placki - markotnie dorzucił barbarzyńca.

Trille, który istotnie zeszłej nocy potajemnie pochłonął cały zapas jedzenia, zaczerwienił się i nadaśał.

- Akurat - mruknął, patrząc z ukosa na Klemensinę. - Jakby Mitra nie miał innych spraw, tylko ciebie słuchać...

- Wyspa! - Conan już od dawna wpatrywał się w dal z takim natężeniem, że różowe i czarne iskierki migwały mu przed oczami. Zauważył na linii horyzontu czarną kropkę i jakiś czas ją obserwował. Łódka płynęła bardzo szybko i wkrótce okazało się, że to rzeczywiście była wyspa.

Trille wydał okrzyk radości i uściśnął Klemensinę z takim zapałem, że omal jej nie zepchnął do rzeki. Żelazna ręka barbarzyńcy oderwała go od dziewczyny i przygwoździła do dna. Tam skrzywdzony i zniechęcony Władca Węży spędził czas aż do szczęśliwej chwili, gdy dziób łódki dotknął w końcu piaszczystego brzegu.

Nikt nie witał tu podróżników ani przyjaznymi, ani wojennymi okrzykami. Gęste zarosła paprotnika niedaleko brzegu, dziewiczy, piękny las, pagórkowate wzniesienie - wszystko było majestatyczne i nieruchome. Czerwone promienie zachodzącego słońca powoli pełzły w dół, tonąc w zieleni i wracając stamtąd w kolorze jaskrawożółtym. Potem te same promienie rozlewały się po czarnej rzece szkarłatem, fioletem, purpurą, złotem i gładka powierzchnia zaczynała przypominać jesienny step, pokryty dywanem opadłych liści. I wszędzie cisza.

Wydawało się, że to bezludna wyspa.

Conan dał się wprowadzić w błąd tylko w pierwszej chwili. Gdy odciągnął łódkę dalej od wody, zrobił dwa kroki do przodu i zobaczył na piasku mnóstwo lekko przysypanych

wiatrem ludzkich śladów. Nie zwróciłby uwagi towarzyszy, szczególnie nerwowego Władcy Węży, na swoje odkrycie, gdyby nie zauważył czegoś dziwnego: niektóre ślady bosych stóp nie miały palców.

Zasepiony barbarzyńca przykucnął, pochylił głowę tak, że końce jego długich włosów dotknęły piasku i zaczął przyglądać się tym śladom. Kto je zostawił? Nieznane zwierzę, chory goryl, okaleczony człowiek? Odpowiedź przyszła sama, i to szybko, lecz była na tyle przerażająca, że Conan nie mógł w to uwierzyć. Obejrzał się. Tam, za plecami, wzburzona i hucząca płynęła rzeka. Głupio byłoby spuszczać w jej spienione, głębokie wody dziurawą łódkę. Chwała Mitrze, że w ogóle dotarli do wyspy, a nie zginęli w odmętach jeszcze tego dnia... Zostawało jedno wyjście: jak najszybciej zalepić dno i ruszać w drogę...

- Klemensino - mruknął barbarzyńca, nie odrywając oczu od dziwnych śladów.

Dziewczyzna podeszła.

- Czy w twoich książkach pisano coś o człowieku bez palców u nóg?

- Nie... Conan, to nie może być...

Może.

Cymmerianin chwycił Trillego, który zmierzał w zarośla paprotnika, za brzeg koszuli i popchnął go w stronę łódki. Na próżno włóczęga okazywał oburzenie i zdziwienie: Conan był tak pochłonięty swoimi myślami, że po prostu tego nie zauważył. Za to po chwili zobaczył coś innego...

Tak nim to wstrząsnęło, że zamarł na miejscu jak pogański bożek. W jego szafirowych oczach pojawił się zabobonny strach, a dolna szczęka opadła. I tylko brakowało strużki śliny spływającej z kącika ust, żeby Conan stał się podobny do wiejskiego idioty. Co prawda, była po temu przyczyna. Z zarośli patrzył na niego z przyjaznym uśmiechem trędowaty. Prawą stronę twarzy przysłaniał dłonią, żeby zbyt mocno nie przestraszyć wędrowców. Jednak wystarczyło im jedno spojrzenie na całą resztę, żeby zastygnąć na miejscu z półotwartymi ustami. Teraz przed trędowatym stały już trzy wiejskie głupki; Trille cicho pojękiwał, a ślina spływała mu z ust już nie strużkami, a burzliwym, spienionym jak Mchete potokiem.

Pierwszy opamiętał się Conan. Miał rację: ślady bez palców należały do trędowatego, a nie do dużego goryla czy innego nieznanego zwierzęcia. Gorączkowo przypominając sobie wszystko, co kiedyś słyszał o tej strasznej chorobie, Cymmerianin wyszedł naprzeciw nie szczęśnikowi i rozciągnął usta w powitalnym uśmiechu. Choć wyszedł mu z tego jakiś krzywy grymas, wyspiarz zrozumiał jego dobre zamiary. Z wdzięcznością się skłonił i gestem poprosił Conana i jego towarzyszy, by poszli za nim.

Barbarzyńca znów pomyślał brzydko o wyższych tego świata. Mitra? Nergal z nim, z tym Mitrą, - bluźnił bezwiednie Conan. Ten jasny bóg ma dość własnych trosk. Niech sobie pije słodką wodę z rzeki wieczności i tworzy z kamienia i trawy nowe kreatury do życia na ziemi. A inni...

Czarne brwi barbarzyńcy złączyły się groźnie u nasady nosa. Nie, innym bogom nie zamierza wybaczyć ich niefrasobliwości. Jakim trzeba być tępogłowym i okrutnym mieszańcem, żeby według swojego kaprysu zarządzać losem człowieka. Conan słyszał wprawdzie o Bogini Losów, lecz nie winił biednej kobiety - ona tylko przędła złote, srebrne i zwykłe nici, w żaden sposób nie mogąc zmienić tego, co zaplanowali wyżsi.

Dlaczego jeden dostaje wszystkie radości życia za darmo, a drugiemu zabierane są nawet te żałosne resztki, które posiada? Dlaczego starzec, zmęczony nie kończącym się dźwiganiem ciężarów tego świata, wegetuje beznadziejnie, a młody wojownik, pełen sił i nadziei na piękną przyszłość, ginie w pierwszym boju? Setki „dlaczego” rodziły się w głowie Cymmerianina i zostawały bez odpowiedzi. W końcu doszedł do jedyne go rozsądnego wniosku: pojmowanie grzechu przez wyższych różni się znacznie od pojmowania grzechu przez ludzi. Stąd ta sprzeczność: surowa kara za mały grzech i żadnej - za ciężką zbrodnię.

To z trudem mieściło się w głowie barbarzyńcy, więc nie starał się zrozumieć. Splunął

pogardliwie, żałując, że nie może tego uczynić w kierunku nieba. W jego serce jak kindżał wbiło się nieznanne uczucie. Conan zgrzytnął zębami. Teraz dopiero rozumiał, że to... litość. Litość pomieszana ze złością. Pierwsze z tych uczuć było właściwe istotom niższym, drugie - wyższym, czyli tym, które mieszają białe z czarnym, dobre uczynki z przestępstwami, a życie ze śmiercią...

Zmusił się do podniesienia głowy i spojrzenia na ludzi siedzących wokół nich w odległości pięciu kroków. Jedyna świeczka postawiona przed Conanem rzucała przyćmiony blask na oszpecone trądem twarze. Jednym choroba wyjadła wargi, policzki, nozdrza, drugich pozbawiła palców u nóg i u rąk, a jeszcze innych - samych nóg i rąk... Zapomniani przez bogów i ludzi dożywali, swoich lat i chyba nikogo nie winili za zgotowaną im straszną śmierć.

Wyspiarze w liczbie około czterdziestu spoglądali na gości z zachwytem. Olbrzym z brązową od słońca skórą, twardymi mięśniami, szafirowymi oczami na surowej, pokrytej bliznami twarzy i młoda, zgrabna piękność oraz chudy chłopak z kłaczkami zarostu na spiczastym podbródku byli pierwszymi, którzy odwiedzili ich wyspę w ciągu długich lat.

Oczywiście trafili tu przypadkowo, zrzędzeniem losu, ale czy znalazłby się w całym świecie człowiek, który przypląnąłby tutaj z własnej woli?

Ta wyspa była jedynym podarunkiem bogów dla nieszczęśników. Każdy, kto nie jest kulawy i ślepy, mógł przejść ją wzdłuż i wszerz przez dzień. Za to ile tactwa i zwierzyńca tu mieszkało, ile strumieni z przejrzystą wodą, ile różnorodnych ryb w tych strumieniach i w Mchete!

- Drodzy goście - uroczyste rozpoczął Sheniro, ten sam, który wyszedł do nich z zarosli paprotnika. Zamiast prawego oka w jego twarzy ziała ogromna czarna dziura, z której - barbarzyńca aż się wzdrygnął - właśnie wypelzła długa, cienka gaśienica. - Ja i... Ja i moi przyjaciele...

Nie potrafił powiedzieć więcej ani słowa; roześmiał się z zażenowaniem i zwrócił do wysokiego staruszka z siwą brodą.

- Lano, może ty?..

- No więc - Lano odwrócił się do gości - Sheniro chce powiedzieć, że dzisiaj złapaliśmy dwa młode dziki i jeśli sobie życzycie, jednego możemy wam dać...

Życzymy sobie - odpowiedział Cymmerianin, w którego żołądku od dawna panowała nieprzyjemna pustka, niczym w grobie dalekiego przodka.

Hmm... zmieształ się Lano. Tylko... musielibyście przygotować go sami... Rozumiecie, nie wszyscy z nas zarządzają, ale...

- Oczywiście - Klemensina wstała i pociągnęła za kołnierz koszuli osłupiałego z przerażenia, ale zachowującego nad podziw niewzruszony wygląd Trillego.

A Conan znów poczuł ostrze kindżału pod sercem. Po raz pierwszy w życiu pragnął uśmiechnąć się ciepło, tak jak umiała to robić Klemensina, i poklepać po ramieniu kogoś z nich, choćby Shenira albo tego gołowasa z kikutami rąk... I pewnie tak by zrobił, gdyby nie ochrypli głos z ostatniego rzędu:

- Powiedz, cudzoziemcze, czy nie nazywają cię Conanem?

- Owszem - odpowiedział zdziwiony barbarzyńca, unosząc się lekko. - A ty kim jesteś?

- Nevada Huratti z Zingary. Spotkaliśmy się w Turanie. Kiedyś służyłem jako najemnik, jak i ty... Popijałem z tobą i chłopakami w „Małej Bałamutce” i w „Bezrogim Jeleniu”... Ech, dobre to były czasy...

- Ano dobre - mruknął Conan, starając się przypomnieć sobie Nevadę Hurattiego.

- Nie znałeś mnie z imienia - pomógł mu tamten. - A twarz mam teraz... To jest, teraz w ogóle nie mam twarzy... Ale dość o tym. Powiedz, Conanie, widziałeś ostatnio swojego druha Chawrata? Pamiętam, że mieszkaliście w jednych koszarach.

- Niedawno się spotkaliśmy. Mieszka w Kuthchemesie.

- Taki wesoły i chudy jak dawniej?

- Wcale nie chudy - uśmiechnął się barbarzyńca. W końcu poczuł, że serce znów mu spokojnie bije w piersi.

- Pewnie zdrowo popiliście turańskiego czerwonego i pogadaliście o dawnych czasach?
- Nevada Huratti bezbłędnie opisał spotkanie Conana z Chawratem.

- Rozumie się! - dziarsko powiedział barbarzyńca.

Może zbyt dziarsko, ponieważ Nevada nagle umilkł, a staruszek Lano popatrzył ze zdziwieniem na gościa.

- Cicho! - krzyknął na swoich Sheniro, jakby i bez tego w lepiance nie panowała dręcząca, przykra cisza. - Opowiedz nam, Conanie, w jaki sposób znaleźliście się na Mchete? I dlaczego postanowiliście przybić do naszego brzegu?

- Łódka się przedziurawiła - wyjaśnił Cymmerianin. - A płynęliśmy do Vendhii. Muszę dotrzeć do Królestwa Mandchattu...

- Mandchattu? Po co? Bywałem tam z dziesięć lat temu i mogę z pełnym przekonaniem ci powiedzieć, przyjacielu, że jest to miejsce obrzydliwe i przenudne! Zapytaj choćby Hanimedesa...

- Wiem - machnął ręką Conan. - Jednak właśnie tam mieszka taki jeden, co go szukam.

- Któż to jest?

- Karmashan - nieoczekiwanie dla siebie samego mruknął barbarzyńca. Do tej pory nie wyjawiał celu podróży ani Trillemu, ani Klemensinie, a tu nagle przyznał się zupełnie nieznanym ludziom i nawet nie ugryzł się w język.

- Karmashan!?! - chórem krzyknęli Sheniro i Nevada. Pozostali też się ożywili i zaczęli mówić, przerywając sobie nawzajem. Było jasne, że wielu z nich to imię nie jest obce.

Conan sam nie wiedział, dlaczego szuka Karmashana. Od początku poszukiwał przecież Leonardasa, bo na razie nie było dowodów, że to on jest słynnym vendhyjskim rozbójnikiem. Widać ta potyczka w oberży na przedgórzu zostawiła w jego sercu nie gojącą się ranę. Doskonale pamiętał, że gdyby nie Władca Węży, wszystko mogło zakończyć się dla nich Szarymi Równinami. I choć właśnie to spotkało bandytów, to jednak sam Karmashan zdołał uciec...

- Tak, Karmashan - powtórzył. - Co o nim wiecie?

- Ja wiem - do przodu wystąpił gołowąs z kikutami rąk. - Urodziłem się i mieszkałem w Mandchattu i tego mieszańca Karmashana widziałem nieraz. Jest długi i chudy, ma ciemne włosy i jasne oczy, charakter zmienny i okrutny, a taki przebiegły, że każdego owinie wokół palca.

- W dodatku lubi udawać kogoś innego, - zahuczał potężny mąż z twarzą wyjedzoną przez trąd. - Spotykałem go w Brythunii i mogę powiedzieć, że jest stuprocentowym komediantem: stroi miny nie gorzej od małpy, a łże niczym dworacy imperatora.

- Ma brata w Ophirze! - rzekł Sheniro.

- Gdzie? W Ophirze? - drgnął Conan. - A jak się nazywa ten jego brat?

- Nie wiem...

- Ja wiem - znów podniósł się gołowąs. - Nawet wdziałem tego brata. Szczerze mówiąc, nie jest łatwo odróżnić go od samego Karmashana. Tak samo długi i chudy, z ciemnymi włosami i jasnymi oczami...

- O, Cromie! Ale jak ma na imię? - Conan stracił cierpliwość.

- Coś jakby... Lidas?.. Lenas?.. Ach, tak, Leonardas!

IV. HISTORIA HANIMEDESA

Kiedy gołowąs wymówił to imię, w chabrowych oczach Cymmerianina zapłonął ogień właściwy każdemu myśliwemu w chwili spotkania z gonionym zwierzęciem. I chociaż zwierzęcia w pobliżu nie było, Conan dosłownie czuł jego oddech - ciężki, urywany, widział jego spojrzenie - złe, przepełnione nienawiścią do prześladowcy.

Wyspiarze, przed którymi nic nie mogło się ukryć, ponieważ gość ich nadzwyczaj zainteresował, zauważyli ten płomień w jego oczach. Sheniro nerwowo odwrócił się do gołowąsa:

- Hanimesesie, opowiedz lepiej Conanowi wszystko, co wiesz o Karmashanie i jego bracie. Opowiedz swoją historię, niczego nie ukrywaj.

- Opowiedz, Hanimesesie - poparł prośbę staruszek Lano. - Tak jak mnie opowiadałeś tego dnia, gdy przywieźli cię tutaj turańscy żołnierze.

Gołowąs milczał; najwyraźniej nie miał ochoty wracać do swojej smutnej historii. Spojrzał na barbarzyńcę, który nie spuszczał z niego oczu, gotów słuchać; w końcu z westchnieniem usiadł na polepie lepianki, gestem zapraszając pozostałych, by uczynili to samo.

Wszyscy usiedli, jak poprzednio zachowując między sobą a gościem znaczną odległość. I świeca paliła się jak przedtem, rzucając na twarze trędowatych przyćmiony blask. Chyba dlatego Conan widział niewyraźnie, jak w półśnie, subtelne, piękne rysy Hanimesesa.

- Mówiłem już - zaczął chłopiec, kierując swoje słowa do gościa - że urodziłem się i mieszkałem w Mandchattu. Tak nazywa się małe królestwo na wschodzie Vendhii, gdzie żyją Vendhyjczycy, Khitajczycy, Aquilończycy, Turańczycy i wiele innych narodowości, bo Mandchattu jest czymś w rodzaju naszej wyspy. Przybywają tam wszyscy, którzy nie znaleźli zrozumienia w swojej ojczyźnie lub uciekli od sędziów i katów; tam się osiedlają, tam zakładają rodziny, żyją do starości i umierają. Zwyczajne życie zwyczajnych ludzi. Co mogę powiedzieć o mieszkańcach Mandchattu? Nic dobrego. Myślę, że jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie dobrych ludzi znajdzie się po tysiącokrotnie mniej niż złych. Kult obmierzłego bożka Baka jest tego przykładem. Dziwna sprawa: ziemia, która znajduje się pod opieką takiego jasnego i mądrego boga jak Mitra, dopuszcza obecność takich mieszkańców... A ludzie? Czy warto mówić poważnie o rozwiązłych prawa Baka?

Conan cierpliwie słuchał Hanimesesa, którego porwały rozmyślenia o własnym kraju do tego stopnia, że całkowicie zapomniał o właściwym temacie opowieści. Ostatecznie w takim potoku słów zawsze można znaleźć coś przydatnego...

- Jestem Nemedycykiem - ciągnął tymczasem Hanimeses. - i Nemedię mimo wszystko uważam za swoją ojczyznę. Chociaż jakie to teraz ma znaczenie? Skąd pochodzi Karma-shan, nie wiem. Z wyglądu może być równie dobrze Nemedycykiem jak i Ophircykiem czy Aquilończykiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Teraz opowiem, w jaki sposób go poznałem. Miałem wtedy trzynaście lat. Jeśli myślisz, Conanie, że teraz mam szesnaście Conan właśnie tak myślał to muszę ci powiedzieć, że się mylisz. Mam dwadzieścia trzy lata, a moja twarz to jedyne, co bogowie zostawili mi z minionego życia... Jak gdyby na pamiątkę tego, jakim byłem...

W wieku trzynastu lat zostałem sierotą. Moi rodzice umarli jedno po drugim. Innych krewnych nie miałem i dlatego znalazłem się na ulicy, bo dom trzeba było sprzedać, by spłacić długi. W Mandchattu jest takie prawo, że jeśli nie odda się długu na czas, to zabierają wszystko, co się ma, wszystko, nawet jeśli wartość tego jest o wiele większa niż dług. Jeśli jest się nędzarzem, to zakończy się życie w lochu. Bak głosi, że to jest sprawiedliwe, a ja uważam, że Bak jest mieszkańcem i... Widzisz, tyle lat minęło, a ja ciągle się denerwuję na wspomnienie dziwnych, głupich i okrutnych porządków Mandchattu.

- Daj spokój Mandchattu, Hanimesesie! - nerwowo wykrzyknął Sheniro. - Mów o Karmashanie.

- Właśnie zamierzałem... W tym czasie był on już znany jako rozbójnik, także poza granicami Vendhii. Raz widziano go w górach z szajką takich samych jak on łotrów, to znów na pirackim statku albo w ciemnych miejskich zaułkach... Trudno powiedzieć, czy to prawda, czy nie. Sam widziałem go tylko w Mandchattu i odniosłem wrażenie, że jest zupełnym krety-nem. Fizjonomię miał zawsze wykrzywioną, oczy rzadko zatrzymywały się na czymś lub na kimś na dłuższy czas, lecz jeśli się zatrzymały... O, to było spojrzenie boa dusiciela, kobry albo innej gadziny.

Postępował na pozór całkiem lekkomyślnie. Jak się potem okazało, niczego nie robił ot tak sobie, a wszystko dla korzyści, własnej oczywiście. Nocami przebierał się za kobietę, nasadzał sztuczne włosy na głowę i wychodził. Kręcąc biodrami szedł do jednego z tajemnych wesołych przybytków, gdzie oddawał się uciechom i rozpuście. Zdarzało się, że potem po mieście chodziły słuchy o uduszonych, zarżniętych lub otrutych, na ogół właśnie w tym miej-scu, gdzie spędził noc. Ja sam kilka razy siedziałem z nim przy jednym stole... Conanie, widziałeś go przedtem?

- Nigdy - barbarzyńca pokręcił głową.

- Ale go szukasz. To znaczy, że powinno cię zainteresować moje opowiadanie o jego wyglądzie i zachowaniu. Miał dziwne przyzwyczajenia; słyszałem, że nie potrafił się ich poz-być. Czasami w najmniej odpowiednim momencie wybuchał obłąkańczym chichotem, drżał, rzeził, ślina mu ciekła, po czym nagle milkł i znów był wesoły i miły. Przyznam się, że prze-chodziły mnie ciarki przy pierwszych dźwiękach tego chichotu... A i pozostałych, jak zauwa-żyłem, również... Pewnego razu przypadkowo stałem się świadkiem zbrodni dokonanej przez Karmashana.

- Poczekaj, Hanimesesie - staruszek Lano uśmiechnął się do Conana, jakby prosząc o wybaczenie, że przerywa interesującą gościa narrację. - My wiemy, ale nasz przyjaciel jeszcze nie, w jaki sposób trafiłeś do otoczenia tego rozbójnika.

- Ach, prawda. To było całkiem proste. Gdy moi rodzice przenieśli się do innego świata, zamieszkałem na ulicy. Samotny chłopiec ma trzy sposoby, żeby przeżyć: pracować, kraść lub znaleźć sobie bogatego protektora. Z żalem stwierdzam, Conanie, że mój wygląd przyspa-rzał mi wtedy wiele kłopotów. Mężczyźni różnych stanów i w różnym wieku kręcili się wokół mnie, wabili pieniędzmi i ładnymi strojami. Jednak wstrętne mi było to zajęcie, dlatego ten ostatni sposób na przeżycie odrzuciłem od razu.

Jeśli chodzi o pierwszy sposób, to w Mandchattu i dla dorosłego nie było pracy, a co tu mówić o chłopcu... Wykonywałem różne drobne czynności z polecenia kupców na bazarze, otrzymując jako zapłatę kawałek chleba, szturchańca albo miedziaka, przy czym miedziaka najrzadziej... Oczywiście głodowałem. I oto pewnego pięknego dnia... teraz wiem, że nie taki znów był piękny... udało mi się ściągnąć sakwę z pasa pewnego bogacza, który przyszedł na bazar w poszukiwaniu skóry węża na suknię dla córki. Cały miesiąc jadłem za te pienią-dze, dokarmiając innych chłopców z ulicy. A potem beztróskie życie skończyło się i znów znalazłem się na bazarze... Krótko mówiąc, wybrałem drugi sposób na przeżycie, czyli za-cząłem kraść.

W Mandchattu w tym czasie nie było ani jednego złodzieja czy bandyty, który unik-nąłby spotkania z Karmashanem. Tak stało się i ze mną. Kiedyś miałem przygodę. Ledwo wsunąłem rękę do kieszeni, cudzej oczywiście, a już człowiek w białej kurtce z czerwonymi kwadratami strażnika miejskiego złapał mnie za kołnierz i powłókł... Myślałem, że do lochu, lecz było jeszcze gorzej... Mniemany strażnik był w szajce Karmashana i zaciągnął mnie do niego.

Dalej następują dosyć nudne szczegóły. Powiem tylko, że przez jakiś czas w dalszym ciągu kradłem, ale teraz dzieliłem zdobycz na dwie nierówne części. Jak się domyślasz, mniejsza przypadła mi, a większa - jemu. To jest dopiero prawo!

Wróć do zabójstwa. Już prawie rok służyłem Karmashanowi. Raz kazał mi wyśledzić

przyjeźdnego kupca, kiedy indziej przekazać jego zarządzenia bandzie rozbójników z przedmieścia. I on, i oni usilnie starali się robić wrażenie, że nie mają ze sobą powiązań. W rzeczywistości mieli, i to bezpośrednio - Karmashan był ich hersztem. Od niego otrzymywali rozkazy, jemu przypadała lwia część łupów i tak dalej.

Niekiedy brał mnie i innych powierników na nocne zabawy, które urządzały dla niego tajemne domy uciech. Nawet teraz czuję obrzydzenie, gdy wspominam te hulanki, zadziwiające, lecz wstrętne ze względu na rozwiązłość. Na nich Karmashan tańczył i śpiewał, i zachowywał się jak niespełna rozumu: ordynarnie zaczepiał mężczyzn i kobiety, pił na umór... Wiesz, słyszałem kiedyś, że człowiek udający wariata koniec końców nim się staje.

Wydaje mi się, że w przypadku Karmashana to się sprawdziło. Nie będę mówić o tym, jak polewał winem głowy swoich towarzyszy bandyckiego fachu, jak rzucał w nich i w kupione na tę noc dziewczki i chłopców ogryzionymi kośćmi, jak... Nie, nie chcę wspominać.

To, co jednak powiem, wydarzyło się w jedną z takich nocy. Z początku niczym nie różniła się od poprzednich: pili, krzyczeli, bili się i nurzali w rozpuście. To ich zwyczajny sposób spędzania czasu. A w środku nocy Karmashanowi nagle - bo rzadko tym się zajmował - przyszło do głowy zagrać w kości. Džantra, jego bliski przyjaciel ... niezręcznie mi używać tego słowa w stosunku do dwóch mieszańców, ale innego teraz nie znajduję... więc ten Džantra, jednooki bandyta ogromnego wzrostu, był przywiązany do Karmashana jak bezdomny pies do człowieka, który przygarnął go z ulicy. On akurat lubił grać w kości, więc chętnie usiadł do stołu. Pozostali gracze też byli z tej szajki.

Zaczęła się gra. Dopóki pili vendhyjskie białe, straszną truciznę, wygrywał Karmashan. Potem szczęście przeszło do innego gracza, potem do Džantry i wróciło do Karmashana...

Jak wszystko potoczyło się dalej - nie widziałem, ale wiem, że Džantra wygrał o pięć sztuk złota więcej niż jego przyjaciel Karmashan.

Ani jeden, ani drugi, choć okropnie skąpi w normalnym życiu, nie żałowali pieniędzy na nocne zabawy. Pożartowali, że wygrany nie zdobył wielkiego majątku i przepuścili wszystko do ostatniej monety na wino i dziewczki. Wtedy wcisnąłem się w kąt i dalej obserwowałem zdarzenia. Dopóki Karmashan grał w kości, hałas w sali nie był większy od tego na bazarze z rana. Kiedy zaś skończyli i zwalili się na ławę, podniósł się taki harmider, że, zdawało się, głowa mi pęknie nie na dwie, a na cztery części. Karmashan i Džantra, objęci, skakali po stołach, kopali butelki i półmiski, pluli na głowy gości i głośno psuli powietrze. Potem Karmashan, odepchnąwszy Džantrę, spadł jak sęp na osiłka w średnim wieku i... fuj, nie mam ochoty na opisywanie tej sceny.

Hulanka zakończyła się dopiero przed świtem. Powietrze w sali było ciężkie. Wszędzie widziałem blade twarze z sińcami pod oczami. Chyba usnąłem. Wkrótce ocknąłem się i ucieszyłem, że nikt mnie nie zauważył w tym ciemnym kącie. Hałas prawie ucichł. Senne pokrzykiwania tych, którzy jeszcze trzymali się na nogach, mieszały się z chrapaniem śpiących. Tylko Karmashan był zupełnie rzeński i rozglądał się wokół z niecnymi zamiarami. Przeszedł się po sali, zaglądnąc w pijane pyski śpiących kumpli, pogrzebał w ich kieszeniach i sakwach. Później podszedł do Džantry, który spał z głową na stole, wyciągnął zza cholewy kindżał i spokojniutko wbił mu go w szyję aż po samą rękę. Džantra umarł od razu. A Karmashan ohydnie zachichotał, zliznął z ostrza krew swojego przyjaciela, wzruszył ramionami i wyniósł się z sali.

Nikomui nie mówiłem o tym, czego byłem świadkiem, bo i mnie czekałby taki koniec.

Rano zakomunikowano Karmashanowi o śmierci Džantry i sam na własne oczy widziałem, jak smucił się, jak płakał i zgodnie z tradycją rwał włosy z uszu i z nozdrzy. Takiej obłudy się nie spodziewałem...

Niedługo potem zniknął. Mówiono, że on i jego bandyci napadali na karawany idące do Khitaju i wracające stamtąd. Pewnego razu natknęli się na oddział straży i zostali rozbici w pył. Powiadali, że sam Karmashan trafił do więzienia. Wiesz, Conanie, jakie są więzienia w

Khitaju? Głębokie lochy pełne odpadków i pełzających w nich jadowitych owadów i węży. Słyszałem, że człowiek i ćwierci roku tam nie wytrzyma - umiera w strasznych mękach.

W tym czasie ani Karmashan, ani jego los nie obchodziły mnie, bo znów stałem się nędzarzem, samotnym i nikomu niepotrzebnym. Trąd już mnie dopadł. Ponoć złapałem go od jednej cudzoziemki... Nie pamiętam. Byłem pijany, ale chyba wyczuwałem pod palcami nierówności i wilgotność jej skóry... Zresztą teraz to nie interesuje już ani ciebie, ani mnie.

Kraść nie mogłem. Ręce, choć jeszcze je miałem, nie słuchały mnie. Mieszkałem w kanale i żywiłem się tym, co przynosili dawni znajomi - złodzieje. Często zapominali o mnie na trzy, cztery czy pięć dni - wtedy nic nie jadłem. Och, wybacz mi, przyjacielu... Na co ci moja historia? Nawet dla mnie brzmi jak cudza... Od tej pory nie spotykałem Karmashana.

Za to jego brat, chyba bliźniak Leonardas, pojawiał się w naszych stronach. Przyprawiali go do mojego kanału, żeby ucieszył oczy ułomnością tego, który kiedyś przestawał z jego braciszkiem. Odnosiłem wrażenie, że rozkoszuje się moim straszonym wyglądem, moimi gnijącymi rękami...

Był niezwykle podobny do Karmashana zewnątrz i wewnątrz, stroił takie same wstrętne miny, ale gorąco brata nienawidził. Sam nie słyszałem, ale chłopcy mówili, że wylewał kubły pomoy na jego głowę. Przeklinał jego rozwiązłość i beztroskę, jego krwiożercze skłonności, jego tępotę, przez którą wypuścili z rąk jakąś bezcenną rzecz, i tak dalej. Potem wszelki słuch o nim zaginał.

No, a ja... Pewnej nocy wydostałem się z kanału i opuściłem Mandchattu. Siedem miesięcy szedłem do Turanu, a tam... Tam pojмали mnie turańscy żołnierze. Nie dotykali, po prostu narzucili na mnie siatkę, cisnęli na furmankę i powieźli nad Mchete. Potem łodzią tutaj, na wyspę. Teraz to jest mój dom, moja ojczyzna, moje ostatnie i najbardziej ulubione przytulisko. Nikt i nigdy nie odnosił się do mnie tak dobrze. Lubię tych ludzi, chociaż niektórzy są jeszcze szpetniejsi ode mnie. Jednak najważniejsze, i dzięki za to dobrym bogom, mają dobre serca. A na ich urodę gwizdzą. To co, że Sheniro ma dziurę zamiast oka - lubię go takiego właśnie. Myślę, że na Szarych Równinach wszyscy będziemy jednakowi, ale Shenira zawsze poznam po jego gorącym i czystym sercu. Tak jak i was, koledzy...

Hanimedes zakończył swoje opowiadanie nieoczekiwanym panegirykiem na cześć swoich towarzyszy niedoli. Oczy mu zwilgotniały i pozostałym również.

Tylko Conan posepnie milczał, w głębi duszy dumny z tego, że nie umie płakać. Słowa Hanimesesa dotknęły go do żywego. Ból tych ludzi odezwał się w jego sercu jak własny. Znów w myślach obrzucił bogów wszystkimi znanymi sobie obelgami (a było ich całkiem dużo i zajęło mu to masę czasu), szczerze życząc im, by choć przez kilka chwil poczuli męki trędowatych. I zaraz po tym zaczął rozmyślać o Karmashanie. Jak zorientować się w tym wszystkim? Co jest prawdą? Jak odnaleźć Lala Bogini Losów?

Cel i kierunek jego podróży pozostały nie zmienione. W opowiadaniu Hanimesesa cenne były tylko dwie informacje, które mogły pomóc w poszukiwaniach albo je utrudnić. Pierwsza to fakt, że Karmashan i Leonardas to najpewniej dwie różne osoby, jak twierdzili Serwus Narot i jego przyjaciele. Dzięki drugiej wiedział już, jak wygląda jeden i drugi, bo według chłopca wcale się nie różnili, a Karmashana przecież sam widział.

Mimo wszystko Conan odczuwał chęć identyfikacji obu bandytów. Uwierzyłby, że są braćmi - lub pomiotem Nergala - dopiero wtedy, gdyby postawił ich obok siebie. Postarał się dobrze przypomnieć sobie herszta bandytów, z którym bił się w oberży u wrednego staruszka. Długi, chudy, brodaty... kolor oczu? Raczej jasny, ale w ferworze walki u niektórych oczy jaśnieją od zimnej wściekłości. Kolor włosów? Jakiś bury, z pewnością nie jasny... A przez to, że miał brodę, nie można było dojrzeć rysów twarzy, zresztą wtedy wydawało się to barbarzyńcy nieistotne...

Ze złości na samego siebie potrząsnął głową, nie zwracając uwagi na to, że trędowaci od dawna przyglądają się mu w milczeniu, nie przeszkadzając w rozmyślaniach i cierpliwie

czekając, aż się odezwie. Jednak los sprawił inaczej. Po wzruszającym monologu Hanimesesa jako pierwszy wcale nie odezwał się Conan. Akurat w czasie jego refleksji drzwi lepianki otworzyły się i na progu stanął zarumieniony Trille. Uśmiechał się i bez lęku patrzył na trędowatych.

- Conan! - powiedział, podnosząc brwi. - Czy nie zechciałbyś... hmm... Czy nie zechciałbyś skosztować...

- Czego? - ponuro mruknął barbarzyńca, wciąż jeszcze zajęty w myślach poszukiwaniem Karmashana.

- Pieczonego wieprzka! - krzyknął Władca Węży dumny z siebie. Pewnie pierwszy raz w życiu piekł swojego własnego, nie ukradzionego, lecz podarowanego mu przez przyjaciół dzika. Sam go patroszył, sam nacierał ziołami, nadziewał na rożen... Oczekiwał żywej reakcji ze strony Conana na takie zaproszenie i był pewny, że zasłużył na to.

- Wieprzka? - ospale powtórzył pytanie Cymmerianin. - No cóż, można spróbować.

V. PODRÓŻ TRWA

W ostatnim czasie coraz częściej wspominała Massima - młodego, starego, bez różnicy. To wydawało jej się dziwne. Nić jego losu krzyżowała się z jej nicią dwukrotnie, ale to oznaczało spotkanie, które już miało miejsce wiele lat temu, i drugie, które nastąpi w najbliższej przyszłości. Dlaczego więc pamięć zachowuje jego obraz, wskrzesza go z taką zadziwiającą wytrwałością? Dlaczego serce wtedy słodko zamiera i głębokie westchnienie rodzi się w piersi?

Marinella oczywiście znała odpowiedź. Jeśli to rzeczywiście było to, o czym myślała, a mianowicie miłość (to słowo wymawiała w myśli we wszystkich językach), to w takim razie może uważać siebie za człowieka bez cienia wątpliwości. Wbrew oczekiwaniom ta myśl nie przeraziła jej i nie zawstydziła. Przypuśćmy, że wyżsi stworzyli ją boginią. Jednak na tym świecie istnieje coś mądrzejszego i potężniejszego od nich i nie oni są tego twórcami. Przeciwnie - to właśnie stworzyło ich. O ile wiedziała Wieczna Dziewica, nazywa się to życiem i zawiera w sobie wszystko... po prostu wszystko. Od kiedy powstała, od razu uchwyciła rytm życia i stopiła się z nim duszą. Teraz nie wyżsi ją osądzają, a samo życie. Jeśli ono chciało, żeby Marinella stała się człowiekiem, to nikt nie może i nie śmie sprzeciwiać się jego życzeniu.

Tak sobie tłumaczyła, z każdą nową myślą czując, jak wątpliwy jest jej śmiały wniosek. Prawda potrzebowała innego wyjaśnienia. Jeżeli takie w ogóle istniało, należało je znaleźć. I znalazło się. Zaledwie jedno, za to jakie ważne, jakie przekonujące i w istocie bezsporne - za człowieka może być uważany tylko ten, kto jest zrodzony z człowieka, nie inaczej.

Marinella sposepniała, ale zaczęła się pocieszać: czy naprawdę musi być śmiertelna? Co przeszkadza jej - bogini - kochać?

Wieczna Dziewica znów poweselała. Jej myśl podążała tym samym torem, ale jakieś przecucie zatrzymało jej bieg. A co, gdyby pomyślała, że Massimo jest stary, a ona młoda, że nie ma dla nich dwojga przyszłości, że po drugim spotkaniu ich drogi rozejdą się już na zawsze: jego, żeby wkrótce osiągnąć kres, jej - żeby kontynuować wyznaczoną przez wyższych pracę. O tym wszystkim Marinella już nie myślała.

Wiatr zakotłosał gałęziami drzew. Promień zachodzącego słońca prześliznął się między liśćmi i pieszczotliwie dotknął jej rzes. Pora ruszać w drogę. Wstała, schowała wrzeczono do torby, zarzuciła ją sobie na ramię i poszła. Ziemia, w lesie zawsze chłodna, przed nocą cał-

kiem ostygła, ale bosa stopy Marinelli czuły jej wewnętrzne ciepło, które, niby złożone rudy, zachowało się pod górną warstwą. Po kilku krokach usłyszała puls ziemi. Był taki sam jak jej własny, a jej plus miał rytm pulsu samego życia. To znaczyło, że życie, ziemia i ona - Bogini Losów - stanowią jedno. Dziwne? Być może, ale nie bardziej niż obraz Massima w jej pamięci.

W zamyśleniu nie zauważyła kamienia, który leżał na ścieżce. Uderzyła o niego palcami prawej stopy. Ostry ból przeszył całe ciało i wkrótce dotarł do serca. Wieczna Dziewica zatrzymała się. Jak to możliwe? Czy ona - istota nieśmiertelna - może czuć ból? Czy może płakać? Nie znajdując odpowiedzi na te pytania, Marinella ruszyła w dalszą drogę. Powoli się ściemniało. Czy ktokolwiek na tym świecie wie, którą z kolei jest obecna noc? Ona nie wiedziała. I Massimo nie wiedział. Tylko czy musieli o tym wiedzieć?..

Rano wyspiarze wyszli odprowadzić gości. Wtedy przy jasnym słonecznym świetle Conan po raz pierwszy przyjrzał się Nevidzie Hurattiemu. Chłopak był w bardzo złym stanie. Nie tylko twarz, ale całe ciało miał zjedzone przez trąd, a do tego lewą stronę sparaliżowaną. Poruszał się z ogromnym trudem, używając grubej sękatej laski. Tylko głos pozostał nie zmieniony: silny, ochryply bas, przypominający górskie echo huku piorunów.

- Hej, Tekko, Hochor, Amatino! - zagrzemiał, posuwając się przed wszystkimi. - Tam, przy wschodnim cyplu jest przycumowana łódka... Przeciągnijcie ją tutaj.

- Dobrze mówisz, Nevida - pochwalił staruszek Lano. - Nam już nie przyda się na nic, a oni potrzebują jej jak powietrza.

- Szczera prawda, przysięgam na Croma! - Po wczorajszym sycącym posiłku wieczornym i dobrym śnie Conan wyraźnie poweselał. Już nie wstrząsała nim tak szpetota trądowatych - raczej przestał ją zauważać. Oni byli ludźmi, po prostu ludźmi, więc dlaczego wytrzeszczać na nich oczy i szlochać z litości? Życie jest życiem. Filozofia barbarzyńcy polegała na tym, żeby nie narzucać nikomu swoich myśli i uczuć. Zeszłego wieczoru omal nie zdradził samego siebie. Jasny Mitra świadkiem, że dzisiaj żałowałby tego.

- A ja przysięgam na Croma - ni stąd, ni zowąd odezwał się niespokojny Władca Węży - że nigdy nie zapomnę tego wieprzka!

- A pewnie, żeżarłeś przecież dobre trzy ćwierci... - zakpił sobie Conan.

- Ja? Raptem uszczknąłem po kawałeczku ze dwa razy.

Conan uśmiechnął się zjadliwie i chciał dodać. „I sto dwadzieścia dwa na dokładkę”, lecz właśnie ukazali się ludzie, którzy nieśli łódkę i pierwsze słowo uwięzło barbarzyńcy w gardle.

Łódź, którą przeznaczono dla nich, okazała się wspaniała - piękna, mocna, po prostu jak mały statek. O takiej można było tylko marzyć. Teraz podróżnikom niestraszne sztormy i prąd zmiennej Mchete... Conan zupełnie zapomniał o sporze z żarłocznym Władcą Węży i zwawo podszedł do łódki. Z przyjemnym uczuciem właściciela oglądał swój skarb. Obmacał jej wypukłe boki, obejrzał dno i ze znanostwem uderzył nim w wodę - tak nabywca sprawdza na bazarze konia, zanim za niego zapłaci. Gdyby łódź miała zęby, Conan bez wątpienia by w nie zajrzał. W tej chwili to drewniane cudo było dla niego tak samo żywe jak Trille, Klemensina, on sam i wszyscy ich otaczający. Ze szczególnym zadowoleniem zobaczył na dnie pakowny worek wypchany jedzeniem. Obok leżały dwie pary całkiem nowych spodni, dwa kindżały w skórzanych pochwach, sztaba złota, zapasowe wiosła i mały, pękaty antałek z piwem. Takie bogactwo mogło umożliwić podróżnikom długie i bezpieczne pływanie.

Conan wyszedł z łódki i odwrócił się do wyspiarzy. Z jego oczu mogli wyczytać to, czego chyba nie odważyłby się powiedzieć głośno. Czterdzieści uśmiechów było odpowiedzią.

Nie mniej niż Cymmerianin byli wzruszeni dobrocią tych nieszczęśliwych ludzi jego towarzysze. Trille zapłakał jak dziecko, a Klemensina zdjęła cienki złoty łańcuszek kunszto-

wnej roboty, podeszła do pięknego Hanimesesa i zawiesiła mu go na szyi. Gołowąs cofnął się, lecz Sheniro z uśmiechem powiedział:

- Nie bój się, Hanimesesie, ty nie zarazasz. Masz inną postać trądu, to całkiem odmienny przypadek. Ja... - uśmiech znikł z jego warg i, przysłaniając dłonią prawą stronę twarzy, odszedł i stanął za plecami staruszka Lano.

- Zaczekaj, Klemensino - mruknął barbarzyńca odwracając wzrok i sięgając ręką do kieszeni.

Ku całkowitemu zdumieniu i oburzeniu Władcy Węży, któremu od razu wyschły łzy, Conan wyjął ten sam złoty medalion, znaleziony w piasku koło osady tubylców, a potem podarowany wodzowi.

- O, bracie mój... — wymamrotał Trille. - Ale skąd...

W odpowiedzi na to Cymmerianin tylko wzruszył ramionami. Podeszedł do Hanimesesa, zdjął złoty łańcuszek Klemensiny, przyczepił do niego medalion i znów powiesił na szyi chłopaka. Chciał jeszcze powiedzieć coś miłego jemu i innym trędowatym, ale język odmówił posłuszeństwa. Barbarzyńca parsknął i popatrzył na dziewczynę. Zrozumiała. Podeszła do stojących w oddaleniu wyspiarzy, położyła rękę na sercu i powiedziała:

- Być może w słoneczny dzień Mitra zauważy blask tego świecidełka, co wisi teraz na szyi Hanimesesa...

Niestety, więcej nic nie przychodziło jej do głowy. No i co z tego, że Mitra zauważy blask medalionu? Od tego nie wyrosną Hanimesesowi nowe ręce. To nie przywróci oczu Sheniro ani staruszkowi Łanowi palców u nóg.

Trędowaci jednak docenili te słowa. Roześmiani podeszli do Hanimesesa, by z bliska obejrzeć cudowny prezent od gości. Jeden Nevida Huratti pokuśtykał do Conana, zatrzymał się w odległości pięciu kroków i zahuczał:

- Nie traćcie czasu. Jeśli wyruszycie zaraz, przed nocą będziecie na miejscu. Chcę, Conanie, żebyś znalazł Karmashana i posłał go do Nergalowej paszczy. Jeszcze chciałbym, żebyś... - zaciął się. - No, jeśli kiedyś spotkasz Chawrata czy innych chłopaków, nie opowiadaj im, co się zrobiło z wesołka Nevidy Hurattiego...

- Zgoda - kiwnął głową Conan. - Przysięgam na Croma, nie zapomnę cię, Nevida. I niech mnie piorun strzeli, jeśli za dwadzieścia, trzydzieści lat, gdy ktoś mnie spyta: „Czy pamiętasz Nevidę Hurattiego?”, ja powiem, że nie.

W końcu i słowa się znalazły! Conan zauważył łzę w oku nieszczęśliwego człowieka i owrzodzone usta drgające w próbie uśmiechu.

- Żegnaj, Conanie - wyrzekł w końcu z trudem i odszedł nie oglądając się.

- Żegnaj, Conanie! - powiedzieli pozostali. - Żegnaj, miła Klemensino! Trille, żegnaj!

- Spieszcie się! - głośno krzyknął Sheniro. - Dopóki jest pomyślny wiatr, spieszcie się!

- Spieszcie się - radził staruszek Lano.

A podróżnicy siedzieli już w swoim nowym stateczku. Żerdzią z łodzi tubylców Sheniro odepchnął ich od brzegu. Wiosła wzniosły się nad ciemną wodą... Po kilku chwilach łódka mknęła po Mchete, coraz bardziej oddalając się od wyspy. Sylwetki trędowatych stawały się coraz mniejsze, aż całkiem zniknęły w błękitnej porannej mgielce.

Pod wieczór ukazały się w dali mury starożytnego Bvadrandatu - miasta zbudowanego w zamierzchłych czasach przez prarodzców Vendhyjczyków na brzegach Mchete. Conan tam bywał: długie, wąskie na pięć kroków, brudne i krzywe uliczki; przysadziste, solidne domy z drzewa żelaznego, a w centrum - pałace zdumiewające wspaniałością mozaikowych ozdób i złożonymi okiennicami. I kurz. Najlepiej ze wszystkiego Cymmerianin pamiętał kurz.

Wciskał się do uszu, do nosa, kłębił przed oczami, osiadał na włosach i ubraniach, więc wszyscy ludzie wyglądali jednakowo: siwowłosi, w szarej odzieży.

Hanimeses powiedział Conanowi, że najbliższa droga do Mandchattu prowadzi właśnie

przez Bvadrandat. Należało przejść przez miasto, u wschodniej bramy wynająć słońce i na nich pokonać niezbyt rozległe pustkowie, a następnie płytką rzeczkę. Za nią przechodziła granica królestwa.

Gdy podróżnicy przybili do brzegu, oddali łódź na przechowanie rybakowi - niskiemu, chudemu i staremu jak samo miasto. Za tę usługę wręczyli mu jeden z podarowanych kindżałów w skórzanej pochwie. Drugi przywiesił sobie do pasa Trille, oczywiście za zgodą barbarzyńcy. Chłopak był zadowolony i nadzwyczaj dumny. Towarzysze wspięli się ścieżką ku szarym, jakby pokrytym kurzem, na wół zburzonym murem i wkroczyli do Bvadrandatu.

Przepych i bogactwo współistniały tu z nędzą i rozpadem. Tłusci, smagłolicy kupcy sunęli w zbytkownych palankinach obok krzątających się w swoich sprawach, mizernych i też smagłolich obszarpańców.

Conan zapomniał drogi do tawerny. Pamiętał jednak, że przeróżnych tawern było tu mnóstwo - na każdej ulicy po dwie, a czasem i więcej. Rzeczywiście, nie zdążyli zrobić nawet trzydziestu kroków, gdy zobaczyli znużonego oczekiwaniem na klientów naganiacza - tłuszciocha w białych szarawarach i jaskrawoczerwonym turbanie na okrągłej jak piłka głowie. W rękę zaciskał kołatkę, którą natychmiast wprawił w ruch na widok trójki cudzoziemców.

Zresztą i bez jego zachęty nie przeszliby obok. Zapachy, które wydostawały się przez gościnnie otwarte drzwi, drażniły nie tylko węch, lecz także duszę. Subtelne, zadziwiająco delikatne aromaty mieszały się z zapachami pieczeni i ścierki do podłogi. Gdy poczuł je głodny, rozczulał się i wchodził; syty - przeciwnie, uciekał rozdrażniony. Przyjaciele byli głodni. Nie namyślając się ani chwili, zeszli po dwóch stopniach w dół i poprosili o mięso, ryby, chleb i wino.

Podczas oczekiwania na zamówienie Trille i Klemensina z ciekawością rozglądali się wokół. Sala była nieduża, deski podłogi wyszczerbione i zaplute, ale stoły błyszcząły wyskrobanymi blatami. Między nimi snuł się porządnie ubrany, ziewający całą bezzębną gębą kelner. Ledwie powłócząc nogami podszedł do nowoprzybyłych, wbił czarne wylupiaste oczy w Cymmerianina i zręcznie rzucił na stół półmiski z pieczystym. Potem, nie odrywając wzroku od Conana, który wprawił go w osłupienie swoją sylwetką i siłą, powłókł się do nowych gości - dwóch krzywonogich i podobnych do siebie jak dwie krople wody handlarzy ryb siedzących przy sąsiednim stole.

Trille zmarszczył nos od ostrego zapachu zatechłej wody i rybiej łuski. Spojrzał groźnie na przybyszów, jednak nie doczekał się żadnej reakcji z ich strony. Byli równie zgnuśniali i senni jak tutejszy sługa, a ten z kolei jak te ryby, które ledwo ruszały się w koszykach.

Barbarzyńca, któremu już dawno chciało się spać, przeniósł leniwy wzrok w kąt tawerny i... ogromny kawał mięsa utknął mu w gardle. Zakrztusił się i rozkaszał. Trille i Klemensina ze zdziwieniem spojrzeli w tamtą stronę. Nie potrzeba było słów, żeby wyjaśnić im, co się stało z Conanem. W dalekim kącie, przy małym, okrągłym stoliku siedziała... Tak, można było nazwać ją pięknnością, chociaż w rzeczywistości dla takich dziewcząt jeszcze nie wymyślono określenia. Jasne, wspaniałe, falujące włosy spadały na szczupłe ramiona i wysokie piersi. Błękitne, prawie przezroczyste oczy w obramowaniu czarnych gęstych rzęs patrzyły na żaloszny obraz tawerny rzewnie i spokojnie.

Wydawało się, że nie jest świadoma swojej oszałamiającej urody. Lata wczesnej młodości najwyraźniej miała już za sobą i wkroczyła w ten okres, kiedy dziewczyna zwie się kobietą. Nawet ślepiec nie pomylił się, gdy tylko usłyszy jej cudownie aksamitny głos.

Conan postanowił sprawdzić barwę tego głosu. Szybko wpełchnął do ust jeszcze jeden kawałek mięsa, przeknął, popił łykiem wina, potem wytarł usta wierzchem dłoni i zdecydowanym krokiem poszedł w jej stronę.

- Jestem Conan z Cymmerii - przedstawił się, obdarzając ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, przy którym przypominał szczerzącego zęby wilka.

- A ja Lukrecja - odpowiedziała wcale nie speszona. Jej głos odpowiadał oczekiwa-

niom: był delikatny i niski, o przyjemnej, gardłowej tonacji.

- Nie przypominasz Vendhyjki - powiedział Conan, bardzo dumny z wymyślenia tak wyszukanego komplementu.

- Jestem z Aquilonii.

Aquilonia... ładny kraj, który podarował światu nieprześcignione w urodzie piękności. Wiele z nich miało już okazję poznać Conana z Cymmerii. Teraz taki honor przypadł Lukrecji.

- Co cię przyniosło do Vendhii, ślicznotko? - palnął barbarzyńca i ugryzł się w język. Chciał zapytać inaczej: „Jakie wiatry przygnały cię tutaj, moja śliczna?” Niestety, elegancja nigdy nie zaliczała się do jego zalet, co oczywiście Lukrecja zauważyła.

- Zmierzam do Mandchattu - wyjaśniła z uśmiechem.

- Ja też tam zmierzam! Nie chcesz dzielić ze mną miejsca na grzbiecie słonia?

Ostatnie zdanie mógłby wypowiedzieć pompacyjny dworzanin, przywykły do dyplomacji. Conan zapomniał nagle o swojej pogardzie dla tych ludzi i w myślach pochwalił siebie, że tak sprytnie naprawił niezręczność poprzedniej wypowiedzi.

- Ach, Conanie... - zaśmiała się Lukrecja. Widać przepiękna fraza o słoniu nie wywarła na niej oczekiwanego wrażenia.

Niezadowolony Conan zachmurzył się i pomyślał: „Czego ty jeszcze chcesz?”. Głośno jednak oświadczył coś innego:

- Najpierw podzielę z tobą łożę w tej cuchnącej dziurze. Nie wiesz, czy są pokoje na górze?

Lukrecja roześmiała się. Nie miała nawet za złe barbarzyńcy. Podobało się jej, że jego szafirowe oczy, zwykle takie srogie i takie zimne, patrzą na nią ciepło. Podobało się jej, że jest taki silny i ogromny - to zresztą podobało się wszystkim kobietom. Podobało się jej, że jego czarna, bujna czupryna, nigdy nie czesana, jest nastroszona jak u dzikiego zwierzęcia. Podobała się jej również jego gburowatość, chyba zgodnie z prawem o przyciąganiu się przeciwności. Ogólnie rzecz biorąc, nie była całkiem przeciwna odstąpieniu mu połowy swojego łoża. Wiedziała oczywiście, że w imię przyzwoitości, nie wiadomo przez kogo i w jakim celu wymyślonej, należy w tym miejscu wielce się oburzyć na taką szczerą propozycję. Jednak w tę grę już nie umiała grać. Przecież była prawdziwą kobietą...

- Tak, Conanie, podzielisz ze mną łożę. Pokoje są na górze, mieszkam tu już trzeci dzień... O, ktoś patrzy na nas... Może poznasz mnie ze swoimi przyjaciółmi?

Cymmerianin odwrócił się i zobaczył, że Trille i Klemensina nie spuszczały z nich oczu. Władcy Węży jak zwykle opadła szczeka, a oczy zaszyły mgłą - tak go pochłonęło patrzenie. Pewnie czekał na właściwy moment, by zaproponować Lukrecji dotknięcie swojego ciała. Conan machnął zapraszająco ręką do towarzyszy.

- To Klemensina i Trille. Jadą ze mną do Mandchattu.

- A ja jestem Lukrecja.

- Och, och - westchnął Władca Węży. - Piękna ruta... Tfu, to znaczy róża...

Przysiadł na brzegu ławy i z tego zdenerwowania wziął z talerza Lukrecji duży kawał ryby. Klemensina patrzyła dalej na nową znajomą Conana. Jej wzrok, po raz pierwszy od początku wspólnej podróży, wyrażał niechęć i niepokój.

Cymmerianin nie znoślił, gdy ktoś stał mu za plecami, więc szarpnął ją za brzeg tuniki, żeby usiadła. Ona położyła mu rękę na ramieniu i odmówiła.

- Lukrecja, mówisz? - powtórzyła w zamyśleniu. - Hmm... Gdzieś już cię widziałam.

VI. LUKRECJA

Spojrzenie pięknych błękitnych oczu skrzyżowało się ze spojrzeniem nie mniej pięknych zielonych. Właśnie w tej chwili Trille zrozumiał, że filozofia nie jest jego specjalnością.

Ze zdziwieniem wybałuszał oczy to na jedną, to na drugą kobietę i zupełnie nie mógł pojąć, o co chodzi. O dziwo, pewne uśpione zakamarki jego mózgu, pochwyciły sens tych dziwnych spojrzeń. Niestety, dla całej normalnie funkcjonującej reszty spojrzenia pozostały zagadką. Jedna sprawa - powziąć decyzję o myciu się dwa razy w miesiącu, a całkiem inna - zrozumieć, co wyraża wzrok kobiety.

Westchnął i Conan. Tak przyjemnie zaczęta znajomość groziła zerwaniem, bo Klemensinie zachciało się być zazdrosną. Chyba o to chodziło - nic innego nie przyszło mu do głowy.

Cymmerianin zmierzył Lukrecję ponurym spojrzeniem, odprowadził na bok, przykrył ręką jej małą dłoń i powiedział:

- Przysięgam na Croma, najmilsza, że nie możesz się doczekać, żeby pokazać mi swój pokój.

- A mnie? - odezwał się Władca Węży. - Mnie nie pokażesz swojego pokoju?

Dopiero teraz dotarło do Conana, że Trille właściwie też jest mężczyzną. Już chciał wymierzyć mu policzek i wyrzucić precz, ale Lukrecja obdarzyła barbarzyńcę najczarowniejszym, a co ważniejsze, wiele obiecującym uśmiechem i wściekłość w chabrowych oczach zgasła.

- Też chcę do jej pokoju - zaskomlał Władca Węży, czując, że zdobycz mu się wymyka. Dlaczego wszystko przypada tylko barbarzyńcy? - Weź mnie ze sobą, Conan.

Conan zgrzytnął zębami, ale opanował się. Jego ręka dotknęła lekko jasnego pukla Lukrecji, a potem powoli zbliżyła się do skroni...

- Och, Conanie - powiedziała z obrzydzeniem Klemensina. - Czyżbyś znowu zamierzał robić te... te same okropne rzeczy, co z lubieżną autochtonką? Chata... czerwona kotara...

Dziewczyna ostatecznie zaplątała się, nie wiedząc jakim słowem nazwać ten straszny, oszalamiający czyn, którego barbarzyńca dokonał z młodą dzikuską. Lukrecja natomiast „lubieżną autochtonkę” uznała za określenie pod swoim adresem. Zmarszczyła ciemne wąskie brwi i z miną właścicielki pociągnęła Conana za rękę.

Podniósł się z gotowością. Od chwili, gdy jego palce dotknęły gładkiej, aksamitnej skóry Aquilonki, jego myśli krążyły wokół jednego. Nie słyszał słów Klemensiny, zapomniał o Trille. Drżał cały od opanowywanego z trudem pożądania, a w oczach wpatrzonych w prześliczną Aquilonkę płonął ogień namiętności. Jeszcze chwila i Conan przewróciłby ją tutaj, w sali...

- Chodźmy! - niecierpliwie syknęła, pociągając go ku schodom.

Pierwszy stopień zaskrzypiał pod nimi cienko, drugi basem, a trzeci omal się nie złamał.

Trille i Klemensina patrzyli za parą jak zaczarowani, a następnie unisono westchnęli i wrócili do stołu kończąc posiłek.

- I co było potem? - Conan ziewał, ze wszystkich sił starając się nie zasnąć. Co prawda, po ciemku tego nie było widać, jednak Lukrecja od czasu do czasu przerywała swoją opowieść i uważnie przysłuchiwała się jego oddechowi.

- Śpisz? - pytała.

- Nie.

- To czemu wzdychasz?

- Do licha, przecież słucham - odpowiadał urażony barbarzyńca, przewracając się na drugi bok, twarzą do okna. Po całej nocy miłości cóż może być przyjemniejszego (i jednocześnie bardziej nużącego) od pasjonującej historii? - No i co było potem?

- Potem?... Od szlachcica odkupił mnie jeden kupiec... taka tłusta kreatura. Póltorej setki brzęczących monet i zmieniłam wspaniałą złotą klatkę na malutki pokoik na poddaszu domu pełnego sług i stróżów. Najpierw jednak była długa droga... Płynęliśmy galeonem po morzu Vilayet, koczowaliśmy z karawaną na turańskich pustyniach, trzęśliśmy się na mułach w Górach Kezankijskich, jechaliśmy konno przez Brythunię, Nemedię, Aquilonię... Kiedy przejeżdżaliśmy przez moją rodzinną Aquilonię, serce zamierało mi w piersi i łzy lały się z oczu. Gdybym była wolna! Mogłabym odnaleźć moją ciotkę, która mieszkała na przedmieściach Pointenii i przez okolicznych mieszkańców była uważana za czarownicę. Nie dąsaj się, mój barbarzyńco... Skąd wiem, że się dąsasz? Czuję. Więc moja ciocia umiała tylko czytać z gwiazd, nic więcej. Nie znała nawet jednego zwykłego zaklęcia...

Niestety, w tym czasie nie decydowałam o sobie: kupiec, mój pan, nie odstępował mnie ani na krok, jego psy zawsze były w pobliżu. Pilnowały mnie w dzień i w nocy, nawet gdy załatwiałam potrzeby intymne, stały obok. Okropieństwo!

W końcu znaleźliśmy się w Zingarze. Mój kupiec mieszkał w samej stolicy, w Kordawie. Wtedy okazało się, że ma żonę - wiedźmę nad wiedźmy.

Oczywiście doskonale wiedziała, na jakiego Nergala jej tłusty gamoń, przyciągnął mnie do swojego domu, chociaż próbował jej wmawiać, że jestem kucharką. Och, co za wspaniałą scenę mu urządziła! Piszcząca, rycząca, pluła, tłukła naczynia, rzucała się na podłogę, a na koniec nawet ugryzła go w brzuch! I co ty na to?

Szczerze mówiąc, mnie też się potem od niej dostawało. Nigdy nie przepuszczała okazji, żeby uszczypnąć mnie boleśnie, a gdy krzyknęłam z bólu, głosem słodkim jak miód pytała, co się stało. Pewnego razu pocięła na kawałki moją jedyną suknię i przez długie trzy miesiące musiałam chodzić w okropnie znoszonych łachmanach, zanim mój kupiec przestał skąpić na zakup nowej.

Sam rozumiesz: żyłam myślą o ucieczce. Ja, niewolnica, nie mogłam liczyć na pomoc, bo nie miałam w Zingarze przyjaciół ani krewnych. W ogóle nie miałam nikogo bliskiego oprócz ciotki w Aquilonii.

Potem małżonka mojego kupca umarła ze złości. Właśnie tak! Gdy kolejny raz wrzeszczała na swojego tłustego gagatka, nagle spurpurowiała, chwyciła się za pierś i upadła na ziemię. Przykro wspominać, ale w tym momencie na pulchnej fizjonomii kupca pojawił się złośliwy uśmieszek, zaraz zresztą zastąpiony obłudnie smutną miną.

Podczas gdy kupiec opłakiwał śmierć żony zgodnie ze wszystkimi zasadami, przez osiemnaście dni, a z nim korzystający z chwili wytchnienia jego słudzy, uciekłam. Nie będę teraz opisywać mojej długiej drogi, najważniejsze, że dotarłam do Pointenii i spotkałam się z Melindą, moją ciotką. Mieszkałam u niej dwa lata, dopóki... Dopóki nie przyjechał do niej jeden człowiek...

Lukrecja przerwała swoją opowieść.

Conan, który słuchał jej bez wielkiego zainteresowania, a mówiąc prawdę - w ogóle bez ciekawości, prawie usnął, gdy znów odezwała się:

- Śpisz?

- O Cromie! Oczywiście, że nie! - zbyt gwałtownie, żeby to mogła być prawda, zapewnił barbarzyńca. Uroczą Aquilonka, chociaż to zauważyła, jednak kontynuowała opowieść, bo ją samą porwały wspomnienia o własnym życiu.

- Przyjechał o świcie... Miał do wykonania pewne ważne zadanie, a przedtem postanowił poradzić się wróżki. O Melindzie i jej niewiarygodnym darze czytania z gwiazd wiedziało wiele osób. Nawiasem mówiąc, mój barbarzyńco, sami astrologowie nie chcieli jej uznać, ponieważ jest kobietą. Ach, ta ich śmieszna miłość własna! Ten młody człowiek nie miał uprzedzeń. Wiedział też, że ciocia bierze niedużą zapłatę i umie dochować tajemnicy. Przybył więc właśnie do niej. Dzień, noc, jeszcze jeden dzień i jeszcze jedną noc spędził w naszym małym domu... Okazał się całkiem wesołym młodym człowiekiem. Podczas gdy moja ciocia

rysowała na papirusie jakieś zakrętasy, on opowiadał mi o krajach, w których bywał, o ludziach, których widział i wiele innych rzeczy. Kiedy Melinda następnego ranka uroczyście wręczyła mu ...

- Chrrrrr! - rozległo się nagle potężne chrapanie. Lukrecja drgnęła.

- Conan! Ty śpisz! - krzyknęła urażona.

- Ja? O, Cromie, nie śpię... - wymamrotał zmieszany barbarzyńca, właśnie przebudzony jej krzykiem. - No i co dalej?

- Wstydz się! Jesteś pierwszym człowiekiem, któremu chciałam opowiedzieć o moim nieszczęściu, a ty... a ty śpisz! - powiedziała z goryczą piękna Aquilonka, kładąc się obok niego i zamykając oczy.

- Ależ nie...

Sen, do tej chwili nie wypuszczający go ze swych objęć, ulotnił się nieoczekiwanie. Conan westchnął z żalem po nim, odwrócił się do Lukrecji i przygotował do słuchania. Ona zaś milczała.

- Hej! - położył rękę na jej ramieniu. - Więc co było potem?

Dalej milczała.

- Przysięgam na Croma, że słyszałem wszystko! No, prawie wszystko...

Milczała wciąż. Wtedy Cymmerianin przysunął ucho do jej twarzy, zakrywając ją swoimi długimi kosmykami, i nadśluchiwał... Miarowe, ledwie dosłyszalne sapanie zakomunikowało mu nieprzyjemną wieść: Lukrecja spała. Zdenerwowany barbarzyńca znów odwrócił się do okna. Kobieta! Najpierw swoim nudnym opowiadaniem odegnała precz jego sen, a potem sama najspokojniej usnęła, pozostawiając Conana w całkowitej samotności, to znaczy bez miłości i całej reszty. Czego jeszcze mógł oczekiwać?

Jaśniejące za brudną szybą okienną niebo zwiastowało rychły wschód słońca. Wiatr, który zerwał się nagle, ze złością targał gałęzie drzew, próbując zdmuchnąć z nich wszystkie liście. Krople deszczu zastukały po dachu, niespokojnie uderzyły w szybę i tylko Conan wiedział, że to wszystko oszustwo. Nie zdąży ogniste oko Mitry zapuścić na ziemię swojego pierwszego promienia, gdy znowu robi się cicho, sucho, ciepło. Nie będzie deszczu, wiatr przemieni się w miły, pieszczotliwy zefirek. Przed południem zapanuje zwyczajny w tych krajach upał - zuchwały i podstępny jak sam Nergal, pragnący spalić wszystko, od pramatki ziemi do nowo narodzonego susełka w głębokiej norce.

Tak też się stało. Podczas gdy Cymmerianin wzdychał i wiercił się, przywołując sen, wiatr ucichł, a deszcz, pozbawiony jego energii i siły, zrobił się ospały i przed świtem ustał. Przed świtem skończyła się także cierpliwość Conana. Z żywych uczuć zachowała się tylko jedna tęsknota.

Lukrecja spokojnie spała, a on nie mógł. W jego mózgu nie rodziły się żadne ciekawe myśli. Nieprzejrzysta mgła zasłoniła przeszłość. Krótko mówiąc, o tej porze Conan zupełnie nie miał czym, się zająć. Gdy zrozumiał, że snu i tak się nie doczeka, wciągnął spodnie i wyszedł z pokoju, stając się nie obudzić Lukrecji. Rozmyślał: co to jest samotność i tęsknota? Choroba. A czy istnieje lekarstwo przeciw tej chorobie? Oczywiście! Butelka dobrego wina i kawałek mięsa... Pokrzepiony, choć tylko myślą, Cymmerianin już poczuł ciepło w piersi, które razem z łykiem czerwonego turańskiego było obietnicą wybawienia od nudy i tęsknoty.

Przyspieszył kroku.

Gdy nazajutrz Trille i Klemensina zeszli do sali, przed Conanem stał tuzin butelek, pustych i pełnych. On sam siedział niczym w półśnie, z zupełną pustką w głowie. Kiedy przyjaciele podeszli do stołu, podniósł oczy, których zwykły błękit rozcieńczony winem zmętniał i pojaśniał. Przez chwilę patrzył na nich i nie poznawał.

Niepewną ręką chwycił za szyjkę kolejnej flaszki i przyssał się do niej, całe strugi wina wylewając na potężne piersi. W brzuchu mu głośnie bulgotało. Jego wygląd przeraził Trillego

i Klemensinę. Drugie czarne włosy, zmoczone słodkim winem, pozlepiały się, a palce, nos i nawet rzęsy były umazane baranym tłuszczem.

W końcu oderwał się od butelki i rzucił ją na podłogę. Oczy zmętniały jeszcze bardziej. Na próżno Władca Węży apelował do sumienia i odwagi barbarzyńcy, Conan albo nie słyszał, albo nie rozumiał ni słowa. Tylko raz, gdy zatrzymał wzrok na towarzyszu, rozmyślnie czknął, ale trudno było wziąć to za odpowiedź.

- To ona jest winna - ze złością powiedziała Klemensina. - Czemu stanęła nam na drodze?

- Bzdura - zaprzeczył Trille. - Zachciało mu się napić, no to się napił. Lukrecja nie ma tu nic do rzeczy.

- Żmija i wiedźma, mówię ci - obstawała przy swoim Klemensina. Nie chciała przyznać, że jej wybawca upadł tak nisko, chlejąc do nieprzytomności, a na dodatek samotnie.

- Bzdura, słowo daję! Pomyślmy lepiej, co teraz robić. Załadować go na słońia i ruszyć do Mandchattu? A jeśli już umówił się z tą panną i zamierza jechać z nią? Nie wiesz, dokąd się wybierała?

- Za dużo pytań — mruknęła Klemensina, niezadowolona z tego, że Władca Węży nie zgodził się z nią na temat Lukrecji.

- Może byś odpowiedziała choć na jedno - rozzłościł się i Trille. Po raz pierwszy od początku podróży poczuł się mężczyzną, więcej - przywódcą. Zmienił się w ciągu kilku chwil: wysunął do przodu wątlą pierś, wyprostował ramiona, a w niebieskich oczach pojawił się szczególnie, prawdziwie przywódczy wyraz. Wydawało się, że Trille zaraz wstanie, machnie ręką i krzyknie grzmiącym głosem: „Naprzód”, a wtedy i cała armia rzuci się do ataku, zagrzewana przez dzielnego dowódcę. Poczucie triumfu ogrzewało serce chłopaka. I chociaż dziś cała jego armia składała się z młodej panny i spitego na umór Conana, chętnie brał na siebie odpowiedzialność.

Jeszcze raz powtórzył nadąsanej towarzyszce swoje pytania, dodając jeszcze jedno: po jakiego Nergala Cymmerianin jedzie do Mandchattu? Znów nie otrzymał odpowiedzi i z lekkim współczuciem popatrzył na Klemensinę. Uznał, że kobiety nigdy nie wiedzą tego, co najważniejsze. Potem zaczął rozmyślać. Trwało to wystarczająco długo, aby Klemensina zdążyła trochę popłakać, uspokoić się i znów popłakać, a barbarzyńca - osuszyć jeszcze jedną butelkę wina.

- Posłuchajcie - Władca Węży w końcu opracował plan działania. - Teraz pójdę do tej... do tej...

- Uwodzicielki - z obrzydzeniem wycodziła Klemensina.

- No dobrze, uwodzicielki... Pójdę i powiem: „Tak więc, moja miła...” - Trille napuścił się, odtwarzając chwile przyszłej rozmowy z uroczą Aquilonką. - A co myślisz, tak właśnie powiem! Wcale się jej nie boję. Powiem jej: „Tak więc, moja miła, nam z tobą nie po drodze. Ruszaj swoją drogą, a my pójdziemy swoją”. No i jak?

- Bardzo dobrze - pochwaliła Klemensina.

- Tak. A potem, potem zrobimy...

- Pójdziemy spać. I nie potem, a teraz - nagle wyraźnie powiedział Conan.

Towarzysze wbili w niego wzrok. Do tej pory prawie zdążyli zapomnieć, że barbarzyńca umie mówić, dlatego jego głos bezmiernie ich zdumiał.

- Proch i popiół... - mruknął. - Kopyto Nergala ci w zęby, Trilimilu, myślisz, że marnych parę butelek może mnie zwalić z nóg? Niedoczekanie!

Rzeczywiście, wzrok miał przytomniejszy i najwyraźniej powróciła mu zdolność myślenia. Jednak co tu miał do rzeczy Trilimanil Magnus Parc?

- Czego się mnie czepiasz? - obraził się Władca Węży

Zamiast odpowiedzi Conan wyłowił z kieszeni kilka sztuk złotych i podał Trillemu.

- Wynajmiesz poganiacza i dwa słońia. Powiesz, żeby przed zmierzchem przyszedł pod

wschodnią bramę.

- Gdzie mam go wynająć?

- Na bazarze...

Barbarzyńca podniósł się ciężko, omal mi przewracając stołu i ławy, i niepewnym krokiem ruszył ku schodom.

- Hej, Conan, a ty dokąd?

Trille znów nie otrzymał odpowiedzi. Posłuszny losowi i Cymmerianinowi schował złoto do kieszeni i również wstał. Tylko na kilka chwil przypadła mu rola przywódcy... Cóż, widać taki już jego los.

- Chodźmy, Klemensino - powiedział ponuro, kierując się do drzwi. - Chodźmy. Słonie czekają...

Tym razem Conan wyspał się wspaniale. A po przebudzeniu, zobaczył na brzegu swojego łoża Lukrecję z czułym uśmiechem na ustach. W rękach trzymała kielich pełen cudownego, różowego wina, które podała barbarzyńcy, ledwie tylko otworzył oczy.

- To ophirskie wino - powiedziała. - Najlepsze, jakie znalazłam w tutejszym sklepie.

Conan z wdzięcznością przyjął kielich i upił duży łyk, który przywrócił mu część utraczonych sił.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał ochryple, nagradzając piękność krzywym uśmiechem.

- Ach, mój barbarzyńco, straciłam na to mnóstwo sił... - zaczęła Lukrecja poważnie, lecz nie wytrzymała i roześmiała się. - Przyszedłeś do mojego pokoju, więc nie musiałam cię szukać.

- Spałem, a ty strzegłaś mojego snu - mruknął.

- No, niezupełnie... Szczerze mówiąc, nawet wroga przepędziłoby twoje okropne chrapanie. W każdym razie mnie przepędziło... Siedziałam w sali na dole.

Dopił wino i odstawił kielich na stół. Teraz miał wolne ręce i mógł objąć Lukrecję.

- W nocy opowiadałaś mi swoją historię... - zaczął.

- Chcesz usłyszeć zakończenie?

- Chcę, ale przedtem...

Oddech jego stał się szybszy, a oczy zmętniały. Ryknął i przerzucił prześliczną Aquilonkę przez siebie, przycisnął jej plecy do tapczanu i zawisł nad nią. Jego czarne włosy zmieszły się z jej jasnymi.

Lukrecja uśmiechnęła się chytrze.

- A moja historia? - wyszeptwała.

- Potem.

- O, barbarzyńco...

- Potem...

VII. ROZMOWA O ZMIENNOŚCI MIŁOŚCI

Dziewiąty dzień Marinella jechała furmanką po zakurzonych drogach Shemu. Miała szczęście - młody sprzedawca luster zgodził się wziąć ją ze sobą i nie zażądał za tę prawdziwie królewską przysługę ani miedziaka.

Za to musiała słuchać jego narzekania na twarde shemskie prawo, które nakazuje wszystkim kupcom oddawać część dochodu do skarbcza. „Ile ja mam od jednego lustra? - mówił Din. - Czwierć złotego. Po to, żeby zarobić jednego złotego, powinienem sprzedać cztery lustra i

wychodzi, że półtora oddają darmo”...

Marinella niczego nie rozumiała z tych skomplikowanych obliczeń, ale słuchała uważnie. Od czasu do czasu pograżała się we własnych myślach, jednak kiwała głową i wzdychała dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Złote nici znowu przepływały między palcami i, ku jej wielkiemu zmartwieniu, rwały się częściej niż przedtem. Wkrótce w Shemie zacznie się wojna domowa i wielu ludzi zginie. Chwała Pteorowi i jego ukochanej Ishtar, potrwa to niedługo - pięć lub sześć dni. Jednak wojna to wojna...

- A jeśli sprzedam szesnaście luster - ciągnął Din, z irytacją marszcząc czarne krzaczaste brwi - i zarobię cztery złote, to od nich skarbiec zabierze mi półtora, a to znaczy, że już sześć luster oddają darmo.

W rękach Wiecznej Dziewicy błysnęła nić losu młodego kupca.

Ach! Omal nie krzyknęła zasmucona. Biedny chłopiec! I jemu jest sądzone zginąć na tej wojnie - przypadkowo.

Przerwała na chwilę swoją pracę, uniosła oczy i popatrzyła na jego kark i gęste, kędzierzawe włosy. Biedny chłopiec! Jeszcze kilka miesięcy i nigdy więcej nie będą mu potrzebne ani lustra, ani złote...

Marinella z wysiłkiem odwróciła wzrok. Coraz częściej wątpiła w to, czy powinna zachowywać obojętność? Czy to jest w ogóle możliwe? Wiedzieć, że człowiek, który siedzi tu przy niej, niebawem wejdzie w mrok Szarych Równin i nie przejmować się tym... Pokręciła głową i dłonią otarła łzę, która gorącą kroplą toczyła się po policzku.

- Co z tobą, Martacha? - krzyknął Din, odwracając się do niej. - Nie trzeba płakać z powodu takich głupstw. Wybacz, zdenerwowałem cię. Uwierz mi, ja po prostu lubię tym się zajmować. A pieniądze? Ooo... Ishtar, matka nasza wie... Nie Kocham aż tak bardzo tych błyszczących złotych krążków.

Roześmiał się i znów odwrócił ku srokatej klaczy, która leniwie ciągnęła mały wózek po

kępach i wyrwach. Dawno już zjechali z głównej drogi, żeby pokazać towar we wsiach, i teraz zbliżali się do Turanu.

- Pojedziesz ze mną do Zambouli, Martacho?

- Nie, Dinie, muszę na wschód...

- Cóż, może kiedyś jeszcze się spotkamy... - uśmiechnął się lekko. - Będę rad.

- I ja... - cicho powiedziała Wieczna Dziewica.

Przed samym zmrokiem ktoś zapukał do drzwi.

- Czego? - Głos Conana znów był silny i dźwięczny.

- To ja... - pisnął Trille w korytarzu, bo nie śmiał zajrzeć do pokoju.

- Czego?

- Poganiacz obiecał, że będzie czekać przy wschodniej bramie.

- No i co?

- Conan... Słoń jest taki duży...

- Na Croma! I co z tego? Nie ty będziesz go niósł, ale on ciebie! - wrzasnął rozszalony barbarzyńca, w końcu dając towarzyszowi mniej więcej wyraźną odpowiedź.

- Wiem, wiem, ale... - Zza drzwi przyplętnęło ciężkie westchnienie. - Może lepiej weźmiemy konie?

- Jeżeli jeszcze raz...

- Idę, już idę - mruknął Władca Węży i oddalił się.

Jeszcze nie ucichły w korytarzu jego szurające kroki, a Lukrecja znów przylgnęła do ramienia barbarzyńcy. Jasne włosy przykryły jego szeroką pierś, delikatna ręka spoczęła na twardym, umięśnionym brzuchu.

- Conan...

- Uhm...

- Po co chcesz jechać do Mandchattu?

- Chcę zobaczyć przyjaciela... Jest z kasty kratryjców - zełgał, nie mrugnawszy okiem.

- A ty po co?

- Nie wysłuchałeś do końca mojej historii.

- No Croma! Chciałem, ale usnęłaś. Opowiedz mi teraz.

- Nie pamiętam, w którym miejscu przerwałam - droczyła się prześliczna Aquilonka.

- Eee... No, do twojej ciotki przyszedł chłopak, a potem... Potem...

- Aha! - wykrzyknęła zwycięsko. - Nie pamiętasz! I nie chłopak, a młody człowiek. Chłopak to twój Trille. Mój był nie tylko ładny, ale i miły, dobrze wychowany, wykształcony i... Powiedziałam „mój”? Niestety. Był mój... pół miesiąca. Potem zniknął na cały rok. Spotkaliśmy się jednak w Argosie i znowu rozstaliśmy. Kazał mi jechać za sobą do Mandchattu. Ma tam dom... Oczywiście, nie jestem zbyt pobożna, ale...

Nagle zamilkła.

- Co „ale”? - zainteresował się Conan.

- Nic. Po prostu „ale”, to wszystko. Chcesz jeszcze wina?

- Jasne, że chcę. I nie tylko wina.

- Ooo, Conan...

- Wyborne wino! Pewnie złoty za butelkę?

- Sprzedali mi za pół.

- Mmm...

- Nie mówiłam ci o tym, jak oszedł z domu mojej ciotki Melindy.

- To na co czekasz? Mów.

- Ale...

- Dobrze, wytrzymam - wielkodusznie zgodził się Conan i położył się na wznak.

Lukrecja udawała, że się zastanawia, czy podzielić się z barbarzyńcą swoją historią. Conan wiedział, że to zwykła kokieteria, przecież już go zapoznała z najważniejszymi wydarzeniami. Czemu by w takim razie nie dokończyć?

- Cóż... Zacznę od tego ranka, kiedy Melinda wręczyła mu papirus, na którym znajdowało się ni to ostrzeżenie, ni to zachęta do działania. Nie znam liter, więc nie wiem dokładnie. Jednak z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że niczego dobrego dla siebie tam nie znalazł. Jego błękitne jak niebo oczy pociemniały. Długo milczał z wzrokiem wbitym w ścianę naszego domu i nie odpowiadał na moje pytania, jak gdyby w ogóle ich nie słyszał. Nagle wziął mnie za rękę.

„Chodźmy nad rzekę” — powiedział, znów uśmiechnięty. Niestety, w tym uśmiechu nie było wcześniejszej beztroski, uroczej wesołości. Zeszliśmy na brzeg rzeki. Przewidując bliskie rozstanie, czułam niezwykle smutek w sercu. On chyba również, ale z zupełnie innego powodu. Nie wspomniał nawet tych dni, które spędziliśmy razem. Znacznie bardziej niepokoiły go własne, prawdopodobnie trudne problemy. Widziałam, że ciągle myśli o tym, co wyczytał na papirusie Melindy.

Usiedliśmy na brzegu. Przed nami płynęła bystra Alimanc, a za naszymi plecami rósł gęsty, wysoki zagajnik, zasłaniający nas od cudzych oczu. I znowu długo milczał. Uśmiech błąkał się na jego wargach, ale był to inny uśmiech niż zwykle, dziwnie, nieprzyjemny. Pierwsza przerwałam milczenie.

„Powiedz mi, Lee... tak go nazywałam... Wyjeżdżasz?”

Jakby nie słyszał mojego pytania.

Powtórzyłam je.

„Tak, wyjeżdżam” - powiedział bezbarwnym głosem.

„Kiedy?”

W końcu odwrócił się do mnie.

„Kiedy? - wydawał się zdziwiony. - Oczywiście, że zaraz. Chyba nie myślałaś, że zamierzam zostać?”

Przyznam, Conanie, że bardzo dotknęły mnie te słowa. Jednak starałam się nie dać niczego po sobie poznać.

„Ależ skąd, wcale tak nie myślałam - uśmiechnęłam się. - A może chcesz, żebym pojechała z tobą?”

Roześmiał się.

Uwierz mi, Conanie, nie ma nic bardziej okrutnego od takiego śmiechu mężczyzny, który stał się...który stał ci się bliski... Nie, nie mówię o namietności spalającej serca, lecz o miłości. Taka miłość opanuje duszę; żyje się tylko nią jedną, nie zważając na nic. Wiem, że świat nasz jest piękny i piękne są jego twory: dumny cyprys, ptak beztriosko ćwierkający na gałęzi, silny i zwinny lew, noworodek, imperator czy choćby ty, Conanie - ale nawet gdybym już nigdy tego nie zauważyła, gdyby moje serce stało się z biegiem lat twarde i leniwe - to przecież wiem, że kochałam, i to się nigdy nie zmieni. Dlaczego ci to mówię? To nie ma sensu. Przecież jesteś mężczyzną, pewnie nieraz kogoś porzucałeś - łatwo i niefrasobliwie. Zostawiałeś po sobie smutek, może tak wielki, że zatrął resztę życia jakiejś biedaczce. Nie zrozumiesz mnie.

- Kłamstwo! - rozłościł się Conan. - Nigdy nikomu nie obiecywałem wiecznej miłości, nawet Belit! Ale rzeczywiście cię nie rozumiem. Zgoda: ten świat nie jest zły, tylko, zabij mnie Cromie, dlaczego tak się dzieje? Jaki sens ma życie, jeśli wszystkie twoje zamiary są podporządkowane kaprynowi, który nazywasz miłością? Wszystko przechodzi obok ciebie, a ty ...nic, tylko miłość. Twoja wola, ale nie przedstawiaj mi tego jako nieszczęścia. Widać nie przeżyłaś prawdziwych zmartwień... Ten twój Lee, zdaje mi się, to łotr nad łotry, ale czy przysięgał ci miłość? Czy snuł marzenia o wspólnej przyszłości?

- Nad czym się tu zastanawiać? - zbuntowała się Lukrecja. - Gdyby jedynym problemem mojego życia była miłość bez wzajemności...

- A jakie masz inne problemy?

Piękna Aquilonka nie odpowiedziała. Uniosła się na łokciu, spojrzała w okno i krzyknęła:

- Conan! Już przecież noc!

- Proch i popiół... - ryknął barbarzyńca i aż podskoczył. - Gdzie to dziecko węża?!

Conan przeklinał na wszystkie sposoby Trillego, który widać całkiem zapomniał, że poganiacz słoni powinien na nich czekać przy wschodniej bramie Bvadrantatu przed zachodem słońca. Wciągnął spodnie, dopił wino i wypadł z pokoju. Lukrecja pospieszyła za nim.

W sali panował intymny półmrok, z którego aktywnie korzystali wszyscy obecni w tawernie. Tu i tam słychać było westchnienia, jęki, miłosne gruchanie. Oczom Conana i Lukrecji ukazał się dosyć nieprzyjemny widok. Władca Węży przypuszczalnie postanowił powtórzyć poranny wyczyn barbarzyńcy, bo upił się do nieprzytomności i teraz leżał na ławie smacznie chrapiąc.

- O, Cromie... - wycodził przez zęby Conan. - A to łobuz...

- Dwa turańskie złote - nawinął mu się pod rękę gruby Vendhyjczyk, właściciel tego miłego zakładu. - Twoja chłopiec wypić za dwa złote.

Barbarzyńca bez słowa rzucił mu pieniądze, przeniósł spojrzenie na chrapiącego Trillego, a potem na młodą przyjaciółkę; jego wzrok wyrażał pytanie i wyrzut.

- Nie mogłam temu zapobiec! - zaszlochała w odpowiedzi Klemensina. - Przyssał się do butelki i pił, dopóki nie upadł!

- Wypił jedną butelkę?

- Oczywiście, że jedną! - W jej głosie wyraźnie było słychać nutki dezaprobaty. Nie rozumem, bo na to była zbyt młoda, lecz instynktem czuła coś w rodzaju pogardy dla męż-

czynny, który pada jak martwy po wypiciu jednej butelki wina.

Conan powoli odwrócił się do właściciela tawerny. Tylko królewskie czerwone wyrobiane w Aquilonii kosztuje dwa i ćwierć złotych za butelkę, w żadnym razie nie te pomyje. Jednak po grubasie nie zostało ani śladu. A ponieważ na szukanie go teraz nie było czasu, barbarzyńca splunął na podłogę i postanowił, że za te pieniądze wytrząśnie duszę z Trillego, gdy tylko gagatek oprzytomnieje. Zarzucił bezwładne ciało na ramię i skierował się do wyjścia.

Lukrecja i Klemensina pobiegły za nim.

Nocne niebo, migające tysiącem gwiazd, otuliło ziemię. Złoty księżyc świecił z całej mocy i można było dostrzec każdy kamień pod nogami, każdą gałązkę i każdą kałużę. A w kałużach po niedawnym deszczu mrugały gwiazdy. Cienie ludzi wydawały się ogromne i, jak to cienie, bezbronne - wystarczyło wdepnąć w krąg wody i rozplywały się jak chmury burzowe od podmuchów wiatru, wystarczyło wejść w cień drzew i znikaly zupełnie.

Prawie o pomocy towarzysze dotarli do wschodniej bramy. Poganiacz słoni - bezzębny, niedołączony starzec - wciąż jeszcze czekał na nich. Conan załadował Władcę Węży razem z workami podróżnymi na olbrzyma, który w świetle księżyca wydawał się żółty, a potem posadził za nim Klemensinę. Sam siadł na drugiego słonia, a Lukrecja ulokowała się przed nim. Poganiacz zrećnie niby młodzieniaszek wskoczył na trzeciego, chudego słonika i karawana ruszyła w drogę.

- Jaka piękna noc! - Lukrecja podzieliła się z barbarzyńcą swoimi wrażeniami. - Prawda, Conanie?

- Ciepło - zgodził się.

- Ciepło! - parsknęła piękna Aquilonka. - A gdyby nawet było zimno, to co z tego? Spójrz na księżyc, na gwiazdy... A za nami kontury starożytnego Bvadrandatu. Jakbym trafiła do tajemniczego kraju, gdzie mieszkają tylko magowie, a po ścieżkach spacerują nieznanne zwierzęta!

Z tego monologu Conan zrozumiał jedno - trzeba popatrzeć na gwiazdy i księżyc. Spojrzał i nie znalazł niczego godnego uwagi.

- No, gwiazdy - mruknął. - I co z tego? Deszczu chyba nie będzie.

- Litości!

- Gwiazdy? A mówiłaś, że w twoim życiu wszystko jest przesądzone.

- Serce mam przytłoczone, barbarzyńco, przytłoczone smutkiem. Chwała naszemu jasnemu Mitrze, na razie ani moje ciało, ani głowa nie potrzebują wybawcy.

- Kobiety! - Teraz przyszła kolej Conana na parsknięcie. - Powiesz im jedno słowo, a one w odpowiedzi cały tuzin. Nie chcesz mi opowiedzieć swojej historii do końca?

- Chcę. I opowiem. To grzech milczeć w taką noc... Nie, nie chciałam powiedzieć, że milczenie jest grzechem. No, nie wzdychaj, mój barbarzyńco. Więcej nie powiem ani jednego zbędnego słowa. Tak, serce moje przytłacza straszna tajemnica: morderstwo... Zobacz, czy daleko są nasi mili towarzysze?

- Daleko.

- Cóż... Wróć więc do tej smutnej chwili, kiedy siedzieliśmy z Lee na brzegu rzeki Alimanc. Zapytałam go: „Chcesz, żebym pojechała z tobą?” Roześmiał się. Do tej pory pamiętam ten śmiech - pali mi duszę i mrozi krew. „Nie, nie pojedziesz ze mną - powiedział w końcu. - Zostaniesz tutaj. Ale przyjdzie czas...” Zamilkł, wstał i poszedł do wody. Patrzyłam na jego kark i zaklinałam w duchu: „Powiedz mi, że przyjdzie czas, gdy będziemy razem na zawsze”. Niestety. Po krótkiej chwili z tym samym uśmiechem dokończył: „Lecz przyjdzie czas, że na pewno się spotkamy. Powiem ci, kiedy i w jakich okolicznościach. Wiem, że przerazi cię to, co powiem, ale milcz i nie waż się sprzeciwiać ani westchnieniem, ani spojrzeniem, ani tym bardziej słowem. Inaczej zmuszę cię, żebyś o wszystkim zapomniała”.

Conan nadstawił uszu. Gdzieś w głębi duszy odezwała się nieufność. Skąd się wzięła i czego dotyczyła - nie wiedział. Dość trudno mu się dzisiaj myślało... Spotkał Lukrecję raptem wczoraj, z czego wynika... Co z tego wynika? Crom! Tylko jedno - spotkał ją poprzedniego dnia, a ona już mu opowiada o „strasznym przestępstwie”. To nagle wydało mu się dosyć podejrzane.

- Po co mi o tym mówisz? - Zapytał ponuro, przerywając pięknej Aquilonce w pół słowa.

- Conanie, czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że chcę cię prosić o pomoc?

- Nie jestem bogiem - Cymmerianin uśmiechnął się smutno - i nie mogę wyzwolić cię z grzechu.

- Jeszcze o to nie proszę.

Odrzuciła się do niego. W jej oczach błysnęły łzy, chociaż możliwe, że to odbiło się światło gwiazd. Błagalne spojrzenie paliło Conana, wpijało się w duszę, przeszywając ją na wskroś... Barbarzyńca zmieszał się.

- Na Crom! - Już lepsze pchnięcie mieczem w wątrobę niż patrzeć na kobiece łzy. - No i co było dalej?

Lukrecja uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Lee znów zamilkł. Chciał, by dotarł do mnie sens jego słów. Jednak w tej chwili nie mogłam i nie chciałam wczuwać się w cokolwiek poza moją miłością. Najbardziej chciałam usłyszeć ciąg dalszy, to znaczy informację, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach się spotkamy. „Zrozumiałaś, co mówiłem?” - zainteresował się. „O tak, miły, rozumiałam” - odpowiedziałam, choć w rzeczywistości nie pojęłam niczego. „Posłuchaj, Melinda wytłumaczyła mi - na dowód pokazała papirus przedstawiający położenie gwiazd w pewnym okresie - że planowane przeze mnie przedsięwzięcie nie zakończy się sukcesem. Po raz pierwszy w życiu zdecydowałam się zwrócić o pomoc do astrologa. Dotąd zawsze liczyłem na siebie i rzadko myliłem się lub przegrywałem. Zatem teraz także postanowiłem pójść swoją drogą, a gwiazdy niech idą swoją. Powiedziałem: nie wierzę wam, wszystko mi się uda... A na dodatek w tej głuszy znalazłem sobie ślicznego pomocnika”... Znów się roześmiał, jak gdyby sama myśl o tym, że mogę mu pomóc, była okropnie zabawna.

„Czy wiesz, jak nazywa się ten kamień?” - zapytał, podając mi czerwony jak zachodzące słońce rubin.

„Oczywiście - wzruszyłam ramionami. - U mojego kupca widziałam różne kamienie szlachetne. To jest rubin lub lal. Znam jeszcze diament, szafir, szmaragd, karbunkul. Ale dlaczego pytasz?”

Wtedy on też wzruszył ramionami.

„Wymieniłaś tylko pięć... A są ich setki. Jesteś kobietą, La (tak mnie nazywał). Czy cię nie wzrusza ten cudowny blask, ta gra niezliczonych maleńkich ogników wewnątrz kamienia?”

Mówiąc szczerze, Conanie, nie wzruszał mnie ani cudowny blask, ani gra ogników. W tym czasie z większą przyjemnością oglądałam zwykły polny kwiatek, zuczka albo trawkę niż feerię barw drogocennych kamieni na brzuchach kupców i piersiach ich wstrętnych, tłustych towarzyszek życia. Jednak powiedziałam: „Tak, oczywiście. Tylko wydaje mi się, że prawdziwa sztuka natury jest w istotach żywych”... Pewnie źle wyraziłam swoją myśl, bo nie rozumiał mnie. Sposepniał i znów umilkł rozmyślając, czy wtajemniczać mnie w swoje sekrety.

„Zgoda - postanowił. - Odłóżmy rozmowę o kamieniach do następnego spotkania, tym bardziej, że nie o nich chciałem mówić. Porozmawiajmy o czym innym: otóż koniecznie muszę zdobyć pewien przedmiocik, błyskotkę. Naprawdę koniecznie. Co zamierzam robić, nie twoja sprawa. Ty w krótkim czasie udasz się do pewnego kraju i poznasz pewnego człowieka. Przykro mi, ale powinnaś być dla niego równie miła jak dla mnie. I to na razie wszystko” - zakończył nieoczekiwanie.

„Jak to wszystko? Przecież obiecałeś, że się spotkamy!” - krzyknęłam, nie mogąc powstrzymać łez.

„Spotkamy się, spotkamy. Nie lękaj się, dam ci znać. Żyj sobie spokojnie z tym człowiekiem i czekaj na wieści ode mnie.”

I wtedy, Conanie, przestraszyłam się. Dlaczego muszę żyć z jakimś nie znanym mi człowiekiem? Zadałam mu to samo pytanie.

„Dlatego - szorstko odpowiedział - że małżonek twój w kwiecie wieku będzie zmuszony do opuszczenia tego świata i ty nie tylko pomożesz mu w tym, ale również odwrócisz ode mnie podejrzania.”

Pociemniało mi w oczach od tych strasznych słów. Poznałam prawdę, niestety, zbyt późno. Kochałam go... A jednak zebrałam wszystkie siły i zdecydowanie powiedziałam:

„Nie, Lee, nigdy...”.

VIII. W MANDCHATU

Droga z Kuthchemesu wydawała się Marinelli szczególnie męcząca. Tłumy pieszych i konnych przemierzały się po niej i zgiełk panował po prostu niewyobrażalny. Co chwila z tyłu i z przodu rozlegały się okrzyki: „Z drogi!” Nieraz kopyta uderzały o ziemię blisko stóp Wiecznej Dziewicy. Na domiar złego przejeżdżające obok zaprzęgi były pełne i nikt nie chciał się posunąć, żeby dać miejsce wędrującej bogini.

Pod wieczór dotarła do zajazdu. Zmęczona, z nogami pościeranymi do krwi, przysiadła przy ogniu i wyjęła wrzeciono. Złocista nie połyskiwała jak malutka błyskawica, przyciągając uwagę podróżnych, którzy zatrzymali się tu na odpoczynek i nocleg. Ich spojrzenia wydawały się Marinelli złowieszcze. W ogóle wszystko zdawało się jej dziwne: droga z Kuthchemesu i ludzie, i zajazd, i ogień paleniska, a nawet wrzeciono.

Nieznany niepokój gnębił Boginię Losów, nie pozwalając swobodnie oddychać. Niepokojne serce to zamierało, to zaczynało bić głośno, aż mogło się wydawać, że goście patrzą na nią ze zdziwieniem i nieufnością.

Niepokój nie mijał, spróbowała więc zająć się myślami o dalszej podróży do Vendhii. Tam jest inny klimat, inne obyczaje. Tam będą ją nazywać Mariam, pytać, dlaczego podróżuje sama i dlaczego ma nie zasłoniętą twarz. Kiedy będzie miała dość tych pytań, narzuci na głowę półprzeźroczysty welon i tym samym stanie się podobna do wszystkich vendhyjskich kobiet... Bywała już w Vendhii wiele razy i zawsze powtarzało się to samo.

Jednak nie udawało jej się zająć czymś innym. Jak fala sztormowa uparcie rzuca łódyczką o skały, tak jej myśl wciąż powracała do Massima. I nie było w tym żadnej tajemnicy. Do spotkania zostało mniej niż miesiąc, dokładnie dwadzieścia pięć dni. Nie chciała nawet myśleć, gdzie to się odbędzie, jak przebiegnie, czy długo potrwa. Ona to wiedziała, ale ta wiedza nie dawała otuchy i nie ujmowała niepokoju.

A przecież życie na tym się nie kończyło. Należało zapomnieć albo chociaż wyrzucić z głowy na jakiś czas, wszystkie niepokoje; oswobodzić duszę i oddech. Spotkania z Massimem nie da się uniknąć ani przyspieszyć, ani też zmienić jego przebiegu. Niech wszystko idzie tak, jak jest sązione.

*Siwizna przyprószyła mi włosy, głowę wysoko w chmurach mam,
Och, gdyby wiedzieć, że żyć będziemy - tak łatwo jest ulec złudzeniom.
Tyle chwil za nami ulotnych,*

*I do ziemi sięgają włosy moje.
Na co nam wieczność - zmęczyło nas życie w biegu.
Ja jeszcze tylko konia napoję.*

Marinella zdecydowanie potrząsnęła głową o prostych, czarnych jak noc włosach, schowała pasmo miękkich nici do torby i poszła do swojego pokoju.

Conan, zaabsorbowany opowieścią Lukrecji, dopiero w ostatniej chwili zauważył trzech jeźdźców pędzących cwałem prosto na nich. Poganiacz wrzasnął gardłowo, bijąc swojego słonia pięściami po uszach. Klemensina też krzyknęła, ale zaraz wyciągnęła z pochwy kindżał wiszący u pasa nieprzytomnego Trillego i wojowniczo uniosła go nad głowę.

Jak na złość ogromna czarna chmura podpłynęła do księżycyca i całkowicie go zakryła. W okamgnieniu cała okolica skryła się w mroku i nie tylko drogi i napastników, ale nawet własnej ręki nie było widać.

Jeźdźcy trzymali w rękach zakrzywione turańskie jatagany - ich zamiary nie pozostawały wątpliwości. Cymmerianin zeskoczył na ziemię. Zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności, rzucił się do ataku, starając się trzymać towarzyszy jak najdalej za swoimi plecami. Mógł przynajmniej bez przeszkód machać mieczem i nie bać się, że przypadkiem zaczepi o kogoś z nich.

Mimo niebezpieczeństwa w duszy barbarzyńcy odezwało się coś podobnego do radości. Dawno już nie wyjmował z pochwy swojego wiernego miecza - najwyżej żeby go wyczyścić. Poszukiwania utraconych klejnotów, zajmujące rozmowy z kobietami i temu podobne głupstwa nie dawały mu ani zadowolenia, ani spokoju. Walka, wściekła i okrutna, była jego żywiołem. Dopiero kiedy skrzyżował miecz z jataganem i usłyszał pierwszy dźwięk wspańskiej pieśni walki, której odgłos niósł się daleko i odbijał echem pewno w samym Bvadrancie, serce barbarzyńcy zaczęła bić w szalonym zachwycie.

Jeźdźcy bili się w milczeniu tylko z Cymmerianinem. Z rzadka rozlegały się krótkie okrzyki barbarzyńcy, nie po to, żeby poinformować o otrzymanym cięciu, lecz żeby dać upust radości walki.

Jakby zza zasłony dochodziło do Conana wycie poganiacza i żalony głos Klemensiny, wykrzykującej groźne wyzwiska, oraz jeszcze jakieś pojękiwania z niewiadomego źródła.

Potem całkiem blisko rozległy się przeciągłe rżenie - to pierwszy przeciwnik upadł na ziemię z poderżniętym gardłem. I wtedy, jak gdyby zapach krwi przebudził drzemiące do tej pory inne zmysły, Conan zaczął widzieć. Ciemność rozstała się przed nim. Zauważał jedynie sylwetki dwóch pozostałych wrogów, ale w walce i to wystarczy. Teraz mógł nie tyle liczyć na szczęśliwy traf, co starać się unikać cięć i ripost.

Drugi przeciwnik, który nierozważnie zwiesił się z konia, żeby dosięgnąć jataganem Conana, runął z rozplataną głową. Pozostał jeszcze jeden.

Widać i jego cieszyła dobra walka. Od czasu do czasu wydawał przenikliwy okrzyk, starając się trafić jataganem w szyję lub w piersi przeciwnika, jednak wciąż chybiał celu. Koń jego stawał dęba, chodził do przodu i do tyłu, kręcił się, tańczył, był w ciągłym ruchu.

Cymmerianin prawie nie ruszał się z miejsca. Z łatwością parował atak, nie spieszył się, rozkoszował walką i czekał na odpowiedni moment, by zadać decydujący cios. W końcu nastąpiła taka chwila. Jeździec zamarł na okamgnienie, lekko unióś się w strzemionach i wziął zamach...

Entuzjazm zwycięstwa zawładnął sercem Conana. Jego miecz wzniósł się ku czarnemu niebu. Jednak nie zdążył zadać ostatecznego ciosu; straszny krzyk powstrzymał rękę barbarzyńcy. Odskoczył od jeźdźcy i odwrócił się. Klemensina leżała bez ruchu na ziemi; rąbek księżycyca, który właśnie wyrzał zza chmury, oświetlił jej kruchą postać.

Conan wrzasnął i rzucił się ku niej.

Walka zakończyła się, jednak zwycięzców nie było. Cymmerianin z trzech przeciwników śmiertelnie ugodził dwóch, za to ten ostatni porwał Lukrecję i kamieniem rozbił głowę Klemensinie. Chwała wszystkim bogom, że dziewczyna tylko na krótko straciła przytomność i teraz patrzyła na Conana oczami winowajczyni, jakby rzeczywiście ona była powodem ataku.

Stary poganiacz, najzwyczajniej zawstydzony swoim zachowaniem, zgrabnie przewiązał młodej towarzysze barbarzyńcy rozbitą głowę. Potem, kłaniając się nieustannie, wyjaśnił z pomocą gestów i dźwięków, że przynajmniej przez ostatnich piętnaście lat takie wypadki się nie zdarzały. Pogubił się w tym wszystkim, ale gdyby walka nie skończyła się tak szybko, z pewnością ugodziłby jednego z napastników perfekcyjnym pchnięciem swojego kindżału.

Conan udał, że mu wierzy. W rzeczywistości nic go nie obchodziło tchórzostwo biednego, starego poganiacza słoni. Zapomniał o pijanym Władcy Węży i o potyczce z bandytami, i o ranie Klemensiny. Wszystkie myśli skierował ku Lukrecji. Miał dziwne uczucie, że coś poszło nie tak. Wydawało mu się, że stał się ofiarą bezczelnego oszustwa. Jeszcze nie rozumiał, na czym ono polegało, chociaż starał się przypomnieć sobie każde słowo pięknej Aquilonki, każdy jej gest, spojrzenie. Serce już znowu było w pełnej zgodzie z rozumem, więc podejrzenia nabierały wagi.

Uwolniony od czarnej chmury księżyc, naśladowując słońce, świecił tak jaskrawo, że noc przestała być czarna. Wszystko było widoczne jak w dzień, nawet w oddali. Srebro gwiazd powoli zaczynało blaknąć, bo świt już nadchodził ze wschodu. Ciszę wypełniał oddech staruszka, westchnienia Klemensiny, chrapanie Władcy Węży i pewny, płynny, miękki krok słoni. Przyroda pogrążona we śnie ani jednym dźwiękiem nie dawała znać o swoim istnieniu.

Wieczność, starsza siostra nocy, powoli unosiła się nad ziemią w lekkim jak puch i przezrystym jak powietrze rydwanie. Wiatr, groźnie wyjący daleko za górami, umilkł, gdy poczuł, że przybliżyła się świt. Nic nie zakłócało spokoju snu i ciszy.

Kołysząc się na głowie słonia, Conan dalej przypominał sobie swoje rozmowy z Lukrecją. Miał nadzieję, że odnajdzie to ziarno kłamstwa, które w zestawieniu z wszystkim innym pomoże mu odkryć prawdę. Pewnie wcale by się nie zajmował tą trudną dla niego sprawą, gdyby niepokój nie dręczył tak okrutnie jego serca. Nawet bezwiednie przesunął ręką po piersi, szukając rany, i uśmiechnął się, bo nie znalazł ani krwi, ani blizny. Za to został ból duszy, nie mniej dotkliwy niż fizyczny, a blizna na sercu z pewnością goi się znacznie dłużej.

Utwierdził go w podejrzeniach fakt, że urocza Aquilonka sama zaproponowała mu opowieść o swoim życiu. Dwakroć tę opowieść przerywała i za każdym razem do niej wracała. Wniosek - koniecznie musiała dać mu coś do zrozumienia. Ledwo jednak na to wpadł, napłynęło mnóstwo pytań. Dlaczego właśnie jego wybrała na powiernika? Czyżby budził takie zaufanie w napotkanych pannach? A może go po prostu rozpoznała? Jeśli go znała, to skąd? Conan gotów był przysiąc, że nie widział jej nigdy przedtem, aż do chwili spotkania w tawernie.

Na te wszystkie pytania nie znalazł odpowiedzi, a zresztą zbytnio się o to nie starał, ponieważ nie miał potrzebnej wiedzy, a bawienie się w domysły uważał za zajęcie bezsensowne. Nasuwały się inne zagadki: po co wtajemniczyła go w swoje sekrety, na przykład miłość bez wzajemności i morderstwo? Jakiej pomocy od niego oczekiwała? I co to za jeden ten Lee?

Barbarzyńca oblał się zimnym potem. Prawda jest całkiem blisko, tuż-tuż. Trzeba tylko przemyśleć wszystko jeszcze raz, spokojnie, bez pośpiechu... Miał pewność, że wkrótce ujawni tajemnicę i jak wytrawny vendhyjski mędrzec zaczął od nowa przypominać sobie czas spędzony z Lukrecją. Wstrzymywał oddech, jakby się bał, że z wydechem wyleci jakaś ważna myśl. Napuszył się jak indor i poczerwieniał z wysiłku, ale prawdy nie odkrył. Dopiero zbliżył się do niej. Nic więcej nie świtało mu w głowie. A prawda musi być całkiem blisko.

Oto ona - tylko brać.

Niestety, jaki tam z niego vendhyjski mędrzec. Cóż, każdy jest sobą. Chyba nie dałaby rady przerobić vendhyjskiego mędrca na wojownika, hieny na lwa, a małpy człowieka.

Uśmiechnął się. Przyjdzie czas i wszystko wyjaśni się samo. Trzeba tylko trochę poczekać. A kto umie czekać lepiej niż Conan z Cymmerii? Czyżby to zmrok Szarych Równin, Nergal go bierz...

Do Mandchattu przybyli przed południem. Zakurzone, krzywe uliczki i połączenie luksusu z nędzą zupełnie przypominały Bvadrandat. Tyle że tutaj samo powietrze cuchnęło jakimś paskudztwem, przypominającym zapach szczurzej nory. Smagłe twarze przechodniów - wszystkie co do jednej - nosiły maski niezadowolenia i smutku. Na przybyszów patrzono ze zdziwieniem, jakby jechali nie na słońcach, o na krokodylach, w dodatku nago.

Trille przebudził się w końcu i teraz, wstydząc się za wczorajszy postępek, wyśpiewywał na cały głos niewyobrażalnie nudną balladę. Nie znał wszystkich słów, więc wciąż powtarzał te same.

Conan znosił to wycie jak prawdziwy męczennik znosi tortury - zacisnął zęby i utkwiał płonące wściekłym blaskiem oczy w oddali. Postanowił ukarać Władcę Węży pogardliwym milczeniem. Jednak okazało się, że w istocie ukarał samego siebie, bo był zmuszony słuchać kocich wrzasków, od których dzwoniło w uszach, a z głowy ulatniały się wszystkie myśli.

Trille tymczasem ryczał już pełnym głosem, zachęcony milczeniem towarzyszy. Właśnie tak słucha się prawdziwego pieśniarza - w milczeniu i z szacunkiem.

Wyprostował skulone ramiona, wypiął zapadłą pierś. W tęczowych marzeniach już zbierał oklaski całego Mandchattu. Naraz silne uderzenie w ucho zmusiło go do zamknięcia się i wciśnięcia głowy w ramiona. To barbarzyńca, który nie wytrzymał już męczarni, uciszył go ciężką ręką, mruczając przy tym przez zęby okropne wyzwiska. Trille zamilkł obrażony i tak milczał już do samego zajazdu, trawiąc w sobie urazę z niejaką przyjemnością. Wtedy jeszcze nie znał teorii mędrca, która głosi, że czasami zwycięstwo daje mniej radości niż porażka. Jej potwierdzeniem było to, że do zajazdu Conan wszedł w skrajnie złym stanie ducha, a Trille - w błogim i przyjemnym.

Bez względu na stan, w jakim znajdowali się przyjaciele, natychmiast zauważyli ogromną różnicę między tutejszym karawanserajem a innymi, na przykład w Turanie. Przede wszystkim zobaczyli ogromny drewniany posąg, przedstawiający ohydny bożka Baka. Stał na samym środku sali i drażnił każdego, kto rzucił na niego nawet przelotne spojrzenie.

Naprawdę wyglądał odrażająco: pucołowaty, z wydatnym nosem, z wyrazem pobożności na strasznej mordzie i z pożądlivością w maleńkich oczkach. Na krótkim tułowiu, pod nadmiernie dużym, obwisłym brzuchem widniał malutki męski narząd, wielkości dziecięcego palca, z zamiłowaniem wytoczony z kawałka nefrytu przez sumiennego rzeźbiarza. Nogi, o dziwo normalne, najwyżej lekko krzywawe, zamiast stóp miały kopyta, a na każdym czerwieniłał kokieteryjny kwiatek z rubinu. Władca Węży nie widział w swoim życiu stwora bardziej nieprzyjemnego.

Oprócz Baka towarzysze odkryli jeszcze jedną osobliwość, która odróżniała zajazd w Mandchattu od wszystkich innych - ani piwa, ani wina tu nie podawano. Trillego, który od momentu przebudzenia się na głowie słońca marzył o łyku zimnego piwa, ogarnęło oburzenie.

Barbarzyńca musiał uspokoić go jeszcze jednym uderzeniem. Po tym despekcie Władca Węży na długo zamknął się w sobie.

A Conan ominął Baka i odszukał na trzecim piętrze właściciela, zgodnie z tradycją ukrywającego się przed gośćmi, którzy natrętnie żądali wina i piwa, podczas gdy w Mandchattu picie było zabronione prawem. Barbarzyńca wynajął u niego na dwa dni pokoje dla siebie, Trillego i Klemensiny. Pieniądzy miał w nadmiarze i mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Przy posiłku, składającym się z chleba i mięsa antylopy, Conan postanowił uchylić

rażka tajemnicy swojej podróży, bo nadeszła pora, by rozpocząć poszukiwanie Lala.

- Kto z was zna Karmashana? - zapytał surowo, jakby podejrzewając obydwójce towarzyszy o przestępcze związki z bandytą.

Nigdy nie słyszałem o kimś takim mruknął Władca Węży i odwrócił wzrok.

Nie znam go, Conanie wzruszyła ramionami Klemensina.

A Leonardasa?

Leonardasa? Znam Liniasa, był stajennym u mego ojca. I jeszcze Lirdona, co mieszkał w naszej wsi, i ...

Gwiżdżę na Liniasa i Lirdona! Pytałem o Leonardasa.

Nie, Leonardasa nie znam.

Ani ja dodał Trille.

Do licha!

Ta budująca wymiana zdań nie rozwiała wątpliwości w głowie Cymmerianina. Raz myślał o Leonardasie jako o Karmashanie, raz uważał ich za dwie różne osoby. To wydawało mu się, że Lal Bogini Losów już wypłynął z rąk złodzieja i znajduje się w kufrze jakiegoś kupczyka, to znów podejrzewał, że niegodziwy starszek astrolog zrecznie ich wszystkich nabrał, chociaż nie miał ani uzasadnionego podejrzenia, ani pewności co do czystości jego intencji.

W zamyśleniu wpakował do ust ogromny kawał mięsa, przełknął prawie nie żując, po czym wstał i ruszył do wyjścia, omal nie przewracając paskudnego Baka. Na próżno towarzysze wołali, żeby wrócił, bo strasznie się bali zostać sami w tym dziwnym miejscu.

Conan nie odpowiedział, nawet się nie odwrócił. Pewna myśl, która nagle zamajaczyła w jego zmęczonym, mózgu popychała go do przodu.

IX. NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Gdy za barbarzyńcą zatrzasnęły się drzwi, Trille i Klemensina ze smutkiem spojrzeli na siebie. Do tej pory zupełnie nic nie wiedzieli o celu podróży do Mandchattu. Teraz co prawda dowiedzieli się, że Conan szuka niejakiego Karmashana i niejakiego Leonardasa, jednak rozumieli jeszcze mniej niż przedtem.

Kim jest Karmashan i dlaczego Conan wyprawił się na koniec świata, żeby go odnaleźć? To samo pytanie odnosiło się do Leonardasa.

- Po co przywłókł nas do tej dziury? - Władca Węży zwrócił swoje retoryczne pytanie do brudnego sufitu, z żółtymi zaciekami i westchnął.

Westchnęła i Klemensina.

- A może on chce zabić tych ludzi? - ciągnął swe rozważania włóczęga. - Ale dlaczego wziął nas ze sobą? Jak moglibyśmy mu pomóc?

- O czymś zapomniałeś - uśmiechnęła się Klemensina, włączając się do porywającej rozmowy Trillego z sufitem. - To nie on wziął nas ze sobą. Sami za nim poszliśmy.

- Ja nie poszedłem.

- Poszedłeś.

Władca Węży umilkł. Oczywiście, że poszedł, i to z jakim uporem! Zasmucił się. Naraz przypomniał sobie swoją tułaczkę, czas, kiedy był samotny i nikomu nie potrzebny. Teraz wiele się zmieniło. Z czułością popatrzył na Klemensinę. To nic, że nie chciała dotknąć jego ciała, ale serce ma miękkie i intencje zawsze czyste... To nic, że barbarzyńca ma ciętą rękę i niewyparzony język, ale swoją szeroką piersią gotów jest zasłonić przyjaciela. Gdzie on po-

szedł? Trillego zaczęła palić ciekawość, a smutek zaraz wyparował z duszy. Ze zniecierpliwieniem zaszurał nogami pod stołem i zaczął wiercić się na ławie. A że dziewczyna zupełnie nie zwracała na niego uwagi, powiedział:

- Może poszlibyśmy na targ?

- Zgoda. - W tej chwili całkowicie pochłonęło ją zniknięcie Conana. Wiedziała, że barbarzyńca ma talent do ściągnięcia na siebie kłopotów, czego dowodem napad kamelity i nocna potyczka z jeźdźcami, postanowiła więc przejść się po mieście. Może spotkają Conana i gdy będzie trzeba, wybawią z opresji? Wtedy w końcu odwdzięczy mu się za uratowanie od śmierci na stosie.

Trille i Klemensina jednocześnie wstali i wyszli na ulicę.

Targ był tu dokładnie taki sam jak we wszystkich innych państwach świata. Na długich straganach, zajętych przez zamożnych handlarzy, leżały przeróżne towary. Wszędzie czuło się zachwycające aromaty wschodnich słodczy i pachnideł, tu i tam piętrzyły się stosy świeżych owoców i warzyw. Jednostajny hałas od czasu do czasu przerywał przenikliwy krzyk oszukanego lub jakiegoś oberwańca. Potoki ludzi płynęły w rozmaitych kierunkach. Kupujący popychali się nawzajem, zatrzymywali przy jednych stołach i obojętnie mijali inne. Przed namiotami wróżbitów niezmiennie stały długie kolejki.

Targ interesował Trillego tylko z jednej przyczyny - z doświadczenia doskonale wiedział, że można tu łatwo coś ukraść. Wprawdzie teraz nie potrzebował zajmować się tym mało chwalebny rzemiosłem, lecz natura domagała się swego. Wystarczająco długo - prawie miesiąc - był uczciwy. Dość. Pora wziąć się do roboty. Nie tracąc cennego czasu, zapuścił rękę do cudzej kieszeni. Chwilę potem stał się bogatszy o trzy złote.

W taki sposób Trille skończył z próżnowaniem i od razu poweselał. Smutek jakoś nie powracał, a przyjemne znużenie zawładnęło wszystkimi członkami Władcy Węży. Pragnął miłości, wina i szacunku. Żadnej z tych rzeczy dotąd nie popróbował należycie. Teraz zwrócił oczy na piękność o bujnych kształtach i rumianej twarzy o łagodnym wyrazie.

Włóczęga jęknął, czując palącą go żądzę. Zostawił Klemensinę i rzucił się na swoją wybrankę. Niestety, ledwie dotknął delikatnej szyi, czyjś groźny ryk rozległ się tuż koło jego ucha, a potem na to samo ucho zwałił się wprost z nieba hipopotam. Dopiero po kilku chwilach Trille oprzytomniał i zrozumiał, że został uderzony ogromną, owłosioną pięścią dorodnego, silnego męża, którego nie zauważył obok piękności.

Teraz tamten wrzeszczał na całe gardło, że podstępny cudzoziemiec zamierzał zadusić jego narzeczoną i że za takie przestępstwo trzeba go natychmiast wtrącić do lochu. Tego Trille absolutnie sobie nie życzył. Złapał Klemensinę za rękę i dał drapakę, przewracając wszystko na swojej drodze.

Zatrzymali się przy wyjściu z rynku, purpurowi na twarzach od szybkiego biegu i wielkiego zdenerwowania. Długo nie mogli złapać tchu i lękliwie rozglądali się na boki. W końcu Klemensina, wbijając w towarzysza wzrok pełen oburzenia, powiedziała:

- Co za giez cię ukąsił? Dlaczego nagle się na nią rzuciłeś?

- Pragnąłem miłości... - ponuro odpowiedział Władca Węży.

- Do licha! I ty to nazywasz miłością? Widziałam, dobrze widziałam, co Conan wybrał z tą lubieżną dzikuską. Tylko że to wcale nie była miłość. Enart nigdy by nie...

Na wspomnienie o Enarcie oczy dziewczyny zwilgotniały. Smutek wdarł się do jej serca, lekki i jasny jak południowy wietrzyk nad morzem. Klemensina zdusiła westchnienie.

- Tak, jestem pewna - powiedziała w zamyśleniu. - Enart nigdy...

Jej wzrok prześliznął się po długiej ulicy odchodzącej od placu targowego i...

- Enart...

- Wiem, słyszałem - mruknął Władca Węży. - Enart nigdy by się czymś takim nie zajmował. I z czego tu się cieszyć? Powiem ci, że gdyby nie rzucił się na mnie ten potwór, który

zrządzeniem losu okazał się narzeczonym ślicznotki, za nic bym nie ustąpił...

Nie zdążył dokończyć swojej myśli.

- Enart! - krzyknęła Klemensina i puściła się biegiem.

Przed zmrokiem Conan wrócił do zajazdu zły jak sto Nergali. W sali wypił duży kufel soku owocowego i poszedł na górę, do swojego pokoju.

Wyjął z worka podróznego przezornie zabraną butelkę argoskiego czerwonego i wychylił od razu połowę. Położył się na niskim tapczanie i już zamierzał się zdrzemnąć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Czego? - zapytał z przyzwyczajenia barbarzyńca.

- Conan... - w głosie Trillego, choć cichym, dźwięczały triumfalne nutki.

- Co znowu?

- Chodź... Chodź szybko do pokoju Klemensiny.

- A co tam jest ciekawego? - parsknął Conan, który nigdy nie bywał w jej pokoju.

- Coś... - zaśpiewał nadzwyczaj zadowolony z siebie Władca Węży.

- Proch i popiół...

Cymmerianin jednak poszedł, zaintrygowany chichotem włóczęgi. Oczywiście nie miał nadziei zobaczyć w pokoju dziewczyny związanego Karmashana lub samego Lala Bogini Losów. No, ale Trille chyba nie ośmieliłby się niepokoić go bez powodu.

Przyjaciele weszli do małego pomieszczenia z oknem na całą ścianę, gdzie zastali Klemensinę, ale też siedzącego obok niej przystojnego, ciemnowłosego młodzieńca, który trzymał ją mocno za rękę. Zielone oczy dziewczyny błyszczały i iskrzyły się jak nigdy przedtem, a delikatna twarzyczka okryła się prześlicznym rumieńcem.

- Conanie! - krzyknęła Klemensina. - Znalazłam Enarta! Popatrz, to mój Enart!

- Hmm... - Conan usadowił się w jedynym fotelu. - Enart, mówisz?

Podejrzliwy Cymmerianin, gdy usłyszał imię zmarłego ukochanego Klemensiny, zaraz przypomniał sobie wszystko, co słyszał o wskrzeszeniach umarłych. Mignęła mu nieprzyjemna myśl, że musiał tu zadziałać drobny czarownik, znający tajniki czarnej magii. A może wcale nie taki drobny?

Gdy jednak przyjrzał się Enartowi, odrzucił takie podejrzenia. Młodzieniec był na to zbyt żywy. Jego ciemne oczy z długimi, gęstymi rzęsami błyszczały i iskrzyły się tak samo jak u Klemensiny, a rumieńce na policzkach płonęły chyba nawet jeszcze mocniej. Uśmiechał się do Conana szczerze i promiennie. Na jego białej, czystej skórze nie było jeszcze widać zarostu. Biła z niego świeżość, dobroć i niewinność; Cymmerianin nagle poczuł się zgrzybiałym starcem w porównaniu z tą kwitnącą młodością.

- Enart, mówisz? - powtórzył przenosząc wzrok na dziewczynę. - Przysięgam na Cromę, to pierwsza dobra wiadomość w ciągu ostatnich dni.

- O, tak! - potwierdziła szczęśliwa Klemensina. - Wszystko się wyjaśniło, wcale go nie zabiłam.

- Zabiłaś, nie zabiłaś, co za różnica - wtrącił Władca Węży. - Lepiej posłuchaj, bracie, co ten Enart opowiada... Ciebie to bardzo zainteresuje.

- Tak, Conanie - przypomniała sobie Klemensinę. - Enart opowiedział o... o tym, pamiętasz? Karma... Karma...

- Karmashanie? - ożywił się Cymmerianin.

- Tak!

- Proch i popiół! No, Enarcie, co tam mówisz o Karmashanie?

- Ja go znam. - Głos Enarta był równie przyjemny jak wygląd: dźwięczny, czysty i równocześnie łagodny. - Lajna mnie do niego przywiozła, ta czarodziejka z wioski koło Kuthchemesu. Ona...

- Opowiadaj wszystko od samego początku - zażądała dziewczyna, która najwyraźniej

chciała jeszcze raz posłuchać swojego Enarta.

Młodzieniec zakłopotany spojrział na Cymmerianina.

- Niech będzie od początku - zgodził się Conan. Droga do znajomości z Karmashanem ciekawiła go nie mniej niż sama znajomość.

- A więc Lajna... Zobaczyłem ją pierwszego dnia po przyjeździe do wioski. Jeszcze raz ci mówię, Klemensino, rozchmurz się. To nie jej wygląd spowodował, że podszedłem do niej i przemówiłem, tylko oczy. Teraz nawet nie mógłbym jej opisać, chociaż widziałem ją całym niedawno. Zrozum, ojciec wysłał mnie do tej wioski, bo sądził, że muszę odpocząć od nauki. Zupełnie nie rozumiał, że nauka jest dla mnie odpoczynkiem. Nie pozwolił mi wziąć książek ani rękopisów, tylko ubrania i pieniądze. Na co mi spodnie i chleb, gdy nie mam książki?

W tym miejscu opowieści Enarta Klemensina obrzuciła dumnym spojrzeniem obydwóch swoich przyjaciół.

- Żaden wieśniak by mnie nie zrozumiał, gdybym o tym opowiedział - ciągnął młody człowiek. - Tylko w oczach Lajny zobaczyłem otwarty umysł, ciekawość życia i świata, tego co nas otacza w każdej chwili naszego istnienia na ziemi. Pomyślałem: oto jest człowiek, który pomoże mi znieść ciężki czas rozłąki z moją miłą Klemensiną i z książkami.

Podszedłem do niej i nawiązałem rozmowę. Okazało się, że Lajna jest tutejszą czarownicą. Roześmiała się i powiedziała, żebym nie myślał niczego złego; tutejsi ludzie chcą mieć czarownicę, więc ona została nią dla nich. Tak naprawdę jest normalną kobietą i różni się od innych tylko tym, że umie i lubi czytać. Później zrozumiałem, że to był podstęp. Owszem, umiała czytać i nie w jednym języku, a prócz tego ...nie wiem nawet, czy potrafię wyliczyć wszystko, co ona wiedziała i umiała. Myślę, że nauki, w których orientowała się nie gorzej od imperatorskich mędrców, nie są wam znane, przyjaciele, nawet z nazwy.

Przyznaję, byłem trochę zarozumiały i postanowiłem zadziwić ją swoją wiedzą, która wówczas wydawała mi się niemałą, z różnych dziedzin myśli ludzkiej. Słuchała mnie uważnie, a gdy się zmęczyłem, zaczęła mówić sama. Wiedziała tysiąc razy więcej niż ja.

Czerwieniąc się co chwila, zmuszałem się do zapamiętania każdego jej słowa. Co tu gadać, nawet nie wszystko rozumiałem.

Wtedy też poczęstowała mnie posiłkiem, który sama przygotowała. Wszystko oprócz wiedzy zniknęło z mojej głowy. Jeszcze tylko serce pamiętało ojca i Klemensinę, tyle że serce bez rozumu jest niczym, tak jak i rozum bez serca.

Czas płynął monotonicznie. Czytaliśmy, dyskutowaliśmy o tym, znów czytaliśmy, wracaliśmy do poprzednich tematów rozmowy, szukaliśmy i znajdowali nowe. Nabrałem pewności, że ona rzeczywiście zna się na czarach, ale się jej nie przyznałem. Wtedy, jakby mimochodem, pochwaliłem się, że na jednym bardzo starym pergaminie, który rozsypał mi się w rękach, gdy skończyłem go czytać, udało mi się znaleźć ciekawe zaklęcie.

Wymówić je głośno mógł tylko niewinny chłopiec, nikt inny. Spodobało mi się, że wysłuchała mnie tak uważnie - nie spuszczała ze mnie wzroku i wcale nie była znudzona.

„Jakie to zaklęcie, Enarcie?” - zapytała, gdy skończyłem opowieść.

„Och, nic specjalnego - zaśmiałem się. - To tylko zabezpieczenie cennej rzeczy, która ma właściwości magiczne”.

I chociaż przy tych słowach jej oczy nie zmieniły wyrazu, poczułem wyraźnie, że zainteresowałem ją bardziej, niż przypuszczałem.

„A dobrze je pamiętasz? Nie zapomniałeś ani słowa?” - dopytywała się Lajna.

„Ani słowa” - odpowiedziałem.

Tak minęło kilka miesięcy. Pewnego razu Lajna powiedziała mi:

„Wiesz, Enarcie, myślę że nie warto tracić cennego czasu na wsi. Jedźmy gdzieś. Może znajdziemy nowe książki albo rękopisy starożytnych mędrców?”

Zgodziłem się z radością. Mnie samemu już sprzykrzyło się mieszkać na wsi.

Wtedy zjawiłaś się ty, Klemensino. Na próżno dręczyłaś się i wyznawałaś skrucę. Twoje działanie nie przyniosło żadnej szkody ani mnie, ani Lajnie. Przykro mi, że musiałaś tak cierpieć. Wyobrażam sobie, jakie męki dręczyły twoją duszę, gdy nawet cię nie poznawałem. Wybacz mi, gdyby nie to ziele...

Lajna od razu wyjaśniła mi twoje nagłe pojawienie się: jesteś czarownicą i oboje musimy trzymać się z dala od ciebie. Tej samej nocy długo wymawiała jakieś zaklęcia, mieszała w kotle coś cuchnącego i pryskała tym na mnie, sądząc, że śpię. Potem obcięła mi kosmyk włosów, zakopała go koło domu i w końcu się uspokoiła. Wczesnym rankiem odeszliśmy ze wsi. Dopiero teraz dowiedziałem się o tym strasznym sędzie, który zgotowali mojej Klemensinie wieśniacy. Skąd w ich głowach zrodziła się myśl, że zabiłaś mnie i Lajnę? Mogę się jedynie domyślać - w przeddzień Lajna, do której walorów należy zaliczyć doskonałe władanie mieczem, kindżalem i łukiem, postrzeliła w lesie młodego dzika. Jego krwią było zachłapanie całe nasze podwórko. Teraz rozumiesz?

A my... Wyruszyliśmy do Mandchattu. Przybyliśmy trzy dni temu. Lajna od razu przedstawiła mnie Karmashanowi. Przyjął nas bardzo serdecznie, poznał ze swoją siostrzyczką - skończoną pięknoscią, częstował nawet winem, które jest tu zabronione. A pod koniec posiłku poprosił bez ogródek o nałożenie mojego zaklęcia na pewien przedmiot.

Ten przedmiot, powiada, prawnie należy do niego, jednak zbyt wielu jest teraz chętnych na cudzą własność. Tak, ma właściwości magiczne. Tak, rzeczywiście należy do niego i tylko do niego. Więc... obiecałem.

Po chwili namysłu zdecydowałem, że zanim wezmę na siebie taką odpowiedzialność, muszę upewnić się, czyj naprawdę jest ten przedmiot. W tym pergaminie znajdowała się przestroga, by nie używać zaklęcia dla rzeczy zagrabionej, ponieważ można przysporzyć nieszczęść sobie i właścicielowi. Wtedy wydawało mi się, że to niesprawiedliwe, no bo dlaczego sobie? Teraz tak nie uważam. Poprosiłem więc Karmashana o przedstawienie dowodu własności. Zgodził się.

Zeszłej nocy, nie mogąc zasnąć, oddawałem się wspomnieniom. Wydawało mi się dziwne, że nie pamiętam, skąd jestem rodem i kim są moi błogosławieni rodzice. Długo wierciłem się w łożu, aż w końcu rozjaśniło mi się w głowie. Przypomniałem sobie wszystko: ojca, rodzinne miasto i oczywiście ciebie, Klemensino. W mojej duszy zrodziły się wątpliwości.

„Kim jest w rzeczywistości Lajna? - myślałem. - Przyjacielem czy wrogiem?”

Potem doszedłem do wniosku, że mogła przez pomyłkę wziąć cię za czarownicę i pozbyłem się wątpliwości. O tobie jednak od tamtego momentu nie zapomniałem ani na chwilę. I oto teraz spotkaliśmy się. Jak to cudownie!

Conanie, pozwól mi podziękować za uratowanie mojej narzeczonej ... nie masz nic przeciw temu, żeby zostać moją narzeczoną, Klemensino?... Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś nie zdążyła na czas... Pewnie do końca życia nie wybaczyłbym sobie lekkomyślności i łatwowierności właściwej dziecku, ale nie dorosłemu mężczyźnie, jakim teraz jestem.

Przy tych słowach Cymmerianin uśmiechnął się, jednak głośno nic nie powiedział.

- A Karmashan, Enarcie? A Karmashan? - przypomniała Klemensina.

- Karmashan? Jest wysoki i chudy, ma ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy. Dużo się śmieje i żartuje - nie zawsze udatnie. Lubi udawać, że nie pojmuje rzeczy najprostszych, chociaż zauważyłem, że wszystko rozumie doskonale i w ogóle jest niegłupi. Odkryłem w nim pewne nieprzyjemne cechy, na przykład okrucieństwo, ale nie mam co do tego pewności. Możliwe, że się pomyliłem i że ten człowiek jest dobry i uczciwy.

- Jak się nazywa jego siostra? - zapytał Conan.

- Nie pamiętam. Chyba Lanaa może Liwina.

- Aha.

- Pamiętasz drogę, Enarcie?

- Oczywiście.

- Więc chodźmy.

Wstał, mając już pewność, że Karmashan i Leonardas to nie bracia, lecz jeden człowiek. Nie mógł się doczekać, aż Enart pożegna Klemensinę, więc wyszedł z pokoju. O wszystkim decyduje wola Mitry, ale chyba zakończenie sprawy jest bliskie...

X. ŻYCIE JEST PIĘKNE

Wlókł się przez zalaną słońcem równinę cały dzień; miał nadzieję jeszcze przed zmrokiem znaleźć sobie schronienie na noc. Niestety, wokół była najprawdziwsza pustynia. Nie tylko domu czy lepianki nie widział od wczesnego ranka, ale i drzewka, w cieniu którego mógłby ulokować się samotny podróżny. Tylko suche kłujące kępki pod nogami i w jednym miejscu skupisko żalonych, zeschniętych krzaków - oto cała przyroda tego niegdyś bogatego i urodzajnego kraju. Nawiasem mówiąc, nie był sprawiedliwy, myśląc tak.

Równina, po której teraz wypadło mu iść, była wstrętą plamą trądu na czystym i zdrowym ciele tego starożytnego państwa. Kto jak nie on, wieczny wędrowiec, ma znać jego zielone przestrzenie, gęste lasy, czyste rzeki? Zrządzeniem losu znów się tu znalazł. Jego droga wiodła przez vendhyjskie miasto Bvadrandat, Turan, Shem do ojczyzostego Argosu.

Serce dawno go tam ciągnęło i dlatego wyprawił się nie drogą okrężną, wzdłuż rzeki albo lasem, a na wprost, przez wypaloną słońcem równinę.

Nogi już odmawiały posłuszeństwa, brakowało tchu. Usiadł na gorącej, suchej ziemi, wyjął z worka manierkę z wodą i czerstwy placek. Pomarańczowe oko Mitry świeciło prosto przed nim. Zanim zapadnie noc, zdąży jeszcze przejść tysiąc kroków, lecz dokąd go zaprowadzą? Na sam środek równiny czy na jej skraj, do ludzkich siedzib?

Westchnął, strząsnął z siebie okruszyny i podniósł się z trudem. Raz, dwa, trzy... Zaczął odliczanie, żeby nie myśleć o swoim nieudanym życiu, nie męczyć siebie, nie zabijać wspomnieniami... Sześć, siedem, osiem... Życie, podporządkowane jednemu celowi, którego i tak nie osiągnął, zmieniło się w drogę bez początku i bez końca.

Nigdzie nie zatrzymywał się dłużej niż na dzień. Gnany nadzieją, szedł, szukał, pytał... Czasami jego nadzieja przybierała realne kształty. Dowiadywał się, że podmiot jego poszukiwań jest całkiem blisko, i zdązał tam. Kontynuował podróż, wysiłkiem woli zostawiając niepowodzenie w przeszłości, a do obecnego życia przenosząc tylko swoją nadzieję. Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści...

Przypomniała mu się ballada, którą kiedyś usłyszał w jakiejś turańskiej karczmie.

*Opadł wiąz... Ciężką kroplą gwiazda z nieba legła na mej skroni.
Gdyby wiedział, kogo wiezie w deszcz i w słońce mój mały konik.
Grzywą potrząsa chwacko na wietrze, nie zatrzymuje się wpół drogi.
Na mych barkach cały świat ogromny... Dalej nie chcą go nieść nogi.*

Śpiewał ją nędzny włóczęga, przygrywając sobie na lutni. Śpiewał cicho, jakby dla samego siebie. A tyle serca, tyle rozległej przestrzeni było w jego głosie i w słowach, że wszyscy goście karczmy zamarli, starając się usłyszeć wszystko i wchłonać wszystko do swoich serc.

Massimo nigdy nie miał konia. Za to miał mocne nogi i nie mniej silne ręce, krzepkie ciało i otwarty umysł. Nawet teraz, siwy i zgarbiony, mógł cały dzień spędzić w drodze, przemocować w polu, a potem znów wyruszyć w podróż. Tylko nogi były słabsze w kolanach i

oczy nie widziały tak wyraźnie... Dwieście dwadzieścia trzy, dwieście dwadzieścia cztery, dwieście dwadzieścia pięć...

Po słońcu został tylko żółty skrawek z purpurowym obrzeżem. Powiał lekki wietrzyk, niosący pył i zapach dalekich krajów. Ziemia szybko stygła pod bosymi stopami podróżnika, kroki stawały się pewniejsze i bardziej dziarskie. Promienie dziennej latarni już nie raziły i słabe oczy Massima bez trudu dostrzegły w dali niewyraźny zarys domu. Trzysta, trzysta jeden, trzysta dwa...

Wracając do ojczyzny, nie pozwalał sobie na myślenie, ile lat jego życia poszło na marne. Nie tylko nie znalazł Lala Bogini Losów, ale nawet śladu po nim nie odkrył. Zdarzało się wprawdzie, że w długie wieczory w jakimś zajeździe nagle usłyszał głośno wypowiedziane imię, które oświetlało całą jego drogę, jakąś szeptaną legendę albo mało prawdopodobny wymysł. Podchodził wtedy do opowiadającego i prowadził z nim niezobowiązującą rozmowę, ostrożnie przechodząc do interesującego go tematu.

Najczęściej nic z tego nie wychodziło - albo kłamali prosto w oczy, albo przyznawali, że nic nie wiedzą. Niekiedy ktoś wymieniał kraj, a nawet miasto, gdzie znajdował się magiczny rubin. Pełen entuzjazmu Massimo, nie tracąc ani chwili, szedł tam. I znów nic, J ani śladu.

Oprócz nadziei na znalezienie Lala, której nie utracił nawet wracając do domu, było jeszcze coś, co grzało serce w szczególnie rozpaczliwe chwile - marzenie. Wiedział, że nigdy się nie spełni, jednak pielęgnował je. To było jedyne nieracjonalne zachowanie, na jakie sobie pozwalał.

Gdy przemyślał wszystko dokładnie, stwierdził, że marzenie nie jest przeszkodą w podróży. Właśnie wtedy, gdy opuszczała go nadzieja i znikła bez śladu, a dusza spadała w pustkę bezdenną i ciemność, marzenie przywracało Massima do życia. Uśmiechał się pogodnie, wzdychał i powracała pewność - życie jest piękne. Sześćset osiemdziesiąt dwa, sześćset osiemdziesiąt trzy, sześćset osiemdziesiąt cztery...

Może teraz, kiedy jest już starcem, śmiesznie jest marzyć o spotkaniu tej kobiety, którą widział zaledwie raz, którą niegdyś pokochał, a która nie jest kobietą, lecz boginią.

Jednak Massimo nie uważał się za zupełnego starca. Broda siwa, twarz poorana głębokimi zmarszczkami, ręce ogorzałe od wiatru i zgrubiałe, ale serce - serce młode jak dawniej. Wszystkim wiadomo, że tylko młode serce potrafi kochać, a wtedy lata nie będą przeszkodą dla miłości... Osiemset trzydzieści, osiemset trzydzieści jeden, osiemset trzydzieści dwa...

Nie pomylił się. Na końcu równiny rzeczywiście stał dom. Z dużego podwórza, dwóch wozów konnych stojących opodal, dwóch pięter i światła we wszystkich oknach można było wnioskować, że to zajazd. Massimo przyspieszył kroku. Życie jest piękne. Tej nocy nie spędzi pośrodku pustyni, gdzie nic nie chroni przed wiatrem i możliwym tutaj niespodziewanym deszczem. Wypije kufel grzanego piwa, za który zapłaci jedną miedzianą monetą, i położy się na podłodze, pod ścianą, na wiązce siana albo na parcianej - nie był wybredny. Dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć...

Massimo otworzył drzwi. Ostre światło oślepiło go na chwilę. Ze środka powiało gorącym ogrzanym na noc pomieszczenia. Wszedł - tysiąc - i powiedział cicho:

- Przyszedłem, Marinello.

Trille i Klemensina okazali się niewiarygodnymi uparciuchami. Trzy razy zawracał ich Conan z drogi, zaganiając z powrotem do pokoju, i trzy razy wychodzili stamtąd i wlekli się za nim i za Enartem. Ani wściekle ryki Cymmerianina, ani prośby i upominania Enarta nie przyniosły rezultatu. Klemensina z wyrazem prawdziwie oślego uporu na delikatnej twarzyczce i Władca Węży, trzymający się za ręce, nie przestawali ich prześladować.

W końcu Conan dał spokój, poprzysięgając sobie, że prędzej wlezie do paszczy Nergala, niż kiwnie palcem, żeby ratować Trillego i Klemensinę, nawet gdy Karmashan zacznie ich

mordować. Więcej się nie oglądając, poszedł za Enartem.

Na przedmieściach miasta w jednej części wspaniałego domu mieszkał bandyta. W drugiej - gnieździł się wszelki motłoch: złodzieje, grabieżcy, paserzy. Noc już otuliła ziemię i jasne gwiazdy świeciły na czarnym niebie, gdy Cymmerianin w towarzystwie Enarta podszedł do otwartych na oścież wrót. Chyba nigdy ich nie zamykano, bo mieszkańcy wchodzili i wychodzili dzień i noc bez przerwy.

Tutaj Conan rozstał się z Enartem, polecając mu wracać do zajazdu i, jeśli to będzie możliwe, zabrać ze sobą Klemensinę i Władcę Węży. Sam zaś przeszedł przez bramę i skierował się ku masywnym drzwiom w lewym skrzydle budynku. Stąd postanowił przedostać się na połowę zajmowaną przez Karmashana, licząc, że zgubi się w tłumie mieszkańców.

A tutaj trwała kolejna nocna hulanka. Wrzaski, fałszywe śpiewy, wyzwiska i jęki dochodziły zza wszystkich drzwi. Pijane typy snuły się po korytarzu, przytrzymując się ścian. Co i rusz ktoś z dzikim skowytym wylatywał z pokoju i padał na podłogę, kopiąc nogami ze złości lub w hysterii.

Conan spokojnie przeszedł do końca korytarza, potem skręcił w inny, wąski i ciemny, i znalazł się w ślepych zaułku. Niewielkie okienko pod samym sufitem patrzyło prosto w czerni nieba. Nie było widać ani gałęzi, której można by się przytrzymać, ani daszka, na którym można by stanąć. Pewnie trzeba będzie wspinać się po ścianie... Enart mówił, że o ile pamięta, okno pokoju Karmashana znajduje się w samym rogu budynku. Conan był akurat pod nim, tylko w środku budynku, a nie na zewnątrz.

Nie zamierzał tracić czasu na zastanawianie się, a i nie było nad czym się zastanawiać. Jest okno, za nim ściana, a wyżej - jeszcze jedno okno. Złapał się ramy, bez trudu podrzucił do góry swe potężne ciało i wcisnął się w otwór.

- Hej, przyjacielu, czyś ty aby nie zbłądził? - Rozległ się za plecami Cymmerianina ironiczny głos. Conan odwrócił się gwałtownie, równocześnie zeskakując i wyciągając miecz.

- Nie bądź taki popędliwy - zaśmiał się ochryple posiadacz tego samego głosu. - To ja, Elerio, nie poznajesz?

Conan opuścił miecz. Nie zdążył jeszcze nikogo zauważyć w półmroku, gdy czyjeś żyłaste ręce złapały go za ramiona.

- Elerio? Proch i popiół! - ryknął barbarzyńca i mocno klepnął potężną ręką plecy starego przyjaciela. - Szukałem cię przez cały dzień.

- Już dawno nie jestem na służbie - odpowiedział ze smutkiem Elerio. - Ten pies Karmashan wciągnął mnie w swoje brudne sprawy, umieścił w tym gnieździe zmij i... No, dość o mnie, a ty skąd się tu wzięłeś? Idę korytarzem i patrzę: kto to taki? U nas nie ma nikogo tego wzrostu i tej postury.

Conan powiedział Lukrecji pół prawdy o poszukiwaniu w Mandchattu starego przyjaciela z kasty kratryjców. Rzeczywiście zamierzał go odszukać i z jego pomocą odnaleźć Karmashana. Wyszło zupełnie inaczej - stracił cały dzień na jałowe poszukiwania Eleria.

Pyszałkowaci kratryjcy twierdzili, że już dawno go nie widzieli, a słudzy tylko kręcili głowami i wzdychali.

- Tutaj mieszkasz?

- Mieszkam... Niech mnie Nergal porwie. I Karmashan też. Doprawdy, to spotkanie urządził chyba sam Mitra, któremu znudziły się nikczemne sprawki Karmashana.

Conan, czując, że jego ponury nastrój szybko się ulatnia, opowiedział przyjacielowi o celu swojej wizyty i otrzymał propozycję pomocy. Potem udał się za nim tym samym korytarzem na pierwsze piętro, a stąd po spiralnych schodach na drugie. Następnie przez okno znowu na pierwsze i w końcu znaleźli się w małym, ciemnym pokoiku przesyconym zapachami drogich pachnideł.

- Spójrz, Conanie - szepnął Elerio, pociągając przyjaciela za rękaw. - To dymnik, nikt o nim nie wie... Oprócz mnie.

- A ty skąd wiesz?

- Pięć lat ochraniałem tego drania... Powierzał mi swoje tajemnice i obiecywał złote góry... potem, w bliżej nie określonej przyszłości, kiedy sam będzie potężny i wielki. Byłem głupi. Już wtedy wiedziałem, że wielkim można się urodzić, można też nim zostać, pod warunkiem, że ma się to „coś”. Karmashan jest podły i niktzemny, a ja byłem głupcem. Tylko ostatni głupiec mógł uwierzyć, że on będzie wielki...

- Chętnie porozmawiam o wielkości i o czym tylko zechcesz, ale potem - z uśmiechem rzekł Conan. - Teraz muszę go zobaczyć.

- To nierozsądne. - Nawet w ciemności było widać, że Elerio zachmurzył się. - Najpierw posiedź przy dymniku, posłuchaj, o czym rozmawia ze swoimi dziewczkami. A raczej wiedźmami, powiadam ci. A gada z nimi każdej nocy. Z pewnością usłyszysz coś pożytecznego.

- Niech będzie, jak chcesz - po namyśle powiedział Cymmerianin.

Sam też zamierzał najpierw rozejrzeć się, a dopiero potem wziąć do dzieła. Z początku zamierzał odesłać Eleria, jednak gdy on tak szczerze starał się pomóc, pozwolił mu zostać. Jest wiernym druhem; Conan wiedział to od tych sławnych dni w Turanie, kiedy razem z Chawratem i Nevidą Hurattim służyli jako najemnicy.

W tej chwili za ścianą rozległ się trzask, a potem gdaczący, nieprzyjemny głos.

„To on” - Conan raczej domyślił się z ruchu warg Eleria niż usłyszał. Bezszelestnie podszedł do dymnika, oparł się ramieniem o ścianę i zamarł, chłonąc każde słowo dochodzące z sąsiedniego pokoju.

- Zamknij drzwi, Lajno - mruknął z niezadowolaniem Karmashan, głośno odsuwając krzesło i siadając. - I nalej mi wina.

- Białego? - zaszemrał nieznany żeński głos.

- Oczywiście, że białego. Uff! Gdzie to podział się ten chłoptaş? Jeszcze mu dowody pokazuj! Jak myślisz, Lajno, jeśli własną ręką napiszę, że rubin jest mój, to uwierzy?

- Jeśli jeszcze postawisz wielką pieczęć Królestwa Mandchattu, na pewno uwierzy. On we wszystko wierzy. To niepojęte, jak łatwo go oszukać.

Ciche pukanie do drzwi oznajmiło o przybyciu kogoś jeszcze.

- Aa, to ty, Lawinio! - Karmashan był ukontentowany. - Znalazłaś swojego barbarzyńcę?

- Znalazłam zajazd, gdzie zatrzymał się ze swoimi ludźmi - odpowiedział ostry, zrędlivy głos, w którym Conan z najwyższym zdumieniem rozpoznał aksamitne nutki głosu Lukrecji.

A to wiedźma!

- Teraz nie ma tam nikogo z nich,

- A gdzie są?

- Powiem ci, Lee, tylko... Boję się, że zepsuję ci nastrój.

- No trudno, wał.

- Bezatr opowiedział mi...

- Co znowu za Bezatr?

- Sługa z zajazdu, wieczny podsłuchiwaniec i podglądacz. Podsłuchał dziś bardzo interesującą rozmowę. Dziewuszka, która nazywała mnie lubieżną autochtonką, znalazła swojego Enarta. Lajna, siostrzyczko, a przysięgałaś, że on nigdy sobie jej nie przypomni! No i przyprowadziła go tam. On zaś wszystko opowiedział Conanowi.

- Dureń... - wymamrotał zamyślony Karmashan. - Nergal z nim. Obejdę się bez zakłęcia.

- Lee, ale skoro wydobyłeś rubin z dziupli... - zaczęła Lukrecja, ale zaraz powstrzymał ją gniewny krzyk:

- Milcz!

Bandyta gwałtownie odsunął krzesło i zaczął biegać po pokoju.

- Milcz, głupia! Zapamiętaj sobie: ściany też mają uszy! - Gdyby Karmashan wiedział, jak bardzo ma rację! - I w ogóle zapomnij o rubinie, Nie ma go! Nie ma!

Wyczerpany opadł na krzesło. Zapanaowało milczenie, w którym wyraźnie było słychać ciężki oddech bandyty.

Teraz Cymmerianin miał chwilę czasu na refleksję: a więc Lukrecja - czyli Lawinia - była w domu Serwusa Narota z małżonkiem, później zdradziecko zabitym. Na razie jeszcze pozostawało zagadką, kto poderżnął gardło biedakowi Terenco - ona czy sam Karmashan, zwany wtedy Leonardasem. Conan podejrzewał, że mimo wszystko ona. Nie bez przyczyny nazywała siebie morderczynią i opowiadała mu o udziale w strasznym przestępstwie, chociaż łąć to ona potrafi. Kto by przypuszczał, że piękna Aquilonka okaże się do tego stopnia przezorna, wyrafinowana i sprytna? Sentymentalne historie o nieodwzajemnionej miłości, o miłym Lee, który okazał się bandytą Karmashanem, błagalny wzrok i prośba o pomoc. A w domu rycerza - gra w miłość z tłustym Terenco, omdlenie przy jego ciele, wyznanie „prawdy” małemu Gwidowi. Zaiste, prawdziwa komediantka...

- To znaczy, że nie mogę teraz liczyć na Enarta? - ponuro upewnił się Karmashan.

- Chyba nie... - To powiedziała Lajna. - Można przyprowadzić tutaj jego dziewczuszkę i nastraszyć.

- To zbyt duży kłopot - skrzywił się bandyta. - Nie chcę. Zrobię coś innego...

- Co? - jednym głosem zapytały obie jego panny.

- Gdy wszędzie słońce, powiem Lalowi Bogini Losów swoje życzenie. Nie ma sensu czekać. Zresztą na co czekać? Życie jest piękne, a ja zamierzam wziąć z niego wszystko co się da i to jak najszybciej.

- Och, Lee... - stłumionym głosem wychrypiała Lawinia. - A co ze mną?

- O ciebie też się zatroszczę - rzucił niedbale Karmashan. - I o ciebie, Lajna, też. Należ mi jeszcze wina.

- Przecież mówiłeś, że nie wypowiesz Lalowi swojego życzenia, dopóki nie zakończysz wszystkich swoich spraw. - Zdaje się, że Lajnie nie podobał się ten pośpiech.

- Już to zrobiłem. Terenco, znający moje drugie imię, spaceruje po Szarych Równinach, w Mandchattu ostatecznie ustanowiłem taki porządek, jaki chciałem, wy, moje dziewczyny, jesteście ze mną. Czego mi jeszcze potrzeba? Jednej tylko rzeczy nie zdążyłem dokonać: w tym papirusie, który mi tak uroczyście wręczyła twoja ciotka, Lawinio, przeczytałem, że na mojej drodze stanie dziki barbarzyńca z dalekiej Cymmerii. Próbowałem zabić go w oberży, lecz poszczuł na mnie i moich chłopców węże. Potem z twoją pomocą, Lajno, zrzuciliśmy na niego kamelitę, ale przeklęty włóczęga uratował go znowu! W końcu napadłem na niego zeszłej nocy... Jest silny jak tur. Gdyby Lawinia nie rozbiła głowy tej dziewczusce, to z pewnością wysłałby mnie na kontynuowanie zabawy do Terenca i wielu innych na Szare Równiny... Tej sprawy jeszcze nie zakończyłem, więc... - Karmashan westchnął i zamilkł na moment. - Więc zakończę teraz.

Zaraz potem silne uderzenie zatrzęsało ścianą, za którą stał Conan. Po chwili gruz posypał mu się pod nogi, a w powstałej dziurze pojawił się długi, chudy mężczyzna o jasnych oczach nabiegłych krwią i ciemnych włosach.

- No, barbarzyńco, pogadamy?

XI. CZARY MIŁOŚCI

Zaprowadziła go na górę, do swojego pokoju. Długo patrzyła w jego dobre, trochę wyblakłe oczy. Widziała w nich swoje odbicie i ze smutkiem stwierdziła, że sama staje się jakby młodsza.

- Massimo - powiedziała, chcąc po prostu usłyszeć jego imię.

- Jesteś śliczna - uśmiechnął się. - I jak dawniej młoda. Wiesz, a jednak nie znalazłem twojego Lala. Dziwna rzecz, tyle razy wydawało mi się, że już prawie mam go w rękach, i znów niepowodzenie...

- To nic. - Marinella też się uśmiechnęła, choć ciężar na sercu stał się nie do zniesienia.

- Teraz już mi wszystko jedno. Zobaczyłam cię i mogę odejść do wieczności. Jestem wolna...

- Ale ja nie chcę! - krzyknął i wyrwał ręce z jej dłoni. - Ja nie chcę, żebyś odeszła. Całe życie czekałem na nasze spotkanie. Chciałem, żeby nie było smutne, a ty mówisz o odejściu.

Marinella nie odpowiedziała. Nie odrywała oczu od Massima, a serce, jakby nappełniało się roztopionym ołowiem, stawało się coraz cięższe. Czekwała na cud. Wierzyła niezachwianie, że jeśli się bardzo pragnie - tak jak ona - to cud na pewno się zdarzy. Nie dlatego, że była boginią, ale dlatego, że kochała.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - cicho zapytał Massimo, zauważając w jej spojrzeniu jeszcze coś oprócz miłości.

Marinella w milczeniu pokiwała głową. Cud się zaczął. Już czuła jego zbliżanie się, domyślała się tego, bo serce drżało, a nogi i ręce słabły.

Wieczna Dziewica bacznie przyglądała się jaśniejącym oczom Massima, jego gęstniejącym włosom, twarzy, na której skóra powoli się wygładzała, rękom, z których zniknął wżarty kurz drogi i ze wszystkich sił próbowała powstrzymać szczęśliwy uśmiech. To chyba cud! Massimo staje się młody! Jeszcze tego nie wie i patrzy na nią zdziwiony, ale zaraz zorientuje się po jej spojrzeniu. Już się zorientował.

- Marinello, co się stało? - zapytał, podnosząc na nią zdumione oczy. - Moja skóra zrobiła się gładka i czysta... Ja....

- Tylko na jedną noc. Tylko na jedną noc, mój Massimo - odpowiedziała Wieczna Dziewica, mimo wszystko uśmiechając się radośnie jak nigdy przedtem. - I tej nocy będziesz mój.

Czasami, marząc o Massimo, bała się, że zobaczy grymas rozczarowania na jego pięknej, dobrej twarzy na wieść o jednej tylko nocy. Jak śmiała tak o nim myśleć!

W odpowiedzi uśmiechnął się do niej świetliście i radośnie. Gorąca fala nigdy nie znanego szczęścia zalała serce, które zabiło mocno i swobodnie. Jeszcze chwila i przed nią siedział nie zmordowany drogą starzec, lecz ten sam dwudziestoletni młodzieniec, którego poznała w oberży w Argosie wiele lat temu. Marinella pozbyła się wątpliwości. Cóż to za różnica - jest człowiekiem czy nie, jeśli w jej sercu żyją tylko najzwyczajniejsze, najprawdziwsze ludzkie uczucia. Kocha i jest kochana. Czego więcej trzeba, żeby być szczęśliwą? Niczego.

Widać tak samo myślał młody Massimo. Wyciągnął do niej rękę i z czułym uśmiechem pochylił się do jej ust... Wieczna Dziewica pomyliła się - żeby być szczęśliwą, trzeba jeszcze takiego pocałunku i, jeśli można, jeszcze jednego. I jeszcze... Odsunęła się od niego - na chwilę, tylko po to, by zgasić świecę. Potem znów przytuliła się do szerokiej piersi swojego jedynego mężczyzny. Tylko jedna noc? Niech tak będzie.

Massimo zajrzał jej w oczy, w których błyszczały dwa malutkie krążki księżyca. Potem zbliżył gorące usta do jej ucha.

- Tylko jedna noc? - wyszeptał, obejmując ją jeszcze mocniej. - Niech tak będzie.

Z wyglądu Karmashan wydawał się znacznie młodszy, niż to sobie wyobrażał Conan na

podstawie opowiadań. Skórę miał gładką, białka jasnych oczu czyste, a zęby równe i białe. Patrzył barbarzyńcy prosto w oczy i obrzydliwie rechotał.

- Pogadamy! - ryknął barbarzyńca, dobywając swojego wiernego miecza.

Jednak do bójki nie doszło. W tej samej sekundzie podłoga pod jego nogami rozstała się i runął w czarną, wilgotną przepaść, odprowadzany odrażającym śmiechem, podobnym do szczekania rozhisteryzowanego psa.

Jeszcze spadał, gdy otwór nad nim zamknął się z trzaskiem. Kamienna płyta oddzieliła go od całego świata. Podarowała mu też ciszę - a bardzo jej potrzebował, bo serce omal nie eksplodowało mu ze złości i nienawiści. Conan jak kot wylądował na czworakach i natychmiast zerwał się na nogi, wystawiając w ciemność miecz.

W całkowitej ciszy słyszał tylko swój ciężki, przerywany oddech. Gdyby wściekłość mogła rodzić prawdziwy ogień, Conan z pewnością wydychałby teraz płomień. Wpadł! Wpadł jak nieopierzony młodzik, który dzień wcześniej po raz pierwszy wziął broń do ręki. Nie chciał wierzyć, że Elerio go zdradził, jednak wszystko na to wskazywało. Właśnie on, jego stary przyjaciel, przyprowadził go do tego pokoju. To on namówił go, by nie wszczynać bójki z bandytą, ale najpierw podsłuchać jego rozmowę z dziewczkami. Gdzież on teraz jest? Cymmerianin dobrze pamiętał, że stał za jego plecami.

Jednak, mimo wściekłości i poniżającej bezradności, Conanowi zrobiło się wstyd. Nie powinien tak myśleć o Elerio. Tak, był na usługach Karmashana, ale mało to różnych niezrozumiałych ludzkich postępów?

Barbarzyńca usiadł na ziemi i zagłębił się w rozmyślaniach o swoim obecnym położeniu. Jest w niewoli. Co zamierza zrobić z nim bandyta, pewnie wie tylko Nergal - jego cuchnący ojczulek. Za to doskonale wiadomo, co chce zrobić z Lałem Bogini Losów: zażądać jakiejś niegodziwości, która bez wątpienia przyniesie masę nieszczęść miastu Mandchattu i, być może, całej Vendhii. Kiedy nastąpi ten bezbożny akt? Rano. Nie można zwlekać, trzeba działać.

Conan zaczął badać dłońmi ściany, szukając choćby maleńkiej szczeliny, w którą można będzie wsunąć miecz i obłuzować kamienie. Jednak pod palcami była tylko jednolita, gładka powierzchnia. Wtedy zaczął oglądać podłogę, ale też bez rezultatów. Oczy szybko przywykły do ciemności, więc spojrzał na sufit, jednak i on był gładki. Nawet jeśli istniał właz, teraz nie był widoczny. Prawda, która objawiła się barbarzyńcy, była nieprzyjemna i denerwująca: Karmashan złapał go do kamiennego worka.

Conan usiadł na podłodze i w myślach próbował przeglądać rozmaite sposoby ratowania najpierw siebie samego, a potem Lala Bogini Losów. Jednak w głowie miał zupełną pustkę.

Zdaje się, że Serwusowi Narotowi przyjdzie długo czekać na swój skarb... Cymmerianin uśmiechnął się niewesoło. Coraz wyraźniej docierało do niego, co Karmashan chce z nim zrobić - nic szczególnego, po prostu zostawić w tym kamiennym worku. Już czuł, że brakuje mu powietrza. Co będzie potem - łatwo sobie wyobrazić. Szkoda, że nie udało mu się na koniec chociaż plunąć w roześmianą gębę mieszańca...

Conan nadstawił uszu. W absolutnej ciszy usłyszał nagle jakiś dźwięk. Chyba to mysz skrobie w kącie. Cóż, jeśli potrafi tu przedostać się mysz, wydostanie się stąd człowiek.

Zerwał się, wciąż nadśluchując, i wpatrzył się w mrok. Próbował określić, skąd pochodzi szmer, gdy nagle całkiem blisko, za plecami rozległ się głos:

- Conan! Conanie!

Cymmerianin odwrócił się gwałtownie. Oczekując podstępu, podszedł do ściany i dotknął jej palcami. Wtedy mur odjechał od niego, odsłaniając czarną jak paszcza Nergala szczelinę. Powiało stamtąd piwnicznym chłodem i zgnilizną. Po chwili w szczelinie ukazała się rozczochrana głowa Eleria.

- Czego stoisz jak słup? - powiedział ze złością. - Właz tutaj, no, prędzej. Żywo, żywo!

Conan chrząknął, schował miecz i dał nura w otwór. Usłyszał, jak ściana za jego plecami ze skrzypieniem wraca na miejsce, dzieląc ciemność na dwoje. Z jednej dopiero co wyszedł, w drugą właśnie wkroczył. Jednak ten mrok wdawało się znacznie przyjemniejszy, bo nie był zamknięty w czterech ścianach. Ponadto przed nim szedł Elerio i chociaż przy każdym kroku wypływał straszne przekleństwa, dla Conana nie było przyjemniejszych dźwięków.

Szeroki i ciemny korytarz nie miał końca. Skracał w prawo, jeszcze raz w prawo, potem w lewo i nagle przekształcił się w ziemiankę, gdzie człowiek musiał iść wygięty w paragraf. Dalej korytarz wyrównywał się i rozszerzał. Kiedy w dali mignęła jasna plama, Elerio przyspieszył kroku.

- Skąd to światło? - Conan przerwał nie kończący się potok przekleństw.

- Ranek - lakonicznie odpowiedział przyjaciel.

Barbarzyńca drgnął. W tej chwili gotów był raczej otrzymać pchnięcie mieczem w wątrobę niż usłyszeć to słowo. Już rano... Może Karmashan wydobył Lal Bogini Losów i zaczął wygłaszać swoje podłe życzenie. Conan był wściekły na siebie, na swoją beztroskę, która pozwoliła bandycie pozbyć się go na całą noc. Odepchnął Eleria i poszedł przodem, rozcinając mrok potężnym tarsem i deptając mlaskające błoto mocnymi nogami. Światło było już całkiem blisko. Po krótkim czasie obaj wydostali się z tunelu.

Pierwsze, co Cymmerianin zobaczył, wpędziło go w bezsilną złość. Słynna trójca: Trille, Klemensina i Enart, z niewinnymi uśmiechami na twarzach, stała pod rozłożystym kasztanem.

- Proch i popiół! - zagrzmiał Conan. - Wynoście się!

- Poczekaj, bracie. - Głos Władcy Węży brzmiał tajemniczo. - Popatrz no tutaj...

Jak wytrawny sztukmistrz włożył rękę do worka i wyjął stamtąd... Chabrowe oczy barbarzyńcy w ciągu jednej chwili trzykrotnie zmieniły barwę, a serce zatrzymało się i znów zabiło jak szalone, aż musiał przycisnąć rękę do piersi, żeby chociaż trochę uspokoić. Nic dziwnego - na dłoni Trillego najspokojniej leżał cały i nie uszkodzony Lal Bogini Losów.

- Skąd? - stęknął Cymmerianin, nie mogąc oderwać oczu od kamienia.

- Ha! - Chwila triumfu minęła i włóczęga oddał skarb przyjacielowi. Potem zaczął szybko opowiadać o swoim wyczynie. - Czekaliśmy przy bramie. Nagle przybiegł Elerio i powiedział, że Karmashan zrzucił cię do piwnicy, a sam...

- Eee... - przerwał mu Elerio. - Nie złość się, Conanie. Wyjawiłem im twój sekret o Lalu... Co innego mogłem zrobić? Przecież są twoimi przyjaciółmi.

Conan przyjął z uśmiechem zagmatwane wyjaśnienia starego druha, jednak nie złościł się.

- No więc - kontynuował Władca Węży - Klemensina i Enart poszli z Eleriem szukać podziemnego przejścia...

- Nikt o nim nie wie oprócz mnie - znów przerwał Elerio, dumnie patrząc na Conana.

- No więc... Oni poszli szukać tunelu, a ja tymczasem wezwałem moje kochane węże i kazałem im odszukać w pewnej dziupli ten rubin. Nie ma nic łatwiejszego! Czekałem tylko ćwierć nocy i co? Jeden śliczny i miłutki gadzik przyniósł mi kamień...

- Podziękuj swojemu miłutkiemu gadowi w naszym imieniu - powiedział uprzejmie Enart. - Conanie, czy nie czas zbierać się stąd?

Cymmerianin ocknął się. Lal Bogini Losów błyszczał w jego ręku. Przyjaciele, żywi i weseli, stali obok. Monety rycerza dźwięczały w sakiewce - czego jeszcze potrzeba do szczęścia?

- Tak, na was już czas - oświadczył twardo, chowając magiczny kamień do swojej torby. - Czekajcie na mnie przy zachodniej bramie, ja zaraz...

Odwrócił się i pomaszerował w stronę domu Karmashana, nie zwracając absolutnie uwagi na rozpaczliwe okrzyki przyjaciół, bo do szczęścia było mu potrzebne jeszcze coś.

- Och, jak ja cię kocham! - usłyszał zza drzwi pokoju. - I ja, ja też cię kocham!
- I ja was kocham - niemrawo odpowiadał Karmashan. - Jeszcze jak kocham... Moje najdroższe, napijcie się mojego winka! Pamiętasz, Lajna, nauczyłaś mnie robić wino. Więc zrobiłem.

- Och, jak cudownie! - W głosie Lajny brzmiało zadowolenie: Karmashan przygotował wino według jej przepisu, to znaczy, że kocha ją bardziej niż Lawinię.

- To wypij, jeśli cudownie. Widzisz w rogu na stoliku karafkę z żółtego szkła? Nalej sobie i Lawinii.

- A tobie?

- Nie chcę. - Bandyta ziewnął. - Mam dość... Teraz pójdę po Lala i...

- I nie znajdziesz go! - Barbarzyńca nogą otworzył masywne dębowe drzwi i wtargnął do pokoju z mieczem naszykowanym do ataku. Nie patrzył na odrażającą komediantkę Lawinię i tym bardziej na nie znaną mu Lajnę. Jego wzrok, płonący wściekłością i pełen pogardy, był skierowany na Karmashana.

Ten wstał. Conan z mściwą radością dostrzegł strach i zakłopotanie na jego twarzy. Trwało to wszystko kilka chwil jedynie.

- Aaa, to ty. Przysięgam na zadek Baka, pewnie się tu nie obyło bez mojego dobrego druha Eleria. On jeden znał podziemne przejście. Więc co tam mówiłeś o Lalu? Czemu to miałbym go nie znaleźć?

Cymmerianin nie zamierzał podejmować rozmowy. Przyszedł, żeby zabić bandytę, a nie na pogawędkę. Podeszedł do ściany, na której gęsto wisały wszelkie możliwe rodzaje broni, zdarł z niej długi miecz z brązu i rzucił Karmashanowi.

- Ach, jakie to szlachetne! - zaśpiewał zbój, zręcznie chwytając miecz i ze wstrętnym chichotem cofając się o kilka kroków.

Jednak Conan nie dał wywieść się w pole. Nie zmylił go ten chytry wybieg dla osłabienia uwagi, żeby potem zniemacka rzucić się i pchnąć przeciwnika w brzuch. Tym samym bandyta uniknąłby walki i zabił wroga bez żadnych problemów.

Tak też i Karmashan postąpił. Gwałtownie przerwał śmiech, wystawił przed siebie miecz i ruszył w kierunku barbarzyńcy, który już czuł śmierć w powietrzu, tylko na razie nie wiedział czyją... Krzyki kobiet zagłuszyły wściekły ryk bandyty.

Cymmerianin z szybkością błyskawicy wznosił w powietrze miecz i uderzył w głownię miecza przeciwnika. Ciężka broń wysliznęła się ze spoczonej dłoni i z hukiem upadła na podłogę. Karmashan zaklął, jak sęp spadł na nią i po chwili znów był gotów do walki.

Conan już czekał na niego. W zwykłej potyczce nie podarowałby ani chwili wrogowi na podniesienie miecza, ale to nie była zwyczajna walka. Przeciw istocie demonicznej wystąpiła ludzka. Barbarzyńca nie mógł przekroczyć granicy i znaleźć się po jednej stronie z Karmashanem, który nie przepuściłby okazji do zadania ciosu w plecy. Potem odwiódł rękę z mieczem i czekał.

Długa, chuda postać ruszyła na niego. Na klindze zamigotał blask świecy stojącej na stoliku. Conan i ten atak sparował. Nie chciał kręcić się i skakać po pokoju ku uciesze kobiet. I znów ciężki brązowy miecz wypadł z ręki bandyty. Stanowczo nie wiodło mu się.

Zaraz też po raz trzeci był gotów się bić. Uniósł broń, ale teraz nie rzucał się na przeciwnika, tylko stał naprzeciw niego, pochylony do przodu na szeroko rozstawionych nogach. Walka się zaczęła.

Wściekłość i nienawiść skoncentrowały się na czubkach mieczów, zlewały w jedno i wlatywały w powietrze. W chabrowych oczach płonął ogień złości, w jasnoniebieskich rozrósł się do prawdziwego ogniska. Raz po raz walczący krzyżowali broń. W ciosy wkładali nie tyle siłę mięśni, ile uczuć, które były nieporównywalnie potężniejsze. Conan znowu przekonał się, że ma przed sobą wprawnego wojownika. Karmashan jakby złączył się ze swoim mieczem i teraz można było wyrwać mu go tylko razem z ręką. W tej pierwszej potyczce w

oberży ohydneho staruszka i w drugiej na równinie między Bvadrandatem a Mandchattu, a także teraz Conan był pewien swojego zwycięstwa.

Nagle koścista gęba bandyty, migająca mu przed oczami białą plamą, w dziwny sposób przekształciła się w zupełnie inną, o odmiennych rysach i odmiennym wyrazie. W mistycznym przerażeniu barbarzyńca drgnął i przepuścił jeden cios. Krew chlusnęła mu na nogi i na podłogę. Za to czary minęły i znów widział Karmashana, a nie tamtego strasznego demona z przeszłego życia, z którym spotkał się w prawdziwie śmiertelnym boju...

Gniewnie rycząc, Conan odparł następny atak bandyty. Potem uderzył sam. Jednak, ku jeszcze większemu zdumieniu, ujrzał znów innego przeciwnika. Czy to Nergal czy podstępny, okrutny Set stroi sobie z niego takie straszne żarty, nie wiedział. W głowie już zaczęły plątać się myśli. Z kim teraz prowadzi walkę? Z dwoma wrogami? Z jednym Karmashanem? Z jednym Debem Abdarrachem? Właśnie wstrętna morda Deba z jego niewiarygodnie czarnymi jak mrok królestwa zmarłych oczami majaczyła teraz przed nim. Ale przecież go zabił! To było dwa lata temu!

Przepuścił jeszcze jeden cios i koszula na brzuchu zabarwiła się szkarłatem. „Demon - wyszeptał jak w gorączce. - Demon.”

Jeden z najstraszniejszych jego wrogów, potwór zrodzony z oddechu Seta, stał przed nim jak żywy i bił ręką Karmashana. Barbarzyńca wpadł w popłoch. Machinalnie parował ciosy, prawie nie atakując. Teraz cały, od szyi do pięt, był zalany własną krwią. Nie czuł ran i poruszał się w półmroku pokoju jak zombie, nic nie widząc i niczego nie pragnąc.

„Conan! Conan! Conan!” Jakby we śnie słyszał czyjś głos - taki znajomy i taki obcy.

„Conan!”

Mgła, która zasłaniała mu oczy, zaczęła rzednąć. I znów:

„Conan!”

Potrząsnął głową. Zdaje się, że poznaje ten głos... Oczywiście! To Niza - stara czarownica z lasu u podnóża Gór Rabiryjskich woła go tak natrętnie. Czego ona chce?

Obojętność, która skuła nogi i ręce Cymmerianina, minęła. Zobaczył wyraźnie Karmashana. Uniósł miecz ręką już nie wątłą jak u słabego starca, lecz silną i potężną. Opuścił go na wroga. Zwierzęcy jęk, przechodzący w zatrważający krzyk, wstrząsnął nim do głębi.

Ciemna krew jak fontanna trysnęła we wszystkie strony, ochlapując podłogę, ściany, sufit. Chuda postać złamała się w pół i upadła. W tej chwili Karmashan przestał istnieć.

Conan opuścił miecz i spojrzał na martwego bandytę. Potem z roztargnieniem rozejrzał się wokoło.

Lajna i Lawinia siedziały bez ruchu na fotelach; oczy miały wbite w sufit. Usta otwarte, ręce bezwładnie zwisały po bokach. Cymmerianin bez zdziwienia wzruszył ramionami. Od razu domyślił się, co się stało. Karmashan otruł obie swoje współpracowniczki winem. Tylko dlaczego? Naprawdę jeden Nergal zrozumie tego wyrodka.

Conan jeszcze raz wzruszył ramionami, wytarł luksusową kapą krew z miecza i wyszedł z pokoju.

XII. POŻEGNANIE

Trille kategorycznie odmówił powrotnej podróży na słońcach. Kupił na bazarze potężnego, cętkowanego konia dla Conana i bufaną klacz dla siebie. Dla pozostałych, opanowany napadem chciwości, nabył tylko dwa muły i wóz. Zresztą im było obojętne, w jaki sposób wydobędą się z Mandchattu.

Klemensina i Enart nie odrywali od siebie oczu, Elerio natomiast pograżył się we wspomnieniach o matce i o ukochanej, które dawno temu zostawił w Lidii - małym miasteczku na południowym wschodzie Argosu. Teraz bardziej niż poprzednio pragnął wyrwać się ze wstrętnej, pruderyjnej vendhyjskiej mieściny i w końcu wrócić do domu.

Czas jednak płynął, a Cymmerianin nie zjawiał się. Już i dziewczyna, i jej narzeczony zaczęli się rozglądać niespokojnie, z nadzieją ujrzienia ogromnej sylwetki przyjaciela. Elerio osłonił oczy daszkiem z dłoni i wpatrywał się w dal, a Władca Węży, cicho zawodząc, błagał bogów, by uratowali i uchronili barbarzyńcę przed wszystkimi Karmashanami razem wziętymi.

Gdy Conan w końcu pojawił się przy zachodniej bramie miasta, cały we krwi, zmęczony, z jakichś powodów zdziwiony, ale zadowolony, zastał kompanię bardzo zaniepokojoną.

- Co ty wyprawiasz! - naskoczył na niego Trille. - Odszedłeś i nie wracasz! Do licha! Przysięgam na Croma, po prostu do licha!

W odpowiedzi na mało zrozumiałe pokrzykiwania włóczęgi Cymmerianin tylko się uśmiechnął. Bezbłędnie wywnioskował, że piękny, szary, cętkowany koń jest przeznaczony dla niego. Podszedł, skoczył na siodło i bez pośpiechu ruszył, wpatrzony w błękitną dal. Wtedy i pozostali załadowali się na wóz i podążyli za nim. Trille z trudem wdrapał się na wysoką klacz, po raz kolejny żałując złotych za nią zapłaconych, i powlókł się w ogonie pochodu.

Równina, po której dwa dni temu jechali do Mandchattu, była zalana miękkim słonecznym światłem. Trawa wydeptana przez słonie, ludzi, konie i koła wozów matowo pobłyskiwała. Na nią kładły się groteskowe cienie jeźdźców. Kolor nieba obdarzył ziemię cudowną barwą - wszystko wokół wydawało się niebieskawożółte, jakby od wewnątrz podświetlone złotym ogniem. W taki czas serce nie jest skłonne do udrek.

Conan, oszołomiony zajściami ostatniej nocy, w sercu miał pustkę. Nawet Lal Bogini Losów, który znajdował się w jego worku, nie napełniał triumfem zmęczonej duszy. Wkrótce zakończy się ta długa wędrówka.

Serwus Narot dostanie swój skarb, Conan - trzy setki złotych, które postara się przepuścić jak najszybciej. Klemensina z Enartem wróca do domu i za rok - dwa wydadzą na świat jasnookie niemowlę. Elerio zobaczy matkę i ukochaną... Wszystko pięknie! Tylko dlaczego niewypowiedziana tęsknota ścisła piersi?

Cymmerianin zdławił ciężkie westchnienie, zbyt ciężkie jak na taki cudny, jasny dzień, i pojechał cwałem. Kłęby kurzu uniosły się ku błękitnemu niebu, zawisły na chwilę i wnet się rozpląnęły.

Za koniem Conana pomknęła klacz, podreptały po twardej, suchej ziemi muły poganiane świstem Eleria, zaterkotał wszystkimi swoimi częściami wóz.

Elerio, jak zwykle rozczochrany, w milczeniu pochłaniał ósmy placek z kozim serem, popijając dziewiątym kuflem piwa. Obok niego siedzieli przyjaciele i zajmowali się tym samym. Ledwie rozpoczęta rozmowa szybko zwiędła; teraz wszyscy, milcząc jak zaczarowani, patrzyli w sam środek ognia wesoło trzaskającego na kominku. Każdy myślał o swoich sprawach, ale w końcu wszystkie myśli spotykały się w jednym punkcie - podróż, trwająca tak długo, skończyła się wreszcie. Jeszcze dzień - dwa spędzą razem, a potem rozstaną się, żeby spotkać nieprędko lub nawet wcale...

Oczywiście to tylko pogarszało i tak smutny nastrój przyjaciół. Jak dziwnie jest świat urządzony! Drogi, po których idziemy, zbiegają się i rozchodzą. Rzadko zdarza się tak, że dalej biegną obok siebie. Tylko wyciągnąć rękę, a twój przyjaciel będzie znów z tobą! Niestety, bogowie zaplanowali wszystko inaczej...

- Conanie... - nieśmiało odezwał się Władca Węży. - Co byś powiedział, gdybym dalej został z tobą? Nie mam dokąd iść, nikt na mnie nie czeka... Mógłbym być twoim sługą albo giermkim...

- Nie, Trilimilu - Cymmerianin pokręcił głową - ani sługa, ani giermek nie jest mi potrzebny. Przysięgam na Croma, jesteś dobrym towarzyszem, ale moją drogą muszę iść sam.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Chabrowe oczy zapłonęły, jak gdyby odbił się w nich blask zachodzącego za horyzont słońca. Zdziwieni towarzysze podążyli za jego wzrokiem. Promienie słoneczne wprawdzie sączyły się jeszcze przez brudne małe okienko, ale nie one były przyczyną tak nagłej zmiany nastroju barbarzyńcy.

Po schodach do sali schodziła dziewczyna, której uroda wprawiła wszystkich w zdumienie. Czarne jak smoła włosy spływały po ramionach na piersi, błękitne, czyste oczy patrzyły łagodnie, szczupła figura była jak naciągnięta struna, ale gibka i pełna gracji. Za nią szedł wysoki, szeroki w ramionach starzec - ni to jej ojciec, ni dziadek. Gdy postawiła nogę na ostatnim stopniu, odwróciła się do niego i ujęła go za rękę.

Trille wstał. W gardle coś mu zabulgotało, ręce nerwowo gniotły koszulę na piersiach.

- Massimo... - wyszeptał. Potem odkaslnął i krzyknął z wszystkich sił: - Massimo!

Starzec spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. Otworzył szeroko oczy i zastygł nieruchomo z nogą uniesioną nad podłogą.

- Trille? - zapytał słabym głosem.

Władca Węży rzucił się ku niemu, potknął i runął na podłogę. Nie wstając, objął rękami kolana starca i przytulił się do nich policzkiem. Wtedy Conan zrozumiał, że włóczęga więcej nie będzie prosić o towarzystwo. Zdaje się, że znalazł tego, komu zawsze będzie potrzebny.

Właściciel zajazdu ziewając dorzucił dREW do ognia i oddalił się. Nieliczni goście też rozeszli się do pokojów. Z pękatym kuflem mocnego ciemnego piwa w szerokich dłoniach Massimo niespiesznie opowiedział historię swojej długiej wędrówki.

- A potem spotkałem Marinellę. - Z miłością popatrzył na delikatną twarz Wiecznej Dziewicy. - To był zajazd prawie taki sam jak ten. Ona przędła swoje nici, a ja...

- Poczekaj, Massimo - wpadł mu w słowa Władca Węży. - Mówiłeś, że ona ... hmm... jest Boginią Losów?

- To prawda - uśmiechnął się starzec.

Cała piątka, zakłopotana, otworzyła szeroko oczy. Nikt nie mógł uwierzyć, że ta młoda piękna kobieta o łagodnym spojrzeniu jest właśnie Boginią Losów. Chyba ze starości w głowie Massima pomieszały się opowieści prawdziwe i legendy.

Wieczna Dziewica zaśmiała się.

- Z Massimem wszystko w porządku - powiedziała, bez trudu odgadując ich myśli. - To ja, a to moje wrzeciono, a to złote nici losów...

- A to - ochryple odezwał się Conan, wyciągając z worka magiczny kamień - twoje świecidełko....

Wszyscy, milcząc jak zaczarowani, wytrzeszczali oczy na ogromny rubin mieniący się wszystkimi odcieniami czerwieni na dłoni Cymmerianina. Marinella też milczała. Ze smutkiem patrzyła na swój skarb, w którego jądrze zawierało się jej wieczne życie. Czy teraz chciała wiecznie żyć? Nie. Wyciągnęła rękę po Lala, potem cofnęła ją, nie dotknąwszy kamienia.

- Weź, Marinello - miękko powiedział Massimo. - I niech twojego miejsca nigdy nie zajmie inna.

- Weź - wymamrotał barbarzyńca, odwracając wzrok.

- Weź - wyszeptali Klemensina i Enart.

- Weź, Marinello! - jednym głosem wykrzyknęli Elerio i Władca Węży, który nabrał otuchy i poczuł się pewniej.

Wieczna Dziewica znów wyciągnęła rękę i wzięła magiczny rubin. Kamień zapłonął jasnym, oślepiającym blaskiem, rozświetlając wszystko wokół, jak gdyby słońce wdarło się do sali. Chwilę potem blask zaczął słabnąć. Czerwone błyski przebiegły po ścianach, suficie i zdumionych twarzach przyjaciół, ofiarując im chwilę zachwyty i ciepło życia. Tylko jedna

iskierka tliła się w środku rubinu. I będzie się tam tlić wiecznie... Jakie to dziwne słowo „wieczność”!

Marinella wzruszyła ramionami i schowała kamień do swojej torby podróźnej, gdzie spoczywało wrzeciono. Cóż wieczność? Miłość - jedynie dla niej warto żyć.

Conan już wiedział, że nie spełni obietnicy danej rycerzowi. Prawdę mówiąc, Lal Bogini Losów nigdy nie należał do niego, niech więc się cieszy, że Conan nie spustoszył mu całego skarbcza, chociaż przecież mógł.

- Conanie - zwróciła się do niego Wieczna Dziewica, szczupłymi, zwinnymi palcami dotykając dłoni barbarzyńcy. - Może dałbyś Serwusowi Narotowi coś zamiast Lala?

I podała mu wspaniały, ogromny szmaragd, w którego wnętrzu mieniła się tęczowo przezroczysta kulka.

- Tam jest kropla morza - wyjaśniła Marinella. - Drugiego takiego kamienia nie ma na całym świecie. Myślisz, że rycerz nie będzie się gniewał na ciebie?

- Nie będzie - odpowiedział zachwycony Cymmerianin. Wziął szmaragd i włożył go do worka. - A gdyby kręcił nosem, to mu ten kamień wetknę w...

- Conan! - chórem krzyknęli towarzysze, a zmieszana Klemensina zerknęła z ukosa na Marinellę. Ona jednak zaśmiała się cicho, i znów ujęła dłonie Massima.

Ogień wesoło trząsał na kominku, płomienie tańczyły i rzucały czerwone refleksy na ścianę, jakby naśladując Lala Bogini Losów. W sali znowu zapanowało milczenie, ale teraz pełne smutku. Rozstanie? Cóż, takie jest życie. Spotkania i rozstania następują częściej niż dzień po nocy. Z pewnością jest w tym jakiś szczególny sens. Na nim opierają się stosunki międzyludzkie, bo pogodziwszy się z tym, co się traci, można się nauczyć strzec tego, co się ma. A rozstanie, tak czy siak, jest nieuniknione...

Dzisiejsza noc każdemu przyniosła spokój i radość. Enart i Klemensina rano wyruszą do Koryntii, Massimo i Trille - do Argosu, Marinella - znów na wędrowkę po świecie. Conan z Eleriem też pojedą do Argosu, ale nie rano. Zaraz.

- Hej, Elerio - odezwał się nie wiedząc czemu zakłopotany Władca Węży. - My z Massimem pójdziemy do domu na własnych nogach. Chcesz, to weź moją klacz...

- Pewnie, że chcę - z nieukrywaniem zadowoleniem zgodził się Elerio.

Conan wstał. Serce mu się ścisnęło i podeszło do gardła, tak że z trudem oddychał. Chciał zapytać Marinellę, czy spotkają się wszyscy znowu - nie za rok i nie za pięć lat, lecz kiedyś tam, i nie zapytał. Chciał zapytać Trillego, w jakim miejscu Argosu znajduje się ta oberża, w której zamierza żyć ze swoim przybranym ojcem, i nie zapytał. Chciał zapytać Klemensinę...

Nie powiedział jednak ani słowa. Klepnął Eleria w plecy, rzucił ostatnie spojrzenie przyjacielom, skinął im głową i wyszedł. Na ulicy, pod czarnym niebem, na którym migotały srebrne gwiazdy, czekał na niego potężny, szary, cętkowany koń, a na Eleria - bułana klacz.

Pora jechać. Przed nimi jeszcze długa droga.

Wczesnym rankiem po ulicach Lidii niespiesznie jechali dwaj jeźdźcy. Jeden dosiadał wielkiego, szarego rumaka, a i sylwetką pasował do niego: ogromny, barczysty, z bujną czupryną czarnych splątanych włosów. Przy swoim towarzyszu wydawał się prawdziwym olbrzymem. Ten zaś - wątły, żyłasty, o drugich nogach - jak worek siedział na zgrabnej bułance i ze smutkiem spoglądał na przyjaciela. Wolałby puścić konia cwałem, zamiast wlec się nogą za nogą po pustych jeszcze ulicach miasta oświetlonego żółtymi i różowymi promieniami słońca, które dopiero co wzeszło.

A Lidia mieniła się różnokolorowymi refleksami, wyciągała do ognistego oka dobrego Mitry zielone liście drzew i oddychała czystym, przejrzystym powietrzem. Poranna cisza dźwięczała w uszach natrętnie, jakby w przeczuciu triumfalnej pieśni przebudzenia do życia.

Lidia z wszystkich sił starała się spodobać czarnowłosemu olbrzymowi, ponuro spoglą-

dającym szafirowymi oczami na jej piękno.

Sprawa zakończona. Magiczny kamień wrócił do Bogini Losów, a rycerz otrzymał w zamian ogromny szmaragd z kroplą morza w środku. Przed chwilą Conan oddał mu ten skarb i wziął swoje trzy setki złotych. Wypił na drogę puchar mocnego czerwonego wina, po czym wyjechał na ulicę, gdzie niecierpliwie czekał na niego Elerio.

Gwido coś za nimi krzyczał, a rycerz wtórował mu swoim głębokim basem; Benino i Peppo uśmiechali się, Lambert zaś nisko się kłaniał. Ten hołd był dla niego, dla Conana z Cymmerii. Napełniało go to wzruszeniem, ale zostawiał wszystko bez żalu. Niedaleko stąd, pod Górą Rabiryjską mieszkała niegdyś stara czarownica, która uratowała mu życie i wskazała nową drogę. Od tej pory barbarzyńca więcej jej nie widział. Teraz zmierzał tam, tak samo jak jego przyjaciel Elerio podążał do matki. Conan był pewien, że Niza żyje. Nie mogła umrzeć nie zobaczywszy się z nim. Przecież jest do niej podobny jak syn do matki.

Uśmiechnął się do swoich dziwnych myśli. Czyżby to był on - barbarzyńca o surowym i silnym sercu? Oto miecz, oto koń. Droga przed nim jeszcze długa i wrogów na niej niemało. Czemu więc zbacza z niej? Po co? Czy to Niza swoimi czarami ciągnie go do siebie? Znowu się uśmiechnął. Jakie tam czary! Po prostu chce zobaczyć ją jeszcze raz, to wszystko. Potem osiodła konia i ruszy swoją drogą, ale dopiero potem.

Elerio, wzdychając co chwila, myślał o matce. O Mitro, jak te myśli grzały jego serce w ciężkich czasach. Potem wyrzucił je z głowy, ponieważ tylko raniły duszę i odciągały od bardziej realnych rozważań. Przeklinał ten dzień i tę chwilę, gdy los związał go z bandytą Karmashanem, zabierając co najmniej pięć lat życia. Przeklinał siebie za tę gotowość, z którą podjął się mu służyć. Przeklinał bogów za to, że nie otworzyli mu oczu w porę...

Zresztą gotów był przebaczyć bogom, w każdym razie Mitrze. W końcu jeśli będą ostrzegać każdego dumia, to na inne sprawy po prostu nie starczy im sił. Wielkie wydarzenie w swoim życiu, czyli odejście od Karmashana, Elerio przypisywał własnemu sprytowi. Bo cóż mu tu pomogli bogowie? Co było potem, kiedy za cenę niewiarygodnych wysiłków wyrwał się z sieci pajęczej Karmashana? Zgnusniały i żałosny pół roku przeżył w nędzy, zalewając winem straszne myśli o przeszłości i przyszłości. Potem przyszedł Conan.

Elerio dopiero teraz, przed bramą rodzinnego miasta, uwierzył, że wraca do domu. Całą drogę z Shemu do Argosu rozmawiał o wszystkim, tylko nie o tym. Teraz sprawdził swoje uczucia: dobrze wiedział, że przy silnym zdenerwowaniu oddech powinien być płytki, dusza rozstrojona, a serce głośno bijące. Niestety. I w tym nie był podobny do innych, bardziej przyzwoitych ludzi. Włosy, nagrzane porannym łagodnym słońcem, jak zwykle sterczały w różne strony jak palce z dziesięciu dłoni. Dusza i serce były spokojne. Westchnął, rad w duchu, że w naturze barbarzyńcy nie leży ciekawość cudzych uczuć, i skręcił po raz ostatni.

Oto topola z gałęziami pochylonymi ku środkowi ulicy, którą minął wiele lat temu, gdy jechał poznać świat i pokazać światu siebie. Oto jaskrawożółty kamień pośród innych szarych na jezdni. Oto jego dom za masywnymi skrzydłami wrót, które zaraz otworzą się przed nim.

Dopiero teraz serce Eleria dało znać o sobie. Zabiło jak szalone, aż przeraził się, że może umrzeć ze szczęścia na progu własnego domu, co byłoby wyjątkowo głupie. Nie schodząc z konia, uderzył we wrota czubkiem buta i obejrzał się na przyjaciela.

Conan niewzruszony siedział w siodle i patrzył w całkiem inną stronę. Najwyraźniej był zajęty jakimiś bardzo ważnymi myślami. A zza wrót już dobiegały głosy i brzęczenie łańcuchów. Matka i Elina...

Najbliższe osoby, które - miał szczerą nadzieję - odtąd będą z nim na zawsze. Zaraz, za chwilę je zobaczy...

- Elerio!

Dwa głosy - wysoki i niski, oba drżące, zlały się w jeden. Poranna cisza nie wytrzymała i pochwyliła ten krzyk gwałtownym podmuchem wiatru, szelestem liści, stukiem sąsiednich wrót. Elerio popatrzył na kobiety ze zdziwieniem, wzruszył ramionami jakby nie rozumiejąc

dlaczego krzyczą, i przypadł do rąk matki.

Conan nie czekał aż Elerio się ocknie. Gdy zobaczył, że matka przytula głowę syna do piersi, a Elina trzyma go za rękę, od razu puścił konia galopem, by jak najszybciej wyjechać z Lidii. Dobrze wiedział, że teraz wszyscy troje będą szczęśliwi, a on może przyjechać do nich kiedyś, kiedy zechce. Jednak jego oschła natura odrzuciła dobre słowa o miłości i przyjaźni, zastępując je całkiem innymi. Kiedyś, myślał barbarzyńca poganiając konia, kiedy zapragnę doskonałego wina albo droga wypadnie mi przez to podłe miasteczko, albo...

Im dalej od Lidii unosił go koń, tym czarniejsze stawało się niebo — zapowiedź pierwszego od wielu miesięcy deszczu. Ziemia w przeczuciu rychłego zaspokojenia westchnęła, otworzyła wszystkie pory, zmiękła i końskie kopyta uderzały w nią głucho. Po stepie biegały susły i myszy, szukając swoich norek. Wiatr zmienił kierunek, by wziąć udział w szykującej się awanturze - dmuchnął złośliwie i sychnął w twarz jeźdźcowi przyniesionym z daleka kłującym piaskiem. Stada czarnych grubych chmur zbierały się nad Argosem, lecz deszcz wciąż nie padał. Powietrze drgało przed oczami srebrno-różowym światłem, przenikało pod samo serce i dotykało go zimnymi, miękkimi wargami.... A może to były tylko wspomnienia?

Conan zgrzytnął zębami. Próbował zapomnieć, jednak myśli mimowolnie wracały do tamtych dni. Wciąż słyszał ten rozpaczliwy jęk, a potem... Potem ciszę rozdarł dziki, zwierzęcy ryk zabijanego potwora. Ani cuchnący Set, ani równie cuchnący Nergal nie uchronili swojego mieszańca od śmierci. A może to jasny Mitra pomógł Conanowi wiedząc, że z jego rąk Lal przejdzie wprost do rąk Wiecznej Dziewicy?

„Kto ich tam zrozumie, tych bogów” - jak zwykle powiedział sobie w duszy Conan.

Jednak teraz mógł być spokojny - Karmashan nie istnieje, nie zostało po nim nic i może tylko w koszmarnym śnie zakłóci spokój Eleria lub Władcy Węży.

Barbarzyńca skrzywił się, jakby zdenerwowała go napięta przedburzowa atmosfera. Wbił podkute obcasy w pękate boki konia i pognął w ślad za wiatrem, w stronę niebiesko-czarnego łańcucha Gór Rabiryjskich, już widocznych w oddali. Droga do bogactwa i sławy znów jest otwarta, lecz zanim pójdzie po niej, musi załatwić jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę.

Ofiaruje ten dzień i tę noc starej czarownicy, która kiedyś określiła jedyny słuszny kierunek jego drogi. Opowie jej o wszystkim od początku do końca i tylko ona będzie wiedzieć o jednym życiu i tysiącu śmierci Conana - barbarzyńcy. Napije się jej ciemnego mocnego piwa, rozgrzewającego krew, a potem odejdzie, ponieważ zawsze odchodzi, jak gdyby jego serce nie pragnęło zostać. Nikt nie usunie niezliczonych przeszkód z jego dróg.

Cymmerianin uniósł twarz ku chmurom, wciągnął w płuca chłodne powietrze i roześmiał się głośno, w upojeniu słuchając dalekiego echa swojego tubalnego śmiechu, przetaczającego się po szczytach gór.

- Eee hej, Niiiza! - krzyknął, chociaż doskonale wiedział, że na razie nie może go usłyszeć, ponieważ podjechał zaledwie do linii lasu, który oddzielał jej chatę od pola. - Wróciiiiłem!

Szary cętkowany koń rozciął potężną piersią krzewy i z pochylonym łbem pognął przez las, żeby zakończyć wreszcie swoją długą drogę. Gałązki chłostały go po pysku, trzeszczały pod nogami, jakby chciały nastraszyć go i przepędzić. On jednak gnał do przodu rozumiejąc, że niespokojny jeździec nie znajdzie ukojenia, póki nie przywiezie go na miejsce. Nagle w górze coś huknęło, rozerwały się napięte struny. W oko konia wpadła lodowata kropla i jak łąza potoczyła się po szyi.

Co się dzieje? Nie zwalniając kroku, szary cętkowany koń ze zdziwieniem podniósł łeb i chrapnął w źrebięcym zachwycie. Potem już z dorosłym uczuciem zarżał, pozdrawiając przyrodę: teraz naprawdę był szczęśliwy.

Zaczął padać deszcz.